

W serii Romans historyczny polecamy również

MARY BALOGH

*Magiczne oczarowanie
Miłosny skandal
Niebezpieczny krok
Po prostu miłość
Przewrotny kochanek*

ADRIENNE BASSO

*Grzeszne pragnienia
Poślubić wicehrabiego
Skazany na miłość*

REXANNE BECNEL

*Lęk przed miłością
Pogromca serc*

CONNIE BROCKWAY

*Kaprys panny młodej
Ostatni bal
Zakochany mściciel*

NICOLE BYRD

*Niepokorna lady
Nieuchwytny książę
Uwieść dżentelmena
Szkarłatna Wdowa
Złota dama*

JANE FEATHER

*Kusicielka
Wstępny kochanek
Wyznanie*

GAELEN FOLEY

*Noc grzechu
Pani pożądania
Ukochana diabła*

TRACY ANNE WARREN

*Lekcja miłości
Miłosna pułapka
Miłosny fortel*

w przygotowaniu

MARY JO PUTNEY

Taniec na wietrze

ELOISA JAMES

*Droga do marzeń
Poskromienie księcia
Rozkosz za rozkosz*

JULIE ANNE LONG

*Piękna i szpieg
Sekret uwodzenia
Urocza i nieznośna*

KARYN MONK

*Namiętym szeptem
Ślubna ucieczka
Więzień miłości*

MARY JO PUTNEY

*Jedwabna tajemnica
Miłość szpiega
Rzeka ognia*

AMANDA QUICK

*Kłamstwa w blasku księżycy
Od drugiego wejrzenia
Podstęp
Rzeka tajemnic
Złota Orchidea*

JULIA QUINN

*Magia pocałunku
Sekretny pamiętnik
Mirandy Cheever*

PEGGY WAIDE

*Księżna jednego dnia
Potęga uroku*

ELOISA JAMES

Księżna w desperacji

Przekład
Maria Górna



Wstęp

Listopad 1780

Majątek markiza Wharton i Malmesbury

Mała to pociecha dla panny na wydaniu: wiedzieć dokładnie, dlaczego się nie ma żadnych zalotników. W przypadku lady Roberty St Giles prawda była aż nadto oczywista – podobnie jak brak starających się o jej rękę.

Zart rysunkowy przedrukowany w magazynie „Wędrowiec” przedstawiał lady Robertę z wielkim garbem oraz gęstymi brwiami zrosniętymi nad nosem. Obok klęczał jej ojciec, błagając jakiegoś przechodnia, żeby pomógł mu znaleźć dla córki godnego małżonka.

Przynajmniej ten szczegół był prawdziwy. Jej ojciec istotnie padł na kolana na środku ulicy w Bath, zupełnie jak na obrazku. Roberta uważała, że określenie „szalony markiz”, jakim ochrzczono go w owym czasopiśmie, zawiera w sobie ziarenko prawdy.

– Chodzi im pewnie o małżeństwa wśród bliskich krewnych – powiedział, gdy zaczęła wymachiwać mu gazetą przed nosem. – Pewnie myślą, że na skutek małżeństw wewnątrz rodu masz jakieś fizyczne ułomności. Ciekawe założenie. A mogłabyś przecież, na przykład, cierpieć na jakąś niebezpieczną chorobę psychiczną albo...

– Ależ, papo! – jęknęła Roberta. – Nie możesz od nich zażądać, żeby wydrukowali przeprosiny? Kto mnie teraz zechce za żonę? Nie jestem przecież kaleką.

– Skądże, Pączuszkule, jesteś prześliczna. – Ojciec ściągnął brwi w głębokim namyśle. – Napiszę pean ku czci twojej urody i pošlę go do druku w „Wędrowcu”. Wyjaśnię im przy okazji, dlaczego wtedy w Bath

dałem się tak ponieść emocjom, i załączę słówko o wybrykach różnych niepoprawnych bezwstydników!

Owszem, w magazynie „Wędrowiec” wydrukowano osiemsetosiem-nastowersowy poemat markiza, w którym ten rzucał gromy na głowę niegodziwego gałgana, który ośmielił się w biały dzień zniecka skraść Robercie całusa na środku ulicy. Niestety, do wiersza znowu dołączono ową niepochlebną rycinę, a pośród uniesień markiza na temat niebezpieczeństw czyhających na niewinne panny na ulicach Bath ginął zupełnie taki oto opis jego córki:

„Jej swobodnej elegancji
Zazdroszczą nawet płocze Gracye
O bujnym łonie. Podziwiał, świecie,
Robertę, markiza jedyne dziecię!”

Na próżno Roberta podkreślała, że „swobodna elegancja” niewiele mówi o kształcie jej pleców, natomiast sformułowanie „bujne łono” może sugerować, że jest tęga.

– Wszystko, co konieczne, zostało tu powiedziane – odparł ze spokojem markiz. – Każdy rozumny człowiek domyśli się natychmiast, że masz wyborną figurę, szlachetne rysy twarzy i odpowiedni posąg, że nie wspomnę o tym, co dostaniesz po mojej śmierci. Zobacz, zawarłem tu inteligentną wzmiankę o twojej przyszłej spuściźnie.

Roberta dostrzegła jedynie wzmiankę o tym, że dostanie w wianie jabłoni.

– To ze względu na rymy. – Ojciec wydawał się lekko poirytowany. – Nie ma zbyt wielu słów, które rymują się z wianem, więc musiałem zrymować „wiana” i „jabłonie”. Ale to chyba oczywiste, że jabłoni jest metaforą.

Widząc, że Roberta nic nie rozumie, wyjaśnił ze zniecierpliwieniem.

– Jabłoni oznacza nasz majątek Wharton i Malmesbury, a jak ci wiadomo, mamy przecież co najmniej jedenaście jabłonek. Majątek odziedziczny wprawdzie mój bratanek, ale sady nie są jego częścią, więc przypadną tobie.

Możliwe, że jacyś inteligentni dżentelmeni wydedukowali z poematu markiza, iż jego córka posiada zgrabną figurę oraz jedenaście jabłoni, ale żaden z nich nie pofatygował się do Wiltshire, żeby przekonać się o tym na własne oczy. Niewykluczone, że miał na to wpływ oryginał

obraźliwego rysunku, który przez długie miesiące zdobił szybę wystawową domu wydawniczego Humphreya.

A skoro markiz odmawiał ponownego wyjazdu do miasta, gdzie tak pohańbiono jego córkę – „Jeszcze mi za to podziękujesz”, mruknął niejako – lady Roberta St Giles odkryła z przykrością, że powoli zmierza ku wyjątkowo nieciekawemu etapowi życia, znanemu powszechnie jako staropanieństwo.

Minęły dwa lata. Co kilka miesięcy Robertę nawiedzała myśl o przyszłości, którą niechybnie przyjdzie jej spędzić na przepisywaniu i archiwizowaniu wierszy ojca oraz układaniu w kolejności alfabetycznej odpowiadających listów od wydawców na użytek przyszłych biografów markiza. W takich chwilach rodził się w niej bunt. Na próżno jednak przekonywała, błagała i płakała. Nie pomogła nawet groźba spalenia wszystkich poematów, jakie znajdowały się w domu. Dopiero gdy wrzuciła do ognia kopię ody *Do budynku, który ugotowała mi Mary*, ojciec zrozumiał powagę sytuacji.

I jedynie szantaż przy użyciu ostatniego zachowanego egzemplarza wiersza o budynku spowodował, że ojciec zgodził się zabrać ją na bal noworoczny wyprawiany przez lady Cholmondelay.

– Będziemy musieli się tam zatrzymać na noc – burknął z niezadowolaniem, wysuwając dolną wargę.

– Pojedziemy sami – powiedziała Roberta. – Bez pani Grope.

– Bez pani Grope! – Markiz już otwierał usta, by rozpocząć pełną oburzenia tyradę, lecz...

– Papo, chyba chodzi o to, żeby wreszcie ktoś zwrócił na mnie uwagę, prawda? Pani Grope na pewno ściągnęłaby na siebie wszystkie spojrzienia.

– Hm.

– Będę też potrzebowała nowej sukni.

– Doskonały pomysł. Byłem ostatnio we wsi i widziałem, jak jedno z dzieci pani Parthnell biega po podwórzu sinoblade z zimna. Przyda jej się jakiś zarobek.

Roberta nie zdążyła zaprotestować, bo markiz uciszył ją, unosząc w górę dłoń.

– Mam szczerą nadzieję, że nie zamówisz sukienki u innej krawcowej. Pomyśl tylko o biednej pani Parthnell i jej ośmiorgu dzieciach.

– Właśnie myślę – powiedziała Roberta – o jej nieudanych gorskach.

Na to ojciec zmarszczył gniewnie czoło, miał bowiem wyrobione zdanie o płóchej naturze mody, a przy tym starał się wspierać finansowo mieszkańców wsi, chociażby kupując ich niezbyt udane wyroby.

Niestety, bal noworoczny nie przysporzył Robercie zalotników.

Papa nie zgodził się zostawić pani Grope w domu, twierdząc, że to sprawiłoby jej ogromną przykrość. Toteż Roberta spędziła wieczór, patrząc, jak inni goście chichoczą na widok słynnej kurtyzany. Nikogo nie interesowało, czy córka „szalonego markiza” ma plecy proste czy garbate; o, nie – wszyscy zajęci byli oglądaniem metresy „szalonego markiza”. Gospodyni była oburzona, że markiz ośmielił się przyprowadzić na jej bal swoją kochanicę, więc ani myślała tracić czasu na przedstawianie jego córki kawalerom.

Roberta siedziała w kącie i patrzyła, jak ojciec tańczy z panią Grope. Wymyślna fryzura kobiety udekorowana była wstążkami, piórami, kwiatami i klejnotami, całość zaś wieńczył ptak wykonany z papierowej masy. Roberta uznała to za wystarczający powód, by udawać, że nie zna własnego rodzica; ilekroć upierzona głowa kierowała się w jej stronę, oddalała się szybkim krokiem. Odwiedziła toaletę już tyle razy, że na pewno pozostali goście podejrzewali, iż cierpi na jakąś kobiecą przypadłość.

Wreszcie około godziny jedenastej jakiś dżentelmen poprosił ją do tańca. Niestety, okazał się kapelanem lady Cholmondelay i cała rozmowa w tańcu ograniczyła się do jego zagmatwanego wykładu na temat znanych wszetecznic. Chyba porównywał panią Grope do Marii Magdaleny, ale Roberta nie do końca rozumiała, o co mu chodzi, bo figury w tańcu wymagały, by partnerzy wciąż się rozdzielali.

Tak się niefortunnie złożyło, że pastor właśnie szczegółowo wylizczał grzechy ladacznic, gdy akurat naprzeciwko nich znaleźli się markiz i pani Grope.

– Dobrze wiem, kogo masz na myśli, młokosie! Pani Grope nie jest żadną ladacznicą! – wykrzyknął markiz.

Na próżno zdruzgotana Roberta usiłowała odciągnąć kapelana w przeciwnym kierunku. Mały pulchny człowieczek, zaperzony jak kogucik, ani drgnął. Wyprostował się dumnie i wygłosił ripostę.

– Powinien pan zastanowić się nad moimi słowami albo biada twojej wiecznej duszy!

Goście bawiący się w pobliżu przestali tańczyć, pojmując, że czeka ich ciekawy spektakl. Markiz nie rozczarował publiczności.

– Pani Grope jest wspaniałą kobietą, która życzliwie przyjmuje moje uwielbienie! – ryknął. – Nie gorsza z niej ladacznica niż z mojej własnej córki, która jest skarbem moich oczu!

Tłum gości, co było do przewidzenia, zwrócił się ku Robercie, wypatrując u niej oznak zepsucia. Był to pierwszy przejaw zainteresowania, jaki okazano jej od początku balu. Przerazona uciekła do łazienki.

Spędziwszy tam z pół godziny, Roberta podjęła kilka ważnych decyzji. Po pierwsze, dość już miała upokorzeń. Musi znaleźć męża, który nigdy, przenigdy nie zrobi z siebie przedstawienia i nie przyniesie swoim najbliższym wstydu przed ludźmi. I nie będzie miał najmniejszego pojęcia o poezji. Po drugie, jedyną szansą na zdobycie takiego męża był samodzielny wyjazd do Londynu, bez ojca i pani Grope. Po prostu pojedzie tam, wybierze odpowiedniego dżentelmena i skłoni go, by ją poślubił. Jakoś tego dokona.

Wróciła na swoje miejsce w kącie i z nowym zapałem zaczęła się przyglądać zebranim w poszukiwaniu stosownego kandydata.

– Kim jest tamten pan? – zapytała przechodzącego obok lokaja, który przez cały wieczór rzucał jej współczujące spojrzenia.

– Który, proszę pani? – Lokaj miał sympatyczny uśmiech i minę, jakby śwędziła go głowa pod peruką.

– Ten w zielonym fraku. – Nazwanie fraka po prostu zielonym nie oddawało mu sprawiedliwości. Miał barwę najbledszej zieleni świeżych listków, a zdobiły go czarne haftowane kwiaty. Było to najpiękniejsze, najbardziej wyszukane ubranie, jakie Roberta w życiu widziała. Mężczyzna ubrany w ten oryginalny strój był wysokiego wzrostu i poruszał się z niedbałą gracją. W odróżnieniu od innych, którzy właśnie pocili się na parkiecie, nie nosił peruki. Miał zmierzwione czarne włosy przedzielone kilkoma olśniewająco białymi pasmami siwizny i związane na karku bładozieloną aksamitką. Była w tym niebezpieczna mieszanina nonszalancji oraz wyrafinowanego smaku.

Lokaj wręczył Robercie szklankę z napojem, by nikt nie zauważył, że rozmawia z gościem.

– To Jego Wysokość, książę Villiers. Szachista. Nie słyszała pani? o nim?

Pokręciła głową, biorąc z jego rąk szklankę.

Mówią, że jest najlepszym graczem w całej Anglii – powiedział lokaj, nachylając się ku niej. – Lady Cholmondelay uważa, jest doskonały, proszę mi wybaczyć śmiałość – powiedział z uśmiechem.

Roberta parsknęła śmiechem.

– Przyglądałem się panience cały wieczór – mówił dalej lokaj. – Siedzi panienka tylko w kącie i podryguje nogami. Urządziliśmy sobie własny bal w pokojach dla służby, a tu panienki chyba nikt nie zna. Może pójdzie panienka ze mną i potańczy trochę?

– O, nie! Ktoś mógłby... – Rozejrzała się wokoło. Sala była wypełniona po brzegi roztańczonymi, rozbawionymi gośćmi. Nikt nie zwracał na nią uwagi, a przez ostatnią godzinę nikt się do niej nawet nie odezwał. Papa znowu gdzieś zniknął z panią Grope, zadowolając się myślą, że córka „poluje na grubego zwierza”, jak to ujął w powozie, gdy jechali na bal.

– Tam wśród służby nikt się nie zorientuje, że panienka jest szlachetnie urodzona. Nie w takiej sukni. Będą myśleć, że jest panienka pokojówką jakiejś damy. No i przynajmniej sobie panienka dziś zatańczy!

– Dobrze – szepnęła.

I oto po raz pierwszy tego wieczoru młodzieńcy z ukłonem prosili ją do tańca. Wymyśliła sobie popędliwą panią i świetnie się bawiła, opisując udręki, jakie musi przechodzić, pomagając jej podczas porannej toalety. Dwa razy zatańczyła ze „swoim” lokajem, a potem jeszcze kolejno z trzema innymi. Wreszcie uznała, że istnieje pewne prawdopodobieństwo, iż ojciec zauważył jej nieobecność, więc udała się z powrotem w kierunku sali balowej.

Po drodze doszła do wniosku, iż równie prawdopodobne jest, że ojciec o niej zapomniał i bez niej wrócił na nocleg do gospody.

Pognała biegiem korytarzem. Pchnęła z całej siły drzwi oddzielające pomieszczenia dla służby i... wpadła prosto na księcia Villiers, przewracając go na ziemię.

Spojrzał na nią z podłogi oczyma chłodnymi jak wiosenny deszcz i odezwał się leniwym, ochryplym głosem, od którego Robercie przeszły ciarki po plecach.

– Kamerdyner powinien cię nauczyć odpowiedniego zachowania.

Splonęła rumieńcem i dygnęła, oszołomiona, tak wielkie wrażenie zrobił na niej męski urok, zapadnięte policzki i cyniczne spojrzenie księcia. Był całkowitym przeciwieństwem jej ojca. Nie było w nim ani trochę sentymentalnego roztkliwienia. Taki mężczyzna nigdy nie stanie się pośmiewiskiem.

Życie u boku ojca nauczyło ją, że musi umieć jasno określać swoje emocje, jeśli nie chce, by zostały one rozłożone na czynniki pierwsze

przez poetę. Tak więc nie miała wątpliwości, co w tej chwili odczuwa: pożądanie. Strofy ojca na ten temat, majaczące gdzieś w jej pamięci, potwierdzały wstępną diagnozę.

Villiers wstał i uniósł palcami jej podbródek.

– Cóż za olśniewającą piękność można znaleźć w tej zatęchłej norze dla służby.

Robertę przeszył dreszcz tryumfu. On najwyraźniej nie uważał, żeby miała zrosnięte brwi albo garb.

– Eee – zająknęła się, zastanawiając się, co by tu powiedzieć. Nie wypadło przecież zaczynać rozmowy od oświadczeń.

– Rude loki – powiedział rozmarzonym głosem. – Wysokie, pięknie zarysowane brwi, lekko skośne oczy. Dolna warga czerwona jak rubin. Piękny temat na akwarelę.

Ten beznamiętny przegląd lekko zirytował Robertę; czuła się jak koń wystawiany na sprzedaż.

– Wolałabym nie być rozmazaną plamą. Nie stać pana na farby olejne?

Uniósł brew.

– Oho, nie widzę fartucha służącej i słyszę głos damy. Czyżbym się pomylił?

– Właśnie wracam na salę balową, gdzie pozostawiłam rodzinę.

Jego wzrok przesliznął się po nieciekawym koronkowym gorsie jej sukni, która wyglądała, jakby Roberta sama ją uszyła.

Opuścił rękę.

– To czyni panią jeszcze ponętniejszą, a przy tym zakazany owoc zawsze najbardziej smakuje. Zubozała szlachcianka. Uwiódlbym panią bez wahania, gdyby posiadała pani choćby mały mająteczek. Tymczasem, moja droga, nawet ja miewam czasami nikłe przebłyski moralności. Takie, można powiedzieć, drobne słabostki.

– Domysły bywają fałszywe – odpowiedziała. Miała na myśli jego założenie, że jest uboga, choć w tym stroju nikt nie wziąłby jej za bogatą dziedziczkę. Villiers jednak zrozumiał ją inaczej.

– Prawda, mogłaby pani nie dać się uwieść. Zdradzę pani jednak sekret mojego powodzenia u kobiet – zupełnie za darmo, bo i tak nie miałaby pani czym zapłacić.

Czekała, notując w pamięci połysk zielonego fraka i doskonałość wchłozonej fryzury.

– Zupełnie nie dbam o to, czy będę panią miał, czy też nie.
– Nie będzie mnie pan zatem miał – odparła urażona – bo ja również o pana nie dbam.

– W takim razie oddalam się natychmiast.

Gdy się przed nią skłonił, poły jego fraka rozłożyły się w idealne fałdy. Nie na darmo Roberta była córką mistrza słów. Słowo „bladozielony” nie oddawało w pełni pięknej barwy jego stroju: jedwabna materia fraka była seledynowa, miała kolor młodych listków. A czarny haft, widziany z bliska, wydawał się raczej ciemnojeżynowy.

To zestawienie barw zaparło jej dech w piersiach i sprawiło, że całkowicie zmieniła zdanie. Uczucie, którego doznała, musiało być znacznie głębsze niż przelotne pożądanie.

To nie żądza, lecz miłość. Po raz pierwszy w życiu... Roberta była zakochana.

Zakochana!

– Jadę do Londynu – oznajmiła ojcu, gdy wrócili do domu. – Wzywam mnie tam serce spętane okowami miłości. – Choć zazwyczaj Roberta nie wypowiadała się w aż tak górnolotnym tonie, uznała, że cytowanie ojcowskich wierszy pomoże zmiękczyć jego opór.

– Nic z tego! – sprzeciwił się markiz, nie zważając na poczynione przez nią literackie odniesienia. – Nie zamierzam znowu...

– Sama – ucięła. – Bez ciebie i bez pani Grope.

– Wykluczone!

Tak spierali się może przez miesiąc, dopóki pocztą nie przyszedł marcowy numer „Wędrowca”.

Nowa rycina niewiele różniła się od tej sprzed dwóch lat. Roberta wciąż miała garb i krzaczaste brwi. Tym razem klęczała przed mężczyzną w liberii, przypuszczalnie błagając lokaja, by pojął ją za żonę. „Jaki ojciec, taka córka” – głosił podpis pod obrazkiem. „Zawsze nam się wydawało, że to dziedziczne”.

Roberta nie miała wątpliwości, że pismo rozchodzi się w oficynie wydawniczej Humphreya jak świeże bułeczki.

– To nie moja wina! – wykrzyknął markiz, gdy tylko pojął aluzję. – Wiesz przecież, że służba często sprzedaje plotki tym szmatławcom! Jak mogłaś o tym zapomnieć, skoro ja i pani Grope tak często gościśmy na łamach „Miasta i Wsi”. Ktoś musiał się nieźle dorobić na twoim wy-

bryku. Nie ma sensu, żebym pisał w tej sprawie kolejny wiersz. Nawet siła mojego talentu nic tutaj nie pomoże.

Gniew markiza osłabł dopiero po napisaniu czterystu wersów pięciogłoskowcem, w którym to poemacie zrymował „zmiję” z „córka”, co nie jest, dodajmy, rzeczą łatwą.

Zmijowata córka zaś pocieszała się jedynie myślą o tym, że zostanie księżną Villiers, będzie kupować stroje z seledynowego jedwabiu i do końca życia nikt nie zmusi jej, aby słuchała wierszy.

Zarządziła, że do Londynu pojedzie drugim co do okazałości ojcowskim powozem. Zabrała jedną ze służących, walizkę wypełnioną skaradzieiństwami spod igły pani Parthnell, niewielką sumę pieniędzy oraz wiersz ojca – jedyny list polecający, jaki raczył dla niej napisać – i odjechała.

– Ach, nowy wspaniały świat! – szepnęła sama do siebie. I zaraz zmarszczyła nos. Żadnej literatury. Książę Villiers prawdopodobnie nigdy nie słyszał o poecie, który nazywał się John Donne i najpewniej nie umiałby odróżnić dystychu od kupletu.

Słowem, był ideałem.

10 kwietnia 1783

Rezydencja Beaumontów, Kensington, Londyn

W Paryżu zamężna kobieta musi mieć kochanka, inaczej jest nikim w towarzystwie. Dwóch czasem także uchodzi. – Drzwi do bawialni otworzyły się gwałtownie, ale młoda kobieta, siedząca tyłem do wejścia, zdawała się tego nie zauważać.

– Dwóch? – zdziwił się sztywnie ubrany młody mężczyzna.

Szczęściarze z tych Francuzów. A wydawali mi się wiecznie ze wszystkiego niezadowoleni, kiedy tam ostatnio byłem. To pewnie syndrom rozkapryszzonego bogacza, który dostaje do wyboru trzy desery po kolacji.

– Trzech kochanków uważa się już za przesadę – odparła kobieta.

Choć znam osoby, które uznają tę liczbę raczej za przywilej niż za brak umiaru.

Zaśmiała się niskim, zmysłowym śmiechem, który wzbudzał przyjemne wibracje w męskiej piersi oraz... nieco niżej. Ten śmiech wiele mówił o jej zdolności radzenia sobie bez kłopotów z jednym – czy nawet z trzema – Francuzami.

Mąż damy wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Młodzieniec zerknął na niego, a potem wstał i uklonił się bez zbyteknego pośpiechu.

Wasza Wysokość.

Milordzie. – Książę Beaumont odwzajemnił ukłon.

Lord Corbin był dżentelmenem w guście Jemmy: elegancki, pewny siebie i znacznie bardziej inteligentny, niż przyznawał. Świetnie

sprawdziłby się w parlamencie, gdyby tylko zechciał zniżyć się do wykonywania czynności, które miały coś wspólnego z pracą.

Szwagier księcia, hrabia Gryffyn, wstał również i skłonił się niedbale.

– Do usług, Gryffyn. – Księżę znowu zgiął się w ukłonie.

– Beaumont, usiądźże z nami. – Żona patrzyła na niego z wyrazem najszczerzej sympatii. – Jak miło cię widzieć. Czyżby Izba Lordów nie miała dziś posiedzenia? – Takie rozmowy małżonkowie toczyli od ośmiu lat: pełne raczej subtelnych przytyków niż jawnych emocji.

– Owszem, posiedzenie jest w toku, ale pomyślałem, że zostanę w domu, żeby spędzić z tobą trochę czasu. W końcu dopiero niedawno wróciłaś z Paryża. – Księżę uśmiechnął się nieszczercze.

– I już za nim tęsknię. – Jemma westchnęła głęboko. – To cudownie, że jesteś w domu, kochanie. – Nachyliła się i dotknęła dłoni męża złożonym wachlarzem. – Czekam akurat na Harriet, księżnę Berrow, która ma mnie dziś odwiedzić. Potem możemy zastanowić się nad dekoracją stołu na jutrzejsze przyjęcie.

– Fowle właśnie mnie poinformował, że urządzamy bal. – Księżę (który nosił godne imię Elijah, ale byłby urażony, gdyby ktokolwiek tak się do niego zwrócił) mówił tonem zupełnie spokojnym.

Lata parlamentarnych potyczek okazały się teraz przydatne, pomyślał. Prawdę mówiąc, miał konkretny powód, żeby zostać dzisiaj w domu. Musiał dobić targu z żoną i skłonić ją do opanowania towarzyskich ekstrawagancji. A nie osiągnięcie tego celu, jeśli da się ponieść emocjom. Wciąż jeszcze dobrze pamiętał, jak zażarcie się kłócili na początku małżeństwa.

– A niech to, nie mów mi, że zapomniałam cię o tym uprzedzić! Wiem, że to trochę szalony pomysł, ale planowanie tego przyjęcia pomogło mi przetrwać nudę podróży.

Księżna wyglądała na skruszoną i prawdopodobnie rzeczywiście żałowała swojego niedopatrzania. Ich małżeński układ wymagał, żeby przy innych ludziach byli dla siebie nawzajem uprzejmi i życzliwi, rzadko mieli okazję przebywać sam na sam.

– Przecież właśnie ci to powiedział – wtrącił się jej brat. – Musisz się przyzwyczaić, siostrzyczko, że już nie mieszkasz sama.

– Doprawdy, zachowałam się okropnie. – Księżna, przepraszając, poderwała się z fotela, co sprawiło, że jedwabne halki zawirowały wokół jej kostek. Miała na sobie bładobłękitną suknię *à la française*, całą hafto-

waną w niezapominajki. Gorset otulał kształtne piersi i szczupłą talię, dalej materiał unosił się na wydatnych bocznych tiurniurach.

Na zdrowy rozsądek, pomyślał Elijah, krynoliny, które tak całkowicie zakrywały krągłości kobiecych bioder, powinny wzbudzać w mężczyznach odrazę. A jednak musiał przyznać, że taki kształt sukni tylko pobudzał wyobraźnię, skłaniał do różnych dalszych domysłów, co do zgrabnych ud – i całej reszty.

Jemma wyciągnęła do niego rękę; Elijah zawahał się przez moment, zanim uściśnił jej dłoń. Uśmiechnęła się do niego jak matka życzliwie karcąca chłopczyka, który nie chce umyć uszu.

– Tak się cieszę, Beaumont, że spędzisz z nami ten poranek. Choć wierzę, że ci dwaj dzentelmeni mają gust bez zarzutu – tu obdarzyła Corbina olśniewającym uśmiechem – to jednak najbardziej liczy się zdanie męża. Słowo daję, od tak dawna nie czułam, że mam męża, że jest w tym nawet pewna nowość! Pewnie zanudzę cię na śmierć, pytając o zdanie w sprawie wyboru wstążek.

Gdyby ta sytuacja miała miejsce dawniej, na początku ich małżeństwa, Elijah już by się zirytował. Ale był weteranem, zaprawionym w bojach po latach potyczek w parlamencie, gdzie gra toczyła się o znacznie wyższą stawkę niż wstążki i tym podobne błahostki.

– Swoją obowiązek, co do wstążek, mogę spokojnie scedować na Corbina. Jestem pewien, że świetnie się spisze.

Obserwując Corbina kątem oka, zauważył, że ten bez jednego mrugnięcia przyjął fakt, iż księżę właśnie oddelegował go do pełnienia swoich mężowskich obowiązków. Może on zajmie się Jemmą na tyle, żeby nie wywołała zbyt wielu towarzyskich skandali przed zamknięciem sesji parlamentarnego. Gwałtownie odwrócił się w stronę drzwi, poitylowany nagłym odkryciem, że uroda żony wywiera na nim znacznie większe wrażenie tu, w jego własnym domu, niż podczas dawnych wizyt w Paryżu.

Po części było tak dlatego, że Jemma nie upudrowała włosów. Dobrze wiedziała, że lśnienie starego złota przyciąga spojrzenia bardziej niż puder, a do tego lepiej podkreśla błękit jej oczu. To tylko dlatego, że jest jego żoną – tłumaczył sobie – jej uroda tak go drażni. A może irytuje go raczej to niezwykle opanowanie? Kiedy się pobrali, nie była bez wad. Teraz wszystko wydawało mu się w niej idealne: od różanej barwy ust po dowcipne uwagi.

Wpatrywała się w niego i posłała mu kolejny przeuroczy uśmiech.

– Doprawdy, jedno serce w nas bije, Beaumont – powiedziała.

– W takim razie – wtrącił znowu jej brat – dziwi mnie, że tyle czasu spędziliście z dala od siebie. A teraz, choć nie chciałbym przerywać tej wzruszającej rozmowy dwojga kochających się małżonków – co jest tak rzadkie w tych zdeprawowanych czasach, wszyscy chyba to przyznają – czy możesz nam wreszcie pokazać tę przekłętą dekorację, Jemmo? Jestem umówiony na Bond Street, a ta księżna, twoja przyjaciółka, chyba się tu nie pojawi.

– Dekoracja powinna być w pokoju obok, jeśli Caro już wszystko przygotowała. Kończyła coś jeszcze, kiedy przyszlście.

Elijah powstrzymał się od zapytania, kim jest Caro. Jemma mówiła dalej:

– Ufam jej bez zastrzeżeń. Ma najbardziej wykwinny gust ze wszystkich kobiet, jakie znam. No, może z wyjątkiem Jej Królewskiej Mości, Marii Antoniny.

Elijah spojrzął na nią spod oka, z miną mówiącą wyraźnie, co sądzi o osobach, które mogą się pochwalić bliską znajomością z francuską rodziną królewską.

– Chodźmy obejrzyć tę dekorację, panowie. – Zwrócił się do Corbina i Gryffyna. – Moja żona dyktowała modę w Paryżu. Nigdy nie zdołam zapomnieć balu maskowego, który zorganizowała w roku siedemdziesiątym dziewiątym.

– Byłeś tam? – zapytała zdumiona Jemma. – Daję słowo, że zupełnie zapomniałam. – Znów uderzyła go delikatnie w ramię wachlarzem. – Teraz mi się przypomniało. Wszyscy panowie poprzebierali się za satyrów, to była doskonała zabawa! A ty cały w czerni i bieli, jak najprawdziwszy parlamentarny pingwin.

Beaumont puścił jej dłoń, żeby znowu złożyć ukłon.

– Niestety, nie najlepiej się prezentuję z ogonem satyra.

Pomyślał, że tyłki Francuzów też wyglądały fatalnie, lecz nie powiedział tego na głos.

Księżna westchnęła z ubolewaniem.

– Obaj członkowie mojej rodziny odmówili udziału w tej zabawie. Typowi Anglicy, tacy nadęci, tacy...

– Tacy ubrani – dokończył Gryffyn. – Odślonięto tam nogi, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Wciąż nie mogę zapomnieć sękatych kolan hrabiego d’Auvergne.

Jemma zerknęła do sali balowej przez uchylone drzwi, a potem roześmiała się i otworzyła je szeroko.

– Przepięknie to wygląda, Caro! Jesteś genialna, po prostu genialna, jak zawsze!

Corbin szybko ruszył za Jemmą, więc Elijah przytrzymał łokieć szwagra.

– Kto to, u licha, jest Caro?

– Piekielnie inteligentna niewiasta – odrzekł Gryffyn. – Asystentka Jemmy. Jest u niej już od czterech czy pięciu lat. Nie spotkałeś jej jeszcze? – Widząc, że książę wzrusza ramionami, dodał kolejne szczegóły: – Jest odpowiedzialna za planowanie wszystkich ekscesów Jemmy. Można je nazwać współniczkami skandalu. Przygotuj się więc na olśniewające czy też może raczej szokujące doznania. Śmiem twierdzić, że nie będziesz zachwycony. Ale nie spodziewałeś się chyba, że Jemma zmieni się nagle w przykłądną małżonkę, co?

– Mam jedynie nadzieję, że nie zrukuje mi kariery – odpowiedział Elijah. – Czy ta asystentka zajmuje się zawodowo wywoływaniem towarzyskich skandali?

– Jak już powiedziałem, nie sądzę by ci się spodobała.

Stanęli w drzwiach. Gryffyn otworzył je szerzej i odsunął się na bok.

– Tak, to dla niej typowe.

Elijah wszedł do środka i stanął jak wryty.

– Niech to szlag – jęknął.

– No, cóż. Lepsze to niż tamci satyrowie. Nie ma chociaż ogona – zauważył Gryffyn.

Patrząc na wystrój pomieszczenia, Elijah czuł, jak powoli traci nad sobą panowanie. Olbrzymi mahoniowy stół, stojący zazwyczaj w jadalni, został przesunięty na środek sali balowej. Nie było na nim jednak zastawy, a jedynie wielka różowa muszla, chyba gliniana. Wszędzie wokoło rozsypano pączki róż. Girlandy kwiatów zwieszały się aż ku podłodze. Elijah stanął osłupiały obok Jemmy, która zachwycała się, że kwiaty wyglądają jak prawdziwe.

I te muszelki! – zawołała. – Przeszłaś samą siebie, Caro!

– Ale, rzecz jasna, nie o to chodziło.

To nie sztuczne kwiaty warte setki funtów sprawiły, że serce nagle zaczęło dudnić mu w piersi. To nie wielka muszla ani nawet perły, bo były tam jeszcze perły, całe ich sznury. Bóg jeden wie, że mając takie

mnóstwo pieniędzy, mógł opłacić wszelkie ekstrawagancje, na jakie tylko Jemmie przyszłaby ochota. Ale najcenniejszym bogactwem, jakie posiadał, były jego polityczne wpływy, starannie pielęgnowane i rozważnie wykorzystywane.

Umacniał je dzień po dniu. Miał opinię człowieka dynamicznego, ale i rozsądnego. Przez ostatnich osiem lat, kiedy jego żona mieszkała w Paryżu, radził sobie bez tego wsparcia, jakie wielu innych otrzymywało od swoich małżonek urządzających przyjęcia lub prowadzących otwarte salony. Stał się jednym z najbardziej liczących się członków Izby Lordów, osiągnął jedno z najbardziej prestiżowych stanowisk w państwie wyłącznie dzięki sile swojego intelektu, nie biorąc żadnych łapówek. Zdecydowanie odciął się od skandali nękających skorumpowane grono popleczników Foksa i księcia Walii.

A teraz, kiedy zostało mu tak niewiele czasu, żeby kontynuować zaczęte dzieło...

Ta przeklęta „dekoracja” nie miała na sobie ni skrawka odzieży.

I była pokryta złotą farbą. Pal sześć perełki przyklejone w równych odstępach na całym ciele.

Irytowało go, że jego szwagier patrzył na stojącą na stole kobietę uważnie i pożądliwie, ale musiał przyznać, że chyba tylko nieboszczyk nie zareagowałby w taki sposób na widok tej oryginalnej żywej ozdoby.

– Przynajmniej nie ma ogona – skomentował Gryffyn.

W tej chwili naga młoda dama pokryta złotą farbą pochylała się na bok i zaczęła manipulować przy stojaku, o który się opierała. Za jej krągłymi pośladkami rozłożył się wspinały wachlarz pawich piór.

– A jednak! – powiedział radośnie Gryffyn.

– Niech to wszyscy diabli – jęknął Elijah.

2

Roberta weszła do sali balowej dokładnie w chwili, gdy pawie ogon ukazał się oczom zebranych. Kamerdyner, który miał ją zaanonsować, zamarł z otwartymi ustami. Poklepała go uspokajająco po ramieniu.

– Sama się przedstawię – powiedziała. – Kuzynka spodziewa się mojego przyjazdu.

Skinął głową i wycofał się za drzwi.

To jej się całkiem nieźle udało, biorąc pod uwagę fakt, że kuzynka wcale jej nie oczekiwała. Prawdę mówiąc, księżna Beaumont prawdopodobnie nawet nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia.

Księżna była znacznie piękniejsza w naturze niż na rycinach w magazynie „Miasto i Wieś”. Włosy miała upięte w karkołomną konstrukcję z drobnych loczków, a jej strój był precudny. Właściwie przypominała trochę matkę Roberty, którą dziewczyna знаła jedynie z portretów, tyle że miała bardziej harmonijne rysy twarzy i mocno umalowane usta. Ale księżna, rzecz jasna, była niezwykle elegancka i zmysłowa, nie tak jak matka Roberty mieszkająca na głuchej prowincji u boku męża, którego co życzliwsi określali mianem „ekscentryczny”.

Roberta weszła do pokoju, ale nadal nikt nie zwracał na nią uwagi. Obok stołu stali dwaj dżentelmeni, gapiąc się na ustawioną na nim nagą kobietę. Modelka musiała być do tego przyzwyczajona, bo uśmiechała się do nich niemal dobrotliwie. Przypominała Robercie krokodyla z wyszczerzonymi zębami, jeśli krokodyle miewają takie wielkie piersi.

Jedyny dżentelmen, który nie wpatrywał się w boginię stojącą na stole, piorunował wzrokiem księżnę. To pewnie książę. Na ilustracjach w czasopiśmie Beaumont występował często z lejcami w dłoni, jako osoba dzierżąca stery królestwa, lub z biczem, którym karcił niepokornych parlamentarzystów. Emanowały z niego siła i elegancja.

Po pierwsze – wycedził z lodowatą uprzejmością – ta młoda dama wraz ze swoim niedorzecznym ogonem może przyczynić się do upadku mojej kariery. Nie wątpię, że dodałaby pikanterii twojemu przyjęciu, ale czy ty w ogóle pomyślałaś o przyzwoitości? Wielu spośród moich znajomych ma młode, niezamężne córki. Wystarczy jeden rzut oka na to widowisko, a ich noga już nigdy nie postanie w moim domu!

Księżna wydawała się niewzruszona.

Zapewniam cię, że nikt w Izbie Lordów nie poczuje się urażony moją dekoracją. Raczej ich to rozbawi. Moja nieobecność nie wpłynęła wcale na rozwój twojej kariery, więc też i moja obecność nie powinna niczego zmienić.

– Najwyraźniej lata spędzone w Paryżu nie nauczyły cię rozumu – warknął książę.

Roberta cofnęła się o krok. Nie miała ochoty być świadkiem małżeńskiej scysji.

– Najwyraźniej ty w tym samym czasie straciłeś dobre maniery, wielka szkoda.

– On ma rację, Jemmo. Nie bądź naiwna – odezwał się inny dżentelmen, odrywając wzrok od nagiej ozdoby stołu.

To pewnie brat księżnej, lord Gryffyn, czyli mój kuzyn (drugiego, trzeciego albo jeśli ktoś jest drobiazgowy dwunastego stopnia), pomyślała Roberta. Wydawał się bardzo podobny do lady Jemmy. Miał ciemne brwi i niedbale związane z tyłu włosy koloru brandy. Jego usta były równie pięknie wykrojone jak usta siostry, lecz nie wyglądał tak idealnie jak ona. Włożył stalowoszary frak, ale chyba ubierał się w pośpiechu i bez namysłu, bo jego barwa dość mocno się gryzła z wściekłym oranżem kamizelki.

– Przypuszczam, że ta urocza Afrodyta może zgorszyć niektóre damy – mówił dalej lord Gryffyn.

– To nie Afrodyta, tylko małżonka Neptuna – wtrąciła stojąca z boku kobieta. – Afrodyta to zgrany koncept sprzed pięciu lat! – Akcent wskazywał nieomylnie, że mówiąca jest Francuzką.

– Owszem, ale nie jesteśmy w Paryżu – odpowiedział lord Gryffyn. – My, Anglicy, jesteśmy dość wrażliwi na tym punkcie. Wolimy udawać, że nie wiemy, jak zbudowane jest ludzkie ciało. Tymczasem, mademoiselle Caro, pani zamierza przy okazji jutrzejszego balu zaserwować większej części londyńskiej socjety lekcję kobiecej anatomii. Nie warto.

– Twój własny brat mnie poparł – powiedział gniewnie książę. – Nie będę tolerował takich wybryków w moim domu.

Zapadła niezręczna cisza. Roześmiana twarz księżnej spochmurniała.

– Nie będziesz? – zapytała.

Książę był wysokim mężczyzną, ale Robercie wydał się w tej chwili olbrzymem.

– Nie będę – wycedził złowrogo.

– W takim razie muszę zrezygnować z planów pouczenia Anglików, jak wygląda noga kobiety – powiedziała księżna. – Przecież ty sam mozesz się o tym przekonać, i to w swoim gabinecie w Westminsterze.

Roberta zamrugała, ale księżna już się odwróciła.

– Trudno mi wyobrazić sobie Jemmę w roli przykładnej małżonki. – powiedział lord Gryffyn do Beaumonta. – Czy w Paryżu nagie kobiety również służą jako ozdoby stołu? W Londynie nigdy czegoś takiego nie

widziałem – poprawił się. – W każdym razie nie w domach wyższych sfer.

Zerknął w górę i napotkał spojrzenie Roberty. Mimo woli cofnęła się jeszcze o krok. Przecież nie może teraz...

– Jemmo, chyba masz gościa – powiedział.

Jemmo odwróciła się w jej stronę, to samo zrobił książę. Trzeci dżentelmen był pogrążony w rozmowie z małżonką Neptuna i świata wokół nie widział.

– Dzień dobry. – Roberta dygnęła. – Kamerdyner musiał się oddalić, żeby dojść do siebie po tym wstrząsie. Powiedziałam mu, że sama się przedstawię.

Księżna uśmiechnęła się do niej. Roberta, patrząc na jej eleganckie pantofelki, nagle uświadomiła sobie, jak duże i niezgrabne ma stopy. Miała też wrażenie, że za jej plecami widać bezkształtny garb oraz sfa-tygowaną, wypchaną walizkę, którą lokaj z pogardą rzucił na podłogę w korytarzu.

– Proszę nam wybaczyć to zamieszanie. – Księżna wykonała nieokreślony ruch ręką, który miał przypuszczalnie oznaczać nagą kobietę na stole i kłótnię z mężem.

– Nic się nie stało – wyjąkała Roberta. – Jestem lady Roberta St. Giles.

Księżna zrobiła zdziwioną minę, ale odezwał się jej mąż.

– Chyba przypominam sobie pani nazwisko, madame.

Roberta odetchnęła z ulgą.

– Kwestuje pani na rzecz weteranów wojennych, prawda? To bardzo uprzejme z pani strony, że facytowała się pani aż tutaj, ale nie trzeba było, naprawdę. – Podeszedł do niej z wyraźnym zamiarem, by stanowczo, choć uprzejmie, wyprowadzić ją na zewnątrz. – Przykro mi, że była pani świadkiem tak gorszących scen. Jako osoba delikatna i wrażliwa na pewno jest pani zbulwersowana.

Księżna przerwała mu w pół zdania.

– Jeśli mam pełnić rolę przykładnej małżonki, Beaumont, to pozwolił, że zacznę od razu. Nie wątpię, że twoim zdaniem powinnam raczej walczyć się dobroczynnością niż pawimi piórami. – Wzięła Robertę pod ramię. Weterani wojenni to bardzo szlachetny cel kwesty, lady Roberto – powiedziała. – Będę zaszczycona, jeśli zechce mi pani opowiedzieć o swojej pracy. Napije się pani herbaty?

– Państwo nie rozumieją... – Roberta próbowała oponować.

Ale gdy już otworzyła usta, nie mogło jej przejść przez gardło, że cały jej majątek mieści się w wysłużonej walizce, która stoi za drzwiami. A na dodatek przyjechała niezapowiedziana i zdaje sobie sprawę z tego, że nie będzie tu mile widziana, a mimo to chce zamieszkać w tym domu i znaleźć męża.

Nie zaszczycając spojrzeniem księcia ani pozostałych dżentelmeń, księżna pociągnęła ją w stronę drzwi.

– Niech pani przejdzie ze mną do bawialni – powiedziała. – Beaumont, pożegnaj panów w moim imieniu. – Mówiąc do męża, nawet nie spojrziała na niego.

– A twoja dekoracja? – Głos księcia był lodowaty.

– Później o tym porozmawiamy.

– Po co tracić czas? Naga kobieta nie będzie stała na stole w moim domu. Nie ma o czym mówić.

– Nonsens! – Księżna zatrzymała się w pół kroku i puściła ramię Roberty. – To dzieło sztuki!

– To bezwstyd – odparował książę.

Księżna nie wyglądała wcale na przestraszoną, co Robercie wydało się niezwykle. Ona sama, stojąc przed tak roslym, a do tego rozzłoszczonym mężczyzną, pewnie trzęsłaby się ze strachu.

– Chyba będziesz musiała ustąpić – powiedział pogodnie lord Gryf-fyn. – Możesz mi nie wierzyć, ale twój mąż naprawdę robi w parlamencie kawał dobrej roboty i nie powinnaś psuć mu reputacji roznegliżowanymi damami ustawionymi jako dekoracje na stole, choćby nawet były tak pociągające, jak ta tutaj. A pani co o tym myśli? – zwrócił się do Roberty. – Wygląda mi pani na dobrze ułożoną młodą damę. Nie sądzi pani, że bal, na którym w roli żywej ozdoby wystąpi nasza małżonka Neptuna, mógłby zasiać zgorzienie?

Roberta zerknęła na dekorację. Modelka naprawdę była całkiem naga i Robertę zaintrygowało, jak bardzo jej ciało różni się od ciała tej kobiety. Po pierwsze, tamta miała trzykrotnie większe piersi.

– Przypuszczam, że większość gości uznałaby to za brak higieny – stwierdziła. – Rozumiem, że to stół z jadalni? Możliwe, że niekiedy w przyszłości niechętnie do niego zasiada.

Po jej słowach zapadła cisza, w końcu brat księżnej parsknął głośnym śmiechem.

– Ona ma rację, Jemmo.

Książę uśmiechnął się i Roberta nagle zdała sobie sprawę z tego, jak wymowna staje się jego twarz, gdy nie jest zmrożona lodowatą wściekłością.

– Nagle poczułem ogromną ochotę, aby pomóc weteranom – powiedział cicho.

Księżna wzruszyła ramionami, a potem odwróciła się do swojej asystentki.

– Caro, kochanie, trzeba ją ubrać. Wymyślisz coś bardziej odpowiedniego?

– Chyba pani żartuje – wykrzyknęła Francuzka, łapiąc się za głowę. – Mam jej włożyć pieluchę?

– Jeśli tylko zakryje ją od stóp do głów – stwierdził książę.

Kobieta zaczęła głośno narzekać, załamując ręce.

– Teraz rzeczywiście przyda mi się ta herbata – mruknęła księżna, znowu biorąc Robertę pod ramię. – Może przejdziemy do mojej bawialni? Wiem, że zachowuję się jak ostatni tchórz, zostawiając Beaumonta na pastwę mojej asystentki, ale zasłużył sobie na to, nie uważa pani? W każdym razie obiecuję już nie marudzić na temat pieluszek małżonki Neptuna.

Głos asystentki wzniósł się do krzyku.

– Może mademoiselle Caro spróbuje dostosować styl swoich projektów do delikatnych gustów angielskich dam – zasugerowała Roberta, przekonana, że większość znanych jej pań doznałaby szoku na widok dzieł Francuzki.

– A może i nie. A wtedy pewnie złoży wymówienie i wróci do Paryża, gdzie co najmniej trzy księżne przyjmą ją z pocałowaniem ręki. W ciągu ostatnich kilku lat aż dwa razy musiałam podwoić jej pensję. Ale wstyd mi, że opowiadam o takich błahostkach, pani przecież przysłała do nas w poważnej sprawie.

– Właśnie, bo ja...

– Ależ, bardzo proszę, nie rozmawiajmy o smutnych rzeczach przed herbatą. Kazałabym podać bordo; uważam, że znakomicie podtrzymuje na duchu, gdy się rozmawia o przykrych sprawach, ale na bordo jeszcze o tej porze za wcześnie.

Weszły do niewielkiej bawialni.

– Muszę odnowić ten pokój – powiedziała księżna, przystając na moment. – Dopiero wczoraj czy przedwczoraj przyjechałam z Paryża.

Proszę mi wierzyć, gdybym mogła, nie przyjmowałabym gości w tak obstrukcyjnym pomieszczeniu.

Pokój rzeczywiście sprawiał dość ponure wrażenie. Ściany pomalowano na brzydki musztardowy kolor, a na poczesnym miejscu wisiał spory obraz przedstawiający uśmiechniętą młodą kobietę, która trzymała za włosy uciętą głowę.

– Niech pani na nią popatrzy – odezwała się księżna. – Dziarska, jak posługaczka z tawerny.

– To pewnie Judyta i Holofernes – domyśliła się Roberta. – Biorąc pod uwagę okoliczności, Judyta wydaje się wyjątkowo pogodna, nie sądzi pani?

– Jeśli mam być szczerą, to mnie się raczej wydaje pijana. Nie uważa pani, że sprawia wrażenie, jakby była lekko wstawiona?

– Jeśli dobrze pamiętam, Judyta rzeczywiście najpierw podała Holofernesowi wino – zastanawiała się Roberta. – Zanim ucięła mu głowę. Nie chciałabym krytykować artysty, ale mam wrażenie, że jej oczy są nierówno namalowane i dlatego wydaje się nietrzeźwa.

– I ma dziwnie czerwoną twarz.

– To pewnie z wysiłku – uznała Roberta. – Sądzę, że trzeba się ciężko napracować, żeby uciąć mężczyźnie głowę.

– Słuszna uwaga. Widzę, że ma pani bardzo praktyczne podejście do rzeczy. Bardzo proszę, lady Roberto, niech pani siada tutaj, tyłem do tej uciętej głowy. Każę zdjąć to paskudztwo przy pierwszej sposobności. Od ośmiu lat już nie mieszkam w Londynie, ale ciągle jeszcze budzę się spona ze strachu, ilekroć przyśni mi się moja teściowa; to była jej ulubiona bawialnia, rozumie pani. Bogu dzięki, że wyprowadziła się na wieś.

Roberta usiadła wygodnie.

– Chyba muszę wyjaśnić, kim tak naprawdę jestem...

– A, tak – przerwała księżna. – Jest pani pierwszą osobą, z którą rozmawiam jak przykładowa małżonka szanowanego polityka. Może się pani więc domyślać, że chcę wypaść jak najlepiej. Ile pieniędzy chciałaby pani od nas otrzymać?

– Nie chodzi o pieniądze – powiedziała Roberta. – Widzi pani, ja jestem...

– Nie o pieniądze! Och, w takim razie chodzi zapewne o mój cenny czas? Ja się do takich rzeczy zupełnie nie nadaję. Nie tylko nie potrafię zajmować się praktycznymi sprawami, ale jeszcze w dodatku przy-

wykłam gromadzić wokół siebie osoby, które są – jakby to powiedzieć – równie zepsute i niemoralne jak ja.

– A bardzo jest pani niemoralna? – Ciekawość przezwyciężyła w Robercie skrupuły. Księżna nie wyglądała na osobę zdeprawowaną. Oczywiście, Roberta mogła się mylić. W końcu wychowała się w towarzystwie konkubin ojca, kobiet, które szczyliły się tym, że z moralnością nie mają nic wspólnego.

– Bardzo – oznajmiła radośnie księżna. – Ogromnie. Zepsuta do szpiku kości. Nagie kobiety na stole to dopiero początek, przekona się pani. Tak więc moja pomoc na nic się pani nie przyda.

– A ja jednak myślę, że się przyda – odparła Roberta.

Księżna miała przerażoną minę.

– Ależ nie, naprawdę. Kiedy się nudzę, łatwo staję się popędliwa – ba, nawet porywcza – a bardzo prędko się wszystkim nudzę.

Roberta świetnie się bawiła tą sytuacją.

– Porywcza, mówi pani?

– Szaleni! Raz, w czasie potwornie nudnego obiadu, śmiertelnie obraziłam księżną de la Motte, dając do zrozumienia, że pochodzi z nizin społecznych. Z oburzenia pewnie by pobladła, gdyby nie gruba warstwa różu na policzkach.

Z trzaskiem otworzyły się drzwi i stanęła w nich asystentka księżnej. Odklękała ciężko, włosy miała w nieładzie, pięści zaciśnięte. Wyglądała zupełnie jak biblijna Judyta, brakowało jej tylko rekwizytu w postaci odciętej głowy. I pewnie w tej chwili z chęcią ucięłaby głowę księciu Beaumont.

Ojej – powiedziała cichutko księżna.

W tej chwili, jeszcze dziś wieczór, wracam na francuską ziemię, gdzie docenia się mój kunszt! Ten pani mąż kompletnie nie ma pojęcia o sztuce. Żadnego poczucia estetyki. Co to za przyziemna dusza. Mało powiedziane – on nie stąpa po ziemi, on wprost tarza się w błocie! Współczuję pani!

Och, Caro! – Księżna podniosła się z krzesła. – Chyba nie zamierzam panu zostawić? Mnie! Po tym wszystkim, co razem udało nam się stworzyć? Przypomnij sobie satyrów! Przypomnij sobie bilecik od Jego Królewskiej Mości, który przysłał po naszym Kryształowym Lesie!

– Pani mąż nie rozumie mojego geniuszu – syknęła rozwścieczona Francuzka. – Już ja znam ten typ. Będzie mnie krępował swoimi obawami o przyzwoitość. Mnie nie można ograniczać! Jestem twórczym

– I geniusze czasem pracują w trudnych warunkach – wtrąciła Roberta. – Podobno większość wybitnych dzieł sztuki powstała właśnie w niesprzyjających okolicznościach. Niech pani pomyśli o Michale Aniele, który musiał leżeć na plecach, żeby stworzyć ten wspaniały fresk na suficie Kaplicy Sykstyńskiej.

Oszalała Francuzka spojrzała teraz na Robertę.

– Michał Anioł był bezrozumnym Włochem! A ja jestem Francuzką! Nie pozwolę, żeby mnie powstrzymywały zacofane poglądy jakiegoś marnego urzędniczyny!

Za plecami Roberty żona marnego urzędniczyny parsknęła cichym śmiechem.

– Cofa się pani przed wyzwaniem... – Roberta kręciła głową. – Prawdziwa Francuzka tak nie postępuje. – Tu uznała, że łatwiej będzie ugłaskać dziką bestię w jej własnym języku, więc w tym samym duchu ciągnęła po francusku, z wdzięcznością wspominając guwernantkę, która w dzieciństwie zmuszała ją do nauki tego języka. – *Escusez-nous, c'est bien pour ça que Leonardo da Vinci a choisi de vivre en France. Nous étions, encore, des barbares**.

– Ona ma rację – przymilała się księżna. – To zaledwie niewielka przeszkoda dla takiego talentu jak twój.

– Proponuję – ciągnęła Roberta – zapomnieć o królowej mórz. To takie oklepane. Dlaczego nie sięgnąć do wielkich bohaterów mitologicznych? Większość z nich, notabene, nosiła ubrania. A kiedy mamy przed sobą wielką muszlę, czy kojarzy nam się ona z Neptunem? Otóż nie!

– Wiem. – Asystentka skrzywiła się pogardliwie. – Kojarzy się z Wenus. Ale ja mam już dosyć Wenus razem z jej głupią muszlą.

– Mnie się kojarzy z Heleną Trojańską, najpiękniejszą kobietą wszech czasów.

– A od kiedy to Helena występuje w muszli?

– To nie będzie muszla, tylko jajo – wyjaśniła Roberta. – Można tę muszlę przemalować na biało. Olbrzymie jajo pęka, a ze środka wyłania się kobieta, która stała się przyczyną wybuchu wojny trojańskiej. Oczywiście ma na sobie tradycyjny grecki strój.

– Aha. – Caro zmrużyła oczy. – Może by tak...

* Leonardo da Vinci dla swojego dobra powinien wybrać życie we Francji. My wtedy byliśmy jeszcze barbarzyńcami.

– Genialne! – wykrzyknęła księżna. – Wspaniały pomysł, Beaumont będzie zachwycony.

– A co z moim ogonem? – zapytała Caro. – Mój piękny automatyczny ogon królowej mórz. Projektowałam go aż dwa dni!

– Nic się nie martw, zawsze możemy wykorzystać ten cudowny pawie ogon przy jakiejś innej okazji – obiecała księżna. Wyprowadziła asystentkę z bawialni i odwróciła się z szerokim uśmiechem. Roberta aż zamrugnęła; siła osobowości księżnej przytłaczała ją. – Pani podopieczni, lady Roberto, właśnie zasłużyli sobie na moją wdzięczność!

– Prawdę mówiąc, nie mam żadnych podopiecznych. – Roberta znowu zajęła miejsce w fotelu. – Obawiam się, że książę wziął mnie za kogoś bardziej... dobroczynnego.

– A to heca. Beaumont raz wreszcie się w czymś pomylił. Gdzie są fanfary, żeby uczcić ten moment?

– Mam tylko siebie – powiedziała Roberta. – No i mój bagaż.

– Bagaż? – Księżna była lekko zbita z tropu.

– Jesteśmy kuzynkami trzeciego stopnia. Właściwie nasze powinowactwo jest chyba nawet bardziej odległe. W każdym razie moja matka była trochę do pani podobna. Jesteśmy dość daleko spokrewnione, ale miałam nadzieję, że zgodzi się pani wprowadzić mnie w towarzystwo. – Roberta przełknęła głośno. Jej przemowa i oczekiwania były dość zułchwale i pani Grope wróżyła jej, że księżna wyrzuci ją za drzwi. Splotła nerwowo dłonie.

– Mam tu list od mojego ojca – dodała. – Ponoć za młodu bardzo przyjaźnił się z pani ojcem.

Księżna, jak na razie, nie sprawiała wrażenia oburzonej.

Doprawdy? Sądząc po tym, jak uroczym człowiekiem był mój ojciec, można by się dziwić, że w ogóle miał jakichkolwiek przyjaciół. To nito wyobrazić sobie, że był kiedyś młodym chłopcem – powiedziała. – Ale o czym ja tu opowiadam! A więc chce się pani u nas zatrzymać. To wspaniale!

Robercie mocniej zabiło serce.

– Naprawdę?

Księżna uśmiechnęła się promiennie.

– Ależ tak! Zawsze chciałam mieć siostrę, ale nie było mi to dane. Robaczy pani, za tydzień czy dwa będę już wiedziała, kto jest kim w tym zacofanym mieście, i znajdziemy dla pani pierwszorzędnego

męża. Jeśli wolno spytać, jesteście spokrewnione przez moją matkę czy ojca?

– Przez matkę. – Roberta poczuła taką ulgę, że aż zakręciło jej się w głowie. – Ale obawiam się, że to dość odległe pokrewieństwo. Moja matka była córką kuzynki drugiego stopnia pani ciotecznej babki. Przed ślubem nazywała się Cressida Enright. Rzadko bywała w Londynie, bo wyszła za męża jako szesnastolatka. Zmarła, kiedy byłam jeszcze dzieckiem.

– Chwileczkę!

Roberta zamilkła, wiedząc dokładnie, co usłyszy za moment.

– „Szalony markiz!” – wykrzyknęła księżna. – Czyżby... pani ojcem był ten poeta?

Przytaknęła niechętnie.

– Wielkie nieba! Całkiem zapomniałam, że on ma córkę. Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia jeden.

– Ja dwadzieścia osiem. Czyli przy mnie jest pani oseskiem. Ale przecież pani będzie dziedziczyć po ojcu? Czy „szalony markiz”... – Poprawiła się. – Bardzo przepraszam. Pani ojciec jest markizem Wharton i...?

– Wharton i Malmesbury – odrzekła Roberta. – Niech się pani nie przejmuję, nikt nie potrafi tego zapamiętać. Ale mniejsza z tym. Owszem, mam posag, tylko trudno szukać męża na głuchej prowincji. Przez ostatnich kilka lat ojciec nie chciał ze mną jeździć nawet do Bath.

– A sąsiedzi?

– Nie mamy ich zbyt wielu. Kilka lat temu ojciec wykupił majątek, który graniczył z naszymi posiadłościami od północy, a pozostali są dość nieufni ze względu na dziwactwa papy.

– Wysyłał im swoje wiersze? – zapytała księżna, ale zaraz się zrelektowała. – Opowie mi pani o tym kiedy indziej, nie powinnam tak pani nagabywać, jak przekupka. W każdym razie słusznie pani postąpiła, przyjeżdżając tutaj. Zostanie pani moją podopieczną. W Paryżu wszystkie damy mają podopieczne, dzięki temu muszą bywać i nie przesiadują w domach.

– Nie wygląda mi pani na osobę, która przesiadywałaby w domu – zauważyła Roberta nieśmiało.

Księżna mrugnęła do niej.

– Sama na pewno nie siedzę w domu, jednak bywają takie dni, kiedy ma się ochotę na... leniwy wieczór w domowym zaciszu. Ale dla damy

coś takiego to początek końca. Trzeba dbać o siebie i wychodzić z domu codziennie, bo inaczej człowiek się rozleniwia.

Roberta pokiwała głową ze zrozumieniem. Dla niej perspektywa spędzenia wieczoru w domu nie byłaby wcale przyjemną odmianą – tak rzadko miała dotychczas okazję, żeby się stroić w wieczorowe suknie.

– Przyjechała pani w samą porę. Pewnie słyszała pani o tym, że Beaumont zemdlął zeszłej jesieni podczas posiedzenia Izby Lordów? Oczywiście, mam nadzieję, że to tylko z przepracowania, ale... – Umilkła i Robercie wydawało się, że księżna jest bardzo zmartwiona, co niezupełnie zgadzało się ze sceną, jaką skłócone małżeństwo dziś zaprezentowało. – Obowiązek nakazywał mi wrócić.

Roberta skinęła głową. Jej ojciec, gdy przeczytał w prasie doniesienie, że książę Beaumont stracił przytomność w samym środku swojego przemówienia w parlamencie, zaśmiewał się do rozpuku, twierdząc, że to pewnie jakiś pijus.

Roberta poznała jednak teraz księcia osobiście i nie miała pewności, czy ojciec wyciągnął słuszne wnioski.

– Muszę urodzić mu dziedzica – powiedziała księżna takim tonem, jakby rozmawiała o pogodzie. – Nic przyjemnego, ale nie wykręcę się od tego.

– Och! – zdumiała się Roberta.

Pewnie się pani zastanawia, jak my w ogóle będziemy w stanie doteleć łoża.

Roberta zdusiła nerwowy chichot. Księżna była tak zupełnie inna od wszystkich jej dotychczasowych znajomych.

– Cóż... – wybąkała.

– Mogę panią zapewnić, że ja też nie mam pojęcia, jak to będzie. Moja wyobraźnia nie sięga aż tak daleko. Beaumont i ja rzadko jesteśmy dla siebie uprzejmi. Ale co zrobić, lady Roberto, kobieca dola... Gra pani może w szachy?

Nagle zmiana tematu zbiła Robertę z tropu.

– Nie, nigdy nie miałam okazji się nauczyć. Ojciec nie gra, a moja gubernantka miała dość jasno określone poglądy na to, co młodej damie wypada robić.

Księżna machnęła lekceważąco ręką.

– Na przykład związać w motki nici do haftowania i nudzić się do łez? Jak się jeszcze ma szczęście, to można uniknąć prania mężowskich podni.

Robercie trudno było powstrzymać się od uśmiechu. Kiedy Jemma się śmiała, jej śmiech był zaraźliwy.

– Może pani u nas mieszkać. Jedyny problem, jaki dostrzegam, to pani zasady.

– Zasady? – zdziwiła się Roberta.

Księżna patrzyła na nią wyczekująco.

– Moralne... etyczne... rozumie pani.

– Oczywiście, że mam zasady – powiedziała ostrożnie Roberta. – Tak mi się wydaje – dodała po namyśle. Prawdę mówiąc, nie bardzo się znała na moralności; zawdzięczała to życiowym towarzyszkom ojca.

– Ja mam ich niewiele. – Księżna spojrzała na Robertę z zagadkowym uśmiechem. – Jeśli chce pani mieszkać w moim domu, musi pani wiedzieć, że nie zniosę, żeby mi się ktoś cały czas przypatrywał z dezaprobatą. A gdyby chciała mnie pani krytykować, to natychmiast się pogniewamy. Wśród moich licznych wad jest też nieumiejętność przyznania się do błędu. Widzi pani, jaka ze mnie okropna osoba?

Roberta roześmiała się w odpowiedzi.

– Nie zamierzam pani krytykować, chyba że nagle zamieni się pani w panią Grope, z którą mieszkam od dwóch lat. Prawdę mówiąc, Wasza Wysokość, nie wyobrażam sobie, jak mogłabym w ogóle zwracać pani na cokolwiek uwagę!

– O, coś by się na pewno znalazło. Ale mówmy sobie na ty, dobrze? Ja się nazywam Jemma, to zdrobnienie od godnego imienia Jemima. Mogę ci mówić „Roberto”?

– Będzie mi bardzo miło!

– A więc, Roberto, wyliczę ci wszystkie moje wady. I jeśli uznasz, że jednak nie chcesz zamieszkać w moim domu, mam wielu krewnych, którzy mogą cię wprowadzić w towarzystwo z odpowiednią pompą i ceremoniałem. Rozważ sobie taką możliwość. Nie jestem przekonana, czy młode panienki powinny przebywać w domu, w którym na stole pojawiają się dekoracje zaprojektowane przez Caro.

– Może nie te całkiem roznegliżowane – przyznała Roberta. – Ale zawsze mają dodatkowy walor edukacyjny, jak słusznie zauważył twój brat.

Jemma roześmiała się, zachwycona.

– Kto by pomyślał, że potrzeba aż tyle złotej farby, żeby pomalować piersi?

– Otóż to!

– Właśnie uzmysłowiłam sobie, jak świetnie dałaś sobie radę z Caro, a przy okazji udało ci się mnie rozchmurzyć po kłótni z moim apodyktycznym mężem. Pewnie obcowanie z ludźmi o gwałtownym temperamentie to dla ciebie nie pierwszozna?

– Życie u boku mojego ojca było... jest dość...

– Mogę się domyślić – pospieszyła z pomocą Jemma. – Mieszkając przez tyle lat we Francji, nie znałam wszystkich najnowszych plotek z Anglii, ale historie o wyczynach twojego ojca docierały nawet tam. – Uśmiechała się życzliwie i zupełnie bez złośliwości, tak że Robercie nie pozostawało nic innego, jak tylko odpowiedzieć uśmiechem. – A teraz powiedz mi, czy kiedy zobaczyłaś moją dekorację, zrobiło ci się słabo z wrażenia?

– Skądże – zapewniła ją Roberta. – Ale niewykluczone, że tak się stanie, kiedy mi opiszesz swoje przywary.

– Nie wiem, od czego zacząć – zawahała się Jemma.

Roberta uniosła brew.

– No, dobrze. Po pierwsze: jestem księżną.

3

Księżną! – Roberta nie spodziewała się, że Jemma akurat to będzie uważała za wadę.

– A co w tym złego? Zawsze uważałam, że „taki koniec byłby czymś upragnionym”*. – Zdumienie Roberty było całkiem szczere, zwłaszcza że sama za wszelką cenę chciała zostać księżną Villiers.

Drzwi otworzyły się i kamerdyner, który zdołał już nieco ochłonać, wszedł do bawialni, niosąc srebrną tacę z przyborami do herbaty.

– Och, dziękuję ci, Fowle – powiedziała Jemma. – Bardzo to uprzejme z twojej strony.

Kamerdyner rozstawił naczynia i wyszedł. Jemma ostrożnie nalała herbaty do filiżanek z najdelikatniejszej porcelany.

– Czy mi się zdaje, czy właśnie przed chwilą zacytowałaś poezję?

* Cytat ze słynnego monologu Hamleta.

– Owszem, ale za nic nie przypominę sobie, kto to napisał. Mój ojciec często używa tego zwrotu i jakoś tak utkwiał mi w pamięci.

– Znałaś kiedyś jakieś księżne? – zapytała Jemma, słodząc herbatę.

Roberta wbiła wzrok w swoją krzywo skrojoną spódnicę.

– Niekoniecznie.

– Wiedz w takim razie, że okropne z nas kobiety. Już sam tytuł księżnej sprawia, że uchodzą nam wszelkie bezeceństwa i często to wykorzystujemy.

– Naprawdę? – Roberta wzięła od Jemmy filiżankę gorącej herbaty.

– W gronie moich znajomych jest kilka księżnych; można by nawet powiedzieć, że zaprzyjaźniłyśmy się ze względu na ten tytuł. Wiesz, kiedy się jest księżną, każda napotkana osoba zaczyna ci się kłaniać w pas, jeśli nie wręcz płaszczyć przed tobą.

– Ach. – Roberta zastanawiała się, czy nie jest to przypadkiem zawołana wymówka, że ona sama niewystarczająco się płaszczy.

– Nie masz pojęcia, jakie to uciążliwe. Zglupieć od tego można.

– Myślę – powiedziała Roberta – że byłabym skłonna pogodzić się z nieznaczną utratą inteligencji. I pewna jestem – ciągnęła, odstawiając filiżankę – że gdyby ktoś zechciał płaszczyć się przede mną, byłaby to przyjemna odmiana po wszystkich moich doświadczeniach z panią Grope.

– Słowo daję, wyjątkowo często wspominasz tę panią Grope. A któż to taki?

Przez chwilę Roberta wahała się, co powiedzieć, wreszcie dała księżnej wymijającą odpowiedź.

– Grono moich znajomych nie jest duże, ale o tej osobie akurat chciałabym zapomnieć.

– A ja tu plotę trzy po trzy o księżnych. Oto moja kolejna wada: jestem nadzwyczaj powierzchowna. Szczerze mówiąc, Roberto, inne księżne, moje przyjaciółki, są do mnie pod tym względem podobne.

– I to ma być wada?

Roberta z zadowoleniem stwierdziła, że Jemma już traktuje ją niemal po przyjacielsku – co bez wątpienia musiało oznaczać, iż Roberta znakomicie nadaje się na księżnę.

– Mówię ci, jesteśmy okropnie powierzchowne. W miłości nieśtałe, w najgorszym tego słowa znaczeniu. Dom księżnej nie jest właściwym miejscem dla dobrze wychowanej panienki. W uczuciach jesteśmy po-

rywczycie i żywiołowo nie znosimy swoich mężów. Te z nas, oczywiście, które wciąż ich mają.

– O! – zdziwiła się Roberta. – A co się stało z księżętami?

– Nic szczególnego. – Jemma wzruszyła ramionami. – Beaumont i ja, jak już wiesz, rozeszliśmy się wiele lat temu. Dziś odwiedzi mnie przyjaciółka, Harriet; jej mąż zmarł przed dwoma laty, więc jest wdową. Poppy jest księżną od niedawna, wyszła za księcia Fletchera. Z nas wszystkich ona jedna ma szansę na szczęśliwe małżeństwo, ale nie za bardzo się stara. I ostatnia, moja przyjaciółka, Isidora. Właściwie formalnie nie jest księżną, bo jeszcze nie wyszła za swojego księcia. Ale są zaręczeni od kołyski. Ona mieszka z matką swojego narzeczonego, a kiedy on wróci z podróży na Daleki Wschód, czy gdzie też tam pojechał, Isidora zdobędzie wreszcie męża i tytuł.

– Skoro ja nie jestem księżną – odważyła się zapytać Roberta – czy w ogóle życzysz sobie mojego towarzystwa? Twoje znajome są pewnie niezwykle eleganckie.

Jemma otwierała właśnie usta, żeby odpowiedzieć, ale otworzyły się drzwi i stanął w nich Fowle.

– Wasza Wysokość – powiedział. – Jego Wysokość uprasza, by zechciała mu pani poświęcić...

I dobiegający z korytarza głos księcia, stłumiony, lecz z wyraźną nutą wściewłości, zadawał kłam uprzejmej prośbie kamerdynera.

Jemma odstawiła filiżankę.

Zapomniałam już, jakie to okropne mieszkać w jednym domu z mężczyzną – zwróciła się do Roberty. – Nie krępuj się, proszę, i dopij herbatę, ja tymczasem na nowo oddam się rozkoszom małżeńskich sporów.

(Och! – Zmieszana Roberta zerwała się na nogi.)

Jemma zatrzymała się w pół kroku, lustrując szczegółowo suknię Roberty.

– Wyrazy serdecznego współczucia, jeśli ta pani Grope to twoja krawcowa.

– Nie. – Roberta poczuła na policzkach palący rumieniec.

– Już my cię ubierzemy – powiedziała stanowczo Jemma. – Choć przykro mi to mówić, muszę stwierdzić, że już tylko patrząc na tę sukienkę, skłonna jestem dać wiarę opowieściom o dziwactwach twojego ojca.

Nim Roberta zdążyła się odezwać, księżna już stała przy drzwiach. – Panią, co można było odpowiedzieć? Ona też uważała, że pani Parthnell

popęłniła błąd, szyjąc suknię z zielonkawym gorsem i spódnicą z bordo-wej tafty.

Dobrze wychowana panienka pozostałaby na miejscu, trzymając się z dala od awantury. Ale Roberta natychmiast podążyła za księżną.

Księżę stał w marmurowym hallu, w pozie jakby żywcem wyjętej z ilustracji przedstawiających jego żarliwe przemówienia w parlamencie.

– Powinno się go wysłać na wieś! – krzyknął głośno. – Tam przynajmniej nauczyłyby się jakiegoś przyzwoitego rzemiosła.

– Nie ma mowy, żeby dziecko wysłać na wieś – oznajmiła Jemma. – Chyba że Damon uzna to za stosowne.

Roberta zamruwała, zaskoczona. O jakim dziecku oni mówią? Jemma jasno powiedziała jej, że nie mają jeszcze dziedzica, więc chyba nie chodzi o potomka księżęcej pary.

– Nie ma też mowy, żeby zamieszkał w moim domu – warknęła księżę.

– Mój brat zatrzyma się u nas na trochę – odparowała księżna. – Naturalne jest więc, że jego syn, a mój bratanek, też będzie tu mieszkał.

– Na miłość boską, niech się nim zajmie jakaś porządna chłopska rodzina! – Beaumont zwrócił się do szwagra. – Nie możesz go przecież wychować na podobnego sobie niefrasobliwego lekkoducha, Gryffyn.

Lord Gryffyn z niewymuszoną gracją wspierał się o framugę drzwi; rzeczywiście, wyglądał raczej na lekkoducha niż na poważnego człowieka pracy.

– Teddy nie może mieszkać na wsi. – Księżęcy gniew ewidentnie go nie wzruszał. – Kiedy go poznasz, sam zobaczysz, że w jego żyłach nie płynie krew spokojnego rolnika.

– A czyja krew płynie w jego żyłach? – zniecierpliwiał się księżę. – Może wreszcie powiesz rodzinie, kto jest jego matką?

– Wódz Hunów, Attyla – odrzekł Gryffyn bez mrugnienia okiem.

– Nie słyszałem, żeby sływał z macierzyńskich instynktów – odparł zjadliwie Beaumont.

– Cokolwiek sądzisz, Teddy ma w żyłach krew Attyli – skonstatował Gryffyn. – Nie mogę go posłać na wieś, bo muszę go cały czas mieć na oku.

– Czy mogę wobec tego z całym szacunkiem prosić cię, żebyś miał na niego oko w swoim własnym domu, a nie w moim?

– To ja chciałam, żeby Damon się do nas wprowadził, Beaumont; – wtrąciła Jemma – przynajmniej na jakiś czas, bo stęskniłam się za nim, kiedy mieszkałam w Paryżu. Mam też bratanek, którego jeszcze nie dane mi było poznać.

– A czy nie przyszło ci do głowy, że nieślubne dziecko przebywające w moim domu nie wpłynie korzystnie na moją karierę?

Roberta dobrze rozumiała obiekcje księcia. Nieślubny syn lorda Gryffyna w połączeniu z niedawnym powrotem księżnej i nagą kobietą jako dekoracją stołu na jutrzejszym przyjęciu niewątpliwie wzbudzi zainteresowanie londyńskiej prasy.

– Twoja kariera, Beaumont, będzie musiała od dziś konkurować z obecnością rodziny. Przypominam ci, że to my jesteśmy tą rodziną – odpowiedziała kąśliwie Jemma. – A Teddy to również twój bratanek. – Uśmiechnęła się promiennie do męża, który spiorunował ją wzrokiem. Wskazała ręką na Robertę. – Wzięłaś moją krewną, lady Robertę, za jakąś kobietę kwestującą na cele dobroczynne, Beaumont. Tymczasem ja obiecałam ją wprowadzić do towarzystwa.

Beaumont ukłonił się dość sztywno Robercie, nie spuszczać jednak oka z żony.

– A jak zamierzasz się do tego zabrać, ciekaw jestem? – zapytał. – Nie bardzo chce mi się wierzyć, żeby moja nieobliczalna małżonka zmieniła się nagle w stateczną matronę swatającą młode panny.

– Jest to możliwe, jeśli tylko przestaniesz jęczeć na temat swojej kariery. – Jemma odwróciła się do niego plecami.

Przez twarz Beaumonta przemknął wyraz takiej złości, że Roberta aż zamruwała przestraszona. Księżę skłonił się żonie i wyszedł.

Jemma odwróciła się do nich twarzą; oddychała gwałtownie, a policzki aż jej poczerwieniały ze wzburzenia.

– I jak ja mam z nim mieszkać pod jednym dachem? – Spojrzała bezradnie na brata. – Widzisz teraz, Damonie, dlaczego chciałam, żebyś przyjechał z nim na jakiś czas? Sama z nim nie wytrzymam. Po prostu nie wytrzymam.

Jej brat spoważniał nagle.

– Jeśli naprawdę sobie tego życzysz, Jemmo, mogę się na jakiś czas wprowadzić. Ale wydaje mi się, że dla was obojga byłoby lepiej, gdybym tu jednak nie mieszkał.

– Inaczej nie dam rady, Damonie. Nie mogę sama z nim mieszkać.
– Zaciśnięła ręce w pięści. – A zresztą, musisz tu na trochę zostać, bo chcę poznać mojego bratanka. No i... potrzebuję cię. – Uśmiechnęła się łzawo do Roberty. – Przepraszam cię za te sceny. Nasz dom to istna komedia. Czy może raczej tragedia. – Głos drżał jej trochę.

Lord Gryffyn objął siostrę, pochylił ku niej głowę i wyszeptał jej coś na ucho.

Roberta poczuła w piersi dziwne ukłucie. Nie miała rodzeństwa. Odkąd zmarła jej matka, najbliższymi dla niej osobami był ojciec, a także jego kolejne konkubiny.

Wycofała się do saloniku i tam usiadła. Po chwili zjawiła się Jemma, a w ślad za nią lord Gryffyn.

– Wybacz nam, proszę. Pewnie myślisz sobie, że brak nam ogłady. Nie zjadaj wszystkich ciastek. – Wyrwała bratu talerz. – Mój gość nie spróbował jeszcze ani jednego. Roberto, poczęstuj się. Beaumont zatrudnia wyjątkowo dobrego kucharza, a jego ciasteczka z ratafią są po prostu przepyszne.

– Nie przedstawiłaś mi jeszcze lady Robercie. – Lord Gryffyn wytknął siostrze niedopatrzenie.

– Roberto, to jest Damon Reeve, hrabia Gryffyn. Koledzy mówią na niego „Demon”, co pokazuje, czego możesz się po nim spodziewać. Beaumont ma rację co do jego charakteru: straszny z niego obibok.

– Nie ma co, wspaniałą opinię mi wystawiłaś – powiedział lord Gryffyn. – Możesz mi mówić po imieniu, w końcu jesteśmy rodziną, jeśli dobrze się orientuję – zwrócił się do Roberty, ukradkiem sięgając po kolejne ciastko.

Księżna zabrała talerz i postawiła go na podłodze pomiędzy sobą a Robertą, poza zasięgiem brata.

– Jedz, ile chcesz – powiedziała do Roberty. – Nim się nie przejmuj, znam go nie od dziś. Gdybym nie zabrała mu talerza, ani byśmy się obejrzały, a nic by dla nas nie zostało.

Gryffyn uśmiechnął się do siostry z czułością.

– Beaumont słusznie się martwi o swoją karierę, Jemmo. Dwoje ludzi takich, jak my, pod jednym dachem – to może być cios dla jego reputacji, że nie wspomnę już o matrymonialnych ambicjach lady Roberty.

– Brakowało mi ciebie przez te wszystkie lata – odpowiedziała Jemma. – Nie mam ochoty tak szybko się z tobą rozstawać. No, i chciała-

bym wreszcie poznać Teddy'ego. – Tu zwróciła się do Roberty. – Syn Damona, Teddy, ma dopiero pięć lat.

– Skończył sześć w zeszłym tygodniu, ty wyrodna ciotko – sprostował Gryffyn. – Mnie też ciebie brakowało, Jemmo. Ale nie chciałbym stać się kością niezgody między tobą a twoim mężem.

Jemma prychnęła pogardliwie.

– Beaumont nie jest wcale taki straszny – łagodził brat.

– Tylko takiego udaje? – z przekąsem zapytała Jemma. – Ale starczy już tego prania rodzinnych brudów przy Robercie. Dziś po południu masz przyprowadzić Teddy'ego i jego nianię do nas.

– Niestety, niani obecnie nie ma. Teddy ma przykry zwyczaj – ciągle ucieka piastunom; właśnie wczoraj jego dotychczasowa niania straciła cierpliwość i odeszła.

– Ucieka? A dokąd?

– Wszystko jedno. Byle dalej od pokoju dzieciennego. W dzień najczęściej idzie do stajni. W nocy wędruje po domu w poszukiwaniu swojej sypialni, a kiedy ją znajdzie, wchodzi mi do łóżka. Wczoraj musiał się zgubić, bo kiedy wróciłem do domu, zastałem go śpiącego w hallu. Na marmurowej podłodze. Przypuszczalnie dość zimnej.

– Mój ojciec miał kiedyś takiego psa – wyrwało się Robercie. I natychmiast, speszona gafą, zakryła sobie usta dłonią. – Przepraszam, milordzie, nie miałam zamiaru porównywać pańskiego syna do psa!

– Ależ, co znowu, miałaś mi mówić po imieniu. – Damon zupełnie nie wyglądał na urażonego tą zniewagą jego potomka. – Dzieci mają w sobie coś psiego, nie sądzicie? Tak samo jak psy trzeba je tresować. No i ten ich niesympatyczny zwyczaj wypróżniania się w miejscach publicznych...

– Wobec tego sugeruję, żeby zabić deskami drzwi do jego pokoju – odezwała się Jemma. – Zwłaszcza jeśli dzieci, jak mówisz, załatwiają się, gdzie popadnie.

– Nie ma mowy – odparł Damon. – A jeśli wybuchnie pożar? Zresztą Teddy już nie sika, gdzie popadnie. Wyrósł z tego. Teraz, jak przystało na dobrze wytresowanego szczeniaczka, szuka sobie drzewka.

– Można położyć w hallu dywan – zauważyła Roberta. – Na wypadek, gdyby znowu tam zasnął.

– Obie jesteście bez serca – poskarżył się Damon. Spoglądał na jedną damę, to na drugą. – Niesamowite! Teraz nagle dostrzegam

między wami rodzinne podobieństwo. Czyżby to nasz ojciec sam dał mi przykład, jak płodzić dzieci z nieprawego łoża?

– Nie sędzę – odparła Roberta. – Nasze pokrewieństwo naprawdę jest dość odległe. Choć nie miałabym nic przeciwko temu, żeby być podobną do Jemmy.

– Macie takie same niebieskie oczy. – Damon obdarzył ją szerokim uśmiechem.

– Roberta jest teraz moją podopieczną – oznajmiła Jemma. – Sprawię jej piękne stroje, w których będzie wyglądała prześlicznie – bo jest prześliczna – a potem wydam ją, za kogo zechce. Zapowiada się świetna zabawa.

Roberta poczuła dziwny ucisk w piersi.

– Naprawdę chcesz się mną zająć? – zapytała. – To chyba będzie bardzo drogo kosztować, a nie wiem, ile mój ojciec jest skłonny przeznaczyć na ten cel.

– Mąż Jemmy mógłby wydać za mąż dziesięć takich panien, jak ty, i nie zauważyłby, że ubyło mu pieniędzy – powiedział Damon. – Nie rozumiem, po co Beaumont zawraca sobie głowę układaniem swoich przemówień. Może przecież, jak każe stary obyczaj, kupić tyle głosów, ile mu potrzeba, żeby przepchnąć jakąś ustawę. Ojciec zawsze tak robił.

– Obawiam się, że nasz ojciec nie cieszył się najlepszą reputacją – westchnęła Jemma. – Ale przerwałś mi, Damonie. Właśnie miałam zamiar ostrzec Robertę, że prawdopodobnie nie najlepiej się jej przysłuży moja opieka.

Damon zaczął się przyglądać Robercie z taką uwagą, że aż się zarumieniła.

– Co prawda, to prawda: odkąd wkroczyłaś do tej siedziby nieprawości, twoja reputacja jest zszargana. A raczej będzie, gdy tylko londyńskie damy zorientują się, co to za ziółko z mojej siostry. Jemma nie nadaje się na przyzwoitkę. Rodzina Reeve cieszy się złą sławą od niepamiętnych czasów i choć przykro mi to mówić, oboje chyba wdaliśmy się w naszych przodków.

– Jak widzę, Jemma nie powiedziała ci, że jestem jedyną córką „szalonego markiza”, jak go nazywają w prasie – stwierdziła Roberta. – Socjeta więc będzie sobie na mnie używać nie tylko z powodu reputacji twojej siostry.

Damon otworzył szeroko oczy.

– Z minuty na minutę coraz bardziej mnie zaciekawiasz. Powiesz nam jakiś wiersz?

Roberta spojrzała na niego gniewnie.

– List mojego ojca do ciebie, Jemmo, ma formę poematu w czternastu strofach.

Otworzyła małą sakiewkę, wydobyla złożony papier i podała księżnej.

– Nosi tytuł *Epistoła do księżnej* – powiedziała Jemma z uśmiechem. W miarę czytania jednak jej twarz przybierała powoli wyraz zakłopotania. – Chyba nie jestem dość inteligentna, żeby zrozumieć poezję – powiedziała w końcu.

Roberta uznała, że Jemma jest zbyt uprzejma.

– Tu nie chodzi o inteligencję – uspokoiła ją. – Obawiam się, że poezja papy bywa kompletnie niezrozumiała.

Damon sięgnął po *Epistolę*.

– Nie jest tak źle. „Tak było nawet, szanowna madam, / W czasach, gdy żył nasz praojciec Adam”. Czego ty od niego chcesz, Roberto? Jak na razie, wszystko jest jasne. „Tę tautologię muszę zastosować” – ciągnął. – Co to właściwie jest „tautologia”? Jakoś sobie nie przypominam. Jeśli w ogóle kiedykolwiek to wiedziałem. „Przychodzi mi bowiem się sumitować”. On cię chyba przeprasza, Jemmo.

– Za co?

– Za to, że narzuca ci obecność swojej córki – podpowiedziała Roberta.

Damon czytał dalej.

– Dalej pisze: „pożywne danie z rozwagi i honoru / na deser szczypta poczucia humoru”. Doskonały rym!

– Czasem zdarza mu się napisać coś do rzeczy – przyznała Roberta w przypływie lojalności. – Stworzył na przykład świetny wiersz o królu Dawidzie i Batszebie. Opisy są w nim całkiem zrozumiałe.

– No, cóż. Ten poemat kończy się słowami „sługa pani unizony” – podsumował Damon. – Myślę, Jemmo, że on prosi, żebyś wprowadziła jego córkę w towarzystwo z wszelką możliwą pompą i okazałością. Nie martw się, Roberto, Beaumonta na to stać. Możesz mi wierzyć.

Jemma zerknęła znów na kartkę z poematem i zadumała się nad nią.

– Ale o co chodzi w tym fragmencie o „niedźwiedziu bez jednej krztyny wdzięczności i wychowania, co rozdrażniłby i pobożnego mnicha”?

– Sądzę, że w wierszach papy nie należy się doszukiwać zbyt wiele sensu.

Damon parsknął śmiechem.

– Jest jeszcze coś, o czym muszę wam powiedzieć – wyznała Roberta.

Brat i siostra spojrzeli na nią wyczekująco.

– Czekaj, nic nie mów. – Damon uśmiechnął się szelmowsko. – Na pewno ty też wdałaś się w przodków, choć jesteś tylko daleką krewną. Niech zgadnę, masz nieślubne dziecko, ty, taka młoda, niewinna...

– Nie! – oburzyła się Roberta.

Ale zanim zdołała cokolwiek wyjaśnić, Damon zwrócił się do siostry.

– Teraz ty, Jemmo.

Jemmo zamyśliła się na chwilę.

– W zeszłym roku, kilka miesięcy temu, podczas podróży zatrzymałaś się w gospodzie. Wyrzałaś przez okno i ujrzawszy mojego brata, zapalałaś do niego ogromnym uczuciem.

Roberta ze zdumienia otworzyła usta, ale Damon nie zwracał na to uwagi.

– Nieźle! Możesz jakoś wpasować Teddy'ego w tę historię?

– Ponad wszystko na świecie, Roberta pragnie zostać matką. Niestety, okrutny los sprawił, że sama nie może mieć dzieci, toteż Teddy stanie się teraz jej najśłodszym ukochaniem.

Damon zaśmiewał się do łez.

– A ja? To ja chcę być jej najśłodszym ukochaniem.

Jemmo zwróciła się do Roberty.

– Wybacz, moja droga. To taka nasza dawna zabawa, w którą kiedyś...

– Urwała. – Naprawdę spotkałaś Damona w zeszłym roku? I zakochałaś się w nim? Doprawdy, dziwię ci się bardzo. Pewna jesteś, że chcesz wyjść za mojego brata? Uwierz mi, jest irytujący, nie do wytrzymania.

Roberta zachichotała.

– Nie, nie! Nie chcę wyjść za twój brata.

– Nie musisz tyle razy mówić „nie”, raz wystarczy. – Damon udawał obrażonego. – Ja chętnie wziąłbym cię za żonę, ale widzę, że muszę gdzie indziej szukać pociechy dla zbolełego serca.

– Ale miałaś taką minę – upierała się Jemmo. – Mogłabym przysiąc, że...

– Bo w zeszłym roku byłam na balu u lady Cholmondelay. – Roberta zaczęła mówić pospiesznie, chcąc mieć już wyjaśnienia za sobą. – I rzeczywiście spotkałam tam kogoś, kogo chyba chciałabym poślubić. Właściwie, jestem na to zdecydowana.

– Miłość od pierwszego wejrzenia – powiedziała Jemmo. – Co za praktyczne zjawisko. To musi być wspaniałe uczucie. Sama nie miałabym nic przeciwko temu, żeby coś takiego przeżyć. Zakochiwałam się często, ale zawsze wcześniej omawiałam każde poruszenie mego serca z najbliższymi przyjaciółkami.

Jej brat prychnął drwiąco.

– Dodaj jeszcze do tego trochę dalszych znajomych, no i resztę paryskiej socjety. Ale wydawało mi się, że ty i Delacroix pokochaliście się od pierwszego wejrzenia. Cały Paryż był tego zdania.

Jemmo miała urażoną minę.

– Ależ skąd! Zanim pozwoliłam sobie chociaż na odrobinę uczucia względem niego, szczegółowo omówiłam sprawę z każdą z moich serdecznych przyjaciółek. To moja niezmienna zasada. Człowiek, o którym nic ci bliżej nie wiadomo, może okazać się strasznym nudziarzem albo, co gorsza, cierpieć na chorobę weneryczną.

– Otóż i miłość od pierwszego wejrzenia, lady Roberto – powiedział Damon. – Może to sobie jeszcze przemyśl.

– Ale ja o nim wiem całkiem sporo – broniła się nieśmiało Roberta.

– Wyzwania to jest to, co lubię – stwierdziła Jemmo. – Im większe wyzwanie, tym lepiej.

Roberta wzięła głęboki oddech i opowiedziała wszystko do końca.

Odpowiedzią było głucho milczenie.

4

Harriet, księżna Berrow, od roku nie była w Londynie, a w Beaumont House – co najmniej od ośmiu lat. Rezydencja nic się przez ten czas nie zmieniła. Gmatwanina wykuszy, gzymsów, okien i wieżyczek zupełnie nie pasowała do wielkowiejskiej zabudowy. Po obu stronach

domostwa dumnie rozciągały się tarasy, na przekór raczej powściągliwej architekturze innych rezydencji. Budowla wyglądała, jakby została przeniesiona ręką olbrzyma z Northamptonshire, krainy zamków i rodowych siedzib, wprost na londyńską ulicę. Domy stojące wokół – pobudowane z modnego marmurowego wapienia z Portlandu – sprawiały wrażenie urażonych towarzystwem takiego kuriozum.

Gdy była tutaj ostatnim razem, Benjamin żył jeszcze. Wyprzedził ją wtedy, wbiegając po schodach, i sam załomotał do drzwi kołatką.

A potem Benjamin wyprzedził ją w drodze na tamten świat. Teraz więc jedynymi mężczyznami, którzy towarzyszyli jej, gdy wychodziła z domu, byli lokaje.

Otworzyły się drzwi i Harriet otrząsnęła się z przygnębienia. Nie miała zamiaru martwić Jemmy. Benjamin nie żyje, i to już od dwóch lat. Zrobi dla jego pamięci jeszcze tylko jedną rzecz – tę jedną, jedyną – a potem będzie mogła go zapomnieć. Zachować we wdzięcznych wspomnieniach, czy też co tam się robi ze zmarłym mężem.

Doprawdy, taki zmarły mąż może uprzykrzyć wdowie życie, chociaż sam już nie żyje, pomyślała nie po raz pierwszy.

Kamerdyner wprowadził ją do mniejszej jadalni i usunął się na bok.
– Księżna... – zaczął anonsować.

Wtem słowa zmarły mu w gardle i gwałtownie rzucił się naprzód.

Jemma stała na krześle, plecami do nich. Właśnie zdejmowała ze ściany okazałych rozmiarów obraz, gdy na ich oczach zatoczyła się w tył. Obcas księżnej niebezpiecznie zsunął się z krawędzi krzesła; ciężka, złożona rama obrazu zaczęła wysuwać się jej z rąk.

– Wasza Wysokość! – wykrzyknął kamerdyner, chwytając ramę, która przechylała się już ku ziemi.

Harriet też podbiegła z pomocą, w samą porę, by znaleźć się dokładnie w miejscu, gdzie Jemma spadła z krzesła. Obie przewróciły się na podłogę, a krynoliny ich sukien z szelestem wzniosły się w powietrze. W tym samym momencie kamerdyner stracił równowagę pod ciężarem obrazu, który z hukiem uderzył w stojący z boku kredens.

– O, nie – zaśmiała się Jemma. – Harriet, czy to ty?

Harriet pozbiierała się szybko. Kamerdyner coś wykrzykiwał, pewnie wzywał pomocy lokaja.

– Owszem, to ja. – Uśmiechnęła się do Jemmy, wciąż jeszcze leżącej na podłodze.

Przyjaciółka zmieniła się od czasu, gdy się ostatnio widziały, jej uroda nabrała modnego szyku. Ale gładkie blond włosy, ślicznie wykrojone usta i – przede wszystkim – lśniące inteligencją oczy były takie same, jak za dawnych dziecięcych dni.

Jemma złożyła boczną tiurniurę z prawej strony i przekręciła się na bok, żeby wstać. Harriet podała jej rękę. Gdy księżna wreszcie się podniosła, jej krynolina z szelestem rozłożyła się na nowo i oto stanęła przed przyjaciółką w całej okazałości: elegancka i wytworna, jak francuskie damy.

Rzuciła jej się na szyję i uściskała, jak za dawnych lat.

– Moja kochana Harriet! Jesteś śliczna, jak zawsze, ale taka szczuplutka. I do tego jeszcze ta czerń.

– Cóż, wiesz dobrze, że...

– Ale to już przecież dwa lata, odkąd Benjamin umarł, nieprawdaż? – Jemma wypuściła ją z objęć. – Dostałaś list ode mnie po pogrzebie?

Harriet skinęła głową.

– Tak, i ten drugi, z Florencji, z rysunkami.

– O, tak, to był dopiero rok. – Jemma mrugnęła do niej. – Moim zdaniem Dawid Michała Anioła jest pięknie zbudowany, ale – jak by to powiedzieć – dość skromnie wyposażony przez naturę.

Harriet zaśmiała się niezbyt szczerze.

– To cała ty, zawsze zwracasz uwagę na takie rzeczy.

– Nonsens. Mówię ci, od razu zaczęłam podejrzliwie patrzeć na Włochów. Może to u nich cecha narodowa?

– A co robiłaś przed chwilą z tym portretem? – spytała Harriet.

– Chodzi ci o tę makabrę? Patrzyłam na niego przez cały lunch i obiecałam sobie, że natychmiast zdejmę go ze ściany.

Harriet zerknęła na obraz, ale nie dostrzegła w nim niczego szczególnie przerażającego. Przedstawiał śpiącego na łożu mężczyznę; obok stała kobieta z butelką wina w dłoni.

– Przypatrz się uważnie – powiedziała Jemma. – Widzisz nóż?

I rzeczywiście, ukryty pośród fałd spódnicy lśnił ostry, zakrzywiony czubek noża. A gdy się lepiej przyjrzeć, twarz kobiety miała dość niepokojący wyraz.

– W domu jest mnóstwo obrazów przedstawiających Judytę i Holofernesa w różnych sytuacjach i pozach. Zapytałabym Beaumonta, dlaczego jego matka tak sobie upodobała ten motyw, ale boję się tego, co

mogę usłyszeć w odpowiedzi. Na tym obrazie akurat Judyta szykuje się, uciąć głowę Holofernesowi. Jeśli chcesz sobie obejrzeć, jak to robi, to możesz iść do wielkiego salonu w zachodnim skrzydle. Efekt końcowy, czyli ucięta głowa, widnieje w różnych wersjach w całym domu.

Harriet zamrugęła.

– Jak... ale... – Po czym zamknęła usta.

– Domyślam się, że nie miałaś przyjemności poznać księżnej wdowy Beaumont – powiedziała lekko Jemma. – Ale chodźmy już na górę, dobrze? Możemy napić się herbaty w moich pokojach.

– Jak tu ładnie – zachwyciła się Harriet po chwili, gdy już dotarły na miejsce. Pokój miał białe ściany z zieloną obwódką, pokryte drobnymi, ukwieconymi gałązkami. – Beaumont odnowił pokój na twój przyjazd?

– Skądże znowu. Dwa miesiące temu, jak tylko zdecydowałam, że wracam do Londynu, wysłałam tu z Paryża dekoratora. Moja teściowa urządziła ten pokój z wielką pompą, na biało-złoto. Oczywiście musiałam też wymienić wszystkie meble. Uwielbiam te francuskie krynoliny, ale za nic nie zmieściłyby się na krzesłach zaprojektowanych przed trzydziestu laty.

Harriet zatrzymała się obok małego szachowego stolika z marmuru. Na blacie rozstawione były figury.

– Widzę, że nadal bawią cię szachy.

– Pamiętasz jeszcze, o co w tym chodzi? Gram teraz białymi, a moja królowa jest całkowicie osaczona przez czarne piony. Wyraźnie przegrywam. – Jemma opadła na szerokie krzesło, a krynolina pod jedwabną suknią złożyła się zgrabnie.

Harriet westchnęła. Zawsze tak było, nawet wtedy, gdy jako małe dziewczynki wychowywały się w sąsiednich posiadłościach. Ona wracała z pikników pogryziona przez mrówki, z rozczochranymi lokami, a Jemma biegła w podskokach do domu w wianku ze stokrotek na idealnie ułożonych włosach. Teraz też nic się nie zmieniło, bo gdy ostrożnie usiadła na krzesle naprzeciw Jemmy, prawa tiurniura wyrzuciła się nieforemnie do góry, przybierając kształt wielkiego pęcherza. Siłą upchnęła ją obok siebie na siedzeniu.

– Brakowało mi ciebie – powiedziała Jemma, wyciągając nogi przed siebie. – Wiesz, że kocham Paryż, ale bardzo mi ciebie brakowało.

Harriet uśmiechnęła się smutno. Ona sama od kilku lat wiodła życie szarej myszki z prowincji.

– Byłaś przecież w Paryżu – powiedziała. – Więc nie opowiadaj mi takich rzeczy. À propos, cudne są te pantofelki.

– Ale w Paryżu są same Francuzki. A pantofelki śliczne, prawda? Bardzo mi się podoba ten haft. Zamówiłam sobie takie w trzech kolorach.

– To chyba nic zaskakującego, że w Paryżu są same Francuzki?

– To cała ty, Harriet! Stęskniłam się za twoim ciętym językiem. Zawsze umiałaś sprowadzić mnie na ziemię. – Jemma pochyliła się ku niej. – Wszystko w porządku? Wyglądasz mi na zmęczoną.

– Powinnam już przeboleć śmierć Beniamina – powiedziała Harriet. – W końcu to już dwadzieścia dwa miesiące. Ale jakoś tak jest, że mimo woli nie mogę przestać o nim myśleć, choć męczy mnie to niemiłosiernie.

– Myślenie o moim mężu też jest męczące, a on przecież jeszcze żyje. W każdym razie, chodziło mi o to, że z Francuzkami trudno się zaprzyjaźnić. One uważają, że Angielki są z natury głupie i mało wytworne. Ale nawet pomijając te stereotypy, żadna Francuzka nie umywa się do ciebie, Harriet. – I jakby dla podkreślenia tych słów, podniosła się z krzesła, sięgnęła pod spódnicę i odwiązała tiurniurę. Metalowa konstrukcja z brzękiem opadła na ziemię, a Jemma wygodnie usadowiła się na krzesle. – No, śmiało – powiedziała. – Też możesz ją ściągnąć. Zostaniesz u mnie dzisiaj na dłużej, prawda? Muszę cię przedstawić Robercie: to moja młoda krewna, która przyjechała prosić, żebym ją wprowadziła w towarzystwo.

Harriet zawahała się trochę.

– Przecież jutro wyprawiasz bal. Na pewno masz jeszcze mnóstwo...

– Ależ skąd! Mam wspaniałą asystentkę, na którą mogę zrzucić odpowiedzialność za cały ten bałagan związany z urządzaniem przyjęć. To jest jej pasja. Ja mam tylko siedzieć w swoim pokoju i nie wchodzić jej w drogę.

Harriet wstała, żeby zdjąć spod sukni krynolinę.

– Och, jak ja nie cierpię tych drutów.

– A ja je uwielbiam – odparła Jemma. – Nic tak nie pomaga elegancko ułożyć zwojów jedwabiu, jak odpowiednia krynolina; jeśli tylko jest wystarczająco duża, masz zagwarantowane efektowne wejście. W tym sezonie w Paryżu wraca moda na małe tiurniury, co już samo w sobie było wystarczającym powodem, żeby stamtąd wyjechać.

Ponieważ Harriet wzdragająca się na samą myśl o efektywnym wejściu, zwłaszcza z drucianymi koszami podczepionymi pod spódnica, szybko zmieniła temat.

– A kim jest ta Roberta, o której mówiłaś? Jak ma na nazwisko?

– Lady Roberta St Giles. Świetnie się dogadujemy; jestem przekonana, że i tobie się spodoba. Jedyne problem polega na tym, że jest nieprzytomnie zakochana w zupełnie niewłaściwym człowieku. – Sięgnęła po sznur od dzwonka. – Zapytam, czy ma ochotę do nas dołączyć, dobrze? Miała wprawdzie brać miarę na suknię balową, ale może jest już wolna.

Harriet gwałtownie zamachała ręką.

– Najpierw chciałam cię o coś poprosić.

Jemma wypuściła z ręki sznur.

– O co tylko chcesz.

– Ja... to znaczy... chodzi o Beniamina.

Kiedy tylko wspominała o zmarłym mężu, mogła spodziewać się jednej z dwóch reakcji. Ci, którzy wiedzieli tylko, że Harriet jest wdową, robili współczujące miny, często wyrażali nawet szczere uczucia żalu. Niektórzy zaczęli opowiadać o ciotkach, które owdowiały, a tydzień później spotykały miłość swojego życia, zupełnie jakby ona, Harriet, miała szukać sobie mężczyzny, zanim ciało jej męża ostygło w trumnie.

Ale ci, którzy wiedzieli, że Beniamin popełnił samobójstwo, zachowywali się inaczej: wyrażali wprawdzie współczucie, ale też zachowywali się z ostrożnością i lekką obawą, jak gdyby samobójstwo było jakąś chorobą zakaźną. No i oczywiście nikt nie opowiadał historyjek o krewnych, którzy odebrali sobie życie.

We wzroku Jemmy błyszczało czyste współczucie.

– On się zabił – powiedziała Harriet bez ogródek. – Strzelił sobie w głowę po tym, jak przegrał grę o bardzo wysoką stawkę.

Jemma zamrugnęła. Po chwili poderwała się z krzesła i przycupnęła obok Harriet. Bez tiurniur pod sukniami obie z łatwością mieściły się w jednym fotelu.

– To potworne – powiedziała, obejmując przyjaciółkę. – Tak mi przykro, Harriet. Nic nie wiedziałam.

Łzy zapiekły Harriet pod powiekami.

– Już się przyzwyczyłam.

– To do tego można się przyzwycząć? Gdyby chodziło o mojego męża, może jakoś bym to przeżyła, ale tylko dlatego, że nie jesteśmy sobie zbyt bliscy. Ale ty i Beniamin – jak on mógł coś takiego zrobić?

– Nie wiem. – Głos Harriet lekko się załamał, więc Jemma objęła ją mocniej. – Był taki przygnębiony. A on przecież nigdy nie potrafił się smucić.

– Tak, pamiętam, że zawsze żartował.

– Nie umiał być poważny ani smutny. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, gdy się czegoś wstydził. A tym razem wstydził się sam siebie i dlatego to zrobił.

– I to wszystko przez karty! Po co grał o taką wysoką stawkę?

– To nie były karty – powiedziała Harriet – tylko szachy.

– Szachy!

Mimo woli Harriet uroniła łzę. Jemma wydobyla skądś chusteczkę i otarła policzek przyjaciółki. Harriet uśmiechnęła się do siebie – był to najdelikatniejszy, najelegantszy skrawek tkaniny, jaki w życiu widziała.

– Wstyd mi płakać po nim – powiedziała, pociągając nosem.

– Dlaczego? Uważam, że powinnaś obnosić swój ból jak honorową odznakę. Kochałaś swojego męża, więc odczuwasz smutek. Mnie nawet trudno to sobie wyobrazić.

– Wstyd mi, bo on... bo tak bardzo chciał się ode mnie uwolnić, że aż odebrał sobie życie. – W jej głosie zabrzmiała złość.

– Moja kochana, wiesz dobrze, że to bzdura. Twój mąż wcale nie chciał cię porzucić, a myślę, że tak naprawdę wcale też nie miał ochoty umierać. Znałam przecież Beniamina. Pamiętam, jak się w sobie zakochaliście.

– Pamiętasz raczej, jak ja się zakochałam. – W oczach Harriet znówu zaszklily się łzy gniewu. – Jeśli on też mnie kochał, to w dość dziwny sposób mi to okazał.

– Oczywiście, że cię kochał. Tylko że Beniamin zawsze był bardzo porywczy. Pewna jestem, że pożałował tego, co zrobił, kiedy tylko pociągnął za cyngiel, ale było już za późno. On po prostu zwykle najpierw coś robił, a dopiero potem myślał.

– O tym powinien pomyśleć wcześniej!

– Czy ten pojedynek szachowy został rozegrany publicznie?

– Naturalnie. Szachy to teraz szczyt mody. Wszędzie się w nie gra, w kawiarniach, w klubach. U White'a. Czasem mam wrażenie, że już o niczym innym się nie mówi.

– A to niespodzianka. Nie miałam pojęcia, wydawało mi się, że ta moda przyjęła się tylko we Francji.

– Benjamin uwielbiał grać w szachy. Ale sama gra mu nie wystarczała, chciał zaliczać się do mistrzów.

– Ale nim nie był – powiedziała Jemma ze smutkiem.

– Pamiętasz? Ach, tak, przecież grywaliście czasem. Zdarzyło mu się kiedyś z tobą wygrać?

Jemma pokręciła głową.

– Grał lepiej od wielu ludzi – ciągnęła Harriet. – Naprawdę. Ale nie mógł znieść tego, że nie udaje mu się wygrać z najlepszymi. Był jak opętany jedną myślą: pokonać Villiersa.

– To z Villiersem grał po raz ostatni? – zapytała Jemma – Z Villiersem?

Harriet otarła łzy.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się dziwisz. Villiers jest najlepszym graczem w całej Anglii. A przynajmniej za takiego uchodzi.

– Taki dziwny zbieg okoliczności. – Jemma mówiła powoli. – Od rana cały czas rozmawiam na jego temat.

– Chcesz z nim zagrać? – Serce Harriet ścisnęło się w nadziei.

– Nie, nie o to chodzi. To moja podopieczna, Roberta. Lady Roberta St Giles. Zakochała się w nim.

– Zakochała się w Villiersie? – Harriet uśmiechnęła się gorzko. – Nie zazdrozczę jej.

– Czy on się przyjaźnił z Beniaminem?

– Często ze sobą grali, ale Villiers nigdy nie chciał obstawiać pieniędzy. W ten sposób dawał Beniaminowi do zrozumienia, że nie ma szans z nim wygrać. W końcu Benjamin rzucił mu wyzwanie i tamten się zgodził. Beniaminowi z początku dobrze szło. Teraz myślę, że Villiers po prostu bawił się jego kosztem.

– Rozumiem. – Jemma zacisnęła dłoń.

– I wtedy Benjamin zaczął podnosić stawkę. Domyślałam się, że Villiers się na to nie godził, a Benjamin tak się rozżołościł – to było w momencie, gdy wygrywał, albo tak mu się przynajmniej wydawało – że zmusił go do tego. Tak mi później opowiadano.

– A potem...

– Nie sądzę, żeby Benjamin od razu zdał sobie sprawę, że został potraktowany jak dziecko. Pewnie pojechał do domu i zaczął roztrzą-

sać tę grę krok po kroku. Ja wtedy byłam na wsi. Może, gdybym została w Londynie, jakoś zdołałabym go powstrzymać. W każdym razie, musiał się w końcu zorientować, że Villiers potraktował go pogardliwie i nie miał szans wygrać tej rozgrywki.

– Benjamin tak kochał szachy – powiedziała Jemma.

– To mnie powinien tak kochać!

Jemma westchnęła.

– Szachy potrafią stać się prawdziwą namiętnością.

– Problem polegał na tym, że Benjamin był zbyt dobrym graczem dla większości ludzi, a jednocześnie zbyt słabym dla najlepszych. Namawiał twójego męża, żeby z nim zagrał. Mówił nawet, że gotów jest przehandlować swój głos w Izbie Lordów za jedną grę.

– Ha – powiedziała Jemma. – I tu się przeliczył. Beaumont czci jednego bożka: swój honor.

– Beaumont powiedział mu po prostu, że już nie grywa w szachy.

To prawda?

– Chyba tak. Ja grałam z nim tylko kilka razy, tuż po ślubie.

– I wygrałaś?

– Tak. Ale grał bardzo dobrze.

– Czy w ogóle istnieje ktoś, z kim nie wygrałaś?

– Każdy szachista od czasu do czasu przegrywa. Raz grałam z królem Francji i on wygrał.

– Z królem Ludwikiem? Na pewno dałaś mu wygrać. – Harriet uśmiechnęła się krzywo.

– Istotą strategii jest rozważa – odparła Jemma. – Ale wiesz dobrze, i Harriet, że nie miałam zbyt wielu partnerów do gry, więc to się zupełnie nie liczy.

– Czyli nie grałaś z Villiersem?

– Nigdy. Spotkałam go tylko raz, i do tego przelotnie. W pierwszym roku mojego małżeństwa on podróżował po Europie, a potem ja wyjechałam do Paryża.

– Mówią, że to najlepszy szachista w całej Anglii. – Wzięła głęboki oddech. – Nienawidzę go za to, co zrobił Beniaminowi.

Jemma zamrugnęła.

– Jak to? Co mu zrobił?

– Upokorzył go. I uważam, że zrobił to celowo. Długo nad tym myślałam. Przypuszczam, że zgodził się zagrać z nim u White'a tylko po to, żeby

Beniamin przestał mu się naprzykrzać. I Beniamin przegrał, oczywiście, ale Villiers tak poprowadził partię, żeby mu się wydawało, że wygrywa.

– Ale przecież...

Harriet miała więcej do powiedzenia.

– To straszny człowiek. Prawdziwa bestia. Jeśli wierzyć plotkom, miał *affaires d'amours** z połową dam w mieście i ponoć pomiata wszystkimi swoimi kochankami. Mówią, że ma co najmniej czwórkę nieślubnych dzieci.

Ktoś ze służby pojawił się w drzwiach i Jemma przyniosła do stolika tacę z herbatą.

Harriet wypila połowę filizanki naraz.

– Chcę cię prosić o przysługę, Jemmo.

Jemma sięgnęła po cukier.

– Co tylko zechcesz, kochanie.

– Chcę, żebyś upokorzyła Villiersa.

Jemma nagle wyprostowała się w fotelu.

– Co takiego? Mam go upokorzyć? Ale jak?

– Wszystko mi jedno, jak! – W głosie Harriet brzmiała zaciętość.

– Możesz zostać jego kochanką, a potem go odtrącić. Albo publicznie go wyśmiać, albo cokolwiek innego. Wiem, że potrafisz to zrobić.

Jemma zachichotała.

– To miło, że doceniasz moje umiejętności. Ale...

– Mogłabyś zagrać z nim w szachy.

Zapadła chwila ciszy.

– To o to chodzi, tak? Nie przyjechałaś do Londynu po to, żeby się ze mną zobaczyć, tylko żeby mnie namówić na grę z Villiersem?

Spojrzały sobie w oczy.

– Naprawdę przyjechałam się z tobą zobaczyć, Jemmo, choć może nie jesteśmy sobie tak bliskie, jak w dzieciństwie. Zmieniłaś się, stałaś się bardziej wytworna i jeszcze piękniejsza niż kiedyś, a ja jestem zwykłą szarą myszką z prowincji.

Harriet patrzyła, jak Jemma przygląda się jej brązowym lokom i niezgrabnym tiurniurom; przyjaciółka na pewno też tak o niej myślała.

– Nie mieszkałam w mieście z Beniaminem. – Harriet miała tak ściśnięte gardło, że ledwo mówiła. – Nie byłam w stanie się przyzwyczaić do

* *affaires d'amours* (fr.) – romanse.

tego życia, do tego żmudnego upinania i pudrowania włosów, do tych godzin spędzanych w garderobie. Pokojówki, garderobiane i cała reszta – strasznie mnie to nuży. Po prostu nie mogłam znieść tej nudy!

– Oczywiście, rozumiem cię – odpowiedziała Jemma. – To wszystko bywa dość męczące. – Uśmiechnęła się znowu, ale patrzyła już na Harriet chłodniej, z dystansem.

– Zostawiłam więc Beniamina i wyjechałam na wieś – ciągnęła Harriet.

– Nie byłabyś w stanie zabronić mu gry w szachy.

Serce Harriet ścisnęło się w desperacji.

– Nic nie rozumiesz! – prawie krzyknęła.

– O co w takim razie chodzi?

– Nie mogłam z nim mieszkać, bo... bo...

– Wiele małżeństw nie mieszka ze sobą – powiedziała Jemma. – Beniamin nie popełnił samobójstwa, dlatego że mieszkałaś na wsi. I tak nie powstrzymałabyś go przed grą z Villiersem.

– Nic nie rozumiesz – powtórzyła Harriet. Uniosła podbródek.

– Miałam *affaire d'amour* z Villiersem.

Jemma aż podskoczyła w fotelu.

– Naprawdę?

Dla Harriet możliwość zwierzenia się komuś okazała się taką ulgą, że słowa same popłynęły z jej ust.

– To było dwa lata temu, na balu u księżnej Claverstill, na jakiś miesiąc przed śmiercią Beniamina. Mój mąż przez całą noc grał w szachy. Teraz na każdym balu obowiązkowo musi się znaleźć pokój do gry, to nie do wytrzymania. Czasem wręcz nie ma z kim tańczyć. W każdym razie Villiers wyszedł z pokoju szachowego i... jakoś tak wyszło.

– Jaki on jest? Niewiele o nim wiem, prócz tego, że w młodości przyjaźnił się z Beaumontem, ale potem o coś się posprzeczał.

– Nienawidzę go – powiedziała Harriet drżącym głosem.

– Dlatego, że spędziłaś z nim noc?

Ku ogromnej uldze Harriet głos Jemmy nie brzmiał już tak ozięble jak przedtem. Nalała herbaty sobie i przyjaciółce.

– Dlatego, że... on tak naprawdę nie... to było zupełnie tak, jak w przypadku tej jego gry z Beniaminem.

– Co ty mówisz?

Cóż, równie dobrze mogła powiedzieć Jemmie całą prawdę.

– Tak właściwie to nie mieliśmy wcale *affaire d'amour*. Taka byłam wtedy zła na Beniamina, że po prostu straciłam głowę. Villiers zabrał mnie do domu i... i... ale...

– Chyba musisz wyrażać się jaśniej. Choć, biorąc pod uwagę moją znajomość mężczyzn, przypuszczam, że rzucił się na ciebie w powozie?

– Nie. – Harriet napiła się herbaty. – To ja się na niego rzuciłam.

– Bardzo dobra decyzja – powiedziała bez wahania Jemma. – Francuzki wiedzą, co mówią, gdy twierdzą, że kobieta powinna przebierać pomiędzy wielbicielami, a nie zdawać się na mężczyzn.

– Dla mnie nie istnieją inni mężczyźni – powiedziała Harriet zbolalym głosem. – Beniamin był tym jedynym.

– Jak to zatem było z Villiersem?

– Najpierw przez chwilę mnie całował, a potem... och, wiesz... wstyd mi o tym mówić. Zrobił mi to „coś”.

W oczach Jemmy lśniła ciekawość.

– Jakie „coś”?

– No... ręką. I nie pytaj dalej, bo już nic więcej na ten temat nie powiem.

– Nawet jak ci doleję herbaty?

– Nawet wtedy.

– A ty co? Domyślam się, że nie opadłaś na siedzenie w błogim omdleniu i nie powiedziałaś: „Zrób mi tak jeszcze raz”? – Jemma tak chichotała, że omal nie rozlała herbaty.

– No, cóż, powiedziałam, a raczej krzyknęłam: „Co pan wyprawia?”

A on znów to zrobił!

– I co? Za drugim razem było lepiej?

– A ty? Jak byś postąpiła na moim miejscu? – Harriet była zdesperowana.

– To, rzecz jasna, zależałoby od tego „czegoś”. Mężczyźni potrafią robić w ten sposób bardzo przyjemne rzeczy.

– No, tak, ale ty jesteś znacznie bardziej światowa ode mnie. Ja jestem inna. Po prostu dałam mu w twarz. Myślę, że moja matka... pewna jestem, że pochwaliłaby taką reakcję.

– Na pewno. – Jemma zanosila się od śmiechu. – I co on na to?

Harriet wzięła głęboki oddech.

– Powtórzę ci dokładnie to, co mi powiedział.

– Zamieniam się w słuch.

– Powiedział, że zawsze patrzył na Beniamina z politowaniem, bo gorzej od niego gra w szachy, ale odtąd postara się być dla niego miłszy.

– A to złośliwiec! – Na Jemie zrobiło to wrażenie.

– A potem dodał, że nie ma nic gorszego, niż mieć dziwkę za żonę. I że nie zamierza przede mną stracić przyjaciela, i że chyba musiał być pijany, skoro zapomniał, że takie kobiety, jak ja są nudne. A wreszcie powiedział, że jeśli pisnę o tym choć słówko Beniaminowi, to mnie zabije.

Śmiech zamarł na ustach Jemmy.

– Drań!

– A potem wysadził mnie na ulicy. W samym środku Whitefriars Lane, bez grosza przy duszy.

– Podwójny drań!

– Nie powiedziałam o tym Beniaminowi. Zaraz na drugi dzień wyjechałam na wieś, bo nie miałam odwagi spojrzeć mu w oczy. Gryzło mnie sumienie i czułam się taka... taka zbrukana! Ale kiedy dostałam list, w którym przeczytałam, że w Parsloe ogłoszono...

– Co to takiego?

– To taki elitarny klub, gdzie spotykają się członkowie Londyńskiego Towarzystwa Szachowego. Przyjmuje tylko stu członków. W każdym razie, jakiś tydzień po moim wyjeździe ogłoszono tam, że Villiers rozegra z Beniaminem publiczny pojedynek na pieniądze, u White'a. I zaraz wiedziałam, dlaczego Villiers to zrobił. Z mojego powodu.

– A może...

– Naprawdę nie wiem, po co zaczęłam z nim flirtować – ciągnęła Harriet. – Tak jakby mało mi było jednego mężczyzny, który woli pieścić figury z kości słoniowej niż własną żonę. To było z mojej strony takie małostkowe i... tak źle się to wszystko skończyło.

– Czasem tak bywa – cicho powiedziała Jemma.

– A teraz – głos Harriet był podszyty desperacją – chcę po prostu, żeby Villiers też doznał upokorzenia. O niczym innym nie potrafię myśleć. Jestem to winna Beniaminowi. Muszę wyrównać rachunek, Jemmo, muszę!

Jemma wzięła ją za rękę.

– Beniamina już nie ma, Harriet. Nie ma żadnego rachunku do wyrównania.

– Proszę cię.

Przez chwilę Jemma siedziała bez słowa.

– Nie zgodziłabym się, gdyby chodziło tylko o przegrany pojedynek szachowy. Mogę sobie wyobrazić, jak upokorzony czuł się Benjamin. Ja nie odebrałam sobie życia z takiego powodu, ale rozumiem gorączkę porażki. Villiers tu nie jest winien. Uwierź mi, Harriet, to przez szachy.

– Nienawidzę szachów. – W beznamiętnym łosie Harriet brzmiało przekonanie.

– Zrobię to dla ciebie, bo Villiers okazał się skończonym draniem, że zostawił cię na środku ulicy i powiedział ci te wszystkie okropne rzeczy. Nie ujdzie mu to na sucho; nikt nie ma prawa mówić w taki sposób do mojej przyjaciółki. Problem polega jedynie na tym, że będę musiała działać bardzo dyskretnie.

– Dlaczego? Najlepiej, żeby cały Londyn był świadkiem jego poniżenia.

– Ponieważ, jak ci już powiedziałam, Roberta jest w nim do szaleństwa zakochana. Uparła się, że go poślubi, a ja obiecałam jej pomóc.

– Jak więc, na litość boską, masz zamiar go upokorzyć, jeśli jednocześnie będziesz się bawić w swatkę?

Ale twarz Jemmy znowu rozjaśniła się uśmiechem.

– Te dwie rzeczy, moja droga, wcale nie muszą się wzajemnie wykluczać. A poza tym, nie ma to jak wyzwanie. Po pierwsze, zaproszę go na jutrzejszy bal.

– Przecież on i Beaumont ze sobą nie rozmawiają; na pewno nie przyjdzie.

– Przyjdzie – odparła Jemma. – Zostaw to mnie. A ty dasz się namówić?

Harriet przetłknęła nerwowo.

– Czy bardzo się obrazisz, jeśli odmówię? Nawet nie masz pojęcia, jakie to dla mnie okropne – być wśród ludzi teraz, po śmierci Beniamina. Wszyscy przyglądają mi się z politowaniem, oprócz tych, którzy uważają, że to ja go do tego doprowadziłam. Lady Lacock, na przykład, zawsze mi powtarza, jakim to pogodnym dzieckiem był Benjamin. Mam wtedy ochotę wrzeszczeć.

– Tym też musimy się zająć – uznała Jemma.

– Moim życiem? Może kiedy indziej.

– W porządku. Ale musisz przyjść jutro rano na naradę wojenną.

– Jemmo, nie obraż się, ale... muszę odmówić. Obiecałam, że jak najszybciej wrócę na wieś.

– Komu obiecałaś? Powinnaś być tu, Londynie. Zaczyna się nowy sezon i masz szansę wyjść znowu za mąż. Nie możesz wiecznie być wdową.

– Wiem – powiedziała Harriet. Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat. – I tak nie wierzę, że uda ci się tu zwabić Villiersa.

Jemma tylko się uśmiechnęła.

5

Roberta pierwsza gotowa byłaby przyznać, że życie u boku jej ojca nie uczyniło z niej modnej damy. Nie chodziło o to, że ojciec nie miał pieniędzy. Sądziła, że miał ich w bród. Ale to, co jemu wydawało się ważne, było kompletnym przeciwieństwem rzeczy, o których marzyła Roberta: Londyn, bale, miłość, małżeństwo...

– Ależ, papo! – mawiała przy kolacji. – Nie chcesz chyba, żebym mieszkała z tobą przez całe życie?

– To byłoby cudowne! – odpowiadał ojciec z promiennym uśmiechem. – Kto mi ciebie zastąpi w katalogowaniu moich utworów? A twoja krytyka, choć czasem zbyt surowa, wielce się przyczyniła do podniesienia jakości mojej poezji. Wielce! Ogromnie! Przyszłe pokolenia przeznaczą ci w swej pamięci godne miejsce muzy markiza Wharton i Malmesbury.

– Papo – mówiła (bo takie rozmowy powtarzały się przez lata). – Nie chcę wcale zostać uwieczniona jako twoja muza i nie znoszę katalogowania wierszy. – Czasem dodawała też, że nie lubi krytykować poezji, w zależności od tego, czy akurat ostatnio szczególnie surowo rozprawiła się z którymś z jego najnowszych utworów.

Wtedy twarz markiza zmieniała się w tragiczną maskę i zaczynał mamrotać pod nosem o tym, że jego jedyna córka jest jadowitą zmiją. A gdy prosiła o nową suknię, nigdy nie odmawiał, ale godził się zamawiać stroje tylko u pani Parthnell mieszkającej w pobliskiej wiosce.

– Moje dziecko, jeśli my nie damy jej pracy, jak wykarmi swoje dzieci? – zwykł mawiać.

Jedną z cech rękodzieła pani Parthnell było to, że podszywała rękawy wyłącznie zgrzebnym białym płótnem, a ponieważ nie najlepiej radziła sobie z szyciem, podszewka zazwyczaj wystawała.

Miny francuskich pokojówek Jemmy na widok stroju Roberty były przekomiczne. Suknia została początkowo uszyta *à la française*, ale pani Parthnell odcięła jedną ze zwiewnych zakładek z tyłu i upięła resztę materiału w niezgrabną suknię *à la polonaise*. Kiedy Roberta wytknęła jej, że teraz wszystko wybrzusza się w pasie, pani Parthnell odpruła całą górę i dodała nowy gors z zielonkawej bawełenki.

Najwyraźniej Roberta nie myliła się, podejrzewając, że zielonkawa bawełna nie pasuje do spódnicy z bordowej tafty. Przypuszczenie to potwierdziły przenikliwe okrzyki oburzenia francuskiej krawcowej.

W ciągu dwóch sekund służące rozebrały ją do halki i rzuciły suknię w ką.

– To dla biednych – wyjaśniła *femme de chambre** Jemmy, Brigitte. – Żadna z nas by czego takiego nie włożyła.

Dwie inne pokojówki przytaknęły chórem. Zaraz też zaczęły przynosić jej suknię po sukni, każdą oglądały i szczegółowo omawiały, a potem uroczyście odnosiły do garderoby Jemmy, która, jak się Roberta domyślała, pewnie pękała w szwach od satyny i jedwabiu.

Brigitte otrzymała od swojej pani wyraźne instrukcje.

– Roberta ma wyglądać jak uosobienie niewinności – postanowiła Jemma.

Po półgodzinie przenoszenia ubrań między jej garderobą a sypialnią Roberty stało się jasne, że bardzo niewiele sukien Jemmy uszyto z myślą o skromności.

Kilka z tych, które Roberta w końcu przymierzyła, również się nie nadawało, choć jej samej wydawały się prześliczne. Udało jej się zerknąć w lustro w chwili, gdy miała na sobie jedną z tych oszałamiających francuskich kreacji, i serce jej zaśpiewało z zachwytem. Nie była w niej naiwną prowincjuską: wyglądała po prostu pięknie. Pomyślała o księciu Villiers, który pada przed nią na kolana.

– Za dużo z przodu – powiedziała Brigitte, rozwiewając jej marzenia.

Roberta zerknęła na swój biust. W porównaniu z małżonką Neptuna prawie nic tam nie miała.

* *femme de chambre* (fr.) – pokojówka.

– Doskonała! Nie martwić nic! – Brigitte pospieszyła z zapewnieniem. – Mężczyźni lubią biusty. Dużo biustów!

Ponieważ Brigitte raczej nie chodziło o to, że mężczyźni gustują w kobietach, które mają więcej niż dwie piersi, Roberta postanowiła przyjąć to jako komplement. Niestety, jej „dużo biustów” wykluczało większość sukien Jemmy. Jej piersi wylewały się z dekoltów w sposób, który Brigitte określiła jako *sensuelle**, a nie *innocente***.

Nagle pokojówka klasnęła w dłonie.

– Mam! Biała suknia z mory! – oznajmiła.

Francuzki zaczęły mamrotać coś między sobą i jedna z nich przypomniała, że Jemma uważa tę suknię za *ennuyeuse****.

– Nudna – stwierdziła Brigitte. – Tego nam właśnie potrzeba.

– Och, ale przecież... – powiedziała markotnie Roberta. Służące zignorowały jej protesty, jak i zresztą wszystko inne, co dotychczas mówiła.

Owszem, sukienka była uroczą, wyszywana w kwiatuszki, które wyglądały jak rozsypane na łące. Nie odsłaniała tyle biustu, jak inne, bo dekolt był wycięty w serek i obrębiony białą koronką. Wąskie rękawki kończyły się hojną falbaną. Suknia była prześliczna, ale Roberta uznała, że Jemma ma rację. Była po prostu nudna.

Ale ona nie miała tu nic do powiedzenia; wszystkie pozostałe kreacje, lśniąca purpurą, pyszniące się zielenią, odniesiono z powrotem, a Brigitte zabrała się do roboty, aby dopasować białą sukienkę.

– Będzie panią wyglądać na balu jak zaczarowana królowa – powiedziała z satysfakcją. – Wszyscy książęta pokłonią się panią do stóp.

Roberta pomyślała, że Villiers raczej nie jest z tych, co to kłaniają się do stóp zaczarowanym królowom, ale czy mogła narzekać? Nie zgiałby również kolan przed krokodylem o bujnym łonie pokrytym złotą farbą, tego była pewna. Będzie musiała dobrze mu się przyjrzeć, żeby odpowiednio dobrać taktykę uwodzenia.

Nastąpiło późne popołudnie, nim wreszcie przymiarki dobiegły końca. Roberta wyszła z sypialni i stwierdziła, że o ile dom jej ojca bynajmniej nie był mały, o tyle rezydencja Beaumont wydaje się od niego wielokrotnie większa. Zgubiła drogę już za drugim zakrętem.

* *sensuelle* (fr.) – zmysłowy.

** *innocente* (fr.) – niewinny.

*** *ennuyeuse* (fr.) – nudna.

Sama sobie była winna, bo zamiast patrzeć, dokąd idzie, wciąż rozważała sprawę sukni. Może jednak Jemma miała rację. Skromna suknia jest jak zbroja, która ma sprawić, że ludzie zapomną o konkubinie jej ojca i o tym, że Roberta siłą rzeczy mieszkała pod jednym dachem z kobietą upadłą. Nigdy nie narzekała na przyjaciółki ojca, zawsze była z nimi w dobrych stosunkach, ale też takimi znajomościami nie wypada się chwalić w sali balowej.

Pokonała kolejne schody i szła dalej jasnym korytarzem, mijając po obu stronach zamknięte drzwi. Właśnie zastanawiała się, czy uda jej się wrócić do głównego skrzydła domu, gdy za zakrętem korytarza usłyszała głośny tupot.

Zza rogu wypadł, z całą szybkością, na jaką tylko mu pozwalały krótkie nóżki, mały chłopczyk.

Odgadła natychmiast, że to syn Damona, i stwierdziła, że nie ma powodu go zatrzymywać. Odsunęła się więc tylko na bok, żeby mógł wziąć porządną rozbieg w długim korytarzu, jeśli mu na to przyjdzie ochota. On jednak zatrzymał się obok niej z gwałtownym poślizgiem i włożył kciuk do buzi.

Roberta wzdrygnęła się w duchu. Niewiele miała do czynienia z małymi dziećmi, ale nieraz w kościele widywała, jak ssą kciuk. Cmokanie pokrytego śliną palca wydawało jej się obrzydliwością.

Chłopczyk przyglądał się jej uważnie, więc się do niego uśmiechnęła. Nie był brzydkim dzieckiem, ale miał okropnie rozczochrane włosy, jakby od dawna nikt go nie czesał. No, tak – nie miał przecież niańki.

– Nie przeszkadzaj sobie, możesz biegać dalej – powiedziała.

Chłopiec patrzył na nią bez słowa. I nadal ssał kciuk.

Poszła więc dalej, a on ruszył obok niej.

– Jak się nazywasz? – zapytała, chcąc być miła.

– Teddy – odrzekło dziecko. Aby jej odpowiedzieć, musiało wyjąć z ust kciuk. Rozległo się ciche mlaśnięcie.

Roberta znowu się wzdrygnęła. Wystarczy tych uprzejmości, uznała.

Ale chwilę później kciuk poszedł w zapomnienie i mały Teddy sam zaczął rozmawiać z Robertą.

– Co robisz?

– Idę – odparła.

– A ja biegam sobie.

– A ja sobie biegam – poprawiła go. Może odezwała się zbyt surowym tonem, ale po latach spędzonych z ojcem dość miała szyku przestawnego, czy to w poezji, czy gdziekolwiek indziej.

– No – odpowiedział. Przynajmniej nie wsadził znowu palca do buzi. Za to nagle stał się rozmowny. – Niani nie mam.

– Nie mam niani – powtórzyła Roberta.

– No. Niania się nazywała Peg i...

– Niania nazywała się Peg.

– Tak, nazywała się Peg i jej brata posłali do więzienia Bridewell, bo ukradł maciorę i prosiaczki, a potem ukradł maselnicy i wsadził do niej prosiaczki.

Tu urwał, ale Roberta nie miała żadnych uwag co do maselnicy i prosiaczków, a zdanie zbudowane było w miarę poprawnie.

Tak więc szli dalej korytarzem, a potem kolejnym. Roberta od czasu do czasu wtrącała jakąś poprawkę gramatyczną, Teddy zaś barwnie opowiadał o rozmaitych zbrodniczych postępach brata swojej niani. Niektóre historyjki były dość zagmatwane i gdyby nie to, że Roberta miała duże doświadczenie w rozumieniu ukrytych znaczeń w wierszach ojca, mogłaby nie zrozumieć chłopca.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam – powiedziała jakiś czas później. – A więc brodata gospodyni, która ma na imię Carper, jest żoną dzikiego grzebacza bagiennego, cokolwiek by to było, ale ma dziecko z kapitanem Longshanksem?

Teddy sprostował. Okazało się, że Carper miała również wąsy, a cały smaczek historii polegał na tym, że nosiła bujniejszy zarost niż kapitan.

Robercie ciekawsza wydała się postać dzikiego grzebacza bagiennego.

Teddy nie potrafił opisać, jak wygląda mąż Carper, ale za to rozwinął wątek jej siostry, która nabyła maść o nazwie Krypta Wenery i strasznie po niej spuchła.

– Cóż to za złowieszcza nazwa. Od razu było wiadomo, że nie wróży nic dobrego.

Gdy już wyjaśniła znaczenie słowa „złowieszczy” i „pomyślny”, a na końcu „krypta”, Teddy zdradził, że opuchlizna wystąpiła tylko z przodu i Carper orzekła, że lekarstwo było źle sporządzone, a środek na robaki doktora Jacksona podziałałby skuteczniej.

Wreszcie w polu widzenia pojawiła się wielka klatka schodowa wiodąca ku środkowej części domu, więc Roberta powiedziała Teddy'emu, żeby wracał do swojego pokoju.

Zamrugał i znów włożył kciuk do buzi.

– Za duży jesteś na to – powiedziała. – Przecież ty masz już chyba z dziesięć lat.

– Sześć – sprostował, nie wyjmując palca z ust.

– To paskudny zwyczaj. Znam takich, co nacierają dzieciom kciuki proszkiem na robaki, żeby już nigdy nie wsadzili ich do buzi – postraszyła go.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Sio – powiedziała. – Bo opowiem twojemu tacie o proszku na robaki.

Teddy czmychnął.

6

Kolacja w gronie rodzinnym – powiedziała Jemma z wyraźnym zadowoleniem w głosie. – Jakże mi tego brakowało w Paryżu!

Siedziała u szczytu stołu, kusząca jak egzotyczny rajski ptak i wcale niepodobna do cnotliwej pani domu. Damon uśmiechnął się do niej.

– Od kiedy to stałaś się domatorką?

Jemma pokazała mu język.

– A ty, Beaumont? Czyżbyś z wiekiem zaczynał doceniać urok domowego zacisza? – zapytała. – Z tego, co pamiętam, rzadko wieczorami jadaleś w domu.

Beaumont bardzo się starał zachowywać dostojnie; Damon wcale się mu nie dziwił, wspomniawszy popołudniową awanturę.

– Skoro ty wróciłaś do domu, to i ja zrobię wszystko, żeby częściej tu bywać – powiedział księżę, odgryzając kęs udka perliczki.

Damon niewiele miał do czynienia ze skłóconymi małżeństwami, ale uznał, że najlepiej będzie zmienić temat. Jemma jednak była szybsza.

– Uważam, że powinniśmy obmyślić plan, w jaki sposób wydać Robertę za mąż – powiedziała, rzucając szeroki uśmiech swej świeżo upieczonej protegowanej.

Damon nie sądził, by jakikolwiek plan był tu konieczny. Łady Roberta miała na sobie wyjątkowo szkaradną suknię, a mimo to wyglądała przepięknie. Ale to nawet nie uroda czyniła ją tak pociągającą, lecz fakt, że wyglądała jednocześnie na rezolutną i naiwną.

– W końcu postawiła przede mną prawdziwe wyzwanie – ciągnęła Jemma. – Beaumont, czy...

Ale w tym miejscu nagle urwała. Damon zorientował się, że Beaumont właśnie przestał jeść i wziął jakiś papier przyniesiony mu przez lokaja.

– Najmocniej przepraszam – rzekł z godnością. – Muszę natychmiast odpowiedzieć na to pismo. Wybacz, Wasza Wysokość, że muszę wstać od stołu, ale to przecież tylko kameralny posiłek w gronie rodziny. – W jego głosie pobrzmiwała jedynie ledwo dosłyszalna nutka ironii.

– Wyzwanie to mało powiedziane – odezwał się Damon, chcąc przerwać niezręczną ciszę, która zaległa, gdy Jemma nie raczyła odpowiedzieć mężowi.

– Nie nadaję się na żonę? – zapytała Roberta.

– Nadajesz, nadajesz – uśmiechnął się do niej Damon. – Największą przeszkodą jest sam Villiers.

– Chyba od stycznia nie zdążył się jeszcze ożenić?

– O, nie. – Jemma przestała piorunować męża wzrokiem, prawdopodobnie dlatego, że ten nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. – Villiers nie jest żonaty.

– W takim razie, o co chodzi?

– On po prostu nie jest z tych, którzy się żenią – odparł Damon. Spojrzał na Robertę z sympatią. Dziewczyna jest przeurocza, pomyślał, ale zakochała się w zupełnie nieodpowiednim mężczyźnie. – W ogóle nie dba o kobiety. Bierze je do łóża, a potem porzuca.

– Ale przecież...

– Nawet nie o to chodzi, że ma w mieście kilkoro nieślubnych dzieci – dodała Jemma. – A wiem, że ma. Problem polega na tym, że matką co najmniej jednego z nich jest kobieta wysoko urodzona, a on i tak jej nie poślubił. Widzisz teraz, o czym mówię?

– I raczej nie skusi go niewinna panienka – odpowiedział Damon. Choć musiał przyznać, że Roberta zupełnie nie przypominała znanych mu naiwnych podlotków.

– Nie jestem jakąś tam panienką! – Wydawała się szczerze oburzona.

– Właśnie widzę – odparła Jemma.

– Krew rodu Reeve daje o sobie znać – stwierdził Damon. – Słuchaj, mam doskonały pomysł! Może jeszcze raz pojedziesz do tej gospody i zaczekasz, aż zjawi się jakiś inny stosowny kandydat? Sam jestem gotów przespacerować się pod oknem w moim szarym garniturze. Niejedna panna straciła dla niego głowę.

Roberta stanowczo kręciła głową.

– Nigdy nie pokocham nikogo, prócz Villiersa.

Była wyraźnie po uszy zakochana; głos jej drżał lekko, gdy wymawiała jego imię. Damon przekąsił nieco perliczki. Nie był wcale urażony, że Roberta tak bezpardonowo odrzuciła go dla Villiersa. Jego propozycja była przecież dość niezobowiązująca.

– Możemy tylko umożliwić wam jak najczęstsze spotkania, zaczynając od jutrzejszego balu. – Jemma zamyśliła się. – W zasadzie to jest dopiero wyzwanie: ożenić Villiersa.

– Męska lojalność wymaga chyba, żebym go przestrzegł – wtrącił znowu Damon. – Dni jego swobody są policzone.

– Villiers będzie dla mnie wymarzonym mężem. – Roberta siedziała ze splecionymi na kolanach dłońmi, a jej twarz przybrała wyraz mało inteligentnego uwielbienia.

– Nie mogłaś wybrać bardziej ambitnie, co? – droczył się z nią Damon. – Nie dość, że ma górę pieniędzy i wysoką pozycję, to jeszcze uchodzi za jednego z najlepszych szachistów w całej Anglii, jeśli nie na świecie...

– Gorzej już być nie może – przerwała Jemma. – Chyba, żebyś zakochała się w Damonie. Trudno mi w to uwierzyć, ale podobno mój brat jest jedną z najlepszych partii w Londynie.

Damon skrzywił się, widząc niedowierzający wzrok siostry; jeszcze mniej ucieszyła go podobna mina Roberty.

– Też byłem zaproszony na bal do Cholmondelayów. Gdybym poszedł, na pewno olśniłbym cię od pierwszego wejrzenia, pozbywszy się uprzednio swoich licznych wielbicieli.

– Próżność to jeden z grzechów głównych. – Roberta uniosła brew.

– I pożałliwość – odparł. – Jednym już zgrzeszyłem, więc drugie mi nie zaszkodzi.

– Skoro tak, to można się też spodziewać, że pozwalasz sobie również na nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu. – Złośliwie skierowała wzrok na okolice jego brzucha, jakby szacując obwód w pasie, a Jemma zaraz poszła w jej ślady.

– Tym się jeszcze nie muszę przejmować – odrzekł beztrząsco. – Co innego Villiers, ten ma już grubo po trzydziestce. Pewnie zaczyna mu się robić brzuszec... Wystarczy spojrzeć na te siwe włosy.

– Grzech zazdrości! – wykrzyknęła Jemma, klaszcząc w dłonie.

– Ja przebieram w grzechach, jak w kochankach – odparował jej brat. – Lenistwo – tak, obżarstwo – nie. Ale dość o tym. – Zwrócił się do Roberty. – Skupmy się na tym, że masz właśnie zamiar dołączyć do stada kobiet, które pożądamy Villiersa, i jakoś musisz pozbyć się konkurencji.

– Wszystko zaraz widzisz w czarnych barwach – sprzeciwiła się Jemma. – Niemożliwe, żeby Villiers był aż tak pożądaną partią. Wprawdzie od lat go nie widziałam, ale zawsze mi się wydawało, że ma w sobie coś jakby... zniewieściałego, nieprawdaż?

– Nie, tu akurat się mylisz – powiedział Damon.

– Skądże znowu! – wykrzyknęła równocześnie Roberta.

Jemma wzruszyła tylko ramionami.

– Myślisz o stereotypowym mężczyźnie – ciągnął Damon. Zerknął spod oka na Beaumonta, ale książe nie słuchał, zajęty swoim piśmem. – Takim, który nosi się na czarno, uprawia boks, bywa w stajniach i ujeżdżał w życiu ze dwa konie – albo przynajmniej tym się przechwala.

– Choć rzadko zdarza mi się bronić honoru mojego męża, to wiem, że gdyby Beaumont kiedykolwiek powiedział, że ujeżdżał konia, byłaby to czysta prawda.

– Miło mi to słyszeć – odezwał się niespodzianie Beaumont, a jego poważny ton zabrzmiał jak uderzenie sędziowskiego młotka. Przewrócił stronę czytanego dokumentu, nie podnosząc nawet wzroku. – Nie przeszkadzajcie sobie, po prostu wpadły mi w ucho słowa: „mojego męża”.

Uśmiech Jemmy zamienił się w sztuczny grymas.

– Niedługo po ślubie miała miejsce dość niezręczna sytuacja, kiedy zapytałam mojego męża – te słowa wypowiedziała z wyjątkowym naciskiem – czy kocha swoją faworytę, a on wyznał mi prawdę.

Damon już otwierał usta, żeby jakoś rozładować napiętą sytuację, ale ubiegła go w tym Roberta.

– Przez całe życie słuchałam, jak mój ojciec opowiada o miłości – powiedziała. – Dość mam zakochanych mężczyzn. Miłość całkiem odbiera im rozum.

– Jeśli kiedykolwiek powiedziałem ci, że kocham swoją utrzymankę – Beaumont zwrócił się do żony, wciąż wbijając wzrok w kartki papieru – to musiałem się mylić.

Jemma zignorowała jego słowa.

– Świetnie cię rozumiem, Roberto. Zakochany mężczyzna ma w sobie coś wysoce niestosownego.

– Ale twój ojciec to poeta – wtrącił Damon. – A Villiers to już całkiem inna historia. Fascynują go ubiory i lubi nosić się na różowo, bo uważa, że ten kolor pasuje do jego siwiejących włosów. Zauważyłaś, mam nadzieję, że siwieję?

– Tak, jego głowę posrebrzył szron. – Roberta znów miała rozmazany wyraz twarzy.

Beaumont złożył na dokumentach zamaszty podpis i wręczył je lokajowi, który miał je odnieść.

– Wybaczcie, że się wtrączę – powiedział, zabierając się znowu do jedzenia. – Ale nie wiem, czy dobrze się orientuję. Czyżby obok wywlekania problemów z początków naszego małżeństwa omawiany był również frapujący temat księcia Villiersa?

– Tak jest – odparł Damon. – Mylisz się, Jemmo. Może Villiers, w przenośni mówiąc, nie obnosi się ze swoim rapierem, ale to wcale nie umniejsza jego męskości.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że Villiers jest w kimś zakochany? – zapytał Beaumont z autentycznym zaskoczeniem w głosie.

– A skąd – odpowiedział Damon. – On w najmniejszym stopniu nie dbał o kobiety ani o przyzwoitość, nie wzruszają go rozkosze miejskiego życia i cała reszta temu podobnych bzdur. Zachowuje się skandalicznie, a i tak wszędzie go zapraszają. To jedna z niewyjaśnionych zagadek istnienia. A kolejną zagadką, moja droga lady Roberto, jest to, w jaki sposób chcesz go skłonić, żeby zainteresował się akurat tobą.

Jemma, zaskoczona, zmarszczyła czoło, zaś Beaumont uniósł brew.

Dlaczego, u licha, jej brat odezwał się tak nieprzyjemnie do Roberty? Damon nie umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale na samą

myśl o tym, że ta przemiła dziewczyna ugania się za Villiersem, krew mu się w żyłach ścinała.

– To miło, że masz o mnie tak wysokie mniemanie. – Roberta wcale nie spieszyła się jego nieuprzejmością. – Ale uważam, że księżę Villiers i ja jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Stworzeni dla siebie? – wykrzyknął Damon. – Może by tak było, gdybyś co drugi tydzień zamieniała się w figurę szachową.

– Popracuję nad tym – odpowiedziała Roberta, nie tracąc rezonu.

– Będzie tu z tobą ciekawie, jak widzę – powiedziała Jemma. – Oryginalność to widocznie u nas cecha rodowa. Może twój ojciec mógłby skomponować poemat z okazji wesela Damona?

– Jakiego wesela? – zdziwił się brat.

– Tego, które ci wyprawię. Czas już najwyższy, żebyś się ożenił.

– Jeszcze nie spotkałem takiej młodej damy, którą miałbym ochotę poślubić. Umysły większości panienek na wydaniu przypominają sprawiedliwość boską.

Odpowiedziały mu zaskoczone spojrzenia obu kobiet.

– Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy – domyślił się Beaumont. – Lord Gryffyn, jak przypuszczam, chciał w ten zawołowany sposób wyrazić krytykę inteligencji młodych dam, których umysły działają bardzo powoli.

– Oto, dlaczego osiągnęłaś dojrzałość, jeśli nie przejrzałaś, wiek. Masz dwadzieścia dziewięć lat i wciąż się nie ożeniłaś. – Jemma zbesztala brata. – Twoje dowcipy są niezrozumiałe i masz zdecydowanie zbyt wysokie mniemanie o własnej inteligencji.

– Tu nie chodzi o moją inteligencję – zapewnił Damon.

– A o co w takim razie chodzi? – W głosie Roberty zabrzmiała ciekawość. – Chciałbyś mieć sawantkę za żonę?

Jemma pospieszyła bratu na odsiecz.

– Problem Damona polega na tym, że już od jakichś pięciu lat jest najlepszą partią do wzięcia.

– Był jeszcze księżę Fletcher – ponuro wtrącił Damon. – Niestety, ożenił się z Perdita Selby i zostawił mnie na pastwę krwiożerczym harpiom.

– Te harpie to swatające matrony – wyjaśniła Jemma.

– I ich córki. To nie pani Hickman wpadła na pomysł, żeby zamknąć mnie w ustępie ze swoją jedynaczką w nadziei, że odbiorę jej cześć.

– Równie dobrze mógł to być pan Hickman – powiedziała Jemma. Damon pokręcił głową.

– Nie, Elinor wpadła na ten pomysł. Nie przyznała mi się do tego wprost, ale uwierz, gdy się z kimś spędzi kilka godzin w ciasnym i dość nieprzyjemnie pachnącym pomieszczeniu, można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

– Trudno zliczyć, ile debiutujących dziewcząt zakochiwało się do szaleństwa w moim bracie – powiedziała Jemma.

Roberta zamrugwała zdumiona.

– Właśnie – ciągnęła Jemma. – Ciężko w to uwierzyć, prawda?

– Trochę. – Roberta uśmiechnęła się.

– Śmiało, obrażajcie mnie dalej – nadąsał się Damon.

– Ależ to wcale nie znaczy, że nie jesteś przystojny – pospiesznie zapewniła Roberta.

– To i lepiej, że nie działa na ciebie jego urok. Byłoby dość niezręcznie, gdybyś dołączyła do stada śliniących się panien, które ganiają Damona po domu z nożem w jednej dłoni i zaręczynowym pierścieniem w drugiej.

– Z nożem?

– Wypraszam sobie, jak dotąd była tylko jedna dama, która wymachiwała ostrym narzędziem – obruszył się Damon. – I wcale nie był to nóż, tylko coś w rodzaju dłuta do rzeźbienia w kamieniu. Młoda Dulcyta Pensington. W ciągu pierwszych paru miesięcy swojego pobytu w Londynie zapalała do mnie wyjątkowo żarliwym uczuciem i pragnęła uwiecznić moją głowę w piaskowcu.

– Jakie to... – Roberta nie dokończyła. Pewnie chciała powiedzieć: „Jakie to dziwne”; pomyślał Damon. – Jakie to pomysłowe! – wykrzyknęła w końcu.

Istotnie, najwyraźniej wcale nie jest nim zainteresowana. Może to i lepiej, jak zauważyła Jemma.

– Dulcyta to słodka, spokojna dziewczyna – zaprotestowała Jemma. – Wprawdzie nie widziałam jej, odkąd była dzieckiem, ale jestem pewna, że zbytnio ubarwiłeś tę anegdotę o dłucie.

– Nigdy w życiu – bronił się. – Słowo daję, że przez co najmniej dwa tygodnie po tym zajściu nie mogłem się ruszyć z domu, żeby zza krzaka nie wyskoczyła ta szalona artystka ze swoim dłutem.

– Nie zwracaj na niego uwagi – poradziła Jemma Robertcie. – Gdy mężczyzna nabiera przekonania o własnej urodzie, nie ma już dla niego nadziei.

– Wcale nie nabrałem przekonania o własnej urodzie – tłumaczył się Damon.

– Potrzeba ci kobiety, która będzie cię traktować jak powietrze – stwierdziła Jemma. – W dniu, kiedy taką spotkasz, zatańczę tarantelę.

– Oto godna pochwała małżeńskiego stanu – wtrącił Beaumont, odkładając sztucce. – Taniec do muzyki, której się nie zna i nie rozumie, z partnerką, która nie zauważa twojego istnienia.

Zart był nie najgorszy, lecz rodzinne poczucie lojalności wymagało, by Damon się nie roześmiał. Jemma znów spiorunowała męża wzrokiem. Damon zerknął na Robertę i w jej oczach również dostrzegł rozbawienie.

Z nową kuzynką przynajmniej można będzie się pośmiać ukradkiem. Ta myśl była naprawdę pocieszająca, skoro miał w perspektywie spędzenie wielu posiłków w podobnej atmosferze.

Tak, ta myśl była bardzo pociągająca.

7

Księżna Beaumont do księcia Villiersa:

„Choć nie widzieliśmy się przez wiele lat, chciałabym pana zaprosić na mój jutrzejszy bal. Lokaj ma rozkaz doręczyć mi pańską odpowiedź”.

Księżę Villiers do księżnej Beaumont:

„Powinna pani częściej rozmawiać z mężem; wtedy wiedziałaby pani, że nie obracamy się w tych samych kręgach. Dziękuję, ale nie skorzystam z zaproszenia”.

Księżna Beaumont do księcia Villiersa:

„Czy zgodzi się pan ze mną, że zbyt wczesne zbijanie pionków to karygodny grzech u gracza?”

Do księżnej Beaumont:

„Chce pani zbić mojego piona? Czarująca propozycja, ale nadal nie skorzystam”.

Do księcia Villiersa:

„Czyżbym źle rozegrała otwarcie? Bicie piona w przelocie to czysta przyjemność, ale ja wolę mieć większe pole do popisu”.

Do księżnej Beaumont:

„Agresywne otwarcie, jak widzę. Czy pani król wie o tym, że mnie pani zaprosiła?”

Do księcia Villiersa:

„Miałam szczęście wygrać z Philidorem, stosując agresywne otwarcie, toteż mam do nich pewien sentyment. Jak przypuszczam, jedną z moich słabych stron jest to, że nie doceniam roli króla w grze”.

Bez nagłówka:

„Mówi pani o François Philidorze?”

Bez nagłówka:

„Oczywiście”.

Bez nagłówka:

„Wygrała pani w szachy z François Philidorem?”

Bez nagłówka:

„Niejeden raz”.

Bez nagłówka:

„Zjawię się na pewno”.

8

Mąż był akurat ostatnią osobą, którą Jemma miałaby ochotę gościć tej nocy w swojej sypialni. Oczywiście, kiedyś w końcu będzie to musiało nastąpić, skoro mieli zamiar podjąć działania zmierzające do spłodzenia dziecka.

– Mogę wejść? – Beaumont, jak zwykle, miał gniewną minę.

Jemma otworzyła mu drzwi bez słowa. Na szczęście, nie miał chyba na myśli spraw łóżkowych. Nie była na to gotowa, jeszcze nie.

Wkroczył do pokoju i stanął na samym środku, zupełnie jakby szykował się do wygłoszenia przemowy w parlamencie.

– Jak się pewnie domyślasz, musimy omówić pewne sprawy.

– Właściwie miałam zamiar zapytać cię o zdrowie – odpowiedziała Jemma, sama siebie zaskakując tym pytaniem.

Beaumont wzruszył ramionami.

– Lekarz uważa, że to omdlenie było raczej skutkiem przepracowania niż kłopotów z sercem. Ale może być i tak, że nie zostało mi wiele czasu. Mój ojciec zmarł dość młodo.

Mimo że mówił to dosyć lekkim tonem, Jemie zrobiło się nieprzyjemnie. Choć nie mieszkali razem, byli w końcu mężem i żoną. Skinęła głową i usiadła na krześle przy kominku.

– To jeden z powodów, dla których prosiłbym, żebyś postarała się ograniczyć różne niestosowne działania. – Ostrożnie dobierał słowa. – W Izbie Lordów zanoszą się na rewolucję pod wodzą młodego Pitta i nie mogę sobie pozwolić na to, żeby akurat teraz zaczęto się interesować moim życiem prywatnym.

Wyraźnie czekał na jakąś odpowiedź z jej strony.

– Doświadczenie nauczyło mnie, że dla ciebie dyskusja jest równoznaczna z monologiem – powiedziała. – Nie przeszkadzaj więc sobie, Beaumont, możesz mówić dalej.

Grymas gniewu wykrzywił twarz księcia, ale kontynuował tyradę na temat przyzwoitego zachowania, parlamentarnych kłopotów i innych równie nudnych spraw. Jemma zaczęła rozmyślać o rozgrywce szachowej, którą ostatnio rozpoczęła. Pionek broniący królowej miał zablokowaną możliwość ruchu...

– Jemmo!

Podniosła wzrok.

– Tak, Elijahu?

Poczuła dziwny dreszcz, wypowiadając imię męża; wiedziała, jak on tego nie lubi. Właściwie Elijah był naprawdę przystojnym mężczyzną. Co za szkoda, że nie mogła z nim wytrzymać.

– Jemmo!

Wstała z fotela.

– Pozwól, że podsumuję twoje oczekiwania względem mnie. Chciałbyś, żebym w każdej sytuacji była wcieleniem przyzwoitości i obyczajności. Wolałbyś, żeby mój brat nie mieszkał w naszym domu ze względu na obecność jego nieślubnego dziecka. Chyba nawet kazałeś mi go wyprosić, ale mam nadzieję, że się przesłyszałam. Powinnam też oddalić swoją asystentkę. Najlepiej byłoby, gdybym nie miała kochanków, nie spraszała do domu rodziny, nie plotkowała z przyjaciółkami. Dobrze cię zrozumiałam?

– Niektóre z tych rzeczy istotnie są nieodzowne. Zgodzisz się chyba ze mną?

– Nie ma mowy.

Podeszła do stolika szachowego i zapatrzyła się na planszę, jakby zastanawiając się nad kolejnym ruchem. W rzeczywistości jednak serce jej łomotało z rozdrażnienia.

Beaumont nagle znalazł się tuż za jej plecami, ale nie powiedział ani słowa. Odwróciła się więc do niego, opierając się o stolik.

– Mój brat przyjechał mnie odwiedzić i zatrzymał się w tym domu, który należy tak samo do mnie, jak i do ciebie. Ale widzę, że twoje zdanie o sobie znacznie wzrosło przez te lata, które spędziłam w Paryżu. Dawniej nie byłeś tak nużąco monotematyczny.

– Proszę tylko – ton jego głosu przeczył uprzejmej prośbie – o minimum tego, czego mężczyzna może oczekiwać od własnej żony. Na przykład, żebyś nie kazała się wnosić nago do jadalni albo...

Roześmiała się.

– A więc ta historia dotarła do Londynu?

– Wątpiłaś, że tak będzie?

– Ale ja tego nie zrobiłam.

– Niestety, prawda ma w tym wypadku podrzędne znaczenie. Ta uroczą anegdota dotarła tu opatrzona twoim nazwiskiem i pełna najdrobniejszych szczegółów, jak na przykład rozmiar srebrnej tacy oraz ilu lokajów cię niosło. – Przyjrzał się uważnie żonie. – Na moje oko, wystarczyłoby czterech, ale plotka głosi, że było ich ośmiu.

Jemma uśmiechnęła się tylko.

– W biodrach i biuście nieco mi przybyło od czasów, kiedy dzieliliśmy łoża. Dla bezpieczeństwa zdecydowałabym się raczej na ośmiu. Ale, tak naprawdę, to Catherine Worlée kazała się wnieść na srebrnej tacy, i to nawet nie podczas mojego przyjęcia. Pewna jestem, że polubiłbyś

ją; można powiedzieć, że zawodowo dotrzymuje towarzystwa mężczyznom twojego pokroju.

Książę zmrużył oczy.

– Co za szkoda, że nie miałem okazji jej poznać. Choć byłoby to dość kłopotliwe nie móc odróżnić własnej żony od kurtyzan w rodzaju mademoiselle Worlée.

– Nie sądzę, żeby sprawiło ci to jakiś kłopot – odcięła się szybko. – W końcu przywykłeś płacić kobietom za przywilej dzielenia z tobą łoża, prawda? A ja... – Krew dudniła jej w skroniach ogłuszająco. – Ja się zajmuję tym sportem dla przyjemności.

Odwrócił się od niej.

– Te kłótnie do niczego nie doprowadzą, Jemmo. Proszę cię jedynie o to, żebyś nie urządziła skandali, które wywołają zgorzienie w całym mieście. Moja praca w parlamencie tobie może wydawać się nudna, ale naprawdę jest ważna.

– Był czas, kiedy uważałam ją za ciekawą. Dopóki nie odkryłam, że twoja kochanka jest nią tak zafascynowana, że aż odwiedza cię w twoim gabinecie, żeby o niej podyskutować.

Przeczesał włosy palcami.

– Na miłość boską, Jemmo, nie możesz wreszcie o tym zapomnieć? Przykro mi, że mnie z nią wtedy zastałaś. Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego mój sekretarz cię wpuścił.

– Ujęła go gorliwość młodej żony pragnącej złożyć małżonkowi niespodziewaną wizytę.

– Już o tym rozmawialiśmy – powiedział książę przez zaciśnięte zęby. – Jedną z niewielu zalet naszego małżeństwa w ostatnich latach było to, że tak rzadko się kłóciliśmy podczas moich wizyt w Paryżu.

– Bo w czasie tych wizyt nie krytykowałaś mnie i nie wstydziliś się za mnie.

– Byłaś w Paryżu. A teraz jesteś tutaj, w moim domu...

– I w moim. Jestem we własnym domu i będziesz się po prostu musiał do tego przyzwyczaić. Jestem tu razem z moimi przyjaciółkami o nie najlepszej reputacji, moim nieślubnym bratankiem i moimi skandalicznymi rozrywkami. Nie jestem dobrą, przyzwoitą małżonką i nigdy taka nie będę. Postaram się natomiast okiełznać swoją fantazję i dostosować ją nieco do twoich zacofanych poglądów. Możesz być zadowolony, bo akurat nie mam kochanka i nie zamierzam się z nikim wiązać.

Nadszedł dobry moment na poruszenie kwestii obowiązków małżeńskich, ale Jemma była zbyt zdenerwowana. W jej sercu szalało nieodparte pragnienie upokorzenia go tak, by pożałował, że mówił o niej w taki poniżający sposób i że sugerował, iż nie rozumiała polityki.

Zapadła niezręczna cisza. Jemma zasiadła przy stoliku szachowym, nie chcąc nawet spojrzeć na męża.

Podszedł i zerknął na rozstawione figury.

– Rozgrywka w toku, jak widzisz?

– Jeszcze nie znalazłam sobie partnera do gry w tym kraju. Chyba że ty się przeprosisz z szachownicą?

– Gram teraz na znacznie większej planszy.

Uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Miał czarne oczy, podkreślone wyrazistymi brwiami lekko rozszerzającymi się na końcach. Prosty nos i mocno zarysowany podbródek odziedziczył po przodkach.

– Mam się teraz poczuć małostkowa i płocha? Pragnę ci przypomnieć, że kobiet nie dopuszcza się do owych gier na większą skalę. Może właśnie dlatego gram w szachy, że nie mam możliwości wykazać się na tej, jak mówisz, większej planszy.

– Cóż to musi być za nieciekawe życie: pozwalać sobie zaledwie na jeden ruch dziennie – powiedział z namysłem, przypatrując się szachownicy. – Całkiem nieźle. Z pozorów spokojna rozgrywka. Czarne mają przewagę materialną, ale białe są na lepszych pozycjach. – Uniósł brew. – Widzę, że naprawdę się podszkoliłaś, Jemmo. Twoje milczenie uznaję za potwierdzenie.

– Nigdy cię nie interesowało, co umiem, a czego nie – odparła bez pardonowo. – Toteż nie zamierzam ci się chwalić... Wiem, co jestem warta, i to mi wystarcza.

– A z kim grasz? Nauczyłaś pokojówkę?

– W Paryżu miewałam partnerów.

– Słyszeliśmy tu o tym zwyczaju – powiedział bezbarwnym tonem.

– Dżentelmen i dama rozgrywający partię szachów w zaciszu sypialni. W Anglii ta moda przyjęła się dopiero w zeszłym roku.

– Co za pech – rzekła. – Miałam nadzieję, że to ja ją tu sprowadzę i przy okazji zgorszę wszystkie szacowne matrony. A ponieważ nie mam tutaj partnera, gram sama ze sobą.

– Czyli wykonujesz aż dwa ruchy dziennie?

– Kiedy gram za przeciwnika, nie jestem sobą.

– Domyślam się, że grasz białymi, które właśnie grożą biciem czarnemu gońcowi?

– Niestety, nie. Gram czarnymi.

Beaumont roześmiał się głośno.

– To ty grasz białymi.

Śmiech zamarł mu na ustach.

– Nie miałem pojęcia, że właśnie rozgrywam partię – powiedział.

– A co dopiero, że wygrywam.

– Życie często miło nas zaskakuje.

– A więc zagroziłem gońcowi wieżą?

– Tak.

– Dlaczego dajesz mi wygrać?

– Nie daję, wygrywasz uczciwie. To było doskonałe zagranie – i doszedłeś do tego zaledwie w pięciu ruchach.

– Musisz być bardzo uczciwa, żeby grać za obu graczy.

– Uczciwość to nie problem, znacznie trudniej naśladować twój styl gry.

– A to dlaczego?

Zerknął na nią, unosząc brwi.

– Bo jesteś doskonałym graczem. Teraz, kiedy ja udaję cię, radzisz sobie nawet lepiej niż wtedy, gdy grywałeś ze mną naprawdę.

Beaumont roześmiał się głośno.

– W związku z tym rzadko udaje mi się z tobą wygrać.

– Czyżbyśmy często ze sobą grywali?

Skinęła głową.

– Ilekroć nie mam z kim grać, zawsze zwracam się do ciebie.

Podniósł z planszy wieżę.

– Czyli jestem dla ciebie stacją przesiadkową pomiędzy innymi partnerami?

– Mylisz partnerów do gry z kochankami – powiedziała. – Mężczyźni, którzy dobrze grają w szachy, rzadko sprawdzają się w łóżku. Te dwie czynności wymagają zupełnie innego typu wyobraźni.

– Powiedz mi w takim razie, jak ja się sprawdzam... na szachownicy.

– Cechuje cię dalekowzroczność, dostrzegasz najdrobniejsze szczegóły i jesteś odważny. Brak ci może gotowości do podejmowania ryzyka, ale, jak nikt inny umiesz przechytrzyć przeciwnika, zapędzić go w kozi róg i pokonać.

Przez chwilę Beaumont milczał, ale w jego oczach czaił się uśmiech.

– Myślę, że moi przeciwnicy w Izbie Lordów zgodziliby się z tobą.

A jaka jest twoja strategia?

– Ja jestem bardziej błyskotliwa, ale nie dość systematyczna. Na nasze ostatnie cztery partie, które rozegrałam sama ze sobą, ty wygrałeś trzy. Ja za bardzo lubię ryzyko.

– To ciekawe, że umiesz powściągnąć swoją porywczność, kiedy grasz za mnie.

– Wcale nie jestem porywca. Zapewniam cię, że kiedy wygrywam, moje ruchy są w pełni przemyślane. A wygrywam często, jeśli nie gram z tobą. Monsieur Philidor był jedyną osobą, która regularnie ze mną wygrywała, ale ja też wiele razy byłam górą.

Jemma czuła na sobie spojrzenie męża, ale nie podniosła wzroku. Beaumont przemówił zdławionym głosem.

– Wiem, że wcale nie musiałaś wracać do Londynu i że pozostawiłaś w Paryżu wiele drogich ci rzeczy, Jemmo.

– To prawda.

– Jestem ci za to wdzięczny – powiedział z ociąganiem.

– Spełniam tylko swój obowiązek.

– Przyznaję, że nie chciałbym, żeby mój siostrzeniec odziedziczył po mnie majątek.

– Nadal jest tak samo głupi jak kiedyś?

– Przyprawia sobie sztuczne włosy – powiedział Elijah. – Nosi sztuczną szczękę, sam mi to powiedział. Wypycha sobie pończochy, żeby mieć zgrabniejsze łydki. Tak więc, można powiedzieć, że ma również sztuczne nogi.

– Nie jestem jeszcze gotowa na poczęcie dziecka – powiedziała Jemma, wciąż nie patrząc na męża. – Przyzwyczaiłam się do przyjemności dla samej przyjemności. I nie uśmiechają mi się te wszystkie udreki, które musi przeżywać ciężarna kobieta. Może gdy sezon się skończy. Wyjechalibyśmy na wieś. – To ci dopiero będzie zabawa, pomyślała.

Skłonił się nisko.

– Jestem do twojej dyspozycji.

Od czasu debiutu królowej Charlotty na zamku Windsor, żaden bal nie wzbudził tylu emocji. I choć wiele osób przypuszczało, że wkrótce księżna Beaumont straci dobrą reputację – do Londynu dotarły plotki o licznych kochankach, których pozostawiła we Francji – na razie nikt z towarzystwa nie miał powodu, by odrzucić zaproszenie.

– Trzeba wykorzystać taką okazję – uznała panna Charlotta Tatlock, zwracając się do swojej siostry, May. – Bóg jeden raczy wiedzieć, czy w przyszłym tygodniu księżna nie będzie już persona non grata.

– Nie lubię, kiedy mówisz tak zagadkowo – odparła May. Wyglądała właśnie przez okno powozu, usiłując dojrzeć, kto za nimi jedzie.

– Nie ma w tym nic zagadkowego, to prosta łacińska sentencja.

– Na jedno wychodzi. A poza tym dobrze wiem, dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby być na tym balu, Charlotto.

– Bo to czysta przyjemność?

– Bo masz nadzieję, że pojawi się tam wuj księżnej, lord Barnaba Reeve.

– No popatrz, całkiem o nim zapomniałam. – Charlotta nie mówiła całej prawdy.

– Ale on przecież chyba wyjechał na wieś? Na pewno nie przyjdzie na bal. Zresztą, dobrze wiesz, że ma trochę źle w głowie.

– Jak wszyscy z rodu Reeve – odrzekła May. – Słyszałaś, że księżna ma zamiar wprowadzić na salony córkę „szalonego markiza”? Ponoć ich rodziny są ze sobą spokrewnione. Wcale mnie to nie dziwi.

May miała wyjątkowo irytujący, piskliwy głosik.

– A ja jestem ciekawa, jaki będzie wystrój sali – powiedziała Charlotta. – Słyszałam, że księżna zamierza udekorować stół z owocami żywymi fiołkami parmeńskimi. Widziałam już owoce na dywanie z mchu; to żadna nowość. Ale obrus z fiołków? To musiało kosztować ze trzysta funtów.

– Ja nie mogę się doczekać, żeby obejrzeć suknię księżnej – stwierdziła May. – To znaczy, jeśli w ogóle będzie miała coś na sobie. Może znowu każe się wnieść nago na tacy.

– Sądzę, że to plotka. To musiałyby być potwornie niewygodne, a w dodatku groziłoby upadkiem na ziemię.

May nie wydawała się całkiem przekonana, ale oto właśnie powóz zatrzymał się u drzwi rezydencji Beaumontów.

– W każdym razie nie wierzę, że nie pamiętasz balu u księżnej Claverstill, skoro całą noc przetańczyłaś z Barnabą Reeve. Ładne zrobiłaś z siebie widowisko!

Charlotta nie uważała swojej siostry za szczególnie błyskotliwą, a to ostatnie stwierdzenie jeszcze tylko utwierdziło ją w tej niepochlebnej opinii. Jakże mogłaby – ona, Charlotta – nie pamiętać tamtego balu? W końcu to wtedy zakochała się w Barnabie Reeve. Choć nie poprosił jej o rękę i wkrótce potem wyjechał z Londynu, ona jednak nie potrafiła o nim zapomnieć.

Wokoło rozbrzmiewała kakofonia dźwięków: zajeżdżały powozy, wysiadali z nich goście, nawoływali się lokaje. May miała na sobie twarzową błękitną suknię na niewielkiej krynolinie, a Charlotta, która szczyliła się wyczuciem stylu, włożyła okazałą kreację z wytłaczanego jedwabiu. Niestety, „twarzowa” i „okazała” – to wszystko, na co siostry mogły liczyć, jeśli chodzi o komplementy. To już nie te czasy, gdy Charlotta tańczyła do upadłego z lordem Barnabą Reeve, mając nadzieję wyjść za mąż w ciągu najbliższych miesięcy.

– Wchodzimy? – Poprawiła sobie na ramionach koronkowy szal.
– Trzeba obejrzeć księżną!

Jednak pierwszą osobą, którą zobaczyły po wejściu, był książę, a nie jego żona.

– Ależ ma wścieklą minę – szepnęła May, gdy już zajęły miejsce w kolejce do przywitania. – Nie mam pojęcia, po co Jej Wysokość wróciła z Paryża. Chyba raczej nie są ze sobą szczęśliwi.

– Może miała dość Francji. Słyszałam, że latem jest tam upiornie gorąco.

– Coś się musi za tym kryć – mruknęła May pod nosem.

Charlotta gotowa była się założyć, że przez cały wieczór siostra o niczym innym nie będzie mówić.

– Dobry wieczór. – Książę skłonił się przed nimi.

Siostry dygnęły.

– Księżna udała się już do sali balowej. – Wzrok księcia miał temperaturę lodowca. – Będzie zachwycona, że są panie dziś z nami, panno Tatlock, panno Charlotto.

– O boziu – wyszeptła May, gdy mijały gospodarza. – Jak chmura gradowa, co? Popatrz tam, po drugiej stronie sali: czy to przypadkiem nie Villiers? To niemożliwe, przecież on i Beaumont nie rozmawiają ze sobą.

– Może zaprosiła go księżna... To by dopiero było ciekawe!

– Co takiego?

May zdecydowanie nie była błyskotliwą osobą.

– Gdyby się okazało, że Villiers myśli o romansie z żoną Beaumonta – wyjaśniła cierpliwie Charlotta. – Villiers nie ma akurat żadnej kochanki, prawda?

– A kto go tam wie! Jego pociągają tylko szachy.

– To prawda, ale i tak między jedną a drugą rozgrywką zdołał poczynić znaczne spustoszenie wśród londyńskich dam.

– A taki z niego gbur! – oburzała się May. – Nie znoszę tego człowieka. – Poprawiła fryzurę. – Może pozwolę Muddle'owi, żeby zatańczył dziś ze mną dwa razy. Patrz, właśnie tu idzie.

Charlotta jęknęła w duchu. Jej starsza siostra wreszcie doczekała się adoratora, a był nim Horace Muddle*. Cieszę się jej szczęściem, powtarzała sobie. Bardzo się cieszę.

Bo i dlaczego miałyby się nie cieszyć? Oboje mieli pomieszane w głowach i lubili mieszać się do spraw innych ludzi; razem będą sobie szczęśliwie mieszać dalej, a ja...

Odwróciła się od nich. Z drugiego końca sali pomachała do niej przyjaciółka, więc Charlotta z uśmiechem zaczęła się przeciskać w stronę miejsca, gdzie siedziały młode mężatki. Wszystkie były mniej więcej w jej wieku i zwykle paplały bez końca o swoich pociechach albo przy najmniej jej tak się wydawało.

Ale nie dziś.

– Widziałaś, w co jest ubrana? – z miejsca wypaliła lady Hester Vesey.

– Jeszcze jej w ogóle nie widziałam. Nie witała gości, zostawiła ten obowiązek mężowi. Wcale nie był zadowolony.

– O, tam jest – powiedziała półgłosem Hester. – Tam, po prawej.

Charlotta udała, że wcale nie wypatruje księżnej. Poprawiła szal, uśmiechnęła się do znajomej siedzącej po lewej stronie i dopiero potem pozwoliła sobie zerknąć we wskazanym kierunku.

* *muddle* (ang.) – pomieszanie, mętlik.

Księżna Beaumont ufryzowała włosy w spiętrzoną wieżę z loczków i wplotła w nie kwiaty zrobione z drogich kamieni. Miała tak wytworną kreację, że Charlottcie z zazdrości zrobiło się słabo. Była to suknia z włoskiego jedwabiu w cytrynowożółtym kolorze, z wierzchnią warstwą ozdobnie przymarszczoną i haftowaną w różyczki.

– Widzisz, z kim rozmawia? – szeptwała Hester.

– Aha. – Charlotta zmrużyła oczy, słysząc wybuch śmiechu księżnej. – To Delacroix. A podobno zostawiła go w Paryżu.

– Przyjechał tu za nią.

– Wiesz o tym, że jej brat wprowadził się do rezydencji razem ze swoim dzieckiem?

Na to Charlotta otworzyła szeroko oczy.

– Dziwię się, że księżę na to pozwolił.

– Znowu wszyscy zaczęli się zastanawiać, kto też może być matką. Wczoraj lady Piddleton przysięgała, że to dziecko Mary Strachey. Ale inni z kolei mówią, że jego kochanka wyjechała do Ameryki i zostawiła go z dziećmi.

– Do Ameryki? No, nie wiem.

– Cóż, tak się w każdym razie mówi. Nie bardzo rozumiem, dlaczego nie oddał go po prostu na wieś. Każdy normalny mężczyzna by tak zrobił.

– Nigdy go nie widziałam w towarzystwie Mary Strachey.

– To jeszcze nic nie znaczy. – Argumenty Hester były nie do zbiccia.

– Mężczyzn, z którymi ona się zadaje, jest cały legion, czy jakoś tak, jak mówi Biblia. A twoja siostra, jak widzę, dość mocno spoufala się z Muddle'em.

– Owszem – odrzekła Charlotta. – Spodziewamy się ślubu w rodzinie.

– Po niej przyjdzie kolej i na ciebie – pocieszyła ją Hester. – Nigdy nie jest za późno.

Charlotta po cichu zgrzytnęła zębami.

– Nie tracę nadziei.

– Cóż, uważam, że...

Ale nie było jej dane usłyszeć, jaką to światłą radę ma dla niej przyjaciółka, bo mąż Hester skłonił się przed nią i uprowadził na parkiet, pomimo jej protestów.

– Znosi się na to, że Corbin będzie grać w szachy z Villiersem. Nie przegapię takiej rozgrywki, więc jeśli chcesz tańczyć – to teraz.

Charlotta westchnęła zrezygnowana. Małżeństwa, które знаła, dalekie były od ideału, ale zarazem bardzo pragnęła mieć męża. Siedziała sztywno wyprostowana i starała się, by nie wyglądać na osamotnioną. Powinna się już do tego przyzwyczaić. Zabrzmiały pierwsze akordy... zaczynał się polonez.

Nagle w polu jej widzenia pojawiła się para lśniących butów.

– Pani pozwoli?

Tuż przed oczami zobaczyła dłoń w rękawiczce... Charlotta uniosła wzrok. Był to księżę Beaumont.

– Wasza Wysokość. – Charlotta podniosła się i wykonała przepisywany dyg.

– Panno Charlotto. Czy mogę prosić o ten taniec?

Charlottcie zamarło serce. Prawda, księżę miał żonę, ale był tak zabójczo przystojny. Podała mu dłoń i chwilę później kroczyli dostojnie po parkiecie. Ledwo się powstrzymywała, żeby nie zerkać wkoło, sprawdzając, ile osób zauważyło, że sam gospodarz balu poprosił ją do tańca.

Zaczęła przyglądać się księciu. Owszem, sływał z wybuchowego temperamentu i niemądrze byłoby wyprowadzić go z równowagi. Jednak z drugiej strony jego dokonania w Izbie Lordów były naprawdę godne podziwu.

Miała przed sobą dwie możliwości: albo będą tańczyli przez dwadzieścia minut w całkowitym milczeniu, albo to ona nawiąże konwersację. Księżę najwyraźniej uważał, że spełnił już swój towarzyski obowiązek, prosząc ją do tańca.

– Wasza Wysokość, czytałam skrót pańskiego przemówienia w Izbie Lordów.

Księżę nieznacznie się ożywił.

– W „Gazecie Londyńskiej”? Niestety, większość Izby opowiedziała się za opozycją.

– Ale czy jest pan pewien, że nie myli się pan co do pomysłu pana Foksa w sprawie komisji rządowej kontrolującej Kompanię Wschodnioindyjską?

– Czy jestem pewien, że to bezczelna próba przejęcia bogactw kompanii? Oczywiście, że tak. – Księżę już nie wyglądał na zadowolonego z jej pytań.

– Mówię o tym tylko dlatego, że uderzyło mnie sformułowanie tej uchwały. Rozumiem pańskie pragnienie wymuszenia przedterminowych

wyborów, ale czy kompanie handlowe nie powinny być kontrolowane przez rząd? Ktoś musi im patrzeć na ręce.

– Wigowie patrzą kompanii na ręce tylko po to, żeby zagarnąć jej majątek.

– Jak trudno jest odróżnić przeciwdziałanie korupcji od chciwości – zauważyła Charlotta. – Pomyślałam sobie... – Urwała.

– Co pani pomyślała? – zapytał ksiądz z ożywieniem, pochylając się nieco w jej stronę. – A niech to szlag, zmiana figur – zaklął. – Zaraz pani dokończy.

Chwilę później spotkali się w kolejnej figurze tańca. Charlotta spojrzała na księcia ponad ich złączonymi dłońmi.

– Jak się pan może domyślać, czytam tylko doniesienia z „Gazety”.

– Akurat ostatnio były dość rzetelne, co się nieczęsto zdarza.

– Pomyślałam, że w swojej następnej przemowie mógłby się pan skoncentrować na kwestii zdrady stanu – powiedziała. – Jeśli się nie mylę, szuka pan zwolenników, by przeciwstawić się Foksovi. Ale ja na pana miejscu podkreślałabym raczej poparcie dla króla, a nie weto wobec sekretarza stanu. Fox jest przecież ogromnie popularny.

Ksiądz zmarszczył brwi, rozważając jej sugestię.

– Może i mogłbym tak zrobić. Ale to Fox jest tu źródłem problemów, koniecznie trzeba się go pozbyć.

– Niech pan powie w Izbie, że każdy, kto zagłasuje za tą uchwałą, będzie wrogiem króla. O Foksie niech pan nawet nie wspomina.

Ksiądz zgubił krok w tańcu, ale zaraz odzyskał równowagę.

– Panno Charlotto, jestem nadzwyczaj zadowolony, że poprosiłem panią do tańca.

Charlotcie znowu żywiej uderzyło serce. Ksiądz odciągnął ją na bok.

– A czytała pani może w „Gazecie” debatę Foksa z lordem Temple?

Roberta zdawała sobie sprawę z tego, że od dawna już powinna być w sali balowej. Wiedziała, że wystarczy zejść po schodach, a zaraz otoczy ją szum i gwar, który przenikał cały dom. Była gotowa już od dobrych czterdziestu minut.

Ale ta suknia wydawała jej się do niczego. Po raz kolejny przyjrzała się sobie w lustrze.

– Będziesz *jeune fille**, jak należy – oznajmiła jej Jemma rano. – Ubierzemy cię skromnie, tu i ówdzie damy pączki róż, może jeszcze jakiś sznurek pereł.

– Ale ja nie chcę być *jeune fille* – narzekła Roberta.

Jemma była jednak niewzruszona.

– Rozumiem, że w głębi duszy jesteś nieodrodną córą rodu Reeve. Ale na twoim pierwszym balu socjeta musi cię zapamiętać jako młodzieńcze uosobienie skromności, słodką i niewinną jak pączek róży. Później będziesz mogła być sobą. Po ślubie.

Roberta westchnęła. A tak marzyła, żeby pójść na ten bal. Niełatwo udawać słodkie niewiniątko. Jeszcze raz przećwiczyła skromne spuszczenie wzroku. Niestety, nie dało się zachować niewinności, gdy się dorastało w domu jej ojca. Czuła się jak idiotka. Wilk w owczej skórce.

W tej chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadła Jemma.

– Tutaj się schowałaś! No, ale wyglądasz prześlicznie!

Roberta znowu zerknęła w lustro. Jej włosy zostały starannie upięte i ufryzowane przez pokojówkę, którą odstąpiła jej Jemma. Miała na szyi perły, a we włosach kwiaty jabłoni. Krynolina była elegancka i dość obszerna, ale nie na tyle, by przeszkadzać w tańcu. Wargi i policzki miała lekko uróżowane. Wykrzywiła się do własnego odbicia.

Jedynym elementem stroju, który naprawdę przypadł jej do gustu, były pantofelki: prześliczne różowe cudeńka.

No i może jeszcze pieprzyk przyklejony wysoko na policzku.

– Nie jesteś zadowolona? – Jemma stanęła przed lustrem, wyglądając zza jej ramienia.

– Och, ależ jestem! – pospiesznie zapewniła Roberta. – Byłabym niewdzięcznicą, gdybym tego wszystkiego nie doceniła. Jestem zachwycona, przysięgam. Nigdy jeszcze tak ładnie nie wyglądałam! Tak naprawdę – zwierzyła się – pierwszy raz w życiu mam upudrowane włosy.

– Swędzi, co? Ja unikam pudru, jak tylko mogę – powiedziała Jemma ze zrozumieniem. – Ale są takie okazje, kiedy po prostu nie wypada nie upudrować włosów.

– Naprawdę, Jemmo, bardzo ci za wszystko dziękuję.

Jemma zmrużyła oczy, przyglądając się jej w lustrze podejrzliwie.

* *jeune fille* (fr.) – młoda dziewczyna.

– A w co byś chciała się dziś ubrać?

Roberta знаła właściwą odpowiedź.

– Dokładnie w to, co mam teraz na sobie. Schodzimy na dół?

Ale Jemma uśmiechnęła się domyślnie.

– Masz się za *séductrice**?

Roberta zmierzyla wzrokiem śliczną pastereczkę, która spoglądała na nią z lustra.

– Sama nie wiem – powiedziała.

– Ale chciałybyś się przekonać?

– Nie sędzę, żeby Villiersa pociągała młodzieńcza uległość – wyznała Roberta. – Nie wygląda mi na kogoś, kto zabiegałby o względy niewinnych młodych panienek.

Jemma zaśmiała się głośno.

– Absolutnie nie.

– Dlaczego więc mam być tak ubrana? Na nim nie robi to wrażenia – zmartwiła się. – A o innych nie dbam!

– Zanim zaczniesz uwodzić Villiersa, musisz poradzić sobie z socjetą – powiedziała Jemma. – Oni są jak stado baranów, jeśli raz wbiją sobie coś do głów, trudno ich przekonać, że jest inaczej. Wystarczy, że dzisiaj prezentujesz się jako skromna i układna młoda dama, a taką cię zapamiętają. Dopiero wtedy zaczniesz dostawać zaproszenia na przyjęcia, gdzie będziesz mogła spotkać Villiersa. Nawiasem mówiąc, on już tu jest.

– Naprawdę? – Robercie z wrażenia zakręciło się w głowie.

– Postaraj się dzisiaj, a jutro od rana zostaniesz zasypana zaproszeniami. Na większości przyjęć będzie też Villiers.

– Jestem gotowa. – Roberta chwyciła rękawiczki.

Jemma uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Masz być skromna.

Roberta spuściła wzrok i zamrugała.

– Doskonale – oceniła Jemma. – I niewinna.

Roberta przechyliła głowę na bok i posłała jej mało inteligentny uśmiech.

– Nie aż tak niewinna – roześmiała się księżna. – Widzę, że oszukiwanie idzie ci wyśmienicie, choć nie mam pojęcia, jak się tego nauczyłaś, mieszkając pod jednym dachem z poetą.

* *séductrice* (fr.) – uwodzicielka.

– Życie w domu poety stwarza wiele okazji do oszustw. – Roberta schodziła sama, bo krynolina Jemmy zajmowała całą szerokość schodów. – Nie zawsze, na przykład, rozsądne było informowanie ojca, co tak naprawdę sędzę na temat jego najnowszego utworu.

– Zmyślanie to nadzwyczaj użyteczny sport – oświadczyła Jemma. I jakby dla potwierdzenia tych słów zatrzymała się przed drzwiami sali balowej i przedstawiła Robertę kilku znajomym matronom jako swoją bliską krewną, którą zna od lat. A potem nachyliła się konspiracyjnie w ich stronę, a Roberta usłyszała słowo „dziedziczka”.

Na to jedna z kobiet nagle wyczarowała z powietrza chuderławego młodzieńca, swojego syna, i przedstawiła sobie dwoje młodych. Roberta zrobiła niewinną minkę i dała się porwać do tańca lordowi Rollinsowi.

Nie minęła godzina, a utwierdziła się w przekonaniu, że cały Londyn ma ją za skromną i posażną panienkę z prowincji.

– Bo nią jesteś – powiedziała Jemma w przelocie. – Pamiętaj o swoich jedenastu jabłonkach.

– Po co mi te jabłonki? Villiers na pewno ma własne sady.

– Każda kobieta zawsze powinna mieć jeszcze cel drugoplanowy – jakiegoś kandydata w odwodzie.

Ale Roberta nie miała nikogo w odwodzie. Villiers był idealnym kandydatem na męża. Dojrzała go przelotnie wśród tłumu gości i poczuła, że dokonała słusznego wyboru. Prezentował się nader okazale we fraku wyszywanym w maki. Każdy inny mężczyzna w takim stroju mógłby wzbudzać podejrzenie, że jest zniewieściały, lecz na księciu nawet kwiaty nie ośmiały się wyglądać delikatnie.

Roberta nie była głupia, dobrze wiedziała, że Villiers nie zainteresuje się niewinną panienką z pudrowanymi loczkami. Jeśli chce go poślubić, będzie musiała nieźle się nagłowić.

10

Jemma zmuszona była przyznać, że o ile jej mąż zasługiwał na miano przystojnego mężczyzny, o tyle nie dało się tego powiedzieć o księciu Villiersie. Twarz miał pociągłą, wychudłe policzki i czarne brwi; całości

dopełniał pieprzyk przyklejony wysoko na policzku. Usta księcia miały barwę identyczną jak haftowane maki na jego fraku, Jemma powątpiewała, że w naturze wargi miewają taki kolor. Czarno-srebrne włosy Villiers ściągnął po prostu do tyłu i związał niedbale, nie wkładając peruki ani nie pudrując fryzury. Nadawało mu to zawadiacki wygląd korsarza z czasów królowej Elżbiety.

Villiers i Beaumont byli tak różni, jak noc i dzień. Przez prawie godzinę Jemma przyglądała się Villiersowi z daleka: nie prosił nikogo do tańca, czał się jak drapieźnik w poszukiwaniu zdobyczy. Elijah, dla odmiany, tańczył. Widziała, że prosi do tańca wszystkie samotne niewiasty, jak na gospodarza przystało. Jedyną kobietą, której Villiers okazał zainteresowanie, była lady Nevill. Jemma знаła ją tylko ze słyszenia, ale musiała przyznać, że dama jest nader ponętna ze swoim tajemniczym uśmiechem i sennym spojrzeniem.

Jemma zastanawiała się nad strategią postępowania. Misja pomszczenia samobójstwa Beniamina nabrała nagle zupełnie innych barw, stała się bardziej ekscytująca. Czy powinna uwieść Villiersa? Czy raczej zadowolnić się pogębieniem go na szachownicy? A może jedno i drugie? Tańczyła teraz w pobliżu Villiersa, lecz on jakby jej nie dostrzegał.

Nagle, niespodziewanie, ciężkie powieki uniosły się i książe spojrział wprost na nią. Przeszedł ją nagły dreszcz; w jego oczach dojrzała błysk szachisty, ten sam, który widywała u Philidora, kiedy królową biła jego pionki.

Obróciła się w tańcu, a gorset jej sukni nagle zrobił się dziwnie ciasny. Kiedy ponownie zerknęła w stronę Villiersa, on szeptał coś do ucha lady Nevill. Nie był nawet w połowie tak przystojny jak Beaumont, ale jego hultajski wygląd miał w sobie coś nieodparcie pociągającego, czego brakowało jej sztywnemu i zasadniczemu mężowi.

Minęła w tańcu Robertę, która uśmiechała się czarująco do jakiegoś młodego dziedzica. Młodzian chyba już wpadł po uszy, i bardzo dobrze. Roberta spojrzała na Jemnę ponad jego ramieniem, unosząc cynicznie brew.

W tej samej chwili Jemma zdała sobie sprawę, że jej zemsta wcale nie musi przebiegać równoległe z planami Roberty. Oba zamiary można połączyć w jeden. Kiedy schwyta mężczyznę, którego próbowała usidlić połowa londyńskich dam, przekaże go Robercie. A wszystko w ramach zemsty za Harriet.

Małżeństwo stwarzało okazję do setnych – nie, nawet tysięcznych – drobnych upokorzeń, jakie Harriet pragnęła sprowadzić na Villiersa.

To będzie zemsta doskonała.

Nagle Villiers stanął przed nią z bezczelną miną.

– Czarny koń do usług.

– Dlaczego nie król? – zdziwiła się.

Wyjął z kieszeni cygaro.

– Wyjdźmy na zewnątrz, dobrze?

I nie czekając na odpowiedź, wyszedł na balkon. Odrzucił koronkowe mankiety i przypalił cygaro od pochodni na ścianie. Migoczący ognek oświetlił mu twarz. W mroku jego skóra jaśniała czystą bielą i odcinała się od czerni włosów ściągniętych z czoła do tyłu. Nie, nie był przystojny.

Nie należał też do tego typu mężczyzn, którzy potrafią wdać się w przyjacielską bójkę z kolegami. Emanowały z niego inteligencja i wyrefinowanie. Nic dziwnego, że był najlepszym graczem w Anglii.

Wszystkie zmysły mówiły jej, że znajdzie w nim godnego partnera; przez moment nawet nie była pewna, czy chodzi jej o szachy, czy o łożo. Wyzwanie – co za wyzwanie! Villiers znany był z tego, że z absolutną obojętnością brał kochankę za kochanką. Jeśli Roberta ma go poślubić, Jemma będzie musiała wziąć sprawę w swoje ręce, nawet za cenę zasad przyzwoitości, bo raczej nie ma szans, że książe oświadczył się z miłości.

Właściwie, Villiers był zakochany... w szachach. W mężczyźnie, który przywiązał się do szachownicy, nie ma miejsca na inne namiętności, jak się o tym boleśnie przekonała Harriet.

Villiers stał w milczeniu i przyglądał się jej, zaciągając się cygarem. Jemma także się nie odzywała. Nie cierpiała rozpoczynać rozmowy, tak łatwo było przy tym zdradzić się ze swoją strategią. Kobiety, jak zauważyła, zbyt szybko i zbyt ochoczo przechodziły do flirtu.

Ona zaś odwróciła się twarzą do balustrady i wyjrzała do ogrodu. Wiekowe wiązy pokrywały się młodymi listkami, którym rosnące pod drzewami dzwoneczki nadawały niemal błękitny odcień.

– Mat dla czarnego króla związanego przez własne figury.

– Stara sztuczka, lecz skuteczna – powiedziała, zwracając się ku niemu. Czuła się trochę rozczarowana. Czy Villiers uważa, że musi ją przepytwać ze znajomości technik gry?

– Wie pani – odezwał się niespiesznie, spoglądając na nią nad zapalonym cygarem. – Często, kiedy wchodzę do klubu Parsloe, zastanawiam się, że nie mam z kim grać.

Wzruszyła ramionami. O co mu chodzi? Ona sama rzadko miewała równych sobie partnerów, z wyjątkiem Philidora.

– Musi mi więc pani wybaczyć, że w swoim entuzjazmie staję się zuchwały.

– Benjamin, książę Berrow, grywał nie najgorzej. – Jemma postanowiła wysondować przeciwnika.

Wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie. Policzki jakby zapadły mu się głębiej, w oczach pojawiło się spojrzenie człowieka prześladowanego przez wyrzuty sumienia.

– To był dobry przeciwnik. Zwłaszcza jakieś pięć lat temu.

– A więc z czasem ubyło mu zdolności. Panu także?

– Ja grałem najlepiej, gdy miałem dwadzieścia lat. – Zaciągnął się głęboko dymem z cygara. – A pani?

– Ja właśnie teraz jestem w szczytowej formie. – Jemma nie skłamała, a patrząc Villiersowi w oczy, miała pewność, że i on to dobrze rozumie.

– Jakie miał o pani zdanie Philidor? Niewiele się mówi o francuskich szachistkach, choć przyznaję – tu zawiesił głos – że o pani akurat słyszałem.

– Jeśli uda się pan do Paryża, żeby zagrać z Philidorem – a myślę, że warto – powiedzą tam panu, że był jednym z moich kochanków. To dlatego, że niemal codziennie bywał w mojej sypialni, gdzie grywaliśmy w szachy na stoliku obok mojego łóżka.

– Mniemam, że to nie pani łóżko go tam znęciło – powiedział Villiers obojętnym tonem. Z jego ciemnych oczu nic się nie dało wyczytać.

– Skądże znowu – odrzekła Jemma ze spokojem. – Czasem, żeby dłużej cieszyć się rozgrywką, umawialiśmy się tylko na jeden ruch dziennie.

– Domyślałam się, że była to nieporównana przyjemność.

– I owszem.

– A poza tym, z kim pani zazwyczaj grywa?

– Zwykle sama ze sobą.

– No, no. Sama ze sobą? – zapytał z przekąsem.

Jemma nie miała pewności, czy ma na myśli szachy, czy też sprawy łóżkowe.

– Życie w pojedynkę bywa znacznie mniej skomplikowane – westchnęła.

– No, nie wiem – odparł Villiers. Dym z cygara zasłaniał jego oczy przed wzrokiem Jemmy. – Ja szukam sobie partnerów w Parsloe albo u White'a. Wolę zagrać z nieznanym albo ze słabszym przeciwnikiem, niż skończyć w zaciszu sypialni, piastując w dłoni własnego pionka.

– Może tym właśnie różni się mężczyzna od kobiety – stwierdziła Jemma. – Odkryłam, że moja umiejętność gry w szachy zrodziła się po wielu godzinach uczenia się samej siebie.

Uśmiechnął się drapieżnym uśmiechem tygrysa, który właśnie spostrzegł ofiarę.

– Nie wątpię, że to będzie bardzo ciekawa rozgrywka – powiedział. – Bo przecież rozegramy partię, prawda?

Jemma nie spuściła wzroku.

– Umówmy się na mecz. Wygrywa zwycięzca dwóch spośród trzech rozgrywek.

– Godny z pani przeciwnik.

Zaszeleściły jedwabne zasłony i na balkon wszedł Elijah, podtrzymując jakąś pannę, która prawdopodobnie omdlała w ścisku sali balowej. Za nimi wpadła na balkon matka dziewczyny.

Elijah spojrzał w ich stronę i zamarł. W następnej chwili dziewczę sianiało się już w ramionach matki, a Elijah stanął przy nich.

– Co za nieoceniona przyjemność gościć w moim domu przyjaciela z dzieciństwa – powiedział.

– Rzeczywiście, zwłaszcza takiego, z którym się nie rozmawia – odrzekł obojętnie Villiers. – Twoja żona i ja właśnie chwaliłymiśmy zalety życia w pojedynkę.

– Czyżby?

Byli jak noc i dzień. Beaumont miał w sobie płomień gorliwości, która podsyciała jego polityczne ambicje i która doprowadziła go do tak wysokiej pozycji rządowej u boku premiera, a także sprawiła, że sam król chętnie się go radził. Villiers, niedbale wsparty o poręcz balkonu, trzymał cygaro w długich, szczupłych palcach i spoglądał spod na wpół opuszczonych powiek. Miał zmarszczki na czole i pod oczami, podczas gdy Beaumont wciąż wyglądał jak dwudziestokilkuletni młodzieniec. A przecież na pewno zawdzięczał polityce tyleż samo nieprzespanych nocy co Villiers hazardowi.

– Opowiadała mi – ciągnął Villiers – że wielokrotnie wygrała z Philidorem.

– Gwoli prawdy, nieraz też z nim przegrałam – przyznała Jemma.

Elijah uniósł brew.

– Widzę, że się co nieco nauczyłaś.

Jemnę ogarnęła złość. Skoro mąż zagrał z nią zaledwie kilka razy, kiedy tylko się pobrali, skąd może wiedzieć, kiedy i czego się nauczyła? Nie odezwała się ani słowem.

Villiers znowu zwrócił na nią spojrzenie.

– Czyli jesteście umówieni na mecz? – zapytał, wyrzucając cygaro. Wzleciało w powietrze, znacząc na wieczornym niebie świetlistą smugę, i wylądowało na zwirowej ścieżce poniżej. Oczywiście, Elijah śledził je wzrokiem. On nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Rozżarzone cygaro mogłoby wywołać pożar. A jeśli nawet nie, to po co przysparzać służbie pracy?

– Jak najbardziej – odparła. – Zastosujemy zasadę jednego ruchu dziennie? Mecz będzie trwał dłużej, ale o ileż więcej da nam satysfakcji.

– Jeśli dwie partie zakończą się remisem, trzecią rozegramy z zawiązanymi oczami.

Jemma uśmiechnęła się mimo woli. Grała już w ten sposób, ale sama. Z przeciwnikiem taka gra będzie znacznie ciekawsza.

Villiers skłonił się niedbale. Jego wyszywany w maki frak mógłby być ozdobą garderoby najelegantszego paryskiego dandysa.

Elijah był ubrany, jak zwykle, w tradycyjną czerń.

Gdy Villiers odchodził, Jemma zauważyła, że włosy miał przewiązane czerwoną wstążką w kolorze kwiatów na ubraniu. Makowa czerwień drastycznie odcinała się od jego ciemnych włosów. Ten człowiek sam dla siebie był wyrocznią mody; w Paryżu mężczyźni nosili tylko czarne aksamitki.

– Gdzie będziecie grali? – Głos Elijah'a nie zdradzał emocji, ale na jego twarzy Jemma dostrzegła wzburzenie. Obruszyła się w duchu, nie wiedząc dlaczego on bez przerwy jest taki zdenerwowany.

– Przypuszczam, że dokładnie tam, gdzie zawsze grałam z Philidorem.

– Czyli?

– W mojej sypialni. – Z perwersyjną przyjemnością patrzyła, jak w jego oczach zapala się płomień gniewu.

– A jaka będzie nagroda dla zwycięzcy?

Wzruszyła ramionami wystudiowanym ruchem, który miał zwracać uwagę na kremową biel jej skóry.

– Musi być jakaś wygrana? – zapytała, kierując się do wyjścia.

Ale Elijah stał na drodze do drzwi. Zmęźniał przez tych ostatnie osiem lat. Kiedy wyjeżdżała z Anglii, był młodzieńcem o szczupłych nogach i szerokich ramionach, a teraz wyglądał jak prawdziwy mężczyzna. Z irytacją odsunęła od siebie tę myśl.

– Domyślam się, że to ty masz być jego nagrodą? – Musiała to przyznać, że wciąż zachowywał pozory obojętności.

– Nie jestem niczyją nagrodą – powiedziała z naciskiem, patrząc mu w oczy. – Jestem darem... który mogę dać za darmo, komu tylko zechcę.

– Dar zbyt często ofiarowany traci wartość.

– Nie może być – zakpiła Jemma. – Gdzieś już to słyszałam... ależ tak! W kościele. To niesłychane, żeby polityk cytował katechizm. Czyżbyś się minął z powołaniem?

– Jeśli masz zamiar grać z nim... – Beaumont urwał, nie dokończywszy zdania.

Jemma już go wyminęła, ale słysząc te słowa, stanęła jak wryta. A potem odwróciła się bardzo powoli.

– Chcesz ze mną grać w szachy tylko dlatego, że umówiłam się na mecz z Villiersem? Raczysz sobie chyba żartować.

– Czy mąż nie może już zagrać z żoną? – powiedział z zaciśniętymi ustami. – Nie widzę w tym nic szczególnie zaskakującego.

Roześmiała się.

– I będziemy grali na tych samych zasadach? Jedno posunięcie dziennie; trzy rozgrywki, w tym trzecia z zawiązanymi oczami, jeśli w ogóle do niej dojdzie?

Wzruszył ramionami.

– Ale ty, Beaumont, jeśli się nie mylę, od lat już nie zasiadałeś do szachownicy. Nie boisz się, że wyszedłeś z wprawy?

– Nic nie ryzykuje. W końcu sama powiedziałaś, że nie przewidujesz żadnej nagrody dla zwycięzcy.

Zamilkła. Przecież nie będzie mu wytykać, że wystąpił z propozycją gry tylko ze względu na swoją niechęć do Villiersa.

– Będziesz musiał zwracać się do mnie uprzejmie – oznajmiła. – I spodziewam się widzieć cię w domu codziennie, żebyś mógł wykonać swój ruch. Zdaje mi się, że wiele nocy spędzasz w swoim gabinecie.

Oboje wiedzieli dobrze, że księżę nie sypia sam, kiedy nocuje w swoich apartamentach w Westminsterze.

Ale on znów tylko wzruszył ramionami. Rzecz jasna, Jemma zdawała sobie sprawę z tego, że mężczyzna po trzydziestce nie cieszy się już taką potencją jak dwudziestolatek. Tego dnia, gdy zastała go z kochanką na jego własnym biurku, zaledwie kilka godzin wcześniej wstał z małżeńskiego łóżka. Była zła na siebie, że to wspomnienie wciąż jeszcze sprawiało jej ból, nawet teraz, po tylu latach.

– Zgoda, zagram z tobą – powiedziała, odwracając się od niego. – Na dodatek dam ci szansę, możesz zacząć z uprzywilejowanej pozycji.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł bez cienia emocji w głosie.

Wspomnienie tamtego dnia wciąż bardzo ją bolało, więc uśmiechnęła się słodko.

– Wtedy mecz będzie dla mnie większym wyzwaniem.

Na jego policzkach pojawił się lekki rumieniec, zwiastun gniewu. Teraz jednak Elijah znacznie lepiej radził sobie z powściągnięciem własnych emocji niż za czasów ich młodości.

– Nie – odrzekł stanowczo. – Przypomnij sobie: kiedy udajesz, że grasz ze mną, ja często wygrywam. Śmiem twierdzić, że sam też jestem w stanie osiągnąć równie dobre wyniki.

Albo chce ją upokorzyć, albo kompletnie nie docenia jej biegłości w grze, pomyślała Jemma. Pewnie raczej to drugie.

Dygnęła.

– Ależ oczywiście, Wasza Wysokość. Możemy zacząć grę od jutra?

– Mam ważne głosowanie w Izbie Lordów. Ale Villiers pewnie skorzysta z okazji, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

– Jak każdy mężczyzna, który miał zaszczyt dostąpić moich względów.

Skłonił się nisko.

– Zatem do jutra.

Plotka rozeszła się po sali balowej lotem błyskawicy. Podobno księżna Beaumont ma rozegrać dwa mecze szachowe: jeden z księciem Villiersem, który od dawna nie utrzymuje kontaktu z jej mężem, a drugi właśnie ze swoim małżonkiem.

– Słyszałam, że ona fenomenalnie gra w szachy – odezwała się May około pierwszej w nocy.

– Może i tak – odparła Charlotta nieobecny tonem. Wciąż widziała głębokie, poważne oczy księcia. – Ale uważam, że nierozważnie postępuje, wchodząc w układy z Villiersem.

May roześmiała się tylko.

– Jeśli tak mówisz, siostrze, to znaczy, że już się starzejesz. Nawet ja ci powiem, że Villiers to smakowity kąsek. – Umilkła, jakby zaskoczona, że powiedziała coś takiego.

– Ta młoda podopieczna księżnej, lady Roberta, sprawia bardzo przyzwoite wrażenie. – Charlotta zmieniła temat.

– Tak, taka z niej miła, naiwna dziewczuszka, prawda?

Nagle Charlotta zorientowała się, że May wpatruje się we własną dłoń. Na rękawiczkę miała wciśnięty sygnet.

Pierścionek.

A więc ona, Charlotta, pozostanie teraz jedyną starą panną w rodzinie Tatlocków. Otrząsnęła się z chwilowej posępnej zadumy, objęła siostrę i złożyła jej należne gratulacje. Wśród powinszowań i pytań obie całkiem zapomniały o młodej, skromnej podopiecznej księżnej.

Prawdę mówiąc, o Robercie zapomnieli nawet sami gospodarze. Przez całą noc posłusznie krążyła po sali, zmieniając partnerów do tańca. Z początku tańczyła lekko jak piórko, ale później rozboleły ją stopy.

Tym razem wycofała się do gotowni dla pań nie dlatego, że nie miała z kim tańczyć, ale dlatego że od francuskich pantofelków Jemmy porobiły jej się pęcherze.

W pomieszczeniu siedziała już gromadka dziewcząt trajkoczących jak sroki. Umilkły, gdy Roberta weszła do środka.

Zaraz jednak sympatyczna dziewczyna o pulchnej twarzy wstała i uśmiechnęła się do niej.

– Jestem Margery Rowlandson, już się dziś spotkałyśmy.

– Dobry wieczór – odparła Roberta, dygając.

Margery przedstawiła ją pozostałym dziewczętom i wkrótce Roberta chichotała razem z innymi. Jedna z nich, nie więcej niż szesnastoletnia, lada dzień spodziewała się oświadczyć, inna aż dwa razy tańczyła z pewnym młodym dworzaninem.

– Ty to masz szczęście! – Margery zwróciła się znowu do Roberty. – Teraz dopiero sobie uświadomiłam, że przecież ty mieszkasz w Beaumont House, prawda? To znaczy, że przebywasz pod jednym dachem z lordem Gryffynem.

– Tak, on też się tutaj wprowadził – odrzekła Roberta.

– Razem ze swoim... ze swoim... ze swoim... – Ta panienska miała chyba na imię Hannah. Tak się zaśmiewała, że nie była w stanie dokończyć zdania. Zdaniem Roberty, zasługiwała na palmę pierwszeństwa wśród idiotek.

– Owszem, jego syn jest tu razem z nim – powiedziała obojętnym tonem.

– Ale że tobie to nie przeszkadza! – odezwała się któraś z dziewcząt przenikliwym głosikiem. – Moja mama mówi, że gdyby wcześniej się o tym dowiedziała, nie puściłaby mnie na ten bal!

– To tylko sześćoiletne dziecko.

– Nie mów, że już go spotkałaś! – Margery miała oczy okrągłe z przerażenia.

– Widziałam go przelotnie, ale nie zauważyłam śladu rogów ani diabelskiego ogona – stwierdziła Roberta ze śmiertelną powagą. – I tak nie przepadam za dziećmi.

– Ani ja – zawtórowała jej dziewczyna o piskliwym głosie. – Zwłaszcza takimi jak to. Nieślubne dzieci powinno się chować przed światem.

– Mnie nie przeszkadza, że lord Gryffyn ma syna z nieprawego łoża – westchnęła Margery. – On jest taki cudowny.

– Pewnie można by tak o nim powiedzieć – powiedziała Roberta.

– Ale ja wolę dojrzałych mężczyzn... taki, na przykład, ksiązę Villiers. Zapadła pełna zgrozy cisza.

– To nikt ci nie opowiedział, co z niego za ziółko? – Hannah aż się zachłysnęła ze wzburzenia. – Trzymaj się od niego z daleka! – Każde słowo podkreślała, wymachując palcem. – Z daleka! Wiem, że nie masz

mamusi, która by ci mogła dawać przestrogi, więc ja ci to powiem: trzymaj się od niego z daleka!

Roberta aż się cofnęła o krok.

– Będę go unikać, obiecuję.

Poczuła się samotna, jak nigdy dotąd.

Dziewczęta wzięły ją dokładnie za taką osobę, na jaką wyglądała: potulną, młodą dziedziczkę, która przyjechała z prowincji, żeby szukać męża pod opieką kuzynki, księżnej Beaumont.

Ich matki zdawały się równie życzliwie usposobione. Dobrotliwe matrony kilka razy wspomniały te straszne karykatury Roberty i jej ojca opublikowane w „Wędrowcu”, ale tylko po to, żeby ją zapewnić, że już nikt o nich nie pamięta.

Przez całą noc Roberta tańczyła, wypatrując księcia Villiersa. Wreszcie na zakończenie kolejnego tańca dygnęła przed partnerem, który deptał po jej obolałych palcach. Odwróciła się i zobaczyła właśnie swojego wymarzonego księcia.

– Pani wybaczy – powiedział, a jego głęboki, niski głos przeszył ją jak błyskawica. – Tym razem to ja omal pani nie przewróciłem.

– Wasza Wysokość. – Dygnęła przepisowo.

– Jak rozumiem, to pani jest owym niewinnym jagnięciem wprowadzonym na rzeź do wielkiego miasta. Niechże mi pani zdradzi swoje imię, skoro się znów spotykamy.

– Lady Roberta St Giles.

– Mój ojciec zmarł osiem lat temu – powiedział, pozornie zupełnie bez związku z tematem. – Domyślam się, że i pani rodziciela spotkał ten niefortunny koniec, skoro znalazła się pani pod czułą opieką księżnej.

Uniosła dumnie podbródek.

– Mój ojciec jest zachwycony dobrocią i hojnością księżnej.

– Zatańczymy? Tylko muszę panią ostrzec: to może pani zrujnować reputację. Ale przecież już raz panią przed tym przestrzegaliśmy, nieprawdaż?

Zerknęła na niego spod oka.

– Czyżby? Nie przypominam sobie.

Na pewno zdawał sobie sprawę, że Roberta kłamie, ale miała wrażenie, że mu się to podoba.

– Nigdy nie uwodzę uboższych szlachcianek. – Jego głos był jak płynny jedwab. – Ale zawsze jestem do dyspozycji majątnych szlachcianek.

– Wydaje mi się – powiedziała Roberta, odczekawszy stosowną chwilę – że jeden taniec z panem nie powinien zhańbić mnie do szczętu. Ale to bardzo krzepiące wiedzieć, że gdybym kiedyś zapragnęła zrzuć sobie reputację, pan mi pospieszy z pomocą. Doprawdy, aż się ciepło robi na sercu.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

– Trafiony swoim własnym pociskiem! Ale zasłużyłem sobie na to. Chodźmy więc. Widzę, że nie takie z pani niewiniątko, na jakie pani wygląda.

– Niewinność i skromność, jak przypuszczam, nie przypadłyby panu do gustu, toteż nie zamierzam udawać zalężnionej i sflonionej.

– *Gwałt na Lukrecji* – Villiers rozpoznał cytat. – A zatem pani występuje w roli Lukrecji, na której obliczu ścierają się piękno i cnota?

– To brzmi jak starcie dwóch wrogich armii. Absolutnie nie. Gdybym była Lukrecją, bez wahania zatopiłabym sztylet w sercu Tarkwiniusza.

– Brawo! Ale nie musi się pani obawiać, lady Roberto. Jeszcze nigdy nie miałem potrzeby zniżyć się do brutalnych metod Tarkwiniusza.

– Ach – zakpiła Roberta. – Dobrze wiedzieć, że zhańbiona cześć nie zawsze przynosi ze sobą poczucie, że jest się niczym „więzienna cela zbrukana”.

– Wyjątkowo nieudana metafora, jak na Szekspira – skrzywił się książę. – Zapewniam panią, lady Roberto, że kiedy już rozstają się z jakąś damą, ma ona nadal przekonanie o własnej piękności, może nawet większe niż przedtem. Moim zdaniem, nic tak człowiekowi nie pochlebia jak rozkosz.

Właśnie weszli do sali balowej. Skoro mowa o rozkoszy, to Roberta w tej chwili czuła się szczęśliwa, widząc ile kobiet kieruje w stronę Villiersa pożądliwe spojrzenia.

– Nie przypuszczam, żeby grała pani w szachy. Ale może jednak? – zapytał z nagłą. – Spotkała mnie dziś w tej mierze duża niespodzianka.

– Nigdy nie grałam – odparła uczciwie. Odkąd pamiętała, szachownica w gabinecie ojca pokrywała się kurzem; nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby się nią zainteresować. Gdyby tylko wiedziała wówczas, jak istotne może się to okazać dla osiągnięcia sukcesu towarzyskiego w Londynie!

Książę chyba czytał w jej myślach.

– Prawie nikt pod tym dachem – skinął głową w stronę kosztownych jedwabi szeleszczących na parkiecie – nie ma bladego pojęcia o sza-

chach. Tylko ja i może jeszcze pani domu mamy do tej gry przedziwny pociąg.

Zatrzymali się, czekając, aż rozpocznie się nowy taniec.

Villiers najwyraźniej nie miał ochoty zabawiać partnerki. Puścił jej rękę; kiedy spojrzała na niego, właśnie przypatrywał się młodej mężatce, której fryzura była udekorowana dokładną repliką okrętu.

– A to ci żeglarska osobliwość – mruknął pod nosem, zauważywszy, że Roberta podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. – Madame Moore jest taka wątła; to cud prawdziwy, że jeszcze nie wywróciła się do góry dnem.

Roberta uznała, że książę już jest nią znudzony, bo i czymże miałyby go zaciekawić?

– Zdaje się, że fregaty mają to do siebie, iż łatwo wejść na ich pokład – powiedziała, rozwijając wachlarz i powiewając nim przed twarzą. – To pewnie wabik dla niedołęgów, którzy nie potrafią poradzić sobie z mniej opieszalymi statkami.

– Zaskakująco głęboka myśl. – Delikatne rozbawienie w głosie księcia przyprawiało Robertę o zawrót głowy.

Donośnie odezwały się trąbki; zaczynał się menuet. Villiers skłonił się przed nią. Roberta złożyła wachlarz i dygnęła. W tańcu wciąż się rozdzielali. Figury wymagały tego, że rozchodzili się w różne strony, to znów schodzili się do siebie, Roberta mogła więc wpatrywać się w oczy księcia, skryte pod na wpół przymkniętymi powiekami. To sprawiło, że zaczęła ciężko oddychać.

Na koniec tańca ucałował obie jej ręce i złożył przed nią wyszukany ukłon.

– Lady Roberto. Przypuszczam, że niedługo znów się spotkamy, bo mam rozegrać mecz szachowy z gospodynią tego domu.

Roberta wiedziała, i owszem, że Villiers jako gracz nie ma sobie równych w Londynie. Nagle jednak zdała sobie sprawę, że w jego naturze leży przede wszystkim chęć rywalizacji. Uznała, że to może być jego słabym punktem.

– Życzę powodzenia. – Uśmiechnęła się zagadkowo.

– W szukaniu okazji do spotkania z panią czy w grze w szachy?

Celowo odwróciła spojrzenie. To była rozgrywka jej życia, nie powinna okazywać zbytniego zapału.

– Oczywiście, że w szachach, milordzie. Mnie często nie ma w domu, toteż nie chcę robić panu nadziei, że dam się w końcu zhańbić, jak to pan był łaskaw zaproponować.

Odwróciła się od niego i zerknęła zalotnie przez ramię, uchwyciła wzrokiem błysk uśmiechu – rozbawiła go! – a potem wtopiła się w tłum. Do tej pory nie przebierała w partnerach, tańczyła z każdym, kto ją poprosił. Ale teraz uświadomiła sobie, że odtąd musi dobrać ich bardziej uważnie. Ma przecież stać się najlepszą partią tego sezonu. Najbardziej rozchwytywaną spośród wszystkich panien na wydaniu.

Villiers musi rywalizować o nią z gronem innych konkurentów – inaczej w ogóle się nią nie zainteresuje.

Jakaś godzinę później u jej boku pojawił się brat Jemmy. Trzej młodzi lordowie właśnie prześcigali się w uprzejmościach, spierając się o przywilej częstowania jej pierniczkami i szampanem. Jakże łatwo ich było oczarować w porównaniu z Villiersem. Wszyscy trzej posyłali jej omdlewające spojrzenia, a sądząc po skwaszonych minach kilku młodych panienek, właśnie udało jej się sprzątnąć im sprzed nosa smakowite kąski.

Damon, manewrując zręcznie, wyprowadził ją spośród tłumu gości. Właściwie nawet była mu wdzięczna; niech się natrętni amanci przekonają, że Roberta nie jest ich własnością.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

Wymknęli się z sali balowej i skręcili w korytarz, którego Roberta dotąd nie widziała.

– Do bawialni mojej siostry. – Damon uśmiechnął się do niej. – Na tyłach domu.

Pchnął drzwi i rzeczywiście ich oczom ukazały się musztardowo-żółte ściany (już bez Judyty z tacą w dłoniach). Ale gdy Roberta znalazła się za progiem, zorientowała się, że w pokoju już ktoś jest.

Dokładnie na wprost wejścia na fotelu spoczywała jakaś kobieta. Widać było tylko krągłe, mlecznobiałe pośladki, bo fioletowa suknia damy była zadarta nad głowę, pewnie po to, żeby się nie pogniotła. Rzecz jasna, był z nią także jakiś dzentelmen, który...

Który ją zaspokajał.

Roberta zasłoniła ręką usta i zamarła w bezruchu. Z tyłu dobiegł ją cichy śmiech Damona.

Stała jak zahipnotyzowana, wpatrując się w dwoje ludzi na fotelu. Cała ta scena miała w sobie coś prymitywnego, niemal brutalnego,

a jednocześnie dziwnie oszalamiającego. Ów mężczyzna pieścił swoją partnerkę, a zarazem... zarazem... Kobieta zaś musiała być w siódmym niebie, sądząc po odgłosach, jakie wydawała. Roberta nie знаła tego dzentelmena, widziała jedynie, że był dość gruby i krępy. Ale dało się też zauważyć, że ma krzepkie uda i że on także najwyraźniej podziela zadowolenie partnerki. Ścisnął w dłoniach jej pośladki, uniósł je w górę i...

Ramię Damona objęło Robertę w talii, pociągnął ją z powrotem na korytarz. Zamykając drzwi, wciąż jeszcze się śmiał, lecz Robercie wcale nie było do śmiechu. Czuła się nieswojo, ledwo mogła oddychać.

Damon przyglądał się jej w mdłym świetle korytarza.

– Wstrząśnięta do żywego, jak widzę. Chodźmy w takim razie do biblioteki. Tam na pewno nikogo nie będzie, bo dość trudno ją znaleźć.

Wziął ją za rękę i pociągnął korytarzem. Za kolejnym rogiem znajdowały się drzwi do biblioteki. Pomieszczenie było ogromne; wykończono je posępnym krwistoczerwonym aksamitem, a regały z książkami zapełniały wszystkie ściany.

Roberta weszła do środka, chwiejąc się lekko na nogach. Przed kominem stała sofa, na której posadził ją Damon.

– Szklaneczka brandy, oto, czego ci w tej chwili potrzeba – powiedział, kierując się w stronę stojącego obok niskiego kredensu.

Pobrzękując szklankami, zawołał przez ramię.

– Domyślam się, że nigdy wcześniej nie widziałaś, jak ludzie się kochają?

Roberta otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Całkiem zdębiałaś, jak widzę – powiedział beztrosko. Podał jej szklankę. – Wypij to.

Roberta pociągnęła łyk i zakaszła, bo płyn palił jej gardło.

– Co to ma być?

Damon znów się roześmiał.

– Pierwsza w życiu brandy, pierwsze w życiu kochanie.

– Ja się z nikim nie kochałam. – Roberta upiła kolejny łyk. Brandy nie była taka zła, mimo że piekący alkohol potęgował jeszcze dziwne wrażenie gorąca, które ją zalewało.

– Racja. – Damon rzucił się na sofę obok niej. – Więc jak: doznałaś szoku, oszołomienia i straszliwego wstrząsu?

Roberta przechyliła głowę, żeby mu się przyjrzeć. Był niezwykle podobny do siostry, choć jego włosy miały ciemniejszy, brązowawy

odcień, a nie złocisty, jak Jemmy. Miał za to oczy Jemmy i jej pełne wargi.

– Nie żartuj sobie ze mnie.

Jego uśmiech nie miał w sobie śladu skruchy.

– Nie widzę powodu, żeby się gorszyć. W końcu to zupełnie naturalne.

Czyżby? Dotychczas Roberta żyła w przekonaniu, że o pozyciu małżeńskim i prokreacji wie wszystko, co wiedzieć należy. Jedną z kurtyzan jej ojca poinstruowała ją, że mężczyzna musi położyć się na kobiecie, a potem wkłada swoją intymną część ciała w intymną część ciała kobiety i kocha się z nią. Dla Roberty nie było całkowicie jasne, w jaki sposób dokładnie przebiegać ma owo kochanie się, ale sądziła, że ta ogólna wiedza na temat procedury aktu płciowego jest wystarczająca.

Aż do tej pory.

Bo oto właśnie zdała sobie sprawę, że „procedura” może mieć miejsce – i zapewne często miewa – także w innej pozycji.

Poczuła, że się rumieni pod zaciekawionym spojrzeniem Damona.

– Można to robić w różnych pozycjach – podpowiedział usłużnie.

Świadomość, że Damon wie dokładnie, o czym ona myśli, pogłębiła rumieniec na twarzy Roberty.

– Jeszcze jakieś pytania? W końcu jesteśmy kuzynami.

– Piątego stopnia. – Roberta była na niego trochę zła.

– Raczej siódmego – odparł Damon. – Jak się nad tym głębiej zastanowić, to jesteś ze mną spokrewniona mniej więcej tak samo blisko, jak z połową gości w sali balowej.

– Sugerujesz, że wykorzystuję dobre serce twojej siostry?

– Gdyby Jemma nie chciała się tobą zająć, nie zrobiłaby tego. Uwierzyć mi, nikt nie jest w stanie jej zmusić do zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty. Dlatego osiem lat spędziła w Paryżu.

– Wiesz może, dlaczego wróciła do Londynu? – Roberta desperacko usiłowała zmienić temat. Nie miała ochoty dalej rozmawiać o kochających się arystokratkach.

Damon wyciągnął nogi przed siebie. Świetnie się prezentował w modnych, obcisłych spodniach do kolan; miał na sobie ciemnoczerwone bryczesy, a w kremowych pończochach jego nogi wydawały się bardzo silne.

Roberta otrząsnęła się z zadumy. A to co znowu za myśli? Pewnie ta scena z bawialni tak dziwnie ją nastroiła. Bardzo dziwnie; uznała, analizując sygnały, które wysyłało jej ciało.

– Musi urodzić książęcego dziedzica – powiedział Damon. – Beaumont w każdej chwili może się przenieść na tamten świat. Zeszłej jesieni zemdlął podczas posiedzenia parlamentu, słyszałaś pewnie o tym? Przewrócił się na ziemię i wszyscy myśleli, że umarł. Mów, co chcesz, ale zdrowi, silni mężczyźni nie mdleją ot, tak sobie. Jego ojciec kopnął w kalendarz w wieku zaledwie trzydziestu czterech lat; jakieś problemy z sercem. Beaumontowi być może też wiele życia nie zostało.

– Nie wygląda na chorego – stwierdziła Roberta.

– Prawda? Też mam nadzieję, że to był tylko pojedynczy przypadek. Lubię go, a poza tym uważam, że lepiej dla Jemmy, żeby miała męża, choćby nawet żyli jak pies z kotem, niż żeby została wdową. Poznałaś księżnę Berrow, przyjaciółkę Jemmy? Była tu wczoraj po południu.

Roberta pokręciła głową.

– Taka z niej była miła, roześmiana kobietka, ale odkąd zmarł jej mąż – zastrzelił się, ściślej rzecz biorąc – jest jak ptak ze złamanym skrzydłem. W ogóle przestała się uśmiechać.

– To smutne – powiedziała cicho Roberta.

– Jemma musiała przyjechać z Paryża, żeby dopełnić małżeńskich obowiązków.

Wcześniej te słowa nie wzbudziłyby w Robercie większych emocji, ale teraz czuła, że znów się rumieni.

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Beaumont zabierał się do rzeczy w bawialni, ze spuszczoneymi spodniami, a ty? – powiedział Damon ze złośliwym uśmieszkiem. – Za poważny jest na to.

Roberta zakrzuszyła się ze śmiechu.

– Nie!

Za to Villiers... Na samą myśl o tym znowu się zaczerwieniła. Bez problemu mogła sobie wyobrazić, jak Villiers ściąga spodnie i przechyła kobietę przez oparcie fotela.

Poczuła dotknięcie ręki na policzku, więc odwróciła się i zobaczyła, że Damon przygląda jej się uważnie.

– Oj, chyba nie mój szwagier ci teraz w głowie. – Zmrużył oczy podejrzliwie. – A zatem, moja droga Roberto, kuzyneczko i krewna, o kimże teraz myślisz?

Westchnęła głośno, ale nie odpowiedziała.

– Pewnie o księciu Villiersie, co? No tak, zapomniałem, że ty już znalazłaś miłość swojego życia.

Wciąż podtrzymywał ręką jej podbródek; Robercie wydawało się, że nagle świat przestał się obracać i stanął w miejscu, tak jak oni oboje zamarli w bezruchu, tak blisko siebie, że czuła na twarzy jego oddech.

– Oczywiście, że pomyślałam o księciu Villiersie. – Odsunęła się, usiłując otrząsnąć się z oszołomienia

Damon wznosił szklanę w ironicznym toaście.

– Za te liczne leniwe popołudnia, które spędzisz w bawialni ze swoim mężulkiem.

– Nie wygaduj takich rzeczy – zganiła go, sącząc alkohol ze swojej szklanki.

– A dlaczego?

Miał zielone oczy. Nie zauważyła tego przedtem; była pewna, że są błękitne, jak oczy Jemmy. Ale nie – były zielone i miały piękny kształt, z kącikami odrobinę uniesionymi do góry.

– Bo rozmawiasz z młodą panienką.

– Przypuszczam, że młode panienki raczej nie rozmyślają o podejrzanych typach kochających w bawialni?

– No właśnie.

– Ale czyż ty, Roberto, nie jesteś wyjątkiem wśród młodocianych dam? – W jego głosie brzmiała nutka śmiechu.

– Niezupełnie. – Pokręciła głową i omal się nie zakrztusiła, bo spory łyk ognistej brandy poleciał jej do gardła.

– A mnie się wydawało, że tak... Na przykład, miałem wrażenie, że z zasady jesteś uczciwa.

– Oczywiście, że jestem uczciwa.

Odważyła się znowu spojrzeć mu w oczy. Spoglądał na nią jakoś tak wyzywająco i zmysłowo, zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Aż zdrząła z podniecenia, lecz nie przyszło jej do głowy, żeby wyjść. A powinna.

Damon znowu wyciągnął się wygodnie, prostując nogi.

– Jeśli mamy rozmawiać uczciwie, to muszę powiedzieć, że ta scena w bawialni bardzo mnie podnieciła. A ciebie?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Słowo „podniecenie” odpowiadało **w**apewnie temu dziwnemu uczuciu ciepła, które rozlewało się między jej **u**dami.

– Popatrz no tylko – powiedział takim tonem, jakby rozmawiali sobie o pogodzie przy śniadaniu. – Lady Piddleton podarła mi pończochy.

Rzeczywiście, miał na pończosze spore oczko po zewnętrznej stronie łydki. Wzrok Robercy pobiegł wyżej wzdłuż jego nogi, tam, gdzie ciasne nogawki łączyły się ze sobą i gdzie widać było...

Jako cnotliwa młoda panienka powinna chyba udawać, że nic nie zauważyła.

– A jak to możliwe, że była na tyle blisko, żeby zaciągnąć ci pończochę? – Kiedy zadała to pytanie, znowu załapała się szkarłatnym rumieńcem, bo nagle zaczęły przychodzić jej do głowy myśli, których dotychczas nie miała. Na wszelki wypadek wbiła wzrok w gzyms kominka, żeby czasem nie spojrzeć znowu na jego spodnie.

Zaśmiał się głośno.

– Ależ Roberto, mówimy o lady Piddleton! Ma pięćdziesiątkę na karku i twarz jak dno zardzewiałego garnka.

– Po prostu zastanawiałam się, jak to się stało – odparła z godnością.

– Obcasy wysadzane klejnotami – wyjaśnił. – Nie zważając na swój wiek, zaczęła przy kolacji ocierać się stopą o moją nogę.

Roberta, zaskoczona, zamrugwała.

– Czy to miała być jakaś propozycja z jej strony?

– Dlaczego się tak dziwisz? Powinienem się za to obrazić! – W żartach zrobił oburzoną minę.

Roberta przyjrzała mu się uważnie i przez chwilę wydawało jej się, że dostrzeża, co takiego widzi w nim lady Piddleton i inne kobiety.

– Masz rację, nie powinnam się tak dziwić.

– Tego wszystkiego musisz się nauczyć, i to szybko, jeśli chcesz wyjść za mąż za Villiersa. Bo przecież zależy ci na małżeństwie, tak? Widzisz...

Roberta miała przeczucie, że Villiers chyba nie odmówiłby również propozycji pospiesznych uciech w bawialni.

– Tak, małżeństwo – powiedziała stanowczo.

– Musisz go zwabić podstępem – stwierdził Damon.

– Czyżby? – Właśnie o tym samym myślała wcześniej.

– Jesteś piękna i masz szansę niebawem stać się najbardziej pożądaną partią w tym sezonie. Ale nie zanosz się na to, żeby Villiers akurat teraz niespodziewanie zapragnął się ożenić. Przypomnij sobie jego nieślubne dzieci.

Roberta przytaknęła.

– Czwórka?

– Chyba tylko dwoje – sprostował Damon. – Ale jedno z nich urodziła mu niezamężna panna, córka lorda Killigrewa. Nie licz więc raczej na to, że dziecko załatwi ci przepustkę do ołtarza.

Pokiwała głową.

– A zatem uwiedzenie go nie wchodzi w rachubę – ciągnął Damon. Nagle odwrócił się do niej. – Ale ty i tak nie wiedziałabyś, jak się do tego zabrać, co? Całowałaś się chociaż kiedyś?

– I owszem. – Cień zaskoczenia w jego oczach sprawił jej dużą satysfakcję. – Może i dotąd nie byłam nigdy świadkiem tego, jak ludzie się kochają, ale za to byłam całowana.

– A sama też całowałaś?

– Oczywiście – odparła z przekonaniem, choć, szczerze mówiąc, nie widziała między jednym a drugim żadnej różnicy.

Odstawił swoją brandy na podłogę obok kanapy.

– Kiedy ktoś cię całuje, to wygląda mniej więcej tak – oznajmił. W następnym momencie jego usta delikatnie, lecz stanowczo spoczęły na jej wargach.

– Nie powinieneś mnie całować – powiedziała chwilę później Roberta. Serce jej biło tak mocno, pewnie dlatego, że robiła coś, co jest zakazane. – Jesteśmy przecież spokrewnieni.

– W nikłym stopniu – wtrącił.

– Nieważne, wiesz dobrze, o co mi chodzi – mówiła dalej. – Ja jestem zakochana. Naprawdę zakochana, Damonie. Musisz to zrozumieć. Dama, która jest zakochana, nie może ot, tak sobie, całować innych mężczyzn na lewo i prawo.

– Ach – powiedział zamyślony. – Tak niewielu zakochanych ludzi znałem dotąd w życiu, że tej zasady akurat nigdy nie opanowałem.

– Ale tak właśnie jest. – Robercie zrobiło się przykro, bo Damon wyglądał na niepokieszonego jej odmową. – Nie mogę się z tobą całować. Powinnam całować Villiersa.

– A proponował ci to?

Wyraziste spojrzenie jego zielonych oczu mogło przyprawić o zawrót głowy.

– Jeszcze nie. Dopiero się oficjalnie poznaliśmy, zatańczył ze mną tylko raz. – Uśmiechnęła się mimo woli na to wspomnienie. – Będzie tu przychodził, żeby rozgrywać z Jemmą pojedynki w szachy. Powiedział, że ma nadzieję mnie widywać.

– Ha! – odrzekł Damon. – Pewnie słyszałaś, że Jemma wplątała się w dwa pojedynki szachowe, nie jeden?

Skinęła głową.

– Można się było po niej spodziewać, że nadszarpnie i tak już wątpliwą reputację naszej rodziny, szykując kolejny skandal.

Roberta była innego zdania. Wiedziała, że to dla niej Jemma zwabiła do domu Villiersa, ale nie odezwała się ani słowem.

– Ja cię już pocałowałem – rzekł Damon. – A teraz ty pocałuj mnie. Jeśli chcesz złowić Villiersa, musisz dobrze opanować całowanie. On spał z co najmniej z połową londyńskich dam.

– Sugerujesz, że powinnam poćwiczyć? – zapytała podejrzliwie.

– Coś w tym rodzaju. A ktoś lepiej się do tego nadaje niż członek rodziny?

Psotny błysk w jego oczach zdradzał, że ten argument był tylko chytrym wybiegiem mającym ukryć prawdziwe intencje, niczym więcej. Ale, pomyślała Roberta, Damon nie ma w sobie nic odpychającego, a trochę praktyki na pewno nie zawadzi. Tak więc nachyliła się ku niemu i przycisnęła usta do jego ust, jak jej to przed chwilą zademonstrował. Tak samo, jak zrobił Agnus Pilfer w zeszłym roku za stodołą i młody syn sąsiadów rok przedtem.

– Tylko na tyle cię stać? – Odsunął się lekko.

Patrzyła na niego z bliska. Było w tej całej sytuacji coś niebezpiecznego, ale Roberta świetnie się bawiła, a przy tym nie czuła się tak spięta, jak podczas rozmowy z Villiersem.

– Skoro szanowny pan raczy mieć coś do zarzucenia mojej technice całowania, wobec tego oczekuję na szczegółowe instrukcje.

Damonowi zabłyśły oczy.

– Pocałunki to zaledwie wstęp. Ta para, którą przyłapaliśmy w bawialni, pewnie też od nich zaczęła.

Obraz sceny z bawialni mignął Robercie przed oczami.

– Pocałunek dał im wiele przyjemności – kontynuował Damon – i sytuacja rozwijała się dalej.

– Cóż – powiedziała Roberta, żeby nie siedzieć bez słowa, jak mała dziewczynka podczas lekcji. – Widać było, że rozwój wydarzeń też jest dla nich przyjemny.

Roześmiał się.

– Kto by pomyślał, że lorda Gordona stać na takie wyczyny?

– A kto to taki?

– Niski, przysadzisty człowieczek, który pasjonuje się końmi; typowy Anglik. Widziałas, jak mu się przekrzywiła peruka?

Przytaknęła.

– Dżentelmen do prawdziwego pocałunku zawsze zdejmuje perukę.

Roberta czuła się nieswojo. Tak daleko już nie sięgały jej ubogie doświadczenia. Damon rzucił perukę na stojące obok krzesło i włosy, brązowe i lśniące, opadły mu na czoło.

– No, to mnie teraz pocałuj – zakomenderował.

Nachyliła się ku niemu. Pachniał czysto i świeżo, nie tak, jak wielu z tych, z którymi tańczyła tego wieczoru, woniących potem lub, w najlepszym wypadku, bżowym pudrem do włosów. Na krótką chwilę dotknęła wargami jego ust. Czy o to mu chodziło?

Ale nagle, niespodziewanie i bez żadnej zachęty z jej strony, jego wargi poddały się naciskowi i stopiły w jedno z jej ustami. Słodycz załapała ją wezbraną falą, musiała na chwilę się od niego odsunąć.

– No, i jak? – zapytał, jak gdyby nigdy nic, jakby ona właśnie... jakby oni nie...

Robercie kręciło się w głowie z nadmiaru wrażeń.

– A więc to miałeś na myśli, kiedy mówiłeś, że pocałunki to wstęp – powiedziała, zaskoczona, że w jej głosie nie słychać zmieszania.

– Tak – odparł z zadowoleniem, jakby właśnie udało jej się rozwiązać jakieś skomplikowane równanie matematyczne.

Dłonią podtrzymał jej kark.

– Możemy spróbować jeszcze raz?

Przysunął twarz do jej twarzy, a Roberta tym razem zamknęła oczy, wdychając jego męski zapach i smakując jego wargi. Teraz role znowu się odwróciły i to on całował ją.

To już nie żaden wstęp, pomyślała jak przez mgłę. Damon stał się częścią jej samej, wnikał w nią, pochłaniał ją całą – nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyła. Uznała, że powinna natychmiast przestać go całować; przecież kocha się w innym.

Ale mimo to odchyliła się na oparcie kanapy i pozwalała mu się całować dalej. W jego ustach kryło się szaleństwo, słodycz czereśniowego wina i żar pełni lata: upajał ją, odurzał, oszalał.

I wciąż ją całował.

Jego ciało zaczynało się odzywać; między udami czuła, jakby drobne iskierki, a to dziwne ciepło, które wcześniej rozlało się w jej podbrzuszu

na widok sceny z bawialni, zaczęło się przeradzać w coś znacznie bardziej krępującego i... niebezpiecznego.

Gdzieś w głowie kołatało się jej pytanie, jak to właściwie jest z tym całowaniem. Wtem, jak gdyby ktoś nagle odsłonił kurtynę, pojęła, że w tej chwili właśnie jest całowana i że sama też miałaby ochotę całować. Zanurzyła palce w jedwabistych lokach Damona, przyciągnęła jego głowę odrobinę bliżej do siebie i wycisnęła mu na ustach pocałunek.

I znowu wszystko zaczęło wyglądać inaczej.

Jego ciało, wsparte na niej, wydało jej się teraz cięższe, bardziej gorące; gdy tak przyciskał ją do oparcia sofy, ciepło w podbrzuszu zmieniło się w bolesny skurcz pożądania.

Odsunął się od niej, jakby jakimś cudem usłyszał tę ostatnią myśl, która przebiła się przez mgłę odurzenia.

Roberta nie od razu podniosła powieki.

– Wstrząśnięta? – zapytał. W jego głosie nie było śladu skruchy, raczej ciekawość.

Otworzyła oczy.

– Nie – odrzekła, chcąc choć raz jego przyprawić o szok. – To bardzo ciekawe, co się czuje podczas pocałunku.

– Co się czuje? – Brwi Damona powędrowały w górę.

Roberta uśmiechnęła się przebiegle, a był to uśmiech syreny, uśmiech gracza.

– Widzę, że jednak co nieco się nauczyłaś.

– Jeśli nie od ciebie, to od tej pary w bawialni. – Przeciągnęła się, mając świadomość, że jej piersi widoczne ponad sztywnym gorsetem znajdują się w niepokojącej bliskości jego dłoni.

A Damon, jak to Damon, zrobił coś niestęchanego: powoli przesunął palcem po jej piersi.

– Całkiem nieźle – powiedział gardłowym szeptem.

Jego palec sprawił, że Roberta poczuła na skórze gorąco i dreszcze, ale odepchnęła od siebie dłoń Damona.

– Bardzo ci dziękuję za wstępne przeszkolenie – powiedziała, podnosząc się z kanapy.

On także wstał, a Roberta nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerknąć w miejsce, gdzie zbiegały się nogawki ciasnych bryczesów. Niestety, ciężkie fałdy fraka opadły po bokach i zasłoniły jej widok.

Damon przyłapał ją na ukradkowych spojrzaniach i znowu się roześmiał.

– Sprytnie uszyty ten frak, prawda? Mnóstwo kobiet mogłoby mnie pieścić pod stołem i nikt nie miałby pojęcia, jak to na mnie działa. Nie muszę chyba mówić, że moja reakcja na pieszczoty lady Piddleton była zerowa, ale gdybyś to ty dotykała mnie pod stołem, to już zupełnie inna historia.

Roberta, nie chcąc odpowiadać na te brednie, podeszła do wiszącego na ścianie lustra. Było na tyle duże, że mogła dokładnie zobaczyć, jak Damon pogniół jej jedwabną suknię, kiedy przycisnął ją do kanapy. No, cóż, z tym akurat nic się nie dało zrobić, ale przynajmniej poprawiła niesforny loczek, który wymknął się z jej misternie upiętej fryzury.

Damon, już w peruce, pojawił się w lustrze za jej plecami. Biło od niego takie ciepło, że czuła go za sobą, mimo iż się nie dotykali.

– To, na co sobie dziś pozwoliliśmy, to była niebezpieczna gra – powiedział, patrząc w jej oczy odbijające się w zwierciadle. – Ja nie jestem taki jak Villiers, Roberto. Gdybyś zaszła przeze mnie w ciążę, musiałabyś za mnie wyjść.

– Daleko nam było do tego! – zaprotestowała.

– Nie tak znowu daleko, możesz mi wierzyć.

Skupiła się na tym, żeby poprawić gałązkę kwiatu jabłoni, która zawiadacko przekrzywiła jej się na ucho. Ten bolesny skurcz w podbrzuszu mówił jej, że Damon ma rację. Nachylił się ku niej.

– Pamiętasz, jak podejrzeliśmy tę parę w bawialni? – zapytał.

Pokiwała głową, nie dając po sobie poznać, że jego niski głos przyprawia ją o drżenie.

– Można się z kimś kochać i jednocześnie oglądać się w lustrze – powiedział.

Rumieniec wypłynął jej na policzki.

– Chyba postawiłeś sobie za punkt honoru, żeby mnie dzisiaj bez przerwy szokować! – powiedziała tonem tak wyniosłym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć.

Ich oczy spotkały się w lustrze i następne zdanie zamarło na ustach Roberty, bo Damon, nie spuszczać z niej oczu, pochylił głowę i pocałował ją w szyję.

Zadrzała w jego ramionach, jak pisklątko, które wypadło z gniazda.

Wtedy on podał jej ramię i razem wyszli z biblioteki.

Tuż nad ranem Robercie udało się wciągnąć Jemmę do gotowalni.

– To idiotyczne krygowanie się nie pomoże mi zdobyć Villiersa – oznajmiła.

– To jasne. Ale świetnie ci dzisiaj szło – odparła Jemma. – Wszyscy goście, z którymi rozmawiałam, zachwycali się tobą, powtarzając w kółko, jaka z ciebie słodka młoda panienka. A zaraz potem większość dodawała pobożne życzenia, żebyś pod moim wpływem nie zeszła na złą drogę.

Roberta uśmiechnęła się.

– Skoro uwiedzenie go nie rozwiąże problemu, muszę go zwabić przed ołtarz jakimś podstępem.

Jemma miała zamysłoną minę.

– Tak uważasz?

– Oczywiście. On ma przecież zaledwie... Ile on właściwie ma lat?

– Nie aż tak wiele – odpowiedziała Jemma. – Z tego, co wiem, on i Beaumont przyjaźnili się w dzieciństwie.

– A teraz ze sobą nie rozmawiają?

– Rzadko. Dziś zamienili parę słów. Pewnie już teraz niewiele mają ze sobą wspólnego.

– No, dobrze; to ile lat ma twój mąż?

Jemma nie mogła sobie przypomnieć.

– Trzydzieści trzy – stwierdziła wreszcie. – To na pewno jest zapisane w naszej intercyzie małżeńskiej. Rodzice zaręczyli nas ze sobą, kiedy ja miałam dwa lata, a on, wydaje mi się, siedem.

– A zatem Villiers przypuszczalnie też ma trzydzieści trzy lata. – I świetnie się trzyma, powiedziała sobie w duchu Roberta. – Muszę uczestniczyć w każdym balu, na jaki tylko on będzie zaproszony.

– Zawsze możemy przekupić jego lokaja.

– Kusząca myśl, ale wtedy mogłabym zostać z dzieckiem i bez męża – powątpiewała Roberta.

– Myślałaś, że sugeruję, że masz przekupić lokaja, żeby cię wprowadził do jego sypialni?

Roberta skinęła głową.

– Niewykluczone, że jesteś bardziej zdeprawowana niż ja – roześmiała się Jemma. – Żadne z ciebie niewiniątko, co?

– Nieszczególne. – Roberta bezradnie wzruszyła ramionami.

– Przekupimy lokaja, żeby się dowiadywać, które zaproszenia Villiers przyjmuje – wyjaśniła Jemma. – Ale jaki wymyślić podstęp, żeby się z tobą ożenił? To trudniejsze pytanie. Nie możesz tak po prostu...

– Wiem – przerwała jej Roberta. – Odtrącił młodą damę, która była z nim w ciąży, więc ta sztuczka mi się nie uda.

– Choć gdyby tak się stało w twoim przypadku, Damon pewnie wyzwałby go na pojedynek w obronie twojej czci – powiedziała Jemma. – Roberto, pewnie nie muszą tego mówić, ale zauważyłaś chyba, jak mój brat na ciebie patrzy?

– Jest dla mnie naprawdę bardzo miły.

– Nie wątpię – odparła jego siostra. – Ale... – urwała.

– Nawet rozmawialiśmy dzisiaj na temat Villiersa – powiedziała Roberta. – Zgodził się ze mną, że trzeba go wziąć podstępem. I to on właśnie ostrzegł mnie, że Villiers wzgardził damą, która spodziewała się jego dziecka.

– Och... W takim razie chyba mi się zdawało. Nie znam już Damona tak dobrze, jak kiedyś. Odwiedzał mnie wprawdzie często w Paryżu, na pewno częściej niż mój mąż, ale w końcu rodzeństwo dorasta i zmienia się, nie sądzisz?

Roberta nie miała nigdy rodzeństwa, więc postanowiła powstrzymać się od komentarza.

– W każdym razie, jak mówiłam, istotne pytanie brzmi: Jakiego podstępu użyć, żeby Villiers się z tobą ożenił? Trzeba wymyślić coś takiego, żeby się nie mógł wykręcić. Skandal nie załatwi sprawy, on zupełnie nie dba o swoją reputację. Wydaje mi się, że jedyny sposób, to po prostu doprowadzić do ślubu.

– Jak to? – zdziwiła się Roberta.

– Wiemy, że sam z siebie nie zapragnie ożenku. Z drugiej jednak strony, znany jest z tego, że ani prawo, ani zwykła ludzka przyzwoitość nie są dla niego przeszkodą w zdobyciu kobiety, której pożąda. Czy Damon mówił ci, co powiedziała lady Caroline, kiedy ta sprawa z dzieckiem wyszła na jaw?

Roberta pokręciła głową przecząco.

– Twierdziła, że Villiers wziął z nią potajemnie ślub. Ale dokumenty musiały być podrobione, bo gdyby nie to, jej ojciec na pewno zmusiłby go do uznania tego małżeństwa.

Robercie przykro było słuchać o tak nieetycznym zachowaniu swojego przyszłego męża.

– Skoro dokumenty zostały sfalszowane, to dlaczego jej ojciec nie próbował czegoś zrobić?

– A co, twoim zdaniem, miałby zrobić? Wyzwać Villiersa na pojedynek?

– Chociażby! Mój ojciec na pewno by... – Ciężko było wyobrazić sobie, co zrobiłby ojciec Roberty w takiej sytuacji. Z pewnością coś hałaśliwego i bardzo dramatycznego.

– No cóż, kobiety są z reguły bardziej zdecydowane od mężczyzn. – Jemma ziewnęła głośno. – Chyba powinnyśmy się trochę przespać. Porozmawiamy o tym jutro.

– Nie rozumiem, jak on się z tego wywinął – zastanawiała się Roberta.

– On po prostu ma wszystko w nosie.

– To znaczy?

– Wydaje mi się, że wybrnął z tej sytuacji, bo nie zależy mu na opinii towarzystwa. Dla niego liczą się tylko szachy. Roberto, zastanów się jeszcze, naprawdę. Ja nie mam aż takiej obsesji na punkcie gry jak on, a i tak, kiedy wyszłam za Beaumonta, do wściekłości doprowadzał go fakt, że myślę o szachach częściej niż o nim. I że w ogóle go nie słucham. Z Villiersem będzie identycznie.

– Gdybym to ja była na miejscu ojca lady Caroline...

– Cóż on mógł zrobić? Villiers jest świetnym szermierzem, jak większość szachistów. Planowanie i strategia – to ich mocna strona.

– Więc to ty będziesz moją tajną bronią – stwierdziła Roberta.

Jemma zamrugła, zaskoczona.

– Przypuszczam, że grasz lepiej od Villiersa.

– Nie słyszałaś, że kobiety nie umieją dobrze grać w szachy? – Jemma szeroko otworzyła oczy.

– Twój brat powiedział mi, że jesteś mistrzynią. Kiedy przeciwstawię Villiersowi takiego stratega jak ty, nie uda mu się wygrać.

Jemma nieco otrząsnęła się z rozespania.

– Jest taki manewr szachowy, na który mówi się „zatruty pion”. Można by nabrać Villiersa na taki fałszywy ślub, a w ostatniej chwili

zamienić dokumenty na prawdziwe, i w ten sposób już nie mógłby się wycofać.

– Ale skąd wiemy, że będzie chciał wziąć ze mną ślub na podstawie sfałszowanych dokumentów?

– Oczywiście, że nie możemy tego przewidzieć... ale mężczyźni lubią się powtarzać. Jeśli zaproponuje ci potajemny ślub, będziemy wiedziały, na czym stoimy. Pomogło mu to zdobyć jedną damę, dlaczego nie miałby spróbować z następną? Nie mam zamiaru cię zniechęcać, Roberto, ale czy jesteś pewna, że chcesz wyjść za takiego człowieka? Mój mąż jest wprawdzie szalenie nudny, ale przynajmniej uczciwy.

Roberta skinęła głową z przekonaniem.

– Tego pragnie moje serce.

– W takim razie weźmiemy się do planowania manewru z zamianą dokumentów. Trzeba będzie poczekać. To on musi wykonać pierwszy ruch. Dobry strateg pozwala, żeby gra rozwijała się we własnym tempie i nie wyciąga za wcześniej wszystkich asów z rękawa.

13

Wreszcie tłum gości przerzedził się na tyle, że Jemma postanowiła iść spać. Uznała, że pozostali balowicze mogą sami przywitać świt.

Roberta udała się do swojego pokoju, śniąc na jawie o tym, jak to będzie zostać księżną. Księżną Villiers. Nie martwiła się zbytnio zachowaniem księcia. Jakże miała się przejmować, skoro wyrosła w domu, gdzie rządy sprawował jej ojciec? Dobrze wiedziała, że fama „szalonego markiza” nie jest przesadzona. W porównaniu z nim Villiers wraz ze wszystkimi swoimi oszustwami mógł się wydawać wzorem moralności.

Szykowanie się do snu zajęło jej dłuższą chwilę, ponieważ pokójówka nie potrafiła pojąć, dlaczego Roberta nie chce kłaść się z upudrowanymi włosami. Może powinna była włożyć perukę, jak Damon.

Tak więc, dopiero po kąpieli i, gdy służąca już odeszła, Roberta odsunęła ciężkie różowe zasłony wokół łóżka i doznała wstrząsu.

Nie była w pokoju sama.

W jej łóżku leżał mężczyzna.

Był bardzo mały i spocony. Spał zwinięty w kulkę. A włosy miał w takim samym kolorze jak jego ojciec – brązowe – tyle że całe w loczkach. I do tego chrapał.

Roberta siadła na brzegu łóżka i przez chwilę przyglądała się Teddy’emu. Nigdy nie przepadała za dziećmi; nawet zastanawiała się czasem, czy w ogóle ma instynkt macierzyński. Gdy podawano jej do pocałowania wioskowe dzieci, ograniczała się zwykle do kilku przymilnych słówek.

Teraz nawet na to nie miała ochoty.

Była potwornie zmęczona, a jej łóżko zajmował spocony, chrapiący mężczyzna. Co z tego, że mały.

Z ciężkim westchnieniem sięgnęła po sznur od dzwonka i przywołała służącą. Ta, kiedy zobaczyła dziecko, cmoknęła z niezadowoleniem.

– Szukali małego po całym domu – powiedziała. – Pan tak się strasznie martwił.

– Idź więc po niego, niech tu przyjdzie i go stąd zabierze. – Roberta nie była w stanie wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu.

Damon zjawił się niecałą minutę później. Na jego twarzy nie było ani śladu wcześniejszej uprzejmości i rozbawienia; ledwo na nią spojrział, zauważyła Roberta z lekką irytacją. Niemal rzucił się w stronę łóżka i patrzył z czułością na synka.

– Chryste – powiedział. Zabrzmiało to trochę jak przekleństwo, a trochę jak modlitwa.

– Chyba nie myślałeś, że wyszedł z domu? – W jej głosie dało się słyszeć rozdrażnienie.

– Nie miałem pojęcia, co się z nim stało, nie mogłem go nigdzie znaleźć – powiedział, nie odwracając się, żeby na nią spojrzeć. – Jezu Chryste, co ja przeżyłem przez tych ostatnich kilka godzin.

– Może mógłbyś go stąd zabrać? – Rozdrażnienie Roberty narastało. Przecież wcześniej tego wieczoru ją całował, a teraz traktuje ją nie lepiej od kuchennej dziewczki, której skradł buziaka w korytarzu.

Damon zdążył już odsunąć kołdrę, ale nagle zawahał się i spojrzął na nią po raz pierwszy, odkąd wszedł do pokoju.

– Bardzo cię przepraszam, Roberto.

– Za co?

Podniósł śpiące dziecko i Roberta zobaczyła, o co mu chodzi. Tam, gdzie chłopiec się umościł (w jej pościeli!), widniała wilgotna plama. Bardzo duża i bardzo mokra. I pachniała dokładnie tak, jak się można było spodziewać.

Pokojówka wrzasnęła.

Damon spoglądał na nią ze smutnym uśmiechem i Roberta mimo woli zdała sobie sprawę, że jest przy tym wyjątkowo czarujący, ale jednocześnie jej irytacja wzrosła tak bardzo, że miał ochotę krzyknąć, tak jak służąca.

– Wybacz, proszę. To mu się zdarza tylko wtedy, kiedy wyjątkowo mocno zaśnie.

– Czy to komplement dla mojej pościeli?

Skinął głową.

– Masz pełne prawo być zła. Zaczekaj, zaraz wrócę. – Wykonał przepisowy ukłon, wciąż trzymając na rękach śpiącego synka, co, jak Roberta musiała przyznać, było sztuką nie lada. Zwłaszcza że rękaw fraka z różowego brokatu właśnie zupełnie mu przemakał.

Jedyna korzyść z tego zajścia, pomyślała Roberta, podczas gdy gospodyni i kilka pokojówek krzątało się po jej pokoju, to utwierdzenie jej niejasnego dotychczas przecucia, że dzieci to żadna atrakcja.

Ból głowy, który rozsadał jej czaszkę z prawej strony, także zdawał się o tym zaświadczać.

Dwie minuty później wrócił Damon i bezceremonialnie wziął ją za rękę.

– Idziemy – oświadczył.

– Ale przecież podobno przewietrzenie i przygotowanie nowej sypialni zajmuje sporo czasu.

– Owszem, tak mi powiedziała pani Friss, nasza gospodyni. Ale udało nam się znaleźć inne rozwiązanie.

Weszli do pokoju na drugim końcu korytarza. Była to piękna sypialnia, a odrzucona kołdra ukazywała czystą lnianą pościel. Całość wyglądała tak zachęcająco, że Roberta omal nie rzuciła się na łóżko, tak jak stała.

– Dzięki ci! – powiedziała. Nagle jednak zauważyła niewysokiego, okrągłego człowieczka, który pośpiesznie uprzętał przeróżne męskie drobiazgi. – O, nie!

– O, tak – odparł Damon. – To wszystko, Martins. Dziękuję ci bardzo.

Martins opuścił sypialnię, unosząc ze sobą kolekcję krawatów.

– Nie mogę ci zabierać pokoju – powiedziała Roberta, słaniając się na nogach.

– Oczywiście, że możesz. Te materace są dosyć stare. Wypełnienie mają chyba z wełny. Twój na pewno wchłoniął mocz Teddy’ego jak kwiaty rosę w upalny dzień. Nie radzę ci spać w tamtym łóżku, dopóki nie wymienią materaca.

Roberta wstrząsnęła się z obrzydzenia.

– Wyglądasz, jakby cię z grobu wyciągnęli. – Zanim zdążyła mrugnąć, rozwiązał pasek, którym była przepasana, mimo protestów ściągnął z niej szlafrok i ułożył ją w pościeli.

– Zupełnie jakbym była twoim synem, tylko trochę większym – powiedziała, zerkając na niego spod kołdry.

Damon przysiadł obok niej na łóżku – co było wysoce niestosowne.

– W ogóle nie przypominasz Teddy’ego – powiedział.

– I chwala Bogu za to. Co on właściwie robił w moim pokoju?

– Pewnie, jak zwykle, szukał mojej sypialni i wydawało mu się, że ją znalazł. Teściowa Jemmy nie popisała się polotem przy urządzaniu sypialni: wszystkie wyglądają dokładnie tak samo.

Roberta potoczyła mętным wzrokiem po ścianach wokoło i rzeczywiście – pod sufitem pysznił się rząd herbów rodu Beaumont, a na wprost łóżka wisiał obraz, którego bohaterka podejrzenie przypominała Judytę. Roberta zamknęła oczy.

Poczuła na ustach pocałunek tak lekki, że być może tylko jej się to przyśniło.

Całkiem możliwe, że tak właśnie było.

14

Wczesnym popołudniem rezydencja Beaumontów znowu zaczęła przypominać puszkę sardynek w zalewie, tyle że wszystkie sardynki miały na sobie aksamitne fraki i buty na obcasach. Jedyny problem polegał na tym, że nie było komu przyjąć gości.

Książę wyszedł wcześniej rano na spotkanie z ministrem Pittem, skąd miał się udać na posiedzenie Izby Lordów. Teddy obudził się o siódmej rano. Damon wstał jedynie po to, żeby popchnąć synka w kierunku pierwszej lepszej pokojówki, a potem znowu padł na łóżko. Teddy jednak powędrował w stronę kuchni, a stamtąd do szopy w ogrodzie, gdzie niedawno okociła się kotka. Roberta przebudziła się na krótko gdzieś około dziewiątej, ziewnęła, jęknęła i natychmiast zasnęła z powrotem. Jemma należała do osób, którym wystarczyło zaledwie pięć godzin snu, lecz z zasady przed trzecią po południu nigdy nie wychodziła z sypialni. Wyjeżdżając z Francji, dostała od Philidora na pożegnanie książkę włoskiego szachisty nazwiskiem Greco, więc zabrała się do studiowania opisanych w niej kombinacji, ale wszystkie zdawały jej się zaskakująco mało ambitne.

Wobec tego przyniesione przez gości kwiaty składano w bawialni księżnej, a było ich niemal tyle, ile na królewskim pogrzebie. Powozy zajeżdżały i odjeżdżały z taką częstotliwością, jakby w Beaumont House mieściła się apteka sprzedająca nowy cudowny środek na powiększenie biustu.

Wreszcie księżna uznała, że jest gotowa przyjąć gości.

– Przyrowadź mi dwóch panów na górę – poleciła pokojówce.

– Książę Villiers nie zczekał, zostawił tylko bilecik – powiedziała Brigitte.

Jemma wzięła do ręki pięknie tłoczony karnet, tak elegancki, jak jego właściciel. Jego pismo w niczym nie przypominało nieczytelnych bazgrołów Elijaha. Napisał:

„Kiedy pani zechce”.

Pięknie. Taki brak zapału u mężczyzny, z którym planowało się romans, był doprawdy intrygujący – tu Jemma zreflektowała się trochę. Przecież ona tylko bawi się tą myślą. Czyż nie przyrzekła mężowi, że młodzieńcze wybryki ma już za sobą? No i, co ważniejsze – skoro Elijah nie składał żadnych obietnic odnośnie do swojej kochanki – miała przecież skierować Villiersa na cnotliwe, choć cierniste ścieżki małżeńskiego pożycia. Z westchnieniem podała bilecik Brigitte.

– O szóstej. Powiedz mu, że może potem zostać na kolacji. I prześlij liścik do lady Roberty, żeby też o tym wiedziała.

Służba na pewno będzie plotkować, ale służba i tak zawsze wszystko wie, toteż Jemma nie widziała potrzeby, by zachować tajemnicę.

– Ach, Brigitte, jeszcze jedno – zawołała.

Brigitte odwróciła się w drzwiach. Była to wytworna Francuzeczka i czasem Jemma zastanawiała się, czy jej pokojówka nie ubiera się lepiej niż ona.

– Pamiętasz ten płaszcz z szalowym kołnierzem, który tak ci się podobał?

Brigitte złożyła ręce w zachwycie.

– Ten błękitny, Wasza Wysokość? Z czarną koronką?

Jemma uśmiechnęła się do niej.

– Dam ci go w zamian za pewną misję szpiegowską, która zresztą, jak mniemam, przypadnie ci do gustu.

Pokojówka zadrżała z podniecenia.

– *Enchantée!** – wykrzyknęła z roziskrzonymi oczami.

– Kiedy Villiers przyjdzie tu dzisiaj grać ze mną w szachy, na pewno będą mu towarzyszyć jego lokaje.

Brigitte pokiwała głową.

– Bardzo bym chciała poznać każdy najdrobniejszy szczegół jego *petite affaire amour*** z pewną damą, lady Caroline Killigrew, która potem urodziła dziecko.

– *Quelle folie**** – powiedziała Brigitte, dając do zrozumienia, co sądzi o bezmyślności lady Caroline, która nie potrafiła kontrolować swoich zdolności rozrodczych.

– Krążą plotki, że Villiers potajemnie wziął z tą młodą damą fałszywy ślub.

Lojalność Brigitte natychmiast zmieniła adresata.

– *Chien*****! – wykrzyknęła z oburzeniem.

– Może tak... a może nie. Każdy kij ma dwa końce. Musimy dowiedzieć się o lady Caroline wszystkiego, co tylko się da.

Brigitte uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Jemma nie miała wątpliwości, że rezolutna Francuzka bez problemu owinie sobie wokół palca każdego angielskiego lokaja.

– Niech dwóch dżentelmenów przyjdzie na górę, żeby mi pomóc w toalecie, Brigitte. Corbin, rzecz jasna, i może... na przykład wicehrabia

* *enchanteé* (fr.) – Jestem zachwycona.

** *petite affaire amour* (fr.) – mały romans.

*** *quelle folie* (fr.) – to szaleństwo.

**** *chien* (fr.) – pies.

St Albans. Miał wczoraj na sobie wspaniały strój i powinnam to docenić.

Brigitte dygnęła, po czy sfrunęła po schodach, żeby przyprowadzić wicehrabiego i lorda Corbina. Księżna oczekiwała ich w gorsecie i bapystowej koszuli – panowie mieli jej pomóc w podejmowaniu trudnych decyzji co do pudrowania włosów, umiejscowienia pieprzyków, koloru wstążek, a wreszcie – wyboru sukni.

Roberta zbudziła się w pokoju, który byłby dokładną kopią jej sypialni, gdyby nie kilka drobiazgów wskazujących na właściciela. Przez oparcie krzesła przerzucony był krawat. Na toaletce leżała książka; Roberta podeszła bliżej, ale ujrawszy nazwisko John Donne, z hukiem cisnęła tomik na stół. Ubrania Damona, rzecz jasna, wisiały w szafie.

Miał przepiękny aksamitny frak w kolorze wiśniowym na kremowej jedwabnej podszewce. Aby dokładnie obejrzeć frak, Roberta stanęła pod oknem; w świetle dziennym dostrzegła naszyte cekiny, które wraz ze srebrną nicią haftu tworzyły skomplikowany wzór. Już samo patrzenie na ten precudny strój sprawiało, że jej serce ścisnęła tęsknota.

I pożądanie. Musi szybko poślubić Villiersa, żeby kupić sobie suknię w identycznym wiśniowym kolorze, z cekinami.

Usłyszała, że ktoś jest pod drzwiami, i pośpiesznie rzuciła frak na łóżko. Ale gdy drzwi się otworzyły, nie ujrzała w nich pokojówki. Właściwie nie ujrzała nikogo. Drzwi zamknęły się i za chwilę zza rogu łóżka wyłonił się mały Teddy.

– Nie powinienes tu przychodzić – powiedziała na powitanie.

– Przeprosić mi tata kazał.

– Mój tata powiedział – i zresztą słusznie – że powinienem przeprosić – poprawiła go Roberta.

Uśmiechnął się do niej.

– Prezent ci... przyniosłem ci prezent.

Roberta uśmiechnęła się uprzejmie. Oczywiście, powinna się wzruszyć tym wymiętolonym kwiatkiem, który malec zaraz wyjmie zza pachy.

Nie był to jednak kwiatek, ale wrywający się, syczący ze złości kotek. Nie miała ochoty brać go na ręce.

– Może go lepiej postaw na ziemi – powiedziała, kiedy urocze kociątko machnęło łapką i zrobiło Teddy’emu kolejną czerwoną pręgę na dłoni.

Upuścił kotka, który z żalosnym miauknięciem wylądował na brzuchu i natychmiast dał nura pod łóżko.

– W szopie był grzeczniejszy – powiedział Teddy z odcieniem skruchy w głosie. – Pomyślałem sobie, że ci się spodoba. Bo musisz spać sama. Koty są dobre do towarzystwa.

– Lubię spać sama – poinformowała go Roberta.

Podszedł trochę bliżej.

– To francuski frak papy – rzekł. – Francja jest w Paryżu.

– Paryż jest we Francji – sprostowała. – Musisz zabrać stąd tego kotka i oddać go jego mamie.

– Ale on jest już teraz twój. A w ogóle to chciałem ci opowiedzieć o ogrodniku, co pracuje w ogrodzie...

– O ogrodniku, który pracuje w ogrodzie – poprawiła automatycznie, sięgając po sznur od dzwonka.

– Nazywa się Rummer, i kiedyś bił się na pięści za pieniądze, i siał okrakiem na przeciwnikach, i raz omal nie wydał pięciu gwinei na żonę, i...

– Na żonę? – Roberta była trochę zaskoczona.

Usiadła przed toaletką i zaczęła szcztokować włosy.

– Naprawdę. Rummer był na jarmarku w Smithfield i jakiś człowiek wystawił na sprzedaż swoją żonę, i cena wywoławcza to było właśnie pięć gwinei, i Rummer bardzo się nad tym zastanawiał, ale w końcu pomyślał sobie, że w życiu pięściarza nie ma miejsca dla żony, bo – Teddy zakończył tryumfalnie – dzisiaj damy tak wysoko upinają sobie suknie, że nie wiadomo, gdzie głowa, a gdzie zadek. – Zaczął chichotać jak szalony i jeszcze ze dwa albo trzy razy powtórzył zdanie o głowie i zadku, tak mu się to spodobało.

Roberta cesała się dalej. Właściwie, pomyślała, to smutne, że ktoś sprzedaje żonę na aukcji za pięć gwinei, ale kiedy spytała Teddy’ego o los owej kobiety, nie potrafił jej powiedzieć nic więcej ponad to, że Rummer jej nie kupił.

– W takim razie są już dwie rzeczy, których się musisz dowiedzieć – powiedziała mu. – Co się stało z tą żoną i co to jest grzebacz bagieny.

– Lubiem cię! – wykrzyknął, uśmiechając się promiennie. – Lubiem cię...

– Lubię – poprawiła znowu Roberta.

– Lubię cię, bo mnie słuchasz. Papa mówi, że ja tak mielę językiem, że mógłbym przegadać dziesięć przekupek.

– Zgadzasz się z nim w zupełności.

Nareszcie rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołała Roberta. – O, nie wiedziałam, że to ty – dodała z irytacją.

– Papo, zobacz! – powiedział Teddy. – Nowy kotek tej pani polubił twój czerwony frak.

I rzeczywiście, kociak zdołał wspiąć się na łóżko i umościł sobie legowisko w haftowanym srebrnym aksamicie.

– Jestem nieubrana – powiedziała z godnością Roberta. – Będę wdzięczna, jeśli zechcesz zabrać stąd swojego syna – po raz kolejny – tak, żebym mogła w spokoju dokończyć toaletę.

Uniósł brew.

– W tej właśnie chwili moja siostra niewątpliwie przyjmuje w swojej sypialni przynajmniej dwóch dżentelmenów, którzy pomagają jej wybrać strój na dzisiejszy dzień. Może Teddy i ja pomożemy tobie?

Roberta zamarała ze szczotką w uniesionej dłoni, a potem ze złością odłożyła ją na blat. Teddy wziął na ręce kotka, który zaczął mruczeć.

– Wątpię, żeby twoja siostra przyjmowała w sypialni dżentelmenów, będąc – spuściła wzrok, żeby się upewnić, czy podomka na pewno jest zawiązana – w negliżu.

– Ale tak właśnie każe dzisiejsza moda. – Damon wziął jedno z krzeseł i postawił je tak, żeby móc na nią patrzeć, siedząc. – To nie do pomyślenia, żeby dama ubierała się sama. Zwykle w pokoju jest też służąca. Ona będzie ci podawać ubrania, a ja i Teddy doradzimy ci, gdzie masz przykleić pieprzyk, ile nałożyć różu, czy dodać wstążki – i takie tam.

– Nie sądzę, żeby niezamężne młode damy zapraszały panów do swojego pokoju, kiedy się ubierają. I wcale nie chcę przyklejać sobie pieprzyka!

Roberta była zupełnie wytrącona z równowagi. Zawsze wydawało się jej, że nie jest naiwną prowincjonalną gąską, ale zaczynała zdawać sobie sprawę, że to, co uznawała za szczyt wyrafinowania i elegancji u pani Grope, bladło w obliczu szyku i koloru rodziny Reeve.

W świetle słońca oczy Damona były jeszcze bardziej zielone.

– Chodźmy nad rzekę – powiedział nagle Teddy. – Kotek miałby na to ochotę.

– Wątpię – odrzekł jego ojciec. – A zresztą, Roberta ma pewnie ważniejsze sprawy do załatwienia.

Nad rzekę? Prawdę mówiąc, Roberta miała wielką ochotę pozwiedzać trochę Londyn.

– Muszę być z powrotem w domu przed wieczorem – powiedziała ostrożnie.

– Ach, tak. Słynny pojedynek szachowy Villiersa. – Damon wstał z krzesła. – Chodź, smyku. Damy Robercie trochę czasu, żeby się ubrała bez naszej pomocy, a potem pojedziemy razem nad rzekę. Byłaś już kiedyś nad rzeką?

Roberta pokręciła głową.

– A na pikniku?

Nie miała ochoty tłumaczyć, dlaczego nie ciągnęło jej nigdy na piknik w towarzystwie pani Grope, więc znowu pokręciła głową.

– Oto kobieta, która wiele się musi nauczyć. – Uśmiech Damona przywodził na myśl raczej pocałunki niż rodzinną wyprawę na łono natury.

Ojciec i syn wyszli, pozostawiając czerwony aksamitny frak, którego przód pokrywała teraz biała sierść kotka.

Roberta rozwiązała podomkę. Może nie powinna się godzić na ten piknik, cokolwiek to miało oznaczać. Może powinna jednak zostać w domu, żeby nie przegapić chwili, kiedy zjawi się Villiers.

Choć w zasadzie nie miała pewności, co zamierza zrobić albo powiedzieć, żeby Villiers zechciał się z nią ożenić, to już sama myśl o nim sprawiała, że żywiej biło jej serce. Po chwili pokojówka przyniosła kolejną suknię Jemmy. Tym razem blad różową i wkrótce Robertę tak zaprzątęły skomplikowane szczegóły upięcia spódnicy *à la polonaise*, że całkiem zapomniała o Villiersie.

Mniej więcej dwie godziny później, wicehrabia St Albans z ukłonem wycofał się z sypialni księżnej i drobnym kroczkiem ruszył na dół. Był to mężczyzna szczupły i nadzwyczaj zadbany. Tego popołudnia miał na sobie przepyszny strój z lśniącego, cytrynowożółtego jedwabiu, z emaliowanymi guzikami. Frak rozszerzał się od talii w dół. Wicehrabia nie zapiął go, żeby było widać wszystkich dwadzieścia guzików od kamizelki (naturalnie, również emaliowanych). Kamizelka była na piersi dyskretnie podszyta pikowaną materią, co niwelowało jedyny drobny defekt jego figury. No, może jeszcze jego oczy były osadzone trochę zbyt blisko siebie.

Ostrożnie schodził po schodach, bo nie ma nic gorszego niż te polerowane marmury, gdy ma się na nogach wysokie obcasy. A wysoki wzrost był, jego zdaniem, rzeczą nader pożądaną. Ale teraz już myślał, jak będzie w kawiarni opowiadał znajomym, że gdy oznajmił, nie szczędząc oczywiście komplementów księżnej, iż jest umówiony, i niestety musi już wyjść, lord Corbin nawet nie ruszył się z miejsca.

Zostawił tych dwoje zatopionych w przyjaznej pogawędce na temat jakiegoś szachisty z Polski, zapomnianego przez Boga kraiku, który w najmniejszym stopniu nie wzbudzał zainteresowania wicehrabiego. Skrzywił się z niesmakiem, wspominając, jak to próbowali go nabrać, że naprawdę rozmawiają o szachach. To chyba oczywiste, że Corbin i księżna postanowili go zanudzić, żeby sobie poszedł i zostawił ich samych; szczerze mówiąc, z przyjemnością ich opuścił.

Gdzieżby śmiał wchodzić w drogę tym dwojgu gołąbeczkom. Choć, oczywiście, spróbuje się jakoś dowiedzieć, jak długo Corbin pozostał sam na sam z księżną po jego wyjściu.

Kiedy dotarł do hallu wyjściowego, zażądał lustra. Gdy lokaj podał mu zwierciadło, precyzyjnie umiejscowił na czubku ufryzowanej głowy swój trójgraniasty kapelusz i zawadiacko go przekrzywił. Nagle zauważył, że rozetka zdobiąca jeden z jego butów ledwo się trzyma. Dziesięć minut później siedział na małym zgrabnym krzeselku, czekając, aż osobisty kamerdyner księcia przyszyje niesforną ozdobę. Potem, rzecz jasna, musiał na osobności podciągnąć sobie pończochy. Wreszcie znowu przeglądał się w lustrze, bez końca przekrzywiając kapelusz to w tę, to w drugą stronę.

Kiedy już miał dosyć, usłyszał za plecami stukot obcasów i oto na schodach zjawił się Corbin.

– Jeszcze tu jesteś? – zapytał Corbin z szerokim uśmiechem. Zdaniem wicehrabiego młody lord zbyt był wesolutki, jak na nudną rozmowę o szachach.

– Miałem straszliwy kłopot z butem. – Wicehrabia starał się mówić, sepleniąc lekko; był to ostatni krzyk mody. – To niewymownie denerwujące. Te rozetki bez przerwy odpadają.

– Ja ich nie noszę – stwierdził Corbin.

– Widzę. – W głosie wicehrabiego zadźwięczała nutka dezaprobaty. – Twojej kamizelce przydałaby się niewielka falbanka.

– Twoja znacznie lepiej wyglądałaby bez niej – odparł Corbin z lekkim uśmiechem.

Wicehrabia z początku nie zorientował się, że właśnie skrytykowano jego dobry smak, ale nim się spostrzegł – a miał już na końcu języka ciętą uwagę o okropnych guzikach Corbina – ten nasadził na głowę kapelusz i wyszedł.

Wicehrabia prychnął gniewnie i wystudiowanym krokiem zszedł do czekającego powozu. Nie miał żadnych wątpliwości: księżna raczej nie spodziewa się potomka, za to spodziewać się można, że ma kochankę. Zaśmiał się sam do siebie, rozbawiony własnym żarciem.

W chwilę po wyjściu obu panów na dół zesłała księżna, uperfumowana, upudrowana, słowem – wyjątkowo powabna. W sypialni pozostały stopy jedwabnych sukien, kłęby wstążek, porozrzucane pantofle i kwiaty, które służba miała uprzętać, nim pojawi się Villiers, żeby rozpocząć partię.

Ku jej zaskoczeniu, w drzwiach wejściowych właśnie pojawił się Beaumont.

Zatrzymała się w pół drogi na schodach i przycisnęła dłoń do piersi.

– Mój Boże, Beaumont – powiedziała. – Jakie to dziwne, widzieć cię w domu o tak wczesnej porze.

– Na dziś już skończyłem pracę. – Księżę spojrział na żonę.

Jemma swobodnie pokonała ostatnie stopnie schodów i uświadomiła sobie, jaka jest zadowolona, że tak pięknie wygląda. Doprawdy, źle z nią, skoro chce się podobać mężowi.

– Zaczniemy grę? – zapytał.

– Oczywiście!

– Z Villiersem będziesz grać w swoich pokojach – powiedział.

– W takim razie musi nam wystarczyć moja sypialnia. Daj mi chwilę, zdejmę tylko perukę. – Widząc, że Jemma nie rusza się z miejsca, dodał. – Wiesz chyba, gdzie jest mój pokój?

Jemma nawet nie spojrzała w stronę lokajów stojących pod ścianą; wiedziała jednak, że choć twarze mają obojętne, łowią uchem każde słowo z rozmowy państwa.

– Może jakoś uda mi się tam trafić.

Elijah patrzył, jak jego żona wchodzi z powrotem po schodach. Miała na sobie suknię tak lekką, że unosił ją przeciąg. Strój pochodził z Francji; był tak uszyty, żeby każdy mężczyzna, widząc go, natychmiast spocił się z wrażenia.

Ale nie powinien myśleć o tym, jak zmysłowa i pociągająca jest Jemma, jeśli ma wygrać tę partię. Jedyną rzeczą, którą zawsze w żonie podziwiał,

była jej inteligencja. Wczesnych doświadczeń z małżeńskiego łoża, przyznać musiał, nie wspominał zbyt miło. To było tak dawno temu, że właściwie niewiele pamiętał. Wszystko działa się zwykle pod kołdrą, a do tego nie za często.

Tak naprawdę Jemma nie z własnej winy okazała się nie najlepszą partnerką w łożu. To on pewnie był kiepskim nauczycielem. Ale to oznaczało, że wybuchały erotyzm jego kochanki Sary stanowił olbrzymi kontrast z brakiem doświadczenia młodej żony, którą wybrał dla niego ojciec, kiedy Elijah miał zaledwie siedem lat.

Ruszył w górę po schodach. Czy życie potoczyłoby się inaczej, gdyby Jemma nie przyłapała go wtedy z Sarą w jego apartamentach w Westminsterze?

Może tak.

A może nie.

Chyba żadne z nich nie jest stworzone dla wąskich, cnotliwych ścieżek małżeńskiego pożycia.

Jemma zjawiała się kilka chwil później, gdy właśnie rozstawiał figury.

– A, szachownica twojego dziadka – powiedziała. – Całkiem o niej zapomniałam, a przecież nieraz grywałam na niej w pierwszym roku po naszym ślubie.

– Z kim wtedy grałaś? – zapytał.

W tamtych czasach był tak gorączkowo podekscytowany swoją nową pozycją w Izbie, że ledwo pamiętał, co się działo w domu. Teraz też nie działo się lepiej. Przez cały dzień dostawał kuksańce, raczono go uśmieszkami i zadawano pytania, co on właściwie jeszcze robi w Westminsterze, aż w końcu nie wytrzymał i pojechał do domu o cztery godziny wcześniej niż zazwyczaj.

– Starszy lokaj nieźle sobie radził; Jacobs, pamiętasz go? Miał takie obwisłe policzki jak buldog. Szczerze się zmartwiłam na wieść o tym, że umarł.

– To on nie żyje?

Jemma przytaknęła.

– Wspaniale są te figury.

Na szachownicy stało średniowieczne wojsko zaklęte w marmur. Farba dawno już się starła, tylko tu i ówdzie widać było nikły ślad czerwieni: w gniewnych oczach króla, na dolnej wardze królowej, na płaszczu gońca.

– Myślisz może, że nie pamiętam twojego stylu gry – zagadnął Elijah. – Jeśli tak, to jesteś w błędzie. Jestem gotów odeprzeć twój atak.

Przesunął pion broniący króla o dwa pola do przodu.

Jemma uśmiechnęła się i przesunęła ten sam pion o jedno pole.

– Pionek to moja ulubiona figura – powiedział Elijah.

Jemma oparła się wygodnie. Na dziś już wykonali swoje posunięcia.

– Mogłam się tego domyślać. Skromny i pokorny, jak ty sam.

– Pionek jest sprytny, wiele można nim zdziałać, a w parze z drugim pionkiem bywa niepokonany.

– Pionki nie mają polotu. – Jemma zdjęła z szachownicy królową, żeby przyrzeć się jej wyblakłym szatom.

– A tobie, jeśli dobrze pamiętam, chodzi przede wszystkim o finezję.

– Co w tym złego?

– Nie twierdzą, że to coś złego.

– Uważam, że moją mocną stroną jest natarcie.

Elijah patrzył na delikatne palce żony.

– Pamiętam, że lubisz atakować – wyrzekł powoli – ale gdy napotkasz opór, wycofujesz się, uciekasz. Tracisz figury i często zdarzało ci się przez to przegrać.

Jemma ze stukiem odstawiła królową na planszę.

– Jak to miło, że ze szczegółami pamiętasz wszystkie moje porażki.

15

Mówiłem, że kotek chce iść z nami – upierał się Teddy.

– A ja nie wyraziłem zgody – odparł Damon. – I wydawało mi się, że to jednak ja powinienem tu decydować.

Roberta przyglądała się, jak służba pakuje solidny koszyk do pła-skodennej łodzi. Łódź była naprawdę bardzo ładna, miała baldachim z kwiecistego muślinu, który powiewał unoszony lekką bryzą, miała też niewielkie ławeczki do siedzenia i płócienne ściany, które można było opuścić w razie nagłego deszczu.

– To pan Cunningham. – Damon przedstawił jej młodego człowieka o poważnym wyglądem, który najwyraźniej zorganizował dla nich łódź.

– Ransom, to jest lady Roberta St Giles. Ransom pracuje jako sekretarz mojego szwagra, a ja poznałem go jeszcze w Cambridge; łączą nas rozpustne studenckie lata.

– Nie przesadzaj z tą rozpustą – obruszył się pan Cunningham.

Damon zupełnie go zignorował.

– Co bardziej istotne, Ransom zna każdy zakręt tej rzeki, a przy tym był tak miły, że porzucił dziś dla nas towarzystwo księcia.

Roberta uśmiechnęła się do pana Cunninghama. Nie uszło jej uwagi, że ma on piękne ciemne oczy, i pomyślała sobie, że miło jest pływać po rzece w towarzystwie dwóch przystojnych młodzieńców.

Można nawet powiedzieć, że było ich trzech. Czy może raczej dwóch i pół.

Jedynym intruzem był kot.

Roberta nie miała złudzeń, dlaczego Teddy sypia to tu, to tam, trafiając do łóżek, w których w ogóle nie powinien się znaleźć. Damon próbował zaspokajać wszystkie zachcianki synka, co, choć świadczyło o jego dobrym sercu, okazało się błędem wychowawczym. Nic dziwnego, że Teddy go nie słuchał.

Fakt, że malec był sympatyczny i zabawny, nie usprawiedliwiał jednak w jej oczach tego, że jest dzieckiem, a więc – tym samym – z definicji niższym gatunkiem człowieka.

Przerwała rozsądne wywody Damona na temat prawdopodobnej niechęci kotów do podróżowania łodzią.

– Zobaczmy, czy lubi pływać.

Teddy przycisnął zwierzątko do piersi; patrzył na nią okrągłymi ze strachu oczami, jakby ujrzał w niej właśnie okrutną zabójczynię małych kotków.

– Tylko spróbujemy. Jeśli się okaże, że nie lubi, to twój tata go wyłowi.

Teddy pokręcił głową.

– W takim razie, jeśli to nie jest pływający kot – tu Roberta zawiesiła głos, dając do zrozumienia, co sądzi o małych kotkach, które nie potrafią pływać – to niech zostanie w powozie, dopóki się nie nauczy pływać. – I bez dalszych ceregieli wyjęła zwierzę z rąk chłopca, podając je lokajowi.

– A my będziemy pływać? – Teddy dreptał obok niej po kamiennych schodkach prowadzących do przygotowanej łodzi.

– Mam głęboką nadzieję, że nie – powiedział Damon, pomagając Robertce wsiąść.

Usadowiła się pod płóciennym daszkiem i łódź odbiła od brzegu.

Rzeka Fleet nie przypominała rozmiarem Tamizy, był to w zasadzie wąski i kręty strumień, którego wody lśniły i połyskiwały wesoło w słońcu. Pan Cunningham popychał łódkę długą tyczką, którą wbijał w dno i na powrót wyciągał. Każdy ruch żerdzi sprawiał, że woda pluśkała i bulgotała wokoło, co Teddy'ego wprowadzało w stan najwyższego zachwyty.

Damon umiał sobie czas bezskutecznym łajaniem synka za takie wykroczenia, jak na przykład zmoczenie ubranka czy wychylenie się z łodzi, Roberta zaś włożyła dłoń do wody i przyglądała się, jak omywają ją fale. Właśnie podплыnęło do nich stadko kaczek.

– Gdyby tak kotek był z nami – zwróciła się do Teddy'ego – mogliśmy go wrzucić do wody, żeby złapał nam kaczkę na kolację.

Chłopczyk znów pokręcił głową.

– Za mały jest mój kotek.

Roberta poprawiła zdanie, a Teddy łaskawie przyznał, że kotek na pewno chętnie by się przejechał na grzbiecie kaczki.

– Złowię mu na kolację rybę!

Już wychylał się za burzę, ale Damon chwycił go w samą porę.

Aż nad samą rzekę schodziły tu piękne, zadbane ogrody – Roberta czuła się prawie jak w Bath czy letnim miasteczku; trudno było uwierzyć, że to wielki Londyn. Zielona murawa sięgała samego do brzegu, a pod powierzchnią widać było brązową płataninę korzeni drzew. Teddy aż zapiszczał, kiedy dojrzał podłużne, obłe kształty błyskające srebrem pomiędzy korzeniami.

– Żeby coś tu złowić, musiałbyś mieć przynętę – powiedział Damon.

– Panie Cunningham – odezwała się Roberta. – Czy po Tamizie też pływa się łodzią?

– Za duży tam ruch – wyjaśnił pan Cunningham. – Na Tamizie można w zasadzie spotkać tylko duże pasażerskie statki. Niestety, mówi się, że trzeba uregulować brzegi Fleet, a to byłaby nieodżałowana strata.

Przeplływali właśnie obok łąki, całej żółtej od kaczęńców, gdy Teddy wyciągnął z wody całą garść ociekających wodorostów.

– Patrzcie! – wykrzyknął. – Dam to mojemu kotkowi, bo Rummer zawsze powtarza, że koty czasem jedzą trawę. Wiedzieliście o tym?

– Teddy, wyrzuć to – powiedział Damon surowo.

Pan Cunningham roześmiał się głośno.

– Damon, musisz nauczyć syna pływać. Idę o zakład, że będzie pływał jak ryba.

– Na pewno – wtrącił Teddy.

– Tam za zakrętem woda nie jest głęboka – zaproponował pan Cunningham. – Są tu piaszczyste łachy. Możemy go po prostu wysadzić z łodzi, jak to lady Roberta chciała zrobić z kotem.

– To by było świetne. – Teddy kiwał głową tak energicznie, że nawet nie zauważył, jak tata wyjął mu z rączki wodorosty. Oczywiście, zaraz z powrotem wsadził rękę do wody, żeby uratować je przed zatonięciem.

– Teddy, mówiłem, żebyś nie moczył ubrania – upomniął go ojciec. – Rozumiem, Ransom, że podejmujesz się rozkosznej roli instruktora pływania?

Ku zaskoczeniu Roberty, pan Cunningham nie zaproponował.

– Do pływania trzeba się rozebrać, czego nie wypada robić przy damie – powiedział.

– Chłopiec nigdy nie pokazuje dziewczynkom siusiaka – poinformował Robertę Teddy.

– Będę o tym pamiętać – zapewniła.

– Ale za to po ślubie możesz patrzeć, ile chcesz.

– Domyślam się, że te światłe nauki pobierałaś u kolan papy? – stwierdziła z przekąsem Roberta.

Damon przestał się śmiać i zaproponował, żeby na piknik zatrzymać się na łące.

Pan Cunningham posłusznie skierował łódź w tę stronę i w chwilę później już byli na brzegu. Teddy wyznał, że musi iść w krzaczki, toteż Damon udał się z nim w tamtym kierunku. Roberta zajęła się wypakowywaniem kosza z jedzeniem, pan Cunningham zaś w tym czasie przycumował łódkę do młodego drzewka.

Zanim ojciec z synem wrócili, Robertą już zdążyła się przekonać, że koc rozłożony na wyboistym podłożu nie jest najwygodniejszym siedziskiem. Usadowili się na nim wszyscy, oprócz Teddy'ego, który skakał wokół nich, jak oszalały konik polny.

Damon wychylił swój kieliszek wina.

– Rola ojca to wyczerpujące zajęcie – westchnął.

– To dlatego, że nie masz nikogo do pomocy. Nie miałaś przypadkiem znaleźć dla niego niańki?

– Biuro pośrednictwa jutro przyśle nową opiekunkę – odparł. – Muszę tylko przetrwać dzisiejszy dzień.

Roberta, przyglądając mu się, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Włosy stały mu dęba, a cały rękaw miał mokry, po tym jak wyciągał Teddy'emu rękę z wody. Nalał sobie drugi kieliszek wina, jakby to był co najmniej eliksir życia. Pan Cunningham porzucił niewygodną miejscówkę na kocu i huśtał Teddy'ego tak wysoko, że malec aż krzyczał z radości.

– Może pan Cunningham mógłby pójść z Teddym na mielizny przez ten las? – zapytała Roberta. – Pouczy go pływać, a my tu sobie tymczasem posiedzimy w tym potwornie niewygodnym miejscu; za to oszczędzony mi będzie widok siusiaka Teddy'ego.

Damon zamrugnął, lecz już po chwili zerwał się na nogi.

– Ransom! – zawołał.

Nim Roberta dopiła swój kieliszek wina, pan Cunningham i Teddy zmierzali w stronę zagajnika.

– Mam nadzieję, że się nie utopi? – Damon nie wydawał się zbyt zadowolony.

– Mało prawdopodobne. Gdzie pan Cunningham tak się nauczył zajmować dziećmi?

– Pewnie ma młodsze rodzeństwo. – Damon wzruszył ramionami. Położył się na kocu, ale zaraz znów się poderwał. – Do licha, Roberto, coś ty za miejsce wybrała?

– To łąka pełna kaczeńców. Chyba nie spodziewałaś się tu stołów ani krzeseł.

– Na niejednej łące bywałem – oznajmił Damon – ale ta jest bezsprzecznie najbardziej niewygodna ze wszystkich, jakie znam.

Pomógł Robercie wstać, po czym uniósł koc i kopnął coś, co leżało pod spodem.

– Co to?

– Krowie placki. Ułożyłaś nasz koc na niezłej kolekcji. Właściwie – powiedział, rozglądając się dookoła – cała ta łąka jest nimi upstrzona.

– Czy myślisz, że kręcą się tu też jakieś byki?

– Teraz nie; pewnie pojawią się tu nie wcześniej niż za miesiąc, kiedy trawa trochę podrośnie. No, cóż, będę musiał poświęcić swoje

rękawiczki – Martins pewnie dostanie palpacji. Ale co zrobić? Odsuń się, Roberto.

Dwie minuty potem krowie placki jeden za drugim pozęgłowały w powietrzu w stronę przeciwnielego krańca pola.

– Ciekawe, czy dorzucisz do rzeki – zastanowiła się głośno Roberta.

Rzeka pluskała w świetle słońca jakieś dziesięć metrów od nich. Damon wziął szeroki zamach i cisnął plackiem.

Pocisk trafił w brzeg, nie wpadając do wody. Milczenie Roberty było bardzo wymowne.

– Nie wiem, dlaczego tak kiepsko mi poszło – burknął Damon pod nosem. – Czekaj no, pomóż mi ściągnąć frak. Mam brudne rękawiczki i nie chcę go poplamiać.

Roberta pomogła mu zdjąć przepiękny popielaty frak podszyty czerwonym jedwabiem. W identycznym kolorze krwistej czerwieni były szerokie, rozcięte mankiety i obcisłe spodnie Damona. Po fraku przysła kolej na kamizelkę, aż wreszcie został w samych spodniach i płóciennej koszuli, tak cienkiej, że było pod nią widać grę mięśni, kiedy zamachnął się, żeby rzucić następnym plackiem. Niestety, i ten wylądował o dobre pół metra od brzegu.

– Czy panowie też zapraszają damy do sypialni, żeby pomogły im się ubrać? – zapytała ciekawie.

Damon kręcił głową.

– Patrz, Roberto, zaraz rzucę w tę kaczkę... – Wzniósł tryumfalny okrzyk. – Trafiłem ją!

– Może byś ją trafił, gdyby wcześniej nie dała nura pod wodę. – Na widok jego gestu uniosła sceptycznie brew. – O, nie, na pewno nie podam ci krowiego placka.

– Damy nigdy bym się nie ośmielił o to poprosić, ale to mi się właśnie w tobie podoba, Roberto: nie za bardzo przypominasz damę.

– To nie zabrzmiało jak komplement.

– Tak uważasz, bo nie wiesz, jak nudne potrafią być damy. Po pierwsze, w ogóle nie mają w sobie ducha rywalizacji. A możesz sobie wyobrazić, jakie to nużące dla mnie, który spędziłem dzieciństwo w towarzystwie takiej siostry, jak Jemma.

– Więc Jemma posiada ducha rywalizacji?

Roześmiał się.

– Jemma jest najlepszą szachistką w Anglii i Francji, a pewnie i nie-jeden mężczyzna jej na tym polu ustępuje. Nieraz przecież wygrywała z Philidorem, a on jest ponoć najlepszy we Francji.

– A kto jest najlepszy w Anglii?

Zamrugnął, zaskoczony.

– To ty nie wiesz?

Pokręciła głową.

– Twój kochanek – powiedział górnolotnie. – Villiers. Choć pewnie jeszcze za wcześniej, by tak o nim mówić. Ale, ale! Jak myślisz, uda mi się trafić w to drzewko, do którego uwiązana jest nasza łódka?

– Nie.

– Mogłabyś mi trochę dodać animuszu – gderał Damon, szykując się do rzutu. Wziął potężny zamach, ale i ten placek nie trafił do celu.

– Teraz ja chcę spróbować – powiedziała nieoczekiwanie Roberta.

Warto było: Damon otworzył szeroko usta ze zdumienia.

Nie miała wątpliwości, że kluczem do sukcesu był odpowiedni kształt placka. Powinien być płaski, nie taki, jak te grudy, którymi rzucał Damon; rozpadały się w powietrzu i lądowały na ziemi w szczątkach.

W końcu znalazła odpowiedni i, prosząc w duchu Jemmę o wybaczenie za zniszczenie jej liliowych rękawiczek, wzięła zamach z pół-obrotu i cisnęła wirujący placek w powietrze.

Nie doleciał wprawdzie do drzewka, ale i tak wylądował dalej niż te, które rzucił Damon.

– Skąd ty, u diaska, wiesz, jak to się robi? – Zaskoczenie w jego głosie sprawiło jej dużą przyjemność.

– Może twoja siostra jest najlepszą szachistką na terenie dwóch krajów – odparła, ściągając zabrudzone rękawiczki – ale za to ja dzierżę palmę pierwszeństwa w rzucaniu krowimi plackami.

– Tytuł mistrzyni należy do ciebie. A więc, gdzie pani trenowała, lady Roberto?

– Wcale nie trenowałam – odrzekła z uśmiechem. – Po prostu uczyłam się na błędach swoich poprzedników.

– E, tam. – Damon wyszukał sobie placek w kształcie dysku. Oczywiście, kiedy zastosował metodę obrotową, pocisk poleciał daleko za wyznaczony cel. – No, cóż, ty pierwsza na to wpadłaś – przyznał sprawiedliwie. – Myślę, że już nam się udało oczyścić miejsce pod koc, nie sądzisz?

– Sądzę, że powinniśmy przejść się w stronę lasu i zobaczyć, jak Teddy'emu idzie pływanie.

– Jak to? Nie masz ochoty powylegiwać się ze mną w cieniu i pocwiczyć pocałunków, obserwując przy tym grę promieni słońca wśród liści drzewa? Mógłbym ci też recytować poezję i poić cię winem.

– Poezji mam dość do końca życia – skrzywiła się.

– Ależ, z całym szacunkiem dla twojego ojca, tu chodzi o zupełnie inny rodzaj poezji. „Pójdź za mną, miła, i kochaj mnie” – wyrzekł z patosem. – „Ja twym kaczeńcem będę, a ty moja... moja... pietruszką”.

– Nie jestem twoją miłą – chichotała Roberta.

– Mogłabyś chociaż spróbować. – Objął ją w tali i nim się spostrzegła, już miała za plecami starą jabłonkę. Usta Damona wyglądały tak smakowicie, ale...

– Naprawdę planujesz mnie uwieść?

– Jak najbardziej – Pochylił się, by musnąć wargami jej usta.

– Trochę śmiesz krowim plackiem – powiedziała.

– To samo mogę powiedzieć o tobie.

– Lepiej nie. Wolę wyobrażać sobie, że jestem uperfumowana.

– Ja wolę wyobrażać sobie, że jesteś naga. – Jego głos opadł do zmysłowego pomruku, zgranego w tonacji ze śpiewem ptaków.

Dała mu się pocałować. Bo właściwie dlaczego nie? Może i był nicponiem, ale świetnie się przy nim bawiła. Odprężyła się zupełnie i rozchyliła usta, pozwalając, by jego język rozpoczął zabawę w kotka i myszkę, od której zaszumiła jej w głowie. Dziś Damon miał włosy związane tasiemką, więc pociągnęła za nią, żeby jego jedwabiste loki rozsypały się luźno, jak poprzedniego wieczoru.

Całował ją teraz z całej siły, do utraty tchu, wdzierając się językiem do jej ust i zaraz się wycofując. Wargi miał gorące i cudownie pełne. Musnęła językiem dolną wargę; w odpowiedzi na to usłyszała zduszony jęk.

Zabrzmiało to tak dziwnie, że odsunęła się, spoglądając na niego badawczo.

I zaraz tego pożałowała, bo w Damonie nie pozostało już nic z niefrasobliwego żartownisia. Przycisnął ją do siebie tak gwałtownie, że aż tchu jej zabrakło, i pocałował ją tak mocno, że zachwiała się na nogach. Znów przycisnął ją do pnia drzewa, ale teraz czuła każdy szczegół jego ciała.

– Nie popychaj mnie – powiedziała bez tchu. – To drzewo ma nierówną korę.

– Możemy się położyć.

– Nie.

– W takim razie muszę cię obronić przed tymi okrutnymi nierównościami – powiedział, obejmując dłonią jej krągłe pośladki i przyciągając ją do siebie. Pod jego ubraniem też rysowały się nierówności, a każdą z nich ciało Roberty witało z rozgrzającym zachwytem.

Odbierał jej siły i rozum, była gotowa osunąć się w jego ramiona, wołając „bierz mnie”, czy zrobić coś równie idiotycznego. Ta mglista wizja wystarczyła, by rozjaśnić jej w głowie.

Odsunęła się i tym razem Damon wypuścił ją z objęć, ale wciąż wspierał się rękami o drzewo po obu jej stronach. Pocałunki uczyniły ją delikatną i słabą, a taka na co dzień nie była i być nie zamierzała.

– A może to ty próbujesz mnie uwieść, co? – zapytał. – Bo, do licha ciężkiego, Roberto, jesteś bliższa celu niż którkolwiek z innych znanych mi panien na wydaniu.

– Nie próbuję. – Odepchnęła od siebie jego ramiona, oburzona jego zdumieniem, że i w niej znalazło się coś uwodzicielskiego. – Dobrze wiesz, że nie.

Wyprostował się.

– Bo kochasz się w Villiersie, tak?

– Między innymi – odparła, obciągając suknię.

W jego głosie nadal brzmiało zaskoczenie.

– A gdybyś nie była zakochana, to też nie chciałabyś mnie uwieść?

Roberta przyjrzała mu się uważnie. Miał na twarzy wyraz kompletnego niedowierzania. Stał tak przed nią, szczupły i umięśniony, w białej cienkiej koszuli, ze zmierzwionymi włosami, i przypatrywał jej się zmrużonymi oczami. Roześmiała się wesoło.

– Jak cię pocałuję, to zaraz przestaniesz – zagroził.

Momentalnie się opanowała.

– Chodzi o to, że... po prostu, któregoś dnia ty też się zakochasz, Damonie, a wtedy sam się przekonasz, jak to jest. Jesteś bardzo przystojny i uroczy, bardzo zabawny i tak dalej. Tylko że nie w moim typie.

– Uroczy i zabawny? – Przejechał ręką po włosach, wicherząc je jeszcze bardziej. – Gdzie, u diaska, moja wstążka?

Podniosła ją z ziemi i podała mu, czekając, aż odsunie włosy z twarzy i zwiąże je na karku. Dobrze mu było w takiej fryzurze; podkreślała wyraźnie zarysowane kości policzkowe.

– Byłeś kiedyś zakochany? – zapytała.
– Jasne, że byłem – odparł z szelmowskim uśmiechem. – I to nie-raz.
– Ale tak naprawdę zakochany.
Damon narzucił kamizelkę.
– Oczywiście, że tak, moja panno. Moją pierwszą miłością była dziewczeczka o wdzięcznym imieniu Susan; ślicznotka, mówię ci.
– Jakaś wioskowa dziewczyna? – Wyobraziła go sobie jako młodego chłopca u boku cycatej dziewczki.
– Córka lorda Kendricka – odrzekł, wkładając frak. – Wyszła za właściciela ziemskiego i mieszka na prowincji.
– Naprawdę? A ona też cię kochała?
– O, tak.
– W takim razie, dlaczego...
– Co najmniej przez tydzień. Przysłała mi list z lany perfumami. Co stało się początkiem końca naszego romansu, bo nasz kamerdyner doniósł ojcu, że pisuje do mnie jakaś dama, i ojciec zakazał nam się spotykać.
– Mój ty Boże. Nie chciał, żebyś poślubił swoją Susan?
Damon roześmiał się.
– Miałem wtedy czternaście lat. A ojciec już dla mnie wybrał żonę, choć biedaczce się zmarło, nim przyszło co do czego.
– A ile lat miała Susan?
– Była damą w dojrzałym wieku lat siedemnastu.
– Wcześniej zaczynałeś.
– Będę musiał bardziej pilnować Teddy’ego. A skoro już o nim mowa...
Wyruszyli w stronę zagajnika przez łąny kaczęńców. Gdy weszli między drzewa, Damon odezwał się zniecka.
– Nie odpowiedziałaś mi w końcu, dlaczego nie chciałaś mnie uwieść, gdyby Villiers nie wchodził w rachubę.
– Bo zamierzam wyjść za mąż. I w przeciwieństwie do Susan, mam dość rozumu, by stwierdzić, że nie nadajesz się na męża dla mnie.
– Już nie jestem czternastolatkiem. Mam tytuł i majątek. Dlaczego, twoim zdaniem, nie jestem dobrą partią?
Nagle Roberta zapragnęła podnieść go jakoś na duchu.
– Jesteś bardzo przystojny. I wspaniale całujesz.
Uśmiechnął się do niej łobuzersko.

– Dzięki za słowa uznania. Ale?
Wzruszyła ramionami.
– Ty też nie chcesz się ze mną żenić; ty mi to wyjaśnij.
– Jestem mężczyzną. Wyjaśnianie to nie moja specjalność.
– W chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Villiersa, od razu wiedziałam, że to mój ideał.
– Bo jest starym przykiem, który nigdy nie narazi cię na śmieszność?
– Bardzo cię lubię, Damonie, naprawdę. Sam to zresztą widzisz. Ale jesteś dla mnie jak członek rodziny, jak kuzyn.
– Gdybyś naprawdę była moją kuzynką, nie całowałbym cię pod ja-
błonką.
– Widzisz, w twoim towarzystwie czuję się naprawdę swobodnie. I świetnie się bawię. – Wzięła się pod boki. – Jak ci się wydaje, czy z przyszłą żoną urządziłbyś sobie konkurs rzucania krowimi plackami na odległość?
– A nie? – Uniósł brew.
– Absolutnie nie. Kiedy się zakochasz, serce tak ci będzie walić, że nie będziesz w stanie rzucić nawet małą myszką, a co dopiero krowim plackiem.
– Teraz też nie rzuciłbym myszką. Małe nóżki skrobiące mnie w dłoń – to nic przyjemnego. No, chyba że twoje.
– Właśnie o to mi chodziło. Nie wygadywałbyś takich bzdur, gdybym to ja była tą jedyną. Bałbyś się, że zrobisz albo powiesz coś nie tak.
– A przy tobie zupełnie się nie przejmuję?
– Właśnie takie mam wrażenie. – Przyspieszyła kroku, bo przed nimi widać było plamę słonecznego światła.
– Cóż, w takim razie... – rzekł i w chwilę później znowu przycisnął ją do drzewa i pocałował. Mocno. Kiedy Damon całował, nagle przestał być miłym, zabawnym kuzynem.
Z początku trochę się wrywała. Czy jego nic nie obchodzi to, że Roberta zamierza wyjść za innego?
Ale Damon był mistrzem całowania. Władcą królestwa pocałunków. Nie było sensu mu się opierać, gdy...
Straciła wątek. Jego ciepłe palce przesuwają się po jej plecach; jego dotyk parzył ją przez sukienkę.
I znowu na nią napierał. Miała niejasne wrażenie, że to popychanie musi nieodłącznie należeć do jakiegoś męskiego rytuału. Pewnie rytuału godowego.

W porządku.

Nawet jej się to podobało.

Sama poruszyła się nieco i zauważyła, że jego oddech stał się szybszy. Pomyślała sobie „aha!” i spróbowała znowu.

Kłopot z pożyczonymi od Jemmy sukniami polegał na tym, że były na nią trochę za ciasne. Co właśnie obróciło się przeciwko niej, gdy Damon objął dłonią górę jej piersi wyglądającą z dekoltu. Wiązanie gorsu natychmiast się poluzowało i materiał opadł, odsłaniając całą pierś, którą on natychmiast zaczął pieścić.

Jak przez mgłę, Roberta zdała sobie sprawę, że sprawy zaszły już za daleko.

Z niewiadomych powodów Damonowi przyszła fantazja, że będzie ją całował i zachowywał się, jakby pragnął ją uwieść. No, dobrze, przyznała sama przed sobą, może on naprawdę chce ją uwieść. Ale ona jest przecież zakochana w innym.

Wyrwała się.

Jęknął jakoś dziwnie.

– Mnie było dobrze – powiedział ze skargą w głosie.

– Naprawdę chcesz się całować z kobietą, która myśli o innym mężczyźnie? – Nie wiedzieć dlaczego, ogarnęła ją złość na niego.

Zamarł na krótką chwilę.

– Chyba nie. Zwłaszcza jeśli myślisz o Villiersie. Ta jego niezdrowa namiętność do szachów. Te jego białe włosy. Nie, nie, dziękuję bardzo. Podobają mi się moje włosy, a szachy uważam za śmiertelnie nudne. A ty?

– Nigdy nie grałam.

Wstrząsnął się na przykre wspomnienie.

– Mnie i Jemie ojciec kazał grać godzinami, kiedy byliśmy mali. To żadna filozofia, jedne figury poruszają się tak, a inne siak. Chodzi przede wszystkim o królową, co... – uśmiechnął się – mnie jakoś nigdy nie zafascynowało, a Jemkę i owszem.

– Nauczę się grać.

– Nie ma sensu. Villiers będzie się nudził, grając z amatorką. A on nie z tych, który cierpliwie znośzą potknięcia małuczkich.

– Już ja się postaram, żeby się nie nudził – upierała się Roberta.

Uśmiech błąkał się po wargach Damona, ale nic na to nie odpowiedział.

– Będziemy grać nago – oznajmiła, kiedy przypomniała jej się anegdota jednej z kurtyzan ojca.

Damon stanął jak wryty.

– Roberto St Giles!

Uśmiechnęła się rozkosznie.

– Jak widzisz, wdałam się w rodzinę – powiedziała beztrząsco, po czym ruszyła dalej, odrzuciwszy włosy na plecy.

Kiedy wyszli z zagajnika, zobaczyli, że Teddy rzeczywiście pływa jak przysłowiowa ryba, a pan Cunningham nieszczęśliwie wpadł do wody w ubraniu.

– Wiecie, co znalazłem? – krzyknął Teddy. I zaraz wyskoczył z wody, niebaczny na to, że Roberta może zobaczyć jego przyrodzenie. Pokazał jej swoje znalezisko, które trzymał w zaciśniętej pięści.

– To skarb? – spytała.

Jak na małego chłopczyka, Teddy był naprawdę śliczny. Miał jasnobrązowe włosy, jak ojciec, ale jego oczy były ciemniejsze, z bursztynowymi plamkami.

Skarbem okazał się kawałek butelkowego szkła, wygładzony przez wodę.

– Hm – powiedziała.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Nieszczególnie. A tobie?

– Tak, bo – postukał pulchnym paluszkiem środek szkiełka – gwiazdkę ma tu, o tutaj. Widzisz ją?

Roberta nachyliła się i rzeczywiście dostrzegła widniejące na samym środku maluteńkie wgłębienie w kształcie gwiazdy. Przez chwilę miała ochotę znowu poprawić jego błędy, ale zrezygnowała.

– To rzeczywiście jest bardzo ładne.

Kiedy malec się uśmiechał, widać było, że brakuje mu kilku mlecznych zębów, a widok ten był dziwnie uroczy.

– Ja uważam, że ten kawałek szkła należał do przemytników – zdradził jej Teddy. – Tak właśnie uważam.

– A skąd się na nim wzięła ta gwiazdka?

– To zagadka – powiedział.

I odbiegł.

Podczas kąpieli Jemma zazwyczaj myślała o szachach. Raz jeden, sześć lat temu, kąpał się z nią pewien Francuz, co skierowało jej myśli w inną stronę, ale zasadniczo przyjemność pluskania się w ciepłej wodzie była nierozzerwalnie związana z szachami.

Jednak tego wieczoru jakoś nie potrafiła się skupić. Obie gry właśnie się rozpoczęły i miała mnóstwo do przemyślenia. Nie była w stanie przewidzieć, jakie posunięcie wybierze Villiers, bo oboje zaczęli od tradycyjnego otwarcia pionkiem. Nie wiedziała również, co zrobi Elijah, choć pewnie mogłaby się oprzeć w domysłach na tych kilku partiach, które rozegrali dawniej. Jemma pamiętała każdą swoją rozgrywkę, a jeśli skupiła się dostatecznie mocno, oczyma wyobraźni widziała przesuwające się po planszy figury, jak gdyby czas się cofnął. Tyle że Elijah grał z nią tylko trzy razy, w pierwszym miesiącu ich małżeństwa, zanim jeszcze przytapała go z kochanką.

Wygrała wszystkie trzy partie, ale przyszło jej to nie bez trudu. Elijah miał znakomite wyczucie i był świetnym strategiem, ale nie ryzykował utraty figur tak łatwo, jak ona. Prześledziła w myślach jedną z pierwszych rozgrywek z mężem, po czym z westchnieniem oparła się o brzeg wanny. Pokona go i tym razem. Całkiem prawdopodobne, że Elijah od lat nie zasiadał do szachownicy. No, chyba że jego kochanka umiała grać.

Nurtowało ją pytanie, czy jego ówczesna kochanka wciąż jest *au courant*^{*}, jak to się mówi. Czy jej mąż jest typem lojalnym? Czy popełnił to urocze głupstwo, żeby przez tyle lat trzymać tę samą kochankę, czy może znalazł sobie nową, młodszą i świeższą?

Te myśli przygnębiły ją – co za idiotyczne uczucie! – więc pokręciła głową, chcąc się od nich uwolnić.

– Brigitte, udało ci się pomówić z którymś z lokajów Villiersa?

Brigitte uśmiechnęła się tryumfalnie. Jej mina mówiła o tym, że takie jak ona Francuzki angielskich lokajów zjadają na son *petit déjeuner*^{**}.

* *au courant* (fr.) – na bieżąco.

** *son petit déjeuner* (fr.) – śniadanie.

– Poznałam pewnego lokaja, ma na imię Joseph – odparła. – Nie jest taki zły. Wprawdzie rudy, a moja mamana mówiła zawsze, że rude włosy to znamię Kaina, ale wcale nie jest zły. W przyszłym tygodniu ma mnie zabrać do jakichś ogrodów, tam go wypytam.

– Wspaniale – ucieszyła się Jemma. – Mam nadzieję, że będziesz się przy tym dobrze bawić.

– Ma ładne szerokie ramiona – powiedziała Brigitte. – Ale jest jeszcze inna kwestia. Kamerdyner, ten okropny, ten, co nazywa się Fowle – co za ohydne nazwisko! – prosił, żebym pani przekazała, że otrzymał parę bilecików z pytaniem o to, jak rozwijają się pani pojedynki szachowe.

– Z Villiersem i moim mężem?

– *Oui*, właśnie te. Pytają o to wydawcy różnych gazet i klub White'a. Chcą zapłacić Fowle'owi pewną sumę pieniędzy, żeby donosił im codziennie, jak się posuwają pani rozgrywki z Jego Wysokością i księciem Villiersem.

Jemma osunęła się w wodzie.

– Ach, tak.

– Oczywiście, Fowle nic nie zrobi bez mojej pomocy – ciągnęła Brigitte. – A ja powiedziałam mu, że nie ma o tym mowy bez pani pozwolenia. Księżna pani rozgrywa wiele partii naraz, a wszystkie w głowie, tak mu powiedziałam. Phi! Ten to nie ma za grosz zrozumienia dla szachów.

Jemma zastanowiła się przez chwilę. Istniał tylko jeden powód, dla którego wolałaby nie rozgłaszać tych informacji: skandal. Elijah byłby niezadowolony, wiedząc, że prasa śledzi każdy jego ruch na szachownicy, a u White'a obstawiają jego zwycięstwo.

– Obawiam się, że odpowiedź brzmi: nie – powiedziała Jemma. – Przepraszam, Brigitte. Pewnie gazety nieźle by zapłaciły za te wiadomości.

Brigitte z miną filozofa wzruszyła ramionami.

– Trudno. I tak większość trafiałaby do kieszeni Fowle'a. A zresztą, mam przecież Josepha, który o mnie zadba.

I zaśmiała się, jak tylko Francuzki to potrafią.

Następnego ranka Elijah obudził się, gdy tylko pierwsze promienie słońca zajrzały do okien jego sypialni. Omal nie zajęczał na głos, kiedy sobie przypomniał szczegóły minionego dnia. Właściwie wspomnienia nie opuściły go nawet w nocy, bo uświadomił sobie, że przebudził się z okropnego snu, w którym krąg najbliższych doradców Pitta, w tym i on sam, został zaproszony przez ministra na śniadanie. Księżę trafił wprawdzie do odpowiedniego pokoju, ale wyszedł do toalety. Później błąkał się godzinami po labiryncie korytarzy, ciągnących się pod budynkiem Izby Lordów, usiłując odnaleźć jadalnię. W pewnej chwili znalazł się w sali, gdzie na ścianach od podłogi po sufit wisiały wyszukane stroje; spotkał tam lorda Corbina, który ze złośliwym uśmiechem powiedział mu, że człowiek wyrafinowany zawsze będzie górą nad zwykłym wołem roboczym. Poniewczasie Elijah zorientował się, że ten ostatni komentarz odnosił się do niego.

Bywały dni, kiedy zrywał się z łóżka pełen zapału i pędził do Izby Lordów brać się za bary z ciężkim i skomplikowanym procesem kierowania tłumem parlamentarzystów, by robili dokładnie to, czego on chce. Ostatnimi czasy miał wrażenie, że ledwo dochodzi do powozu.

Od czasu, kiedy zemdlął zeszłej jesieni, było coraz gorzej.

Starał się nie myśleć o tym zbyt wiele; któż lubi zastanawiać się nad własną śmiertelnością? Ale ta myśl nie dawała mu spokoju, niepostrzeżenie pojawiała się we śnie i na jawie, żeby zatruć każdy moment jego życia.

Tego ranka uświadomił sobie, że od dwóch dni spał w sumie nie więcej niż kilka godzin. Funkcjonował wyłącznie dzięki swej niezwykłej energii i żelaznej sile woli, wytężał wszystkie siły, przygotowując przewrót, który umożliwi Pittowi przejęcie parlamentu.

Pitt był już tak blisko celu. To porządny, wiarygodny człowiek. Zmuszono Foksa, aby ustąpił, wyjechał do swojej wiejskiej siedziby, St Anne's Hill, i osiadł tam z tą swoją kurtyzaną, która wszędzie z nim jeździ. Pitt rozpocznie nową erę w dziejach kraju, bez korupcji i nieprawości, bez skandali...

Może oprócz tych skandali, które urządzi Jemma, oczywiście.

Siadł na brzegu łóżka i wsparł głowę na rękach. Prawda jawiła się tak, że on sam nie jest premierem i nigdy nim nie zostanie. Jest w tej rozgrywce tylko pomniejszym graczem, choć na pewno potrzebnym. Gdy był w formie, jego zagorzałość zjednywała mu zwolenników – tyle że od października zupełnie nie miał formy.

Podczas posiedzenia Izby Lordów stał na mównicy i przemawiał, wykazując, że szaleństwem byłoby zgodzić się na żądania Foksa. Widział przed sobą ściśnięte rzędy białych peruk, a pod nimi małe twarzyczki, które poruszały ustami, rozmawiając z sąsiadami, słuchając ich odpowiedzi, słuchając jego przemówienia... jak zwykle w takich razach. Ale on ciągnął, powtarzając te same argumenty po raz czwarty, czy może piąty, bo odkrył, że za pierwszym razem nikt nie słucha; czasem nie wystarczyło nawet powtórzyć pięć razy.

I nagle opanowało go dziwne wrażenie, że wszystkie te małe twarzyczki znikają, pozostawiając jedynie długie rzędy peruk. Zamrugał i mówił dalej, ale peruki rosły i rosły, aż w końcu w ogóle nie dostrzegł już twarzy. A potem wszystko szczęśliwie zniknęło.

I dobrze. Co to za przyjemność pouczać puste rzędy peruk?

Od tamtego ranka upłynęło jakieś sześć miesięcy. Izba Lordów zamknęła sezon posiedzeń i otworzyła nowy. On sam nie wykazywał już więcej skłonności do nagłego przewracania się, lecz zdawało mu się, że Pitt obserwuje go z pewnym skrywanym niepokojem.

Jednak nie mógł przestać myśleć o tych wielkich perukach i małych, gadających twarzyczkach. No i przecież jego ojciec zmarł w wieku zaledwie trzydziestu czterech lat. To dawało mu jedynie rok, gdyby miał żyć tyle, co ojciec.

Do pokoju wszedł służący.

– Na dole straszne zamieszanie, Wasza Wysokość – powiedział.

Elijah zdawał sobie sprawę, że gdyby nie Vickery, nie miałby pojęcia, co się dzieje w jego własnym domu. Wprawdzie przed przyjazdem Jemmy te doniesienia ograniczały się do krótkich komunikatów o reumatyzmie kucharza oraz skłonności starszego lokaja do podkradania sreber.

– To Teddy?

Vickery roześmiał się.

– Nie, ten diabelski pomiot już wyszedł z domu. Lord Gryffyn zatrudnił niańkę, którą przysłało biuro pośrednictwa, i zabrała małego do parku. Ale wątpię, że długo się u nas utrzyma, zresztą nie ona pierwsza.

Wygląda na dość pruderyjną, zaś paniczka Teddy'ego ostatnio bardzo interesują – tu zniżył głos – różne procesy cielesne, za pozwoleniem Waszej Wysokości.

Elijah parsknął śmiechem.

– W takim razie, co się dzieje, jeśli to nie Teddy? Znowu szykuje się jakiś bal?

– Ojciec lady Roberty przysłał wiadomość, że przyjeżdża dziś po południu. To ten, co mówią o nim „szalony markiz”. Wasza Wysokość ma dzisiaj lunch z panem Pittem i z królem, tak? A przedtem spotkanie. A po południu...

– Komisja w sprawie zniesienia ulg. Później Kompania Wytwórców Sukna w ich siedzibie na Mincing Lane.

Vickery był snobem.

– Musi się pan z nimi spotykać? – zapytał. – Traci pan czas, powinni sobie znaleźć kogoś mniej ważnego.

– Boją się, że ich robotnicy trafią do przytułku dla bezdomnych – powiedział Elijah znużonym głosem. – Boją się, że producenci serów zaczynają tkąć muślin na własne potrzeby i przejmą ich dochody. W skrócie, boją się.

– To niech się boją, ale niech nie zwracają innym głowy – wyrzekł Vickery z naciskiem. Kąpiel była już gotowa. – Bardzo proszę, Wasza Wysokość.

– Po co ojciec lady Roberty tu przyjeżdża? – Elijah usadowił się wygodnie, a Vickery polał mu głowę ciepłą wodą.

– Nie mam pojęcia – odparł Vickery. Księżę jednak nie wziął sobie tego do serca, wiedząc, że Vickery ma zdanie na każdy temat. – Wydaje mi się, że chce się u nas na jakiś czas zatrzymać, Wasza Wysokość.

Elijah zamknął oczy, podczas gdy Vickery masował mu głowę, namydlając włosy szamponem o zapachu kwiatu pomarańczy. To była jedyna słabostka, na jaką sobie pozwalał: kobiecy zapach szamponu, kobiecy zwyczaj brania codziennej kąpieli. Czasami wydawało mu się, że nie przetrwałby dnia bez tych kilku minut relaksu w wodzie.

– Wróci pan do domu po tych wytwórcach sukna? – wypytywał Vickery, splukując szampon.

Elijah siedział w bezruchu, w tej szczególnie bezbronnej pozycji osoby, którą kąpie ktoś inny.

– Nie – odrzekł. – Po wytwórcach sukna mam spotkanie z grupą dyplomatów z Ameryki w sprawie traktatu pokojowego. Muszę tam być, to ważne.

Vickery wymamrotał coś o nadętych kolonistach. Elijah nie usłyszał dokładnie, ale wiedział, o co mniej więcej chodzi – o to, że zapracowuje się na śmierć.

Co za dziwna myśl.

Śmierć.

Czy raczej praca i śmierć do spółki.

Podobno jego ojcu stanęło serce w połowie wypowiedzanego zdania. Przynajmniej było to bezbolesne, pomyślał Elijah. Omdlenie też nie bolało. W jednej chwili stał na wprost rzędów gadających peruk; a w następnej ocknął się zalany wodą, którą cucił go jakiś rozhisteryzowany biurokrata. Pewnie zatem tak to się odbędzie: w pół zdania, bez ostrzeżenia, bez chwili na to, by zebrać myśli lub czegoś żałować... ze światła w mrok.

Czasem w jego głowie odzywał się cichy buntowniczy głosik; miał wrażenie, że ostatnio rozbrzmiewał jakby głośniejszy. Elijah obawiał się, że ten głos mówił coś o tym, że jego ojciec zdążył użyć życia, zanim umarł.

– Czy dużo mówi się o upodobaniu księżnej do gry w szachy? – Nagle poczuł się niewypowiedzianie zmęczony.

– To wzbudza duże zainteresowanie, Wasza Wysokość – Vickery rozpoczął długą tyradę na temat skandalu, przeskakując od pojedynków szachowych księżnej do obecności w tym domu nieślubnego dziecka Gryffyna, aż do osławionej dekoracji balowego stołu.

– Przecież była ubrana, jak należy, i uosabiała Helenę Trojańską – zdziwił się Elijah. – Nie wiem, co się komu mogło w tym nie podobać, chyba że jej nieprzystojne piosenki.

Niestety, jak twierdził Vickery, Helena Trojańska pod koniec balu z własnej inicjatywy zrzuciła szaty.

– Już prawie świtało i w sali nie pozostało wielu gości – powiedział. – Była naprawdę wyjątkowo pomalowana. I do biustu miała przyklejone perełki, jak słyszałem. Fowle mówi, że omal nie dostał zawału, ale lokajom bardzo się podobała, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Elijah zsunął się niżej w wannie.

– Księżna wie, że tak się stało? Była tam?

– O, nie, Wasza Wysokość – zaprzeczył Vickery. – Na długo przedtem poszła do siebie. Jak mówiłem, było już wtedy bardzo późno.

Tyle skandali wisi w powietrzu, pomyślał Elijah. Czymże jest jeszcze „szalony markiz” na dodatek? Z westchnieniem wstał, sięgając po ręcznik.

– Nikt pana nie wini za tę sytuację. – Vickery wyraźnie chciał go jakoś pocieszyć. – Taki Fox, na przykład, traktuje tę swoją panią Armistead jak żonę, a przecież wszyscy wiedzą, że nie mają ślubu.

Tyle że nieobyczajne zachowanie Foksa grało na jego korzyść. Elijah przekonał pewnych konserwatywnych dżentelmenów, że Fox jest niegodny zaufania ze względu na jego przesadne przywiązanie do kurtyzany. Lord Holland raz nawet obiecał mu wsparcie wyłącznie na podstawie faktu, że Fox trwał w niemoralnym związku z panią Armistead. „Czy Fox nigdy się nie nauczy, jak ważne są niewzruszone zasady moralne?” – grzmiał Holland. Elijah uznał wówczas, że lord wygląda jak pulchny gołąb, który połknął coś niesmacznego. Mógł sobie jedynie wyobrazić, jakie zdanie będzie miał Holland na temat Jemmy. Nie wspominając namiętnie ozdoby stołu, jeśli rozejdą się wieści o złotej farbie i perłach.

To jasne, że nie może już liczyć na głosy tych, którzy oburzali się na łamanie zasad przyzwoitości.

– Jeśli spotka się pan z Amerykanami zaraz po wytwórcach sukna – powiedział Vickery – to kiedy wykona pan dzisiejszy ruch w grze z żoną, Wasza Wysokość?

Elijah rzucił mu ręcznik i przeciągnął palcami po włosach. Obcinał je krótko, żeby wygodniej było nosić perukę.

Czuł się już trochę lepiej, ale nadal miał niepokojącą ochotę wrócić do łóżka albo, na przykład, zejść na dół i pogawędzić z markizem, kiedy ten się zjawi. Naprawdę lubił poezję, choć, jak właśnie sobie uświadomił, od lat nie miał w ręku tomiku wierszy.

– Jeszcze nie wiem, kiedy mi się to uda – odpowiedział wymijająco.

Kiedy sługa i jego pan są razem przez wiele lat, łatwo rozpoznają nawzajem swoje humory. Gdy Elijah naciągał pończochy, zorientował się, że Vickery jest bardzo niezadowolony.

Vickery wybrał moment, kiedy księżę nakładał perukę, żeby wyrzucić z siebie strumień wykrzykników, których treść dało się podsumować w kilku krótkich zdaniach.

Księżę Villiers na pewno nie przegapi okazji, żeby wykonać dzisiejsze posunięcie.

Większa część służby, w tym również sam Vickery, poczyniła zakład, że ich pan wygra; ale żeby wygrać, pan musi grać.

Wreszcie, dzień przerwy w grze cały Londyn weźmie za oznakę jego słabości.

Jadąc powozem, Elijah zastanowił się nad tym i doszedł do wniosku, że dzień przerwy byłby prawdopodobnie równoznaczny z przyznaniem się do impotencji albo czegoś podobnego. Nachylił się do swojego osobistego sekretarza, Ransoma Cunninghama.

– Muszę wrócić do domu jeszcze przed spotkaniem z wytwórcami sukna – powiedział.

Cunningham otworzył usta, żeby się sprzeciwić.

Elijah uniósł rękę.

– Mecz szachowy – wyjaśnił krótko.

Sekretarz zamknął usta. Elijah miał ochotę zapytać, czy Cunningham obstawił zwycięstwo Villiersa, czy swojego chlebodawcy, ale stwierdził, że woli tego nie wiedzieć.

– Nie wiesz może, jakie zakłady poczyniono u White’a? – zapytał od niechcienia.

Po chwili wahania Cunningham odpowiedział:

– Villiers ma reputację najlepszego gracza w Anglii, Wasza Wysokość – powiedział Cunningham ze skruszoną miną.

– Hm. – Elijah odchylił się z powrotem na oparcie siedzenia.

Minęły lata, odkąd grał ostatnio w szachy. Ale znał tę grę na wylot. Były czasy, kiedy Villiers uznawał go za swojego jedyne godnego przeciwnika. Prawda, mieli wtedy obaj po siedemnaście lat, ale i tak uważał, że ma pewną przewagę.

I nie dlatego, że niegdyś grał z Villiersem.

Ale dlatego, że jest mężem Jemmy. Aby pokonać przeciwnika, trzeba go poznać. Albo ją. Dokładnie tak, jak w polityce, choć niektórym idiotom w rządzie ciężko to było wytłumaczyć. Spotka się z wytwórcami sukna i z amerykańskimi dyplomatami, bo kiedy ich pozna, będzie mógł ich ustawiać niby pionki na swojej własnej szachownicy, w takich kombinacjach, w jakich zechce.

Ta myśl uspokoiła go. Właściwie można by powiedzieć, że jest w obecnej chwili lepiej przygotowany do szachowych rozgrywek niż kiedykolwiek przedtem.

Jedyny drobiazg, który go trochę martwił, to fakt, że Amerykanów i wytwórców sukna rozumie lepiej niż własną żonę.

Ale ten problem na pewno można rozwiązać. Dopisał go w myślach do długiej listy zadań, o której sobie przypominał mniej więcej co godzinę. Zadania na liście obejmowały sprawy trywialne i kwestie wagi państwowej, poczynawszy od: „Sprawdzić piwnice domu na Portland Square” (bo księżę miał posesje w różnych punktach miasta), aż do „Poprawić stosunki z Francją; nieważne, co Pitt o tym sądzi”. Gdzieś w połowie listy pojawił się nowy punkt: „Zrozumieć Jemmę”.

Zastanowił się głębiej, po czym rozwinął ten zapis:

„Zrozumieć Jemmę, byle szybko, zanim powali mnie na łopatki, bo inaczej co lojalniejsi spośród służby przegrają zakłady i stracą równowartość rocznej pensji”.

18

Księżę Villiers spędził rano w klubie Parsloe. Miał za sobą dość przeciętną rozgrywkę z pewnym Rosjaninem, który mu się przypadkiem napatoczył, a potem przez bite trzy godziny omawiał z lordem Corbinem wady i zalety poświęcania w grze królowej. Może nawet Corbin stanie się dla niego regularnym partnerem, jakiego nie miał od czasu, kiedy Berrow się zastrzelił.

Cholera.

Villiers zawsze uważał, że żal to uczucie odpowiednie dla głupców i poetów, którzy nic innego nie mają do roboty, niż tylko rozpaczać po utracie kochanki. A w życiu, jak w szachach: trzeba planować atak i nie wolno tracić czasu na żalowanie błędów. On sam wołał o nich nie pamiętać.

Ale tamta gra, ta ostatnia gra z Berrowem... To uparte wspomnienie nie dawało się usunąć.

Zaczęło się bardzo prosto. Tamtego roku fascynowały go pionki, więc wkrótce po rozpoczęciu gry jego czarne pionki otoczyły białą królową Berrowa, jak rój wściekłych mrówek. Ta rozgrywka była świetna taktycznie, wprawdzie mierzył się ze słabszym przeciwnikiem, ale i tak wygrana dała mu satysfakcję.

Tylko... czy nie dało się tego zrobić inaczej?

Czy był w stanie nie dopuścić do tego, żeby Berrow po powrocie do domu przyłożył sobie do skroni pistolet?

To pytanie dręczyło go bezustannie. Nawiedzało go czasem we śnie, a wtedy śniły mu się roje czarnych pionków. Gdyby w czwartym ruchu Berrow zbił mu wieżę, jego strategia spelzłaby na niczym.

Ale może nie powinien wytykać tego błędu Berrowowi, kiedy skończyli grę. Villiers przygarbił się i pomaszerował dalej w stronę domu Elijaha. To dziwne, że wciąż myślał o rezydencji Beaumontów „dom Elijaha”, choć przecież obaj nie rozmawiali ze sobą od lat i nie mówili sobie po imieniu.

Ale teraz wszystko wskazywało na to, że stawką w podwójnej grze jest królowa Elijaha, której Villiers tak naprawdę wcale nie pragnął. Chciał tylko porządnego partnera do gry.

A może tak naprawdę chciał tylko zagrać znowu z Berrowem.

Ta cikliwa myśl tak go rozwścieczyła, że załomotał kołatką z większą siłą niż zazwyczaj, a na widok jego grymasu złości kamerdyner aż cofnął się o krok.

– Jej Wysokość oczekuje pana – powiedział.

Ale Villiers był już na schodach. Zmusił się, by przestać myśleć o tym, czego nie da się już zmienić. Wczoraj Jemma przesunęła pionem broniący króla o dwa pola do przodu, podobnie jak on. Możliwe, że dziś ruszy się koniem.

Ale on przesunęła o dwa pola pion stojący przed królową. Bez zwłoki zbił go pionkiem, którym poruszył się poprzedniego dnia.

Oparł się wygodnie.

– Mogę zobaczyć szachownicę, na której gra pani z mężem?

Księżna odrzuciła w tył delikatne falbanki przy mankietach. To naprawdę piękna kobieta, pomyślał Villiers obojętnie.

– Nie.

– Niech mi pani opowie o stylu gry Philidora.

– To mały, okrągły człowieczek, który nosi binokle. Jest zupełnie łysy i... – Spojrzała na niego roześmianymi oczami.

– Wygląda jak pionek – domyślił się szybko.

– Trochę. Jedna z jego najciekawszych partii, jakie widziałam, to gra, w której założył się, że zaszachuje króla za pomocą gońca królowej.

– Gra kontraktowa... i to jaka trudna. Fascynujące!

– Poświęcił wtedy królową, dwie wieże, dwa gońce, ale w końcu mu się udało.

Villiers siedział przez chwilę w milczeniu, próbując sobie wyobrazić poruszające się po planszy figury. Nie wiedział, jak dokładnie wyglądała ta rozgrywka, ale potrafił docenić jej piękno i złożoność.

– Wiele mnie nauczył, jeśli chodzi o utratę figur – ciągnęła Jemma. – W jednej z naszych gier, którą zresztą wygrał, poświęcił swoją królową, ale dotarł pionkiem do końca planszy i promował go na królową, po czym zbił jej wieżę.

– Poszła z nim pani do łóżka, żeby uczcić to zwycięstwo? – zapytał.

– Nie. – Jemma nie wyglądała na urażoną.

– Gdybym spotkał kobietę, która tak gra, zrobiłbym wszystko, żeby się z nią przespać – powiedział, obserwując ją uważnie.

– Doprawdy?

Przypominała mu klasyczny grecki posąg. Rysy jej twarzy były idealnie harmonijne.

– Szachy są jak muzyka i namiętność. Nadają życiu sens. Połączyć dwie z tych trzech rzeczy to byłaby iście niebiańska rozkosz.

– Kochałam się kiedyś przy dźwięku skrzypiec – rzekła.

Tajemniczy uśmiezek, który błąkał się na jej ustach, sprawił, że krew w nim zawrzała.

– A kochała się pani z mistrzem szachownicy?

– To zależy od definicji.

– Ja chyba do niej pasuję. Philidor również.

– Mistrz szachowy, który przypomina pionka, nie leży w moim polu zainteresowań. Dodam jeszcze, że Philidor jest szczęśliwie żonaty. Jak przypuszczam, madame Philidor nie byłaby zachwycona, gdyby odkryła jakieś zakusy na swojego króla.

– To się rzeczywiście niefortunnie złożyło – stwierdził. – Ale muszę pani powiedzieć, że uważam, iż królowe nie są własnością królów. Królowa ma o wiele więcej śmiałości i rozmachu: porusza się we wszystkich kierunkach, atakuje i kontratakuje.

– Z pewnością królowe często działają na własną rękę – powiedziała Jemma, podnosząc się z fotela.

Villiers również wstał z miejsca z uczuciem niedosytu. Nie chciał jeszcze wychodzić. Chciał pozostać w alkowie księżnej i ciągnąć tę grę półsłówki i niedomówień, tę rozmowę o szachach i pożądaniu.

– Może rozegramy sobie jedną partyjkę na boku, bez zobowiązań? – zapytał pod wpływem nagłego impulsu. – Już nie w ramach naszego meczu. Chyba że pani we wszystkich swoich grach stosuje zasadę jednego ruchu dziennie?

– Jeśli chodzi panu o to, czy potrzebuję całego wieczoru, żeby obmyślić kolejne posunięcie, to odpowiedź brzmi: nie.

– Niech więc pani ze mną zagra – nalegał. – Mam już dosyć grania z idiotami. Zagramy razem.

– Będę musiała zaproponować to samo mojemu mężowi.

Wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo. Ale nie sądzę, żeby Beaumont miał czas na gierki ze zwykłymi śmiertelnikami.

Jemma znowu zasiadła do szachownicy.

– Kiedyś nawet powiedział mi coś w tym stylu.

– W wywiadzie dla „Gentleman’s Magazine” powiedział, że jego szachownicą jest Anglia. – Zabrał się do rozstawiania pionków, zanim księżna zdążyła zmienić zdanie.

Jemma znowu odsunęła falbanki mankietów, które opadały, zasłaniając jej zgrabne palce i szczupłe nadgarstki.

– Jakież to intrygujące – powiedział, nie spuszczać z niej wzroku.

– Dlaczego?

– Mam coraz większą ochotę panią rozebrać. Kobiety zawsze mają na sobie tyle ubrań, że te niewielkie fragmenty ciała, które widać od czasu do czasu, wzbudzają jeszcze większe pożądanie.

– Czy panu wszystko kojarzy się z pożądaniem?

– Moim zdaniem istnieją tylko dwa interesujące zajęcia: jedną z tych rzeczy zazwyczaj robi się w łóżu, a drugą – poza nim. A może tak zmienilibyśmy zasady ostatniej rozgrywki naszego meczu?

Jemma odwróciła szachownicę.

– Teraz pan zaczyna.

– Ostatnią partię rozegramy z zawiązanymi oczyma – powiedział – i w łóżu.

– I jak pan to sobie wyobraża? – zapytała z czarującym kpiącym uśmiechem. – Moja pokojówka będzie stała obok, przesuując figury? Przecież my oboje będziemy mieli zawiązane oczy, prawda?

– Ja nie zwracam na służbę najmniejszej uwagi. Ale jeśli pani by przeszkadzała jej obecność, możemy rozłożyć szachownicę w korytarzu, a ja będę wołał do służącej, jaki ruch ma wykonać.

Villiers zorientował się, że jeszcze chwila, a zacznie błagać tę kobietę. Co to ma znaczyć? Księżę Villiers nigdy nie błaga. Księżę Villiers bierze to, na co ma ochotę.

Zmarszczył gniewnie brwi i przeskoczył gońcem rząd pionków. Nawet przez chwilę nie wierzył, że Jemma gra tak dobrze, jak sama twierdzi.

Jego gniew dodatkowo podsycił dziwny błysk w jej oczach. Wydawało mu się, że księżna wie dokładnie, co on sobie myśli.

– Czy zdarzało się panu kiedyś walczyć z tym uczuciem? – zapytała jakiś czas później, w chwilę po tym, jak jej królowa zabiła jego gońca. Villiers nie widział dla siebie żadnego korzystnego ruchu.

– Z czym walczyć? – spytał mało przytomnie. Może gdyby tak przesunąć królową na pozycję gońca...

– Walczyć z pożądaniami do kobiet. Czy raczej do konkretnej kobiety. Takiej, której pan pragnie.

Podniósł na nią oczy. Ciekawe, czy ona wie, że intelekt czyni ją jeszcze bardziej apetyczną. Nie ukrywała swojej inteligencji, nie wdzięczyła się i nie chichotała, jak inne damy. A jednak coś w tym wszystkim nie dawało mu spokoju. Ten pojedynek szachowy z księżną wydawał mu się w niewytłumaczony sposób podejrzany. Dlaczego zaprosiła go na bal? Dlaczego rzuciła mu wyzwanie?

Może po prostu też pragnęła godnego przeciwnika. Wrócił myślami do stojących przed nim figur.

Księżna pochyliła się ku niemu, a jej krągłe piersi wyjrzały kusząco z dekoltu.

– Czy zdarza się panu oprzeć pożądaniami, Villiers?

– Bardzo rzadko. Owszem, zdarzyło mi się kilkakrotnie nie pójść za głosem namiętności. Weźmy, na przykład, zubożałe szlachcianki: zawsze mi się wydaje, że taka kobieta przespałaby się ze mną wyłącznie z desperacji, a ta myśl wystarczy, żeby ostudzić moje zapały.

Pochylił się nad planszą i zbił jeden z jej pionków.

– Kobiety zazwyczaj muszą tłumić w sobie pożądanie – powiedziała rozmarzonym głosem, zbijając w zamian jego pionka.

– Jeśli kobieta poddaje się namiętności, to niesie ze sobą wiele różnych konsekwencji...

Gniewny grymas wykrzywił twarz księcia. Nagle z całkiem spokojnej rozgrywka stała się... niepokojąca.

– Cholera – powiedział. Na kilka minut zapadła cisza.

– Szach i mat – powiedziała w końcu Jemma.

Z promiennym uśmiechem odchyliła się na oparcie krzesła.

– Co do pana wcześniejszych pytań... nie będzie ostatniej partii, chyba że każde z nas wcześniej wygra po jednej.

Villiers ledwo się powstrzymał od wściekłego warknięcia. Co ona sobie wyobraża, że on poniesie klęskę w obu rozgrywkach? Teraz rozegrali przecież tylko szybką partyjkę na boku, a zresztą on w ogóle nie skupiał się na grze.

– Byłoby znacznie ciekawiej, gdyby zamiast gońca ruszył się pan pionkiem – powiedziała.

– Wtedy bym wygrał – przyznał. Prześledził jeszcze raz w myślach wszystkie ruchy. – Wygrałbym, tylko że w tym momencie pani zapytała o pożądanie.

Uśmiechnęła się kpiąco, co niepomiernie go zirytowało.

– Jeśli dotrwa pan do trzeciej rozgrywki – powiedziała, podnosząc się – pańska propozycja może się okazać nader interesująca.

– Jaka propozycja? – Odruchowo wstał razem z nią, ale myślami wciąż jeszcze był przy zakończonej grze.

– Żeby trzecią partię rozegrać w łóżku i z zawiązanymi oczami. Służba, wygnana na korytarz, z pewnością będzie miała o czym gadać. Jeszcze to sobie rozważę.

Villiers nigdy przedtem nie doświadczył nienawiści i żądy zarazem. Bo nienawidził – wprawdzie chwilowo – każdego, kto pokonał go w szachach. Ale żeby to jeszcze była kobieta, która do tego tak niedbałe potraktowała jego łóżkową propozycję – to już doprowadzało go do pasji.

Schodząc za nią po schodach, chmurnym wzrokiem przyglądał się jej wiotkiej postaci, przygaszonemu złotemu blaskowi jej włosów...

Chryste Panie.

Wygląda na to, że wreszcie spotkał kobietę, której naprawdę pragnął – i w dodatku była to pierwsza dama, która wygrała z nim w szachy.

Całkiem możliwe, że obie te rzeczy nie pozostawały bez związku.

Wciąż jednak nagle zainteresowanie księżnej jego osobą nie dawało mu spokoju. Czy to nie dziwne, że skontaktowała się z nim, kiedy tylko wróciła do Anglii?

Niemożliwe, żeby krył się za tym Beaumont. Przypomnił sobie zimną furię w oczach dawnego przyjaciela i nie wątpił, że Elijah nie miał pojęcia ani o tym, że księżna zaprosiła go na bal, ani o uzgodnionym spontanicznie pojedynku szachowym.

Pewnie zrobiła to ze względu na szachy.

A może potrzebowała chłopca do bicia? Może myśli sobie, że zdoła pokonać jego, najlepszego gracza w Anglii, zadając w odpowiednim momencie prowokujące pytania?

Zalała go fala rozżarzonej furii. Do diabła z jej sztuczkami. Czy oparł się kiedyś pożądaniu? Też coś! Pewnie, że tak. I jej też od tej chwili będzie się opierał.

Niedoczekanie, żeby kobieta miała go złapać w pułapkę. Na nic się nie zda jej uroda, na nic talent do szachów.

W zasadzie...

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Pora pomyśleć o ożenku. Jego zdaniem, nic tak nie osłabiało żądy, jak właśnie perspektywa małżeństwa. Jemma jeszcze się zdziwi, że składa jej niedwuznaczne propozycje, jednocześnie planując ślub. Przestanie być z siebie taka dumna.

Tak, to było właściwe rozwiązanie.

Ożenek.

19

Wieść o tym, że przyjechał jej ojciec i oczekuje w salonie, Roberta przyjęła z uczuciem bardzo zbliżonym do hysterii. O, nie. Na pewno nie. Nie może jej tego zrobić!

– Jest sam? – zapytała, daremnie starając się zachować spokój.

– Wydaje mi się, że markizowi towarzyszy jakaś dama. – Lokaj nawet mrugnięciem nie zdradził, co sądzi o owej damie.

Oczywiście, że nie przyjechał sam, pomyślała z rozpaczą. Oczywiście, że jest z nim też pani Grope.

– Czy księżna jest u siebie?

– Nie wiem, proszę pani. Czy mam zapytać pokojówkę Jej Wyokości?

– Tak, proszę.

Niestety, doniósł parę minut później, księżna gra właśnie w szachy z księciem Villiersem, ale obiecała, że dołączy do Roberty, kiedy tylko będzie mogła.

Co tu zrobić? Jak nakłonić ojca, żeby wyjechał? Powtarzała w myślach jak katarynka: musi wyjechać, wyjechać, wyjechać.

– Przekaż, proszę, moje pozdrowienia lordowi Gryffynowi i zapytaj, czy mógłby spotkać się ze mną w bibliotece – poleciła lokajowi.

Zawahał się chwilę.

– A co mam powiedzieć markizowi, proszę pani?

– Przepraszam go ode mnie i powiedz, że nie mogę go na razie przyjąć. Spotkam się z nim, jak tylko będzie to możliwe.

Damon wcale nie okazał się pomocny, bo kiedy usłyszał jej prośbę, wybuchnął śmiechem.

– Mam ci pomóc pozbyć się ojca? Toż to postępek bez serca, niegodny członka rodu Reeve. – Spojrzał na nią wyniośle.

– Proszę cię – nalegała. – Błagam! Nie masz pojęcia, jaki on jest. Wszystko zepsuje. – W oczach już miała łzy.

– A cóż ja mogę zrobić? – Zmarszczył brwi. – Tylko bez płaczu. Tacy niefrasobliwi uwodziciele, jak ja, nie mogą patrzeć na łzy niewieście. Przypominają nam się zaraz te wszystkie nieszczęsnice ze złamanym sercem, które niegdyś porzuciliśmy.

Choć próbował ją rozbawić, Roberta nawet się nie uśmiechnęła.

– Nie chodzi o to, że go nie kocham – powiedziała, splatając dłonie. – Tylko po prostu on jest taki dziwny. W ogóle nie przejmuję się tym, co ludzie powiedzą.

– Ani trochę?

– Wcale! Nigdy na to nie zważał. Sam zresztą zobaczysz, jeśli go poznasz. Pani Grope to zaledwie ostatnia z szeregu jego konkubin, a wszystkie oczywiście kochał do szaleństwa. Ona mieszka z nami już dwa lata.

– Pani Grope? – zainteresował się Damon. – A pan Grope jeszcze żyje?

– Szczerze wątpię, czy w ogóle kiedykolwiek istniał jakiś pan Grope. Chociaż...

– Kto by sobie sam wymyślił takie nazwisko*? Zgadzam się w zupełności.

– Damon, proszę, bądźże raz poważny. – Roberta opadła na tapczan. – Nie będę mogła zostać w Londynie, jeśli mój ojciec nie wyjedzie. Błagam cię, pomóż!

Damon usiadł blisko niej na tapczanie.

– Nie powinniśmy się tak spoufalać – pociągnęła nosem.

– Dlaczego nie? Jesteśmy bliską rodziną. – Pocałował ją w czoło.

– Naprawdę, nie powinniśmy tego robić.

Damon puścił te słowa mimo uszu.

– Co tak bardzo straszego widzisz w przyjeździe twojego ojca?

– Jak by ci to powiedzieć? Pani Grope może się okazać pewną przeszkodą w moich planach matrymonialnych. Niespecjalnie poprawia mi reputację.

– Są przeszkody i przeszkody – powiedział Damon filozoficznie. – Można by pomyśleć, że Teddy będzie dla mnie przeszkodą, a tymczasem jego obecność w najmniejszym stopniu nie zniechęciła swatających matron.

– Jeśli ci to nie przeszkadza, może pozostawimy przez chwilę na boku fascynujący temat twojej popularności i skupimy się na moich problemach? – wtrąciła kąśliwie Roberta. – Żadna swatająca matrona nie przekroczy progu tego domu, póki przebywa tu pani Grope.

– A widzisz, wreszcie się do czegoś przydałaś – powiedział uradowany. – Ale nie przejmuj się, twojego podstarzałego casanovy pani Grope nie odstraszy.

– Villiers nie jest żadnym casanową! – oburzyła się Roberta.

– Niewiele mu brakuje. Ale chodzi o to, czy zamierzasz go uwodzić w domu, czy też...

– Wcale nie o to chodzi! Nie masz pojęcia, jakie to upokarzające, pokazywać się z moim ojcem wśród ludzi.

Damon objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej do siebie.

– W takim razie opowiedz mi o tych swoich straszliwych przeżyciach, a ja cię pocieszę.

– Nie! – powiedziała Roberta, ale on, jak zwykle zresztą, w ogóle się tym nie przejął. Pocałował ją w policzek, co nie było zbyt natarczywe,

* Grope (ang.) – macać.

więc nie protestowała zanadto. – Ojciec ma w zwyczaju padać na kolana i wybuchać płaczem.

– To ciekawe – mruknął Damon, całując jej ucho.

– To wcale nie jest ciekawe – powiedziała Roberta ze złością.

– Słyszałem, że padł na kolana i błagał niebiosa o takiego męża dla ciebie, który nie miałby śmiałości pocałować cię na ulicy. W takim razie ja się raczej nie nadaję.

– Nie – przyznała. Lekkie jak piórko muśnięcia jego warg dziwnie ją rozpraszały.

– To było rzeczywiście okropne – powiedziała, starając się skupić na tym, co mówi. – Ale bywało jeszcze gorzej. Na przykład w „Wędrowcu”.

Kiedy dobrnęła do końca tej żalostnej opowieści, Damon już jej nie całował, tylko przyglądał jej się uważnie. Na jego twarzy rysowało się coś na kształt współczucia. Przez moment ucieszyła się, że naprawdę zrozumiał, jak poważna jest jej sytuacja, ale wtedy powiedział.

– Tak więc jesteś latoroślą kazirodznych związków wewnątrz rodu! – wykrzyknął. – A zatem zgrzeszyłem, zadając się z tobą.

Chwycił ją w ramiona i przez chwilę Robercie umknął główny wątek rozmowy, bo on zmysłowym szeptem mrucał coś o grzechu i dotykał jej piersi w sposób zupełnie niestosowny; w głowie jej się zaćmiło od jego słów i pieśczoł.

– Lepiej ci? – zapytał jakiś czas potem.

Roberta, zdezorientowana, zamrugwała kilka razy, a potem się wyprostowała.

– Chyba tak – powiedziała słabo.

Damon był z siebie bardzo dumny.

– Czy w ten uprzejmy sposób chciałeś mnie zapewnić, że pomożesz mi przekonać ojca do powrotu na wieś, abym w spokoju mogła wyjść za księcia Villiersa?

– A wynagrodzisz mi jakoś te starania? – uśmiechnął się lubieżnie.

– Dlaczego nie zajmiesz się całowaniem tych wszystkich dziewcząt, które mdleją na twój widok?

– Chcesz powiedzieć, że nie jest ci przyjemnie, kiedy cię całuję?

Zaśmiała się.

– Nie bądź niemądry. Każdemu byłoby przyjemnie! Ale dobrze wiesz, że moje serce bije dla innego.

Jego oczy przybrały głęboki ciemnozielony odcień morskiej wody, dobrze już Robercie znany.

– Chyba właśnie dlatego jesteś taka kusząca – powiedział, a jego głos był równie głęboki jak spojrzenie. – Należysz do innego.

– Och – zdążyła tylko powiedzieć.

Damon zamknął jej usta pocałunkiem. Naprawdę uwielbiała, kiedy ją całował. Przez głowę przemknęła jej niewyraźna myśl, że mogłaby go całować i całować, aż do samego wieczoru. Tylko ojciec już się pewnie zastanawia, dlaczego Roberta tak długo się ubiera.

Niedługo potem ręka Damona sama znalazła drogę do piersi Roberty. Dała mu klapsa w dłoń.

– Jeszcze wprawdzie nie należę do Villiersa, ale to nie znaczy, że możesz tak sobie ze mną poczynać.

– A więc mnie nie chcesz – powiedział z kwaśną miną.

Uniosła brew.

– Kto tak powiedział?

Damon wybuchnął śmiechem.

– Chociaż do dnia ślubu staraj się stwarzać pozory, że jesteś niewinną dziewczicą, dobrze?

– Ależ ja jestem dziewczicą – obruszyła się Roberta.

– Czyli jednak chcesz mnie. – Jego słowa zawisły między nimi w powietrzu jak wyzwanie.

Roberta nie miała zamiaru kłamać. Wiadomo przecież (w końcu jest się córką poety!), że pożądanie nie może się równać z prawdziwą miłością.

– Ale to nie to samo, co czuję do Villiersa.

Zaraz jednak pożałowała, że to powiedziała, bo w oczach Damona zobaczyła dziwny błysk i pomyślała, że chyba zraniła jego uczucia.

Poprawiła sukienkę.

– Proszę, pomóż mi odesłać papę na wieś.

Spojrzał na nią z westchnieniem.

– Cóż, jako dobry kuzyn chyba powinienem ci pomóc.

W salonie ojciec Roberty rozmawiał z Fowle'em, a raczej to markiz perorował w najlepsze, skonsternowany kamerdyner zaś czał się przy drzwiach, jakby miał ochotę czmychnąć. Już z korytarza Roberta słyszała, że ojciec opowiada jedną ze swoich ulubionych historii.

– Była jak bazyliżek – rozprawiał ze swadą. – Jej wzrok zabijał każdego mężczyznę, na którego spoglądała.

Niestety, mówił o swojej znajomości z panią Grope oraz o ich ognistym romansie.

– Pani Grope jest tak pełna życia – dowodził właśnie, gdy weszli do środka.

Kiedy tak stał z rękami założonymi do tyłu, przypominał dystyngowanego prawnika. Robertę zawsze zdumiewał fakt, że jej ojciec na pierwszy rzut oka wygląda tak dostojnie; jednak na ogół wystarczyło pięć minut rozmowy, by przekonać się o niezwykłości jego poglądów.

– Papo. – Dygnęła grzecznie. – Słowo daję, coś to za miła niespodzianka. Pani Grope. – Znowu dygnęła.

Pani Grope z okazji wyjazdu do miasta upięła włosy w niebotycznie wysoką konstrukcję. Fryzura wznosiła się warstwami loczków i zawijaśców, a na samym szczycie widniała niewielka replika London Bridge.

Damon postąpił krok do przodu i uprzejmie się uklonił.

– Papo, pani Grope, to jest Damon Reeve, hrabia Gryffyn.

– Córkę moją kochana. – Ojciec zgniół ją w uścisku, nie zważając na dygnięcia. – Lordzie Gryffyn, chyba widziałem pana w czasopiśmie „Tête à Tête”, czy to nie było czasem w zeszłym roku?

– Papo – przerwała mu Roberta. – To nieoczekiwana radość widzieć cię tutaj, ale chciałabym się dowiedzieć... dlaczego postanowiłeś mnie odwiedzić? – zapytała może niezbyt delikatnie, ale za to szczerze.

– Coś wspaniałego, coś cudownego, drogie dziecko! – wykrzyknął ojciec. – Moje dzieło, moje opus magnum!

– Wydawca? – zapytała Roberta z niekłamanym zaskoczeniem w głosie.

– Niezupełnie, jeszcze nie, nie całkiem, ale już wkrótce!

– Już stęskniliśmy się za jakąś rozrywką – powiedziała pani Grope, kładąc rękę na piersi. – Usychamy na tej prowincji, ciągle to powtarzam twojemu drogiemu ojcu.

– Ależ, papo, zawsze mówiłeś, że Londyn to gniazdo jadowitych zmij.

– Ale potem pomyślałem sobie – rozpromienił się w uśmiechu – że gdybym pojechał z tobą do Londynu, mógłbym przy okazji załatwić sprawę wydawcy. Wydawca! O, „taki koniec byłby czymś upragnionym”!

– Zaiste. – W głosie Damona pobrzmiwało delikatne rozbawienie. – A panią cóż sprowadza, pani Grope?

– Moim życiem jest teatr – odparła, przybierając wymyślną pozę.
– Już się nie mogę doczekać, kiedy pójdziemy na Drury Lane, gdzie niegdyś tryumfowałam.

Robertę przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Pani Grope „występowała na deskach”, jak to ona mówiła, jeszcze zanim poznała w Bath markiza i zamieszkała w jego domu. Zerknąwszy z ukosa na Damona, ustawiła się do niego korzystnym profilem i zapatrzyła się w dal. Miała na twarzy wyjątkowo dużo różu, zauważyła Roberta ze złośliwą satysfakcją. Rumieniec rozciągał się od szczęki aż pod oczy.

– Ach, piękne to były czasy, gdy mój talent zawojował londyńskie sceny! – wykrzyknęła.

– Debiutowała rolę Elisabetiny w *Sekretnym małżeństwie*. – Ojciec Roberty wyjaśnił Damonowi, który starał się zachować powagę. – To smutne, żeby kobieta tej klasy i urody w kwiecie wieku zegnała się ze sceną; tym bardziej że książe Walii osobiście wyraził jej kiedyś swoje uznanie. A jednak sprawiła mi niewysłowioną radość, czyniąc mnie swym opiekunem. – Przyklęknął i ucałował rękę pani Grope.

– Papo – odezwała się znowu Roberta.

– Nic się nie martw – powiedział jej ojciec z radosnym uśmiechem.

– W ogóle nie będziemy ci przeszkadzać. Sam powiem o tym księciu. I jego uroczej małżonce. Niejeden raz widziałem ją na łamach „Tête à Tête”. Niejeden raz! Myślę, że teraz, kiedy już przyjechaliśmy do Londynu, to tylko kwestia czasu, by moja pani Grope pojawiła się w gazecie. Mam tylko nadzieję, że i mnie wraz z nią tam umieszczą.

– Pod nieobecność mojej siostry chciałbym państwa powitać w rezydencji Beaumont – wtrącił się Damon z ukłonem. – Fowle?

– Milordzie, potrzebujemy jeszcze paru chwil. Pani Friss szykuje pokoje dla gości. Pójdę zobaczyć, czy są już gotowe. – Skłoniwszy się nisko, wycofał się z salonu.

– Papo! – powiedziała Roberta błagalnie. – Ja naprawdę... nie chciałabym, żebyś tu został.

Na jego twarzy, oczywiście, odmalował się ból rozczarowania. To było najgorsze, i właśnie dlatego w dojrzałym wieku lat dwudziestu jeden Roberta wciąż jeszcze nie miała męża. Ojciec wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

– Nie mów tak, kochanie. Odkąd wyjechałaś, w ogóle nie mogę spać.

– Wcale nie może spać – potwierdziła pani Grope.

Roberta rzuciła jej zropnaczone spojrzenie. Myślała, że może chociaż pani Grope rozumie, jak ważne jest dla niej zamążpójście. Jednak pani Grope odpowiedziała jej żalonym uśmiechem, który mówił, że z markizem nie ma dyskusji.

– Nie spałem, nie jadłem i od trzech dni nie napisałem ani jednego wiersza – powiedział, otwierając szeroko oczy. – Jakże bym mógł, nie wiedząc, z kim się zadaje moje jedyne dziecko? Jak mogłem pozwolić na to, by moje pisklątko, mój mały kurczaczek samotnie błakał się po ulicach Londynu?

– Wcale się nie błakam po ulicy – odrzekła Roberta, usiłując opanować narastające rozdrażnienie.

– Obudziłem się w środku nocy i zrozumiałem, że postąpiłem źle – zawodził jej ojciec, ocierając spływającą po policzku łzę. – Co by na to powiedziała Margaret, zapytałem sam siebie?

Damon ukradkiem szturchnął Robertę.

– Moja matka – wyjaśniła.

Założyła ręce na piersi i czekała. Z doświadczenia wiedziała, że ojciec dopiero się rozgrzewa.

– Margaret rzekłaby, że zrobiłem źle–źle–źle! – Łzy ciurkiem ciekły mu po twarzy. Pani Grope przyłożyła mu do policzka chusteczkę.

– To całkiem możliwe – odparła Roberta bez odrobiny współczucia. – Matce nie spodobałby się mój wyjazd.

– Jak mogłem do tego dopuścić? – Markiz głośno pociągał nosem. – Moje dziecko... moje największe ukochanie... mój kwiatek jaśminu w drugim co do okazałości powozie i do tego tylko w towarzystwie służby!

Roberta już otwierała usta, żeby powiedzieć coś na temat poematu, który przesłał Jemie, ale Damon znowu ją szturchnął.

– Odsuść sobie – szepnął.

Ojciec wsadził rękę do kieszeni i wydobył olbrzymi plik banknotów.

– To dla ciebie, kochana, dla ciebie. Wiem że nie gustujesz w krwiewie pani Parthnell, ale martwię się, kto jej da pracę, skoro ty wyjechałaś. No cóż, zawsze jest jeszcze pani Grope.

Pani Grope uśmiechnęła się ponuro. Przed wyjazdem Roberty była tak miła, że próbowała zmienić kreacje pani Parthnell w coś, w czym można by się pokazać w Londynie. Ale teraz również sama pani Grope miała na sobie suknię uszytą w charakterystycznym dla pani Parthnell

stylu. Była to toaleta z materiału w śliczne paseczki, które na przodzie miały zbiegać się w jodełkę – lecz się, niestety, nie zbiegały. Efekt był, mówiąc oględnie, dość dziwaczny, a Robercie zdawało się, że pani Grope specjalnie zakłada ręce na piersi, żeby ukryć ten mankament.

– To dla ciebie, wszystko dla ciebie. – Ojciec wtykał jej w ręce pieniądze. – Rodzina St Giles nigdy nie potrzebowała cudzej łaski. W końcu jesteś przecież dziedziczką, a wiem, jak interesowni bywają dzisiaj ludzie.

– Dziękuję, papo.

Zwój banknotów był za duży i nie mieścił się jej w kieszeni. Damon wyciągnął do niej rękę, a oczy mu się śmiały. Podała mu pieniądze.

– Papo – zaczęła znowu, ale ojciec miał tak żaloszny wyraz twarzy, że słowa uwięzły jej w gardle.

– Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem – powiedział.

– Londyn to miejsce, w którym spełnią się wszystkie nasze marzenia. Przypuszczam, że wydawcy nie przyjmują rękopisów, zanim wpierv nie porozmawiają z autorem. Przecież dany tekst mógł napisać ktoś o wątpliwej moralności, czego nie da się stwierdzić, nim się go nie pozna. Zgodzi się pan ze mną, milordzie? – zwrócił się do Damona.

– W stu procentach – przyświadczył. – Gdybym był wydawcą, nalegałbym na spotkanie twarzą w twarz.

– Otóż to – uradował się markiz, a Roberta rzuciła Damonowi mordercze spojrzenie. – Ja znajduję wydawcę, ty znajdziesz męża, a pani Grope... ach, pani Grope.

– Co z panią Grope? – zainteresował się Damon.

– Chciała mnie przekonać, że tak nie jest, ta dobra, poczciwa dusza – ryknął markiz tubalnym głosem. – Ale wiem, że ma wyższe aspiracje. Prawda jest taka, że kobieta tej piękności, co pani Grope, nie powinna siedzieć zagrzebana na głuchej prowincji. Świat powinien ją podziwiać i nie wątpię, że tak będzie. Proszę tylko na nią spojrzeć, milordzie, niechże pan spojrzy!

Pani Grope wciąż wpatrywała się w dal, unosząc podbródek.

– Nie mogę się oszukiwać, że zechce pozostać pod moją opieką na zawsze – westchnął markiz. – Ale dręczy mnie myśl, że przyczyniłem zgryzoty dwóm istotom, które kocham najbardziej na świecie: mojej córce i mojej kochanej pani Grope, miłości moich trzewi.

W tym sprzyjającym momencie otworzyły się drzwi do salonu i Fowle zaanonsował:

– Jej Wysokość, księżna Beaumont. – A następnie: – Jego Wysokość, książę Villiers.

Roberta zemdlałaby, gdyby wiedziała, jak to się robi.

– Pozwólcie państwo, że przedstawię moją siostrę, księżnę Beaumont – powiedział Damon. – Jemmo, a oto pani Grope wraz ze słynnym poetą, markizem Wharton i Malmesbury.

– Wiersz, który przysłał mi pan przez Robertę, nadzwyczaj mi się podobał – powiedziała Jemmo, kłaniając się na powitanie.

– Błahostka, nic wielkiego – odparł markiz, ocierając ostatnią łzę. – Nie jestem z niego całkiem zadowolony... chyba jednak usunę ten fragment o niedźwiedziu i rozdrażnionym mnichu. Wydam go drukiem dopiero, gdy będzie pieczołowicie dopracowany, w tomie moich dzieł zebranych. Ta wersja jest wyłącznie dla pani. Proszę to przyjąć jako wyraz wdzięczności, że udzieliła pani schronienia klejnotowi mojego łona, mojej jedynej córce.

– A kiedy ukazą się drukiem pańskie dzieła zebrane? – zapytała Jemmo, kłaniając się pani Grope. – Bardzo mi miło, madame. – Pani Grope omal się nie przewróciła, usiłując wykonać ukłon.

– Nie wątpię, że zostaną wydane już wkrótce. Oprawne w skórę i wysadzane perłami. – Markiz skłonił się Villiersowi. – Znałem niegdyś pańskiego ojca.

– To niekoniecznie musiała być przyjemna znajomość – przyznał Villiers.

– Obawiam się, że nie miał zrozumienia dla literatury. Żadnego. Byłem wówczas jeszcze młodzikem, rozumie pan, ale miałem już niejakie pojęcie o rymie i rytmie. Pański ojciec zaś wyraził się pewnego razu wyjątkowo ordynarnie na temat jednego z moich utworów; nie będę tego powtarzał. Ale pamiętam każde słowo.

– Z każdą chwilą widzę między nami coraz więcej podobieństw – powiedział Villiers. – Tak się składa, że mnie też żywo stoi w pamięci niejedna tyrada mojego ojca.

– Tak czy inaczej, to był doskonały wiersz – oznajmił markiz. – Temat może nie nazbyt poważny, ale za to jaka siła wyrazu!

Roberta miała jak najgorsze przeczucia. I rzeczywiście, chwilę później ojciec zaczął recytować piętnastowersowy poemat, którego pierwsze słowa brzmiały: „Gdy wspomnę na Jeoffreya, lubego kota”. Nawet Roberta, skądinąd biegła w literaturze, była w stanie wytapać jedynie

rymowane dwuwiersze, które pojawiały się co jakiś czas, niby latarnie oświetlające drogę w ciemnościach.

Kiedy skończył, zapadła cisza. Roberta uznała, że towarzystwo próbuje się zorientować, czy utwór naprawdę już dobiegł końca.

– Nigdy nie proszę córki o uwagi na temat mojej twórczości – markiz kłamał jak z nut – bo jej zmysł literacki jest o wiele surowszy, niż się tego pozwala domyślać ta miła powierzchowność.

– Ty wyrodna córko – szepnęła Damon.

Rzuciła mu kose spojrzenie i zamilkł posłusznie.

Roberta z dziwnym drgnieniem w sercu zorientowała się, że jej ojcu będzie bardzo przykro, jeśli nikt nic nie powie, ale wtedy właśnie odezwał się Damon.

– Poruszające, milordzie, każda myśl i każdy obraz. Nie wiem, czy dokładnie zapamiętałem, ale ta linijka – „siom ciemności stawia czoło, bo iskry z sierści lecą i jarzą się oczy” – była szczególnie przejmująca w swojej błyskotliwości.

Ojciec Roberty promieniał dumą.

– Koniec jest bardzo smutny – zauważyła Jemma. – Czy dobrze zrozumiałam, że szczur ugryzł biednego Jeoffreya w gardło?

Markiz pokiwał głową, kołyszając się na piętach.

– Zaiste, smutny to koniec dla tak wspaniałego czworonoga. „A słodki jest wieczny odpoczynek jego” – zacytował, wzdychając ciężko. – Zdechł kilka dni potem. Ojciec pański – tu zwrócił się do Villiersa – bardzo niepochlebnie wypowiedział się o tym wierszu.

– To zrozumiałe – odparł Villiers głosem słodkim jak miód. – Ojciec nie lubił kotów. Ale gdyby Jeoffrey był, dajmy na to, psem gończym...

– No, tak. Szkoda, że wtedy mi tego nie wytłumaczył – markiz uśmiechnął się radośnie. – Niektórzy ludzie, nie wiedząc dlaczego, są uprzedzeni do zwierząt domowych. Pani Grope, na przykład, panicznie boi się wielbłądów.

Jak kukielki za pociągnięciem sznurka, wszyscy naraz zwrócili się w stronę pani Grope.

– To przez Wędrowny Cyrk Miggery’ego – powiedziała, wstrząsając się na samo wspomnienie.

Robertcie chciało się płakać. Na szczęście Jemma wciąż jeszcze się uśmiechała i nie zanościło się na to, żeby miała wyrzucić ich z domu.

Nagle rękę Roberty ścisnęła jakaś duża dłoń.

– Nie przejmuj się tym – powiedział jej na ucho Damon. – Ten dom jest dość duży, żeby pomieścić cały ten Wędrowny Cyrk Miggery’ego.

W tym momencie jej papa z entuzjazmem przyjął zaproszenie księżnej, żeby zatrzymać się w Beaumont House.

– Ale tylko na jedną czy dwie noce – powiedział. – Postanowiłem, że otworzę w mieście własny dom. Bo mamy tu dom, moje dziecko – zwrócił się do Roberty. – Choć pewnie o tym zapomniałaś.

Zapomniała? A skąd ona w ogóle mogła o tym wiedzieć?

– I to całkiem spory. Na placu Świętego Jakuba, jeśli mnie pamięć nie myli. – Ściągnął brwi w namyśle. – Odziedziczyłem go po jakimś krewniak. Mrą jak muchy ostatnimi laty – poinformował zebranych. – Komponuję właśnie taki uniwersalny poemat kondolencyjny, który będzie można stosować przy różnych okazjach. To jedyne rozsądne wyjście.

– Ale zostawi nam pan Robertę, prawda? – zapytała Jemma.

Markiz nachmurzył czoło.

– Nie zamierzałem...

Tu pani Grope pokazała, że można na nią liczyć.

– Jeżeli – powiedziała wyniośle, mierząc dumnym wzrokiem zgromadzonych: księcia, hrabiego, markiza, księżną i samą Robertę – mam osiągnąć sławę, która mi się słusznie należy, nie mogę się oglądać na młodą damę mieszkającą w tym samym domu.

– Ależ, najdroższa... – bąknął markiz.

Uniosła rękę. Takim właśnie gestem Mojżesz rozdzielił Morze Czerwone.

– Nie!

– Tak będzie najlepiej – przekonywała Jemma.

– Zgadza się – wtrącił niespodziewanie Villiers.

– Pan tak sądzi? A to dlaczego?

– Ponieważ nie mógłbym ubiegać się o względy młodej damy, mieszkającej pod jednym dachem z aktorką – odrzekł. – Nawet tak znakomitą, jak pani Grope.

Pani Grope wspaniałomyślnie skłoniła głowę, przyjmując komplement jako słusznie jej należny. Damon wypuścił dłoń Roberty.

– Ubiegać się o jej względy, hę? – Ojciec Roberty nieco stracił rezon. – No, cóż, pewnie przyjdzie do tego, że będę musiał oddać jej rękę komuś, kto nie potrafi docenić poezji.

Villiers spojrzął na Robertę i od tego spojrzenia ciarki przeszły jej po grzbiecie.

– Dama jeszcze mnie nie przyjęła – rzekł.

Roberta nie wiedziała, co ma powiedzieć. Czy to były oświadczenia?

– Nie wątpię, że rozważy pana ofertę w stosownym czasie. Jeśli idzie o zamążpójście, Roberta mogłaby znaleźć sobie męża spośród najmniejszych z możliwych.

Ironiczny wzrok Villiersa wskazywał na to, że uważa się on za jednego z najmniejszych, ale szczęśliwie w tej właśnie chwili wrócił Fowle i oznajmił, że pokoje dla gości są już gotowe, jeśli pani Grope i markiz zechcieliby się tam udać.

Jemma poszła przodem, trzymając markiza pod ramię, a Villiers podał ramię pani Grope. Roberta i Damon zamykali pochód. Roberta, nie wiedząc dlaczego, jakoś nie miała śmiałości spojrzeć Damonowi w oczy.

Pociągnął ją do tyłu, nim zdążyła wyjść z salonu.

– A niech mnie – powiedział z niedowierzaniem w głosie. – Co ty, do licha, kombinujesz, Roberto?

– O co ci chodzi?

– O Villiersa! Jak ci się to udało?

– Dlaczego zaraz uważasz, że musi się za tym kryć jakaś sztuczka? – Zapeszyla się, choć, prawdę mówiąc, sama ledwo mogła uwierzyć w to, co właśnie zaszło.

Najwyraźniej Damon też nie mógł w to uwierzyć.

– Coś ty, na wszystkich bogów, zrobiła temu człowiekowi, żeby go do tego skłonić? To chyba jakieś czary.

Zadarła nos w górę.

– A czemu nie miałby chcieć mnie poślubić? Uważasz, że nie jestem godna pożądania?

Kiedy tylko to powiedziała, zorientowała się, że popełniła błąd.

– Jesteś wyjątkowo godna pożądania, zwłaszcza teraz, kiedy prawie się zaręczyłaś z innym – odrzekł. I oto, ledwo za panią Grope zamknęły się drzwi, Roberta została przyciśnięta do ściany salonu obitej jedwabną tapetą.

– Nie ma na świecie nic godniejszego pożądania niż kobieta, która ma wyjść za innego mężczyznę – szeptał, muskając jej wargi swoimi.

Gorąco oblało ją w chwili, gdy poczuła smak jego ust. Wydało jej się to tak cudownie przewrotne: całować jednego mężczyznę, gdy inny prawie poprosił ją o rękę.

– Nie powinnam tak robić – szepnęła.

Damon w odpowiedzi pocałował ją mocniej i Roberta odkryła ze zdumieniem, że jest lekko zdyszana.

– A ja powinienem tak robić – odpowiedział Damon.

Jego ręce były jak gdyby stworzone do tego, żeby obejmować jej piersi. Gors sukni bez przeszkód dał się zsunąć w dół, poniżej sutków. Damon spoglądał na nią z dziwnym uśmiechem na ustach i robił coś rękami.

– To... – powiedziała niezbyt mądrze.

– Przyjemne? – zapytał, unosząc jedną brew.

– Interesujące – wykrztusiła.

Jednym szybkim ruchem pociągnął gors sukienki w dół. Materiał zsunął się, uwalniając prawą pierś, jakby nie uszyto go po to, by spełniał odwrotną funkcję. Pierś Roberty znalazła się w jego dłoni.

– Roberto – powiedział cicho, a zmysłowy dźwięk jego szeptu sprawił, że między jej udami rozlało się ciepło. A może był to raczej efekt tego, co robił jego kciuk.

Roberta uchwyciła się jego ramion.

– To skandaliczne – wyszeptała.

– Jeszcze nie jesteś zaręczona – powiedział radośnie. I beztrąsko. – A zresztą, to znacznie bardziej przyjemne, dlatego że potajemne.

Bezsukutecznie próbowała zrozumieć, o czym on mówi, bo jej mózg wybrał się chyba na krótkie wakacje. Wtem Damon się roześmiał.

– Słyszysz? Mówię wierszem!

Właśnie zamierzała go kopnąć w kostkę, ale nagle jego usta znalazły się w miejscu, gdzie przed chwilą była jego dłoń. Roberta nie była głupia. Są w życiu takie chwile, kiedy kobiecie nie pozostaje nic innego, jak tylko bezwładnie osunąć się na ścianę. Na szczęście podtrzymało ją drugie ramię Damona.

Nie pozostało jej również nic innego, jak tylko wygiąć się, przyciskając pierś do jego ust. I jęknąć cichutko, kiedy oderwał od niej wargi, pozbawiając ją tego cudownego ciepła.

– Kochana – szepnął.

– Tak? – Jej powieki uniosły się leniwie.

Damon podciągnął materiał sukni i ku pewnemu zdziwieniu Roberty, zakrył przyzwoicie jej piersi, jak gdyby nigdy nic.

– Twój ojciec już się pewnie zastanawia, gdzie jesteś. Bardzo cię kocha, to doprawdy urocze.

Roberta nie miała ochoty wracać do roli kochającej córki. W tej chwili miała raczej ochotę się położyć i w oczach Damona wyczytała to samo pragnienie, więc postanowiła go zbesztać.

– Wcale mi nie pomogłeś. Miałaś przekonać mojego ojca, że lepiej będzie, jeśli wróci na wieś.

Poprawił loczek, który wysunął się jej ze skomplikowanej fryzury, ułożonej tego ranka przez pokojówki Roberty.

– To nie było możliwe.

– Jak to nie było możliwe? – Roberta miała niejasne wrażenie, że jest dla niego niemiła.

– On tak cię kocha. Jemma i ja prawie nie widywaliśmy rodziców, z wyjątkiem lekcji szachów z ojcem, ale kiedy widzę kochającego rodzica, potrafię to uszanować.

– Bo teraz sam jesteś ojcem – domyśliła się Roberta.

– Powiniennem ostrzec Teddy’ego, że pewnie kiedyś przyniosę mu wstyd przed ludźmi. – Damon miał lekko przerażoną minę. – Będę padał na kolana i zaklinał niewinne młode dziewczęta, żeby za niego wyszły.

Roberta westchnęła.

– Gdyby tylko papa tak się nie obnosił ze swoimi uczuciami. Gdyby tylko tak często nie płakał.

– Najgorsze masz już za sobą. Twój ukochany Villiers go zobaczył i nie uciekł z wraskiem, więc dlaczego przejmujesz się opinią socjety?

– Bo chciałabym chodzić na przyjęcia – powiedziała żałośnie Roberta. – Nasi sąsiedzi przestali przysyłać nam zaproszenia wiele lat temu.

– Będziesz chodzić na przyjęcia. Już niedługo twój papa zabierze nieocenioną panią Grope do swojego domu i będzie tam miło spędzał czas, strzegąc jej przed tymi wszystkimi dżentelmenami, którzy będą chcieli mu ją odebrać...

– Nie bądź okrutny.

– Myślę, że prawdziwie okrutne byłoby, gdyby pani Grope nie zyskała ani jednego wielbiciela. Z tego, co widzę, twój ojciec bardzo liczy na konkurencję.

– Nie sądzę, żeby tak naprawdę chciał mieć rywala.

– Jeden czy drugi konkurent świetnie nada się na jakiś wiersz. W każdym razie, chodziło mi o to, że wkrótce twój papa i pani Grope znikną z Beaumont House, a ty pozostaniesz pod opieką Jemmy. Ją wszyscy zapraszają, chociaż Bóg jeden wie, że przez ostatnie lata nie była wcieleniem moralności.

– Naprawdę?

– To przez głupotę jej męża i przez jego kochankę – powiedział Damon. – No i, rzecz jasna, Jemma jest z domu Reeve. Jak myślisz, czy ty też się wdasz w rodzinę?

– No, cóż – urwała. Czy ja też będę miała kochanków? – zastanawiała się w myślach.

– Jasne, że będziesz. – Damon odpowiedział na jej nieme pytanie. – Villiers nie z tych, co by wymagali, czy nawet pragnęli, twojej całkowitej uwagi. Widzisz teraz, jakie miałaś szczęście, że to nie mnie spotkałaś na tym twoim balu noworocznym?

– Dlaczego? – zapytała, zaskoczona.

– Jemma ci może powiedzieć, że jako dziecko byłem pod tym względem okropny – powiedział. – Nienawidzę się dzielić. A tobą nie podzieliłbym się z nikim.

Roberta otworzyła usta, ale nie znalazła słów, by mu odpowiedzieć.

20

Elijah pojechał do domu po rozmowach z wytwórcami sukna, a przed spotkaniem z amerykańskimi dyplomatami, nakazując stangretowi, żeby gnał przez miasto jak do pożaru. W powozie pochylił się nad arkuszami papieru kancelaryjnego z notatkami nakreślonymi drobnym, niewyraźnym pismem Pitta. Litery skakały mu przed oczami: zapiski o stosunkach z Francją, o nastrojach w parlamencie, o niedawnych wyborach.

Zanim dotarł do domu, już rozboleła go głowa, a gdy tylko przekroczył próg rezydencji, Fowle, kamerdyner, nerwowo zabiegł mu drogę.

– Jeśli można, Wasza Wysokość...

– Nie mam czasu – powiedział mechanicznie, podając płaszcz lokajowi i rzucając kapelusz na krzesło. Peruki nie zdjął. Było wprawdzie

piekielnie gorąco, ale jaki to miało sens? Rozegra swoje dzisiejsze posunięcie, za dziesięć minut już nie będzie go w domu i może nawet uda mu się zdążyć na czas na spotkanie z Amerykanami.

– Wasza Wysokość – nalegał Fowle. – Muszę coś panu powiedzieć.

W jego głosie brzmiała taka desperacja, że Elijah zatrzymał się z jedną nogą na schodach.

Dwie minuty później wbiegł po schodach i z trzaskiem otworzył drzwi wiodące do jego apartamentów. Ona, rzecz jasna, siedziała już przy szachownicy.

Usiadł, olbrzymią siłą woli narzuciwszy sobie spokój. Jemma podniosła ku niemu oczy z uśmiechem, ale słowa powitania zamarły jej na ustach – pewnie na widok jego marsowej miny.

– Czy ja dobrze słyszę, że zaprosiłaś pod mój dach kobietę lekkich obyczajów? – powiedział, przesuwając o dwa pola naprzód pionek stojącej przed królową. Obmyślił ten ruch w pięciominutowej przerwie pomiędzy zebraniem i z pewnością nie miał teraz czasu, żeby się ponownie nad nim zastanawiać.

Jemma równie szybko wykonała swój ruch, po czym usiadła, splatając dłonie.

– Dziś po południu zjawił się markiz Wharton i Malmesbury. Mnie poinformowano o jego przyjeździe rano, ciebie chyba też.

– Owszem, ale nie poinformowano mnie, że przywiezie ze sobą ladcnicę.

– Co za niedopatrzanie – powiedziała. – Istotnie, towarzyszy mu niejaka pani Grope.

To wszystko było tak niesprawiedliwe, że aż na moment zabrakło mu tchu.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie – powiedział przez zaciśnięte zęby – jak to wpłynie na moją karierę?

– Nie wiem. Zaszkożdzi ci jakoś?

Jej uprzejme, zaciekawione spojrzenie tylko dołało oliwy do ognia.

– Nie zgrywaj przede mną idiotki, Jemmo – syknął. – Zbyt długo już jesteśmy małżeństwem, żebyś dał się na to nabrać. Wiem, że jesteś inteligentna; wiem, że świetnie zdajesz sobie sprawę, dlaczego członek Izby Lordów nie powinien gościć w domu kobiety lekkich obyczajów.

Wyglądała na szczerze skruszoną.

– Nic nie mogłam na to poradzić, Beaumont.

– Trzeba było ich wysłać do hotelu Nerot!

– To by był ogromny afront. Możliwe, że kilka pruderyjnych starych bab nie zechce nas odwiedzać, póki ona tu jest, ale mogę spokojnie zrezygnować z urzędzania przyjąć na ten czas. W ten sposób żadne matrony nie będą miały okazji do zrządzenia.

– Jak długo ona tu zostanie?

– Tylko na kilka dni. Markiz mówił, że chce otworzyć w mieście własny dom.

– Nie podoba mi się, że ludzie znowu będą mieli okazję do krytykowania tego, co się dzieje w moim domu – zżymał się Elijah. Nie zdołał powiedzieć nic więcej, bo znowu ścisnęło mu się gardło.

– Nie mogłam przecież pokazać jej drzwi. Ale możesz mi wierzyć, nie miałam pojęcia, iż markiz zechce odwiedzić córkę ani że w ogóle istnieje taka osoba, jak pani Grope.

– Bo i skąd miałabyś wiedzieć? – powiedział zrezygnowany. Peruka ciążyła mu, jakby ważyła ładnych parę kilogramów.

Jedno spojrzenie i Jemma podniosła się z miejsca, stając za jego plecami. Odruchowo też zaczął wstawać, ale ona położyła mu dłonie na ramionach i ściągnęła perukę. W powietrze wzbiła się chmura pudru, pomachała rękami, żeby ją rozwiać.

– Musisz? – zapytała z wyrzutem. – Villiers nigdy nie nosi peruki.

– On nie ma za grosz przyzwoitości. Nawet nie pudruje sobie włosów. Villiers jest nikim – powiedział wyczerpany. Tak właśnie było; Villiers nie był królewskim doradcą ani nawet doradcą Foksa, wielkiego rywala Pitta. Był nikim.

– A ty? – powiedziała cicho jego żona. Jej palce zaczęły delikatnie ugniatać mu skronie, lekko uciskając to tu, to tam. Jej dotyk przynosił błogosławioną ulgę, prawie, jak poranna kąpiel.

Wsparł głowę na jej dłoniach; taki gest świadczył o słabości, ale przecież... była jego żoną. Przed nią nie musiał się wstydzić słabości. Nie kochała go ani on jej, ale jako męża i żonę łączyła ich szczególna więź, inna niż wszystkie.

– Może spróbowałbyś ograniczyć liczbę spotkań? – W głosie Jemmy brzmiała dziwna niepewność. – Nie najlepiej wyglądasz.

Przez moment rozkoszował się po prostu dotykiem tych szczupłych palców, które tak umiejętnie uwalniały go od potwornego bólu głowy. Ale wreszcie dotarło do niego, co powiedziała.

– Spotkania!

Zaklął i poderwał się z krzesła. Chwycił perukę i byle jak nasadził ją na głowę. Pośpiesznie złożył ukłon swojej księżnej, odkładając na potem myśl o tym, jak pięknie dziś wygląda, i wybiegł z pokoju.

Jemina została sama, zapatrzona w leżącą przed nią szachownicę.

21

14 kwietnia

Pojedynek szachowy Beaumont/Villiers,
dzień trzeci

Roberta czuła się tak, jakby nagle przez dziurę w ścianie trafiła wprost do Wędrownego Cyrku Miggery'ego. Wokół niej rozgrywały się wydarzenia, na które ona sama nie miała żadnego wpływu. Planowała wielką kampanię, by uwieść Villiersa. Chciała przekupywać jego lokajów i podstępem zmusić go do małżeństwa. Szykowała intrygę z podmienionym certyfikatem małżeństwa. A w końcu co wystarczyło? Zacytowała fragment z *Gwałtu Lukrecji*, włożyła ciut za ciasną sukienkę i oto nagle...

No, właśnie. Oto nagle, co? Księżę Villiers w obecności jej ojca zadeklarował, że zamierza się o nią starać, ale co to miało znaczyć?

To pytanie nie dało jej w nocy spać. Czyżby to był z jego strony jakiś nikczemny żart? Ale następnego ranka dostarczono jej przesyłkę. Było to przewiązane wstążeczką zawiniątko z błękitnego aksamitu, rozmiarów sporej Biblii. Kiedy rozwiązała wstążkę, na podłogę sfrunął karnecik. Podniosła go i zobaczyła spiczaste czarne litery napisane przez Villiersa.

„Nie mam wiele doświadczenia w zalotach. Proszę, byś nie nadużywała swej władzy nade mną, o Piękna. Ten drobiazg przypomina mi ciebie”.

Pewnie specjalna edycja poezji Szekspira, pomyślała. Odwinęła błękitny aksamit, a w środku... To nie był Szekspir, lecz portrecik. Widniała

na nim młoda wiejska dziewczyna w prostej sukni, z niewielką klatką w dłoni.

– Och, prześliczne! – wykrzyknęła Jemina, gdy Roberta parę minut później pokazała jej obrazek. – To przecież obraz pędzla Sir Joshui Reynoldsa. Jak rozkosznie.

– Jak myślisz, dlaczego ona trzyma w ręku pułapkę na myszy?

– Więc to jest pułapka na myszy? – Jemina nachyliła się nad portretem, a przez jej twarz przemknął jakiś nieokreślony wyraz. Czy to mogła być tęsknota, albo... zazdrość? Robercie załomotało serce. Pragnęła Villiersa, jednak przyjaźń Jeminy była jej równie droga.

Ale Jemina odpowiedziała jej wesoło.

– Moja kochana, ona ma w ręku pułapkę, bo... no, cóż... znasz chyba to stare porzekadło o małżeństwie?

Roberta ściągnęła brwi w namyśle.

– Mówiące, że małżeństwo to pułapka?

– Księża pułapka. – Śmiech Jeminy był szczery i radosny, nieskazyony zazdrością.

Robercie portrecik już tak bardzo się nie podobał.

– To cały Villiers – mówiła Jemina. – Wyszukany, bardzo drogi prezent... Każdy inny posłałby ci jakiś klejnot, a jego podarek ma w sobie ukryty żart.

– Czy to znaczy, że on się ze mnie naśmiewa? – zaniepokoiła się Roberta.

– Nie, skąd. Śmieje się razem z tobą, nie widzisz? Małżeństwo to obłąd, mówię ci. A on obraca to w żart, bo inaczej się po prostu nie da.

Nie da się? Robercie wydawało się, że ona potrafi spojrzeć na to inaczej. Niemądra to była myśl, bo przecież ona sama wcześniej chciała z zimną krwią podstępem nakłonić Villiersa do małżeństwa. A teraz, gdy on dobrowolnie wchodzi do tej pułapki i jeszcze się z tego śmieje, ona czuje się niezręcznie?

– Zaprosimy go na obiad – myślała głośno Jemina. – On się wtedy, rzecz jasna, oświadczy; to dopiero będzie zabawne.

– Zrobi to?

– Oczywiście, że tak. – Jemina spojrzała na nią spod oka. – Wiesz chyba, ile kosztują obrazy Reynoldsa?

Roberta raz jeszcze przyjrzała się dziewczynie z portretu: w oczach miała dziwny, przebiegły błysk; na cienki muślin sukni padał cień pułapki, z boku błyszcząły oczy kota.

– Jak sądzisz, domyślił się, że chcę zastawić na niego pułapkę?

Jemma wzruszyła ramionami.

– A czy to ważne? Zadawałaś sobie to pytanie, gdyby ci przysłał naszyjnik z rubinów?

Roberta skinęła głową.

– To jest o wiele lepsze niż rubiny. Nawet rama jest najwyższej jakości. Ale kogo by tu zaprosić na ten obiad? To musi być odpowiednio dobrana grupa gości, żeby lepiej podkreślić upadek Villiersa.

– Upadek?

– Wszyscy w towarzystwie będą tak myśleli – wytłumaczyła jej Jemma. – Uwierz mi. Od dziesięciu lat damy zastawiają na niego sidła, a ty ledwo się do niego uśmiechnęłaś i już jest twój. Socjeta, moja droga, będzie ci jadła z ręki.

– Mimo to, że mój ojciec jest w mieście? – zapytała słabo Roberta.

– Oczywiście – stwierdziła Jemma. – Nawet pomimo pani Grope. Á propos, nie sądzę, żeby pani Grope podzielała entuzjazm twojego papy, co do jej przyszłej kariery jako słynnej kokoty.

– Myślę, że ona by raczej chciała za niego wyjść – powiedziała Roberta. – Ale on chyba tego nie rozumie.

– Mężczyźni są ślepi – westchnęła Jemma. – Ich małżeństwo wywołałoby okropny skandal.

– Ze względu na jej złą reputację?

– Tak – odparła Jemma. – Spójrz choćby na Elizabeth Armistead, kochankę Foksa. On nie kryje swoich uczuć do niej i jestem przekonana, że się w końcu pobiorą; u White'a już parę lat temu się o to zakładano. Ale prawie nigdzie nie bywa, niewiele osób ją zaprasza.

– Ach.

– Socjeta to brutalny barometr tego, co wypada, a co nie, możesz mi wierzyć. Muszę na ten obiad zaprosić jakieś ogólnie szanowane damy, ale wcześniej porozmawiam z Beaumontem.

– O tym obiedzie?

Jemma chyba musiała się rozmyślić, co do Beaumonta, bo nagle zupełnie zmieniła temat.

– Znacznie istotniejsze pytanie brzmi: u której krawcowej powinnaś się ubierać – powiedziała.

Roberta z wdzięcznością wspomniała zwój banknotów od papy. Tak będzie jej o wiele łatwiej, wreszcie przestanie czuć się jak żebraczka donaszająca suknie Jemmy.

– Proponuję ci, abyś zamówiła stroje u Francuzki – mówiła Jemma.

– Nie jestem uprzedzona do moich rodaczek... no, może trochę tak.

Roberta wybuchnęła śmiechem, a wkrótce tak zajęła się rozmową, że całkiem zapomniała o tym, kto ma być zaproszony na ów obiad.

– Marzę o tym, żeby mieć taki wielki słomkowy kapelusz. Wiesz, o czym mówię, Jemmo?

Jemma pokiwała głową.

– W Paryżu mówią na nie *lunardi*. Ale nie jestem pewna, czy będzie ci w nim do twarzy, kochanie. Te pióra... tyle ozdób!

– Widziałam taki wczoraj w parku, z różowego francuskiego tiulu i z bardzo szerokim rondem – rozmarzyła się Roberta. – Dama, która miała go na sobie, nosiła go trochę na bakier.

– Aha... To brzmi nawet dość ciekawie. Ja mam jeden z tych włoskich kapeluszy z luźno upiętą główką i rondem na drucie. Lubiałam go, do momentu, kiedy z ronda nie wyszedł drut i nie ukłuł mnie w ucho. Od tamtej pory ani razu go nie włożyłam.

– No, tak, rondo jest na drucie – powiedziała Roberta. – Sprytne!

– Później zajmiemy się tym proszonym obiadem – oświadczyła Jemma. – Uważam, że w tej chwili powinniśmy natychmiast wybrać się na zakupy.

Jemma nie myślała o proszonym obiedzie, dopóki jej mąż nie pojawił się, żeby wykonać swój ruch. Jego posunięcie było, jak zwykle, błyskawiczne: przeskoczył rząd pionków gońcem. Jemmie jednak zdawało się, że dostrzega w nim pewne wahanie. Bez pośpiechu przesunęła swojego gońca w podobny sposób.

– Ciekawe. – Elijah zerknął na szachownicę.

Wiele się dowiadywała o swoim mężu dzięki tej rozgrywce. W lot łapał znaczenie jej ruchów. Doprawdy, jego przenikliwość była wręcz zadziwiająca.

– Chciałam w tym tygodniu zaprosić gości na obiad – oświadczyła mężowi, opierając się wygodnie. Dziś Elijah nie był tak zmęczony jak

poprzednio, choć nadal w jego oczach widziała ogromne wyczerpanie, co ją bardzo martwiło.

– Nie mieliśmy gości na obiedzie, odkąd wyjechałaś do Paryża – zdziwił się. Chyba zapomniał o obecności pani Grope. – Fowle będzie zachwycony.

– Pomyślałam, że powinniśmy we dwoje ustalić listę gości – ciągnęła Jemma. – Trzeba się zastanowić, kto mógłby odrzucić zaproszenie ze względu na towarzyszkę markiza. Harriet na pewno nie będzie stwarzać problemów. A ty kogo chciałbyś zaprosić?

– Z Izby Lordów?

– Nie! To znaczy, chyba że jesteś z kimś szczególnie zaprzyjaźniony.

– Zaprzyjaźniony – powtórzył Beaumont powoli, jakby próbując, jak to słowo smakuje.

– A skoro już mowa o przyjaciółach, a raczej o byłych przyjaciółach – powiedziała Jemma, przypatrując mu się uważnie. – Zamierzam zaprosić Villiersa, ponieważ zaleca się do lady Roberty.

Beaumont wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz... Mnie się raczej zdawało, że zaleca się do mojej żony, jeśli tak można powiedzieć.

– Większość dżentelmenów zaleca się do kilku dam jednocześnie. Zaloty to po prostu zwykła czynność, taka sama jak jedzenie.

– Tylko że w tym przypadku to ty masz być potrawą. – W jego głosie znowu brzmiało zmęczenie, ale nie było tam cienia zainteresowania, a już na pewno ani śladu zazdrości.

– Więc mamy markiza i panią Grope...

– Panią Grope?! – ryknął śmiechem.

Jemma uśmiechnęła się również.

– Fowle ci nie powiedział, jak ona się nazywa? Roberta nie jest pewna, czy pan Grope w ogóle kiedykolwiek istniał. W każdym razie, jest nas ośmioro, razem z Robertą, Damonem i Villiersem. Dobrze byłoby zaprosić jeszcze ze dwie osoby.

– Na tym twoim balu poznałem pewną damę – powiedział Beaumont. – Pannę Charlotte Tatlock.

Jemma zmarszczyła brwi.

– Jedną z córek sir Patryka Tatlocka? Nie znam ich za dobrze.

– Zrobiła na mnie wrażenie bardzo inteligentnej – powiedział, podnosząc się od stolika.

– Jest ktoś jeszcze, kogo chciałbyś zaprosić? Caro zajmie się przygotowaniem, ale obiecuję ci, Beaumont, że postaram się okiełznać trochę jej wyobraźnię. Po obiedzie może nam zagrać na fortepianie.

Kręcił głową.

– Do diabła z moją reputacją. Jeśli Pitt uzna, że obracam się w niemoralnym towarzystwie pokroju księcia Walii i jego kompanów, to może przestać ze mną rozmawiać.

– Nie sądzę, by był tak głupi.

– Zaraz mam z nim spotkanie – powiedział z niewesołym uśmiechem i skłoniwszy się, wyszedł.

Jemma zasiadła przy biureczku. Irytowała ją świadomość, że nie zna jeszcze tak dobrze londyńskiej socjety, żeby przewidzieć, kto nie oprze się ciekawości, żeby zjeść obiad w towarzystwie pani Grope. W końcu zaprosiła Corbina. Ten przynajmniej nie będzie plotkował o przyjęciu, nawet gdyby przez cały wieczór musiał siedzieć przy stole obok pani Grope.

Jej mąż wykonywał takie posunięcia na szachownicy, jak gdyby jego ruch był jedynym możliwym rozwiązaniem; Villiers zwykle zastanawiał się dłużej. Beaumont dokonywał kalkulacji w mgnieniu oka; Villiers za to dumał. Jego styl gry bardzo przypominał jej własny. Widać było, że poświęca dużo czasu na obmyślanie błyskotliwych rozwiązań. Grał zuchwale, podobnie jak ona. Elijah to zupełnie inny typ gracza: każdy jego ruch był uważny, szybki i celowy.

Brigitte podała jej bilecik Villiersa.

– Muszę pani powiedzieć, milady, że Joseph przyszedł dziś ze swoim panem. Mówi, że pytał, ale w całym domu nikt nic nie wie o tej sprawie z lady Caroline, nawet osobisty służący księcia. Joseph twierdzi, że Jego Wysokość, książę Villiers, jest bardzo zakryty.

– Skryty – odruchowo poprawiła ją Jemma. Tak, to by się zgadzało z tym, co już wiedziała na temat Villiersa. Nie wyglądał na człowieka, który omawiałby swoje *affaires d'amour* ze służącym. – Płaszcz z szalowym kołnierzem jest twój, Brigitte. Mam nadzieję, że znajomość z Josephem nie była dla ciebie zbyt nużąca.

Brigitte uśmiechnęła się figlarnie.

– Jeszcze nie zabrał mnie do tych obiecanych ogrodów. A poza tym, doszłam do wniosku, że rude włosy nie są znów takie okropne.

Villiers pojawił się w niezwykle oryginalnym płaszczu obszytym pawimi piórami. Jemma przyglądała mu się bez słowa. Najwyraźniej chciał czegoś dowieść... tylko czego? Jego strój był jak wyzwanie dla tych, którzy uważają, że mężczyźni powinni ubierać się mniej ekstrawagancko od kobiet.

Zbiła królową jego pionka; on przesunął gońca, po czym oboje usiedli swobodniej.

– Jak panu mija dzień? – zapytała.

– Zastraszająco nietypowo.

– Och? – Podniosła oczy.

– Odprawiłem swoją kochankę.

Jemma myślała nad tym przez chwilę i doszła do wniosku, że nie powinien się obrazić za szczere pytanie.

– Ile takie przedsięwzięcie kosztuje?

– Tu trzeba brać pod uwagę zarówno finanse, jak i uczucie – odparł. – Lubię ją, a co więcej, mieszkała w jednym z moich domów przez ostatnie trzy lata.

– Bardzo się przejęła?

– Zupełnie się nie przejęła. Rozstaliśmy się w przyjaźni, co świadczy o tym, że powinienem ją odprawić już co najmniej rok temu.

– Dla mężczyzny to musi być dość męczące – zastanawiała się Jemma. – Przecież przez te ostatnie trzy lata na pewno miał pan, jak sądzę, drobne przygody z różnymi damami z towarzystwa, a jednocześnie w domu czekała na pana kochanka.

– Nie jestem jeszcze taki stary, żeby nie dać rady.

Uśmiechnęła się blado.

– Chodziło mi raczej o bałagan w uczuciach.

– Rzeczywiście, czasem bywało to dość skomplikowane. Sophia to kurtyzana, z którą należy się liczyć, widzi pani. Nie tylko potrafi zadowolnić mężczyznę w łóżu, ale jest też dobrym partnerem do gry. Poza tym ma swoje wymagania.

Jemma obracała w palcach figurę szachową.

– I dlatego ją pan oddalił?

– O, nie. Odprawiłem ją, bo chcę się ożenić. – Obserwował ją uważnie, żeby wychwytać oznaki zazdrości.

Ale ona ponownie go zaskoczyła, uśmiechając się czarująco.

– W takim razie słusznie pan postąpił.

Otworzył usta.

– Tak?

– Uważam, że mężczyzna nie powinien opłacać towarzystwa innej kobiety, kiedy ma żonę – powiedziała. – Utrzymywanie kochanek samo w sobie jest niesmaczne, a już po ślubie – to istna hańba.

Przełknął swoje zaskoczenie.

– Ma pani, jak widzę, dość staromodne poglądy.

– A ja uważam, że to właśnie myślenie przyszłościowe – odparła.

– Niech pan spojrzy na Diabelski Klub, te ich orgie, te pogańskie rytuały... to wszystko umiera śmiercią naturalną, choć może oni sami jeszcze tego nie widzą. We Francji tak samo. Nawet królowa, Maria Antonina, stała się wielką domatorką, może mi pan wierzyć.

– A zatem stronnictwo pani męża przyniesie nam przyzwoitość i cnotliwe zasady? Żony, które będą się przebierały za pastreczki, a nie za ogniste kurtyzany?

Roześmiała się.

– Mój mąż i jego stronnicy też mają kochanki, tak samo jak członkowie innych partii. Tyle że nie obnoszą się z tym aż tak bardzo, jak na przykład Fox.

– Elizabeth Armistead to wyjątkowa osoba.

– Poznałam ją w Paryżu, zrobiła na mnie duże wrażenie.

– A ja pomyślałem, że wreszcie się ustatkuję i wezmę za żonę pani podopieczną. – Przyglądał się jej spod opuszczonych rzęs.

Ku jego rozczarowaniu, uśmiechnęła się szczerze. Coś mu mówiło, że planowana zemsta poszła nie całkiem tak, jak się tego spodziewał. Zdumiało go, że Jemma wcale nie dba o to, czy on się ożeni, czy też nie.

– Nie mógł pan wybrać lepiej. Roberta to piękna dziewczyna, jak pan wie, ale jest też bardzo inteligentna i dowcipna. Jediną jej wadą jest to, że nie potrafi grać w szachy. – Jemma śmiesznie zmarszczyła nos.

– Ale przecież od tego mam panią. – Dotknął jednego z jej delikatnych palców.

Ostatniej nocy uświadomił sobie z całą wyrazistością, że nie zależało mu wcale na wygranym meczu szachowym. Zależało mu na niej. Pragnął jej, wraz z jej przenikliwą inteligencją, z jej nagłymi wybuchami śmiechu, z jej elegancką manierą dobierania słów i poruszania się,

nie wspominając już o jej błyskotliwej grze w szachy, co samo w sobie wystarczało, żeby płomień żądzy rozgorzał w jego łędźwiach. Pożądał jej tak gwałtownie, że nawet nie śmiał się nad tym głębiej zastanawiać.

– Coraz bardziej mi się to podoba – rzekł, przyglądając się, jak Jemma poprawia falbanki przy mankietach. – I to mnie właśnie martwi.

– Dlaczego? Mnie zawsze się podoba gra z dobrym partnerem, nawet kiedy przegrywam.

– Szachy i owszem. Ale również – pochylił się do przodu – rozmowa z panią.

Jemma uśmiechnęła się w duchu. Villiers najbardziej ją podniecał, kiedy mówił wprost. Całe szczęście, że o tym nie wiedział. Nie robiły na niej wrażenia wytarte frazesy o kobiecych strojach i urodzie, ale gdy z uśmiechem powiedział jej otwarcie, że odprawił swoją kochankę – wtedy zrobiło się niebezpiecznie.

Ale nie da się złapać na jego fortele. Tym bardziej teraz, kiedy jest już niemal zaręczony z Robertą.

Spojrzawszy mu w oczy, dostrzegła w nich błysk rozczarowania.

– Odbiera mi pani śmiałość – powiedział z powagą.

– Myśli pan, że stać mnie na taką nieuczciwość względem przyjaciółki?

– A pani chyba ma mnie za głupca, jeśli myśli pani, że uwierzę w pani nagły brak zainteresowania ze względu na moje ewentualne małżeństwo z pani podopieczną.

Nie odpowiedziała, a on poczuł złość na samego siebie za te niedosłze oświadczenia. Czy naprawdę chce się żenić? Nie miałby przecież żadnych skrpułów, żeby zapomnieć o tej wiejskiej panience szybciej, niż się nią zainteresował.

Ale Roberta była rzeczywiście przesłiczna. I potrafiła się dowcipnie odciąć, co wśród panienek należało raczej do rzadkości. Była młoda, więc pewnie płodna. Na litość boską, przecież potrzebował zatroszczyć się o dziedzica! A poza tym pozbył się właśnie kochanki. Potrzebował kogoś do łóżka.

– Więc nie zechce mnie pani?

Jemma uśmiechnęła się, a jej uroda była dla niego niemal jak cios w twarz.

– Pan się żeni.

– Może tak, może nie – odpowiedział. – Dama może się nie zgodzić. – Wiedział, że tak nie będzie, równie dobrze jak Jemma.

Był to niezaprzeczalny fakt, że trudno mężczyźnie pożądać kobiety, która go pragnie. Roberta nie czyniła sekretu ze swoich uczuć. Na sam jego widok, jej oczy pokrywała mgiełka rozmarzenia.

Wolał jasne, wyraziste spojrzenie Jemmy.

Niezbitym faktem posostawało również to, że kobieta, która odrzuca zaloty mężczyzny, wzbudza w nim dwakroć większe pożądanie.

22

Zaproszenia roznosili księżęcy lokaje.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że cię zaprosili – ekscytowała się May na widok bileciku w rękę siostry. – Czyżbyś za moimi plecami poznała się z księżną?

Charlotta pokręciła głową.

– Na balu książe poprosił mnie do tańca, ale z Jej Wysokością nawet nie rozmawiałam.

– Książę?! – Okrągła twarzyczka May przybrała wyraz zgorzenia. – Mój Boże, a po cóż on by cię zapraszał? – Badawczo przyjrzała się bilecikowi. – Bardzo to poważnie wygląda, nie sądzisz? Spodziewać by się można, że księżna wyprawi jakąś ucztę Wenery czy coś w tym rodzaju.

– Wątpię, żeby mnie zapraszali, gdyby chcieli mieć przy stole nimfę – sucho odparła Charlotta.

– Prawda. Ale jakie to dziwne, że zaprosili ciebie, a nie mnie. Nie uważasz, że to dziwne? A może on chce, żebyś została jego... jego utrzymanką?! – W głosie May dzwięczało przerażenie.

Charlotta pozwoliła sobie na jedną, jedyną tęskną myśl o pięknych, zmęczonych oczach księcia, nim odpowiedziała.

– Nie bądź głupią gąską, May. Czy ja wyglądam na kobietę, którą książe chciałby zrobić swoją kurtyzaną?

– Mam nadzieję, że nie.

– Przynajmniej w moim życiu coś by się działo – powiedziała Charlotta tylko po to, żeby podroczyć się z siostrą.

Ale May nie była zawistna i kiedy tylko ochłonęła z zaskoczenia, potrafiła myśleć praktycznie.

– Musisz mieć nową toaletę – powiedziała stanowczo. – Poślemy zaraz do madame Hayes, żeby na czwartek miała gotową tę suknię, którą zamówiłaś w zeszłym miesiącu.

– Nie zrobi tego.

– Owszem, zrobi. Niech się tylko dowie, że jesteś zaproszona na to przyjęcie – wykrzyknęła May. Z ekscytacji kręciło jej się w głowie i wymachiwała zaproszeniem jak flagą. – Może „Miasto i Wieś” zamieści sylwetki wszystkich zaproszonych; bardzo możliwe, że tak będzie. Och, jakie to podniecające!

Charlotta musiała przyznać, że istotnie było to bardzo podniecające.

Sama też przygotowywała się na przyjęcie, ale w sekrecie przed siostrą; posłała lokaja, żeby kupił jej wszystkie gazety z informacjami o polityce, jakie tylko znajdzie.

Reakcja księżnej Berrow na zaproszenie była o wiele mniej entuzjastyczna. Z westchnieniem przebrała się w suknię podróżną, kazała zaprzęgać do powozu i wyruszyła do miasta. Niecałe dwie godziny potem kamerdyner wprowadził Jemkę do saloniku, gdzie już czekała Harriet.

– Moja kochana – przywitała ją Jemma. – Z nieba mi spadasz. Postanowiłam spisać wszystkie portrety Judyty i Holofernesa, jakie mamy w tym domu, i potrzebuję kogoś do pomocy.

Harriet podniosła się z fotela. Jak zwykle, wybijała osobowość Jemmy sprawiała, że ona czuła się przy niej jak wyblakła ilustracja.

– Przyjechałam, żeby zapytać cię o to. – Wydobyła z kieszeni zaproszenie.

Jemma z szerokim uśmiechem nachyliła się ku niej i wyszeptała konspiracyjnie.

– Plany są gotowe!

– A twój mecz szachowy? Wygrywasz? – zapytała Harriet z nadzieją.

– Spodziewam się wygranej – odparła Jemma. – Gotowa jestem nawet się o to założyć, choć to może niezbyt skromne. Villiers jest osaczony ze wszystkich stron. Na tym właśnie przyjęciu oświadczy się lady Robercie.

Harriet otworzyła usta.

– Villiers? Ma się żenić?

– To najlepsza zemsta, nie sądzisz?

– Ale... Ale czy nie lubisz tej swojej podopiecznej? – zapytała wciąż oszołomiona. – Mówiłaś, że to przemiła dziewczyna, która...

– Owszem, jest miła – przerwała jej Jemma. – W zasadzie Villiers ma szczęście, że trafi mu się taka żona. Nie, to samo małżeństwo będzie jego karą. On kompletnie nie rozumie, o co w tym chodzi, wiesz? Wydaje mu się, że jego życie w ogóle się nie zmieni: widzę to w jego oczach. Mówię ci, jest jak zagubione dziecko.

– Nie każde małżeństwo musi być nieudane – odważyła się wtrącić Harriet.

– Chodzi ci o to, że nie powinnam patrzeć na to przez pryzmat mojego własnego związku?

– Tak.

– Cóż, spójrzmy więc na twoje małżeństwo – zasugerowała Jemma. – Świetnie dobrane, kochające się nawzajem... – Urwała.

– I? – groźnie spytała Harriet. To że ona sama oplakiwała utratę Beniamina, to jedno, ale...

– Nie spotkały cię w małżeństwie wielkie upokorzenia?

Harriet przypomniawszy sobie wszystkie upokarzające momenty.

– Spotkały – odparła cicho.

– To nieodłączna część małżeńskiego życia.

– A więc Villiers będzie na tym przyjęciu – powiedziała Harriet. – I ja też... i chcesz, żebym ja też tam była? Nie mogę.

– Musisz. – Jemma wzięła ją pod rękę i poprowadziła w stronę korytarza. – A teraz obejdziemy cały dom w poszukiwaniu portretów Judyty. Fowle, czy możesz iść za nami i notować wszystkie obrazy?

Harriet bezskutecznie walczyła z frustracją.

– Jemmo – syknęła. – Dlaczego ten służący musi za nami chodzić? Właśnie ci powiedziałam, że nie przyjdę na ten obiad.

– Ależ przyjdiesz – powiedziała Jemma z uśmiechem. – Potrzebuję cię. A Fowle musi iść za nami, żeby zrobić spis obrazów.

– Dlaczego mówisz, że muszę przyjść?

– Bo niewiele brakuje, żeby mój brat zrobił z siebie idiotę. O, popatrz, tu w korytarzu też jest Judyta. Tej nigdy wcześniej nie zauważyłam. Fowle, zapisałeś to sobie?

Harriet rzuciła okiem do tyłu i zobaczyła, jak kamerdyner skrupulatnie robi notatki.

– A co takiego robi twój brat? – szepnęła.

– Co robi? Robi z siebie głupca, jak już mówiłam. – Jemma wcale nie zniżyła głosu. – Wzdycha do Roberty, jeśli chcesz wiedzieć. Sądząc po jego oczach, chyba uważa, że się w niej zakochał. A do tego nie możemy dopuścić.

– Bo Roberta ma wyjść za Villiersa.

– Otóż to.

– W takim razie, skoro wychodzi za Villiersa...

– Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wybierze Villiersa, jeśli Damon pojawi się na horyzoncie – niecierpliwie przerwała jej Jemma.

– Jesteś jego siostrą. – Harriet chciało się śmiać, po raz pierwszy od długiego czasu. – Nie sądzisz, że odrobinę przeceniasz jego zalety?

– Wcale nie. To bezstronna ocena sytuacji. Roberta nie umie grać w szachy, więc talent Villiersa jej nie pociąga. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co ją w nim tak fascynuje. Ale wiem, że Damon od czasu do czasu ukradkiem ją całuje. Nie chciałabym, żeby się wtrącał pomiędzy nią a Villiersa ani żeby Roberta się zanadto rozpraszała. Liczę więc na to, że ty będziesz go zabawiać podczas tego przyjęcia. Liczę na ciebie.

– Nie mam ochoty przebywać w jednym pomieszczeniu z Villiersem.

– Posadzę was na przeciwległych krańcach stołu – uspokoiła ją Jemma. – O, jest następny. Wyjątkowo krwiożerczy, nie sądzisz? I do tego powiesiła go w porannym salonie, na honorowym miejscu.

Obie przez moment zapatrzyły się na tryumfującą Judytę, która podnosiła w górę uciętą głowę. Artysta szczególną uwagę poświęcił szyi biednego Holofernesa. Jemma aż się wstrząsnęła.

– Nigdy nie zrozumieję księżnej wdowy, nigdy.

– Kiedy zmarł ojciec Beaumonta?

– Chyba kiedy Eljah miał dziesięć lat. Może dziewięć.

– A zatem właściwie wychowała go matka.

– To już samo w sobie wystarczyłoby, żebym zaczęła mu współczuć – powiedziała Jemma. – Ale w małżeństwie nie ma miejsca na takie uczucia.

Zwróciła się do wyjścia.

– W gotowalni dla pań jest jeszcze jeden. Biedna lady Fibble doznała szoku podczas ostatniego balu, tak mi w każdym razie powiedziała. Podobno Holofernes na tamtym obrazie przypomina Beaumonta. Mam głęboką nadzieję, że tak nie jest. A jeśli tak, to zakładam, że to portret zmarłego księcia.

Tym razem to Harriet poczuła dreszcz grozy.

Zanim Charlotta wysunęła z powozu stopę w eleganckim pantofelku, zdała sobie sprawę, że rezydencję Beaumontów otaczają tłumy gapiów, czekających w nadziei, że uda im się zobaczyć wchodzących gości. Wzięła głęboki wdech. Nie przywykła obracać się w najwyższych kręgach londyńskiej socjety. Ona i May, jako stare panny, egzystowały na peryferiach eleganckiego towarzystwa; nie miały odpowiedniego posagu ani wpływowych przyjaciół. Były z dobrej rodziny, więc je zapraszano, ale niczym się nie wyróżniały. Nie zwracały na siebie uwagi.

A jednak, przypomniawszy sobie Charlotta, May udało się zainteresować pana Muddle'a, więc w przyszłym sezonie Charlotta będzie zdana tylko na siebie. Była to myśl tak przygnębiająca, że wolała głębiej się nad tym nie zastanawiać. To tak, jakby myśleć o bezdomnych sierotach, którym nie można pomóc, albo o wyszukanych francuskich kreacjach, na które nie można sobie pozwolić.

Otrząsnęła się i powtórzyła sobie, że wygląda dobrze. Była świadoma, że nie jest żadną oszałamiająco piękną boginią, można było raczej powiedzieć, że ma profil jak z rzymskiej monety. May zawsze powtarzała, że Charlotta ma wytworny nos. Ona sama uważała, że jej nos może i ma dość ładny kształt, ale jest zdecydowanie za długi.

– Ten nos nadaje inteligentny wyraz twojej twarzy – mawiała mama. – Mężczyźni nie gustują w pustogłowych pannach.

Najwyraźniej nie gustowali również w rzymskich monetach.

Kiedy wysiadła z powozu, gapie tłoczący się na ulicy zaczęli się przepychać, żeby móc lepiej widzieć, kto przyjechał.

– To nie jest lady Sarah – ktoś powiedział. – Lady Sarah nie ma...

Charlotta nie miała wątpliwości, że lady Sarah nie ma rzymskiego nosa. Wyprostowała się dumnie. Miała na sobie suknię z blad różowej krepy, która ładnie podkreślała jasny kolor jej skóry i głęboki błękit

oczu. Fryzura była bez zarzutu, upięta wysoko, jak nakazywała moda. Słowem, Charlotta prezentowała się najlepiej, jak mogła, i to musiało wystarczyć.

– Widzę ją, to panna Tatlock – powiedział ktoś głośno, gdy wchodziła po schodach.

Kamerdyner skłonił jej się tak nisko, że omal się nie przewrócił.

– Panno Tatlock – przywitał ją, cofając się w drzwiach. Wewnątrz domu panowała zaskakująca cisza. – Proszę za mną – powiedział, gdy już służba wzięła od niej okrycie. – Czy chciałaby pani udać się jeszcze do gotowalni, czy dołączy pani od razu do pozostałych gości w salonie?

Szczerze mówiąc, Charlotta była zbyt przerażona, by jeszcze raz przegłądać się w lustrze. Lepiej mieć to już za sobą. Na pewno będzie dużo innych gości i spotka kogoś znajomego. Znajdzie jakąś sympatyczną matronę i schroni się w jej cieniu.

Ale w salonie nie było wcale wielu gości ani żadnej sympatycznej matrony. Niewielka grupka biesiadników stała z kieliszkami w dłoniach.

Charlotta już chciała uciec, ale wtedy książe Beaumont odwrócił się do niej z uśmiechem.

Weszła do środka.

Kiedy Roberta rozmawiała z panią Grope na temat dekoracji z piór, które ta kupiła na targu, zanim się spostrzegła, Villiers pociągnął ją w odległy kąt salonu.

– Chyba nie ma mi pani za złe, że trzymam się z daleka od kobiet tego pokroju?

Przyjrzała mu się uważnie.

– Zdaję sobie sprawę, że w pani sytuacji nie jest to łatwe. – I zaraz, niemal na jednym oddechu, dodał: – Jeszcze nigdy nie prosiłem żadnej damy o rękę.

Jeśli Roberta się nie myliła, książe Villiers zaraz jej się oświadczy. Właściwie, już to robi. Miała niepokojące wrażenie, że jest jak widz w teatrze, który obserwuje sztukę, ale nie bierze udziału w wydarzeniach na scenie.

– Mam nadzieję, że nie wszystkie nowe doświadczenia bywają nieprzyjemne – odpowiedziała.

– To akurat sprawia mi zaskakująco wiele przyjemności.

Przemknęło jej przez myśl, że książe nie za bardzo dbał o jej przyjemność, ale szybko odpędziła tę zdradziecką myśl i zrobiła minę kobiety szczęśliwej.

Ku pewnemu jej zaskoczeniu, Villiers zabrał się do rzeczy jak należy: szarmancko przyklęknął na jedno kolano, ujął jej dłoń i powiedział:

– Czy wyświadczy mi pani ten honor i zostanie moją księżną, lady Roberto?

Przełknęła nerwowo.

– Tak – powiedziała.

I już było po wszystkim. Villiers pocałował ją w rękę.

Rzecz jasna, nie był to pocałunek w rodzaju zniewalających pieszczoł Damona. Po prostu lekkie muśnięcie warg.

Zadrzała, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu, co ją trochę zirytowało. Ten uśmiech dawał do zrozumienia, że młode damy zazwyczaj drżały od jego pocałunków.

– Dziś po południu prosiłem pani ojca o pani rękę – powiedział, wstając z kocią czy może raczej tygrysią gracją.

– Och – zdziwiła się Roberta. Ciekawe, jak ojcu udało się utrzymać to przed nią w sekrecie.

– Prosiłem, by nic pani nie mówił – wyjaśnił Villiers. – Choć na pewno i tak domyślała się pani moich zamiarów.

– Dziękuję panu za ten obrazek z pułapką na myszy – powiedziała. I zaraz poprawiła się szybko. – To znaczy, obrazek z myszą... obrazek z dziewczyną trzymającą pułpkę na myszy!

Roześmiał się.

– Uroczą scenką rodzajową, nieprawdaż?

– Owszem.

– Ale, ale. Wiem, że ma pani tyleż dowcipu, co urody. Chyba stać panią na ciekawszą odpowiedź niż zwykłe „owszem”?

Roberta opanowała nagle rozdrażnienie.

– Rozumiem, że chce pan, żebym skomentowała pańską metaforę? Dostyc interesujący wydał mi się fakt, że w pułapce jest mysz. Właściwie, biorąc pod uwagę, że obok stoi oblizujący się kot, można powiedzieć, że dziewczyna uratowała tę myszkę przed pożarciem.

Uśmiechnął się do niej, a w sercu Roberty znowu zapłonęło podanie do owego mężczyzny spotkanego przypadkiem podczas balu, do

ciężkiej jedwabnej materii jego srebrnego fraka, do jego zrównoważenia i swobody...

Nagle uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie wyobrażała sobie Villiersa prawdziwie udomowionego. Już po ślubie. Myślała o nim, jak o dzikim zwierzęciu, które chce schwytać w pułapkę. A przez to, że on z własnej woli dał się złapać, wydał jej się jakiś taki... uległy... i wcale nie dziki.

A może pragnęła raczej nieoswojonego kota, a nie potulnej myszki, siedzącej w klatce.

– A zatem, ratuje mnie pani, tak? – Śmiał się pod nosem. – Co wobec tego ma przedstawiać kot?

– Na przykład czas. – Robertę ogarnęła gwałtowna pokusa odplacenia księciu za to, że traktuje ją jak naiwną gaskę.

– Niestety, czas to drapieźnik, przed którym nikt z nas nie ucieknie.

Ale Roberta wiedziała, że jest młoda, a on przynajmniej dziesięć lat od niej starszy, toteż odwróciła tylko głowę, jakby nie warto było odpowiadać. Zachowała się niezbyt grzecznie, ale księżę nic na to nie powiedział.

Tak jest lepiej, tłumaczyła sobie. Niech się nauczy, że nie może traktować jej z góry. Nagle zaprañęła być dla niego niemiła, tak raczej nie wypada postępować kobiecie, która właśnie przyjęła oświadczyzny dżentelmena.

Z tą myślą popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się tak czarująco, jakby był co najmniej rycerzem, mającym ją wybawić od straszliwego smoka. Jego oczy zaślniły. Zupełnie, jak gdyby zdawał sobie sprawę, że teraz to Roberta trzyma w ręku pułapkę i tylko ona może ją otworzyć.

Posłała mu kolejny ujmujący uśmiech. W końcu, różne bywają przyjęty.

Damon doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że ogarnęła go niepowstrzymana żądza. Był to bardzo niebezpieczny stan. Nigdy wcześniej nie przeżywał nic podobnego; od kilku dni jak w gorączkowym śnie przemierzał korytarze rezydencji, pragnąc jedynie złowić cień zapachu perfum Roberty albo dojrzeć rąbek jej sukni za zakrętem korytarza.

A ta diabliska właśnie się zaręczyła. I to z kim, na Boga? Z Villiersem! Rozmawiał sobie z księżną Berrow, kiedy zobaczył, jak Villiers odciąga Robertę na bok i klęka przed nią. I to tu, na oczach wszystkich, choć wydawało się, że nikt prócz niego i Harriet nie zwraca uwagi na młodą parę. Harriet zaś tak zawracała mu głowę, że w końcu przestał się gapić i zaprowadził ją do stołu.

To cały Villiers. Ten człowiek nie miał żadnej potrzeby prywatności, nawet oświadczał się publicznie.

Po raz pierwszy w życiu Damon miał ochotę kogoś zabić. Zwłaszcza że w grę wchodziło tutaj szczęście Roberty. A jednak...

Oczy jej błyszczały, kiedy patrzyła na Villiersa. Ten stary rozpustnik pewnie przyprawi ją o jakąś wstydlivą chorobę, nie wspominając już o złamanym sercu. Nie wiedzieć czemu, Roberty nie zniechęciły ani jego nieślubne dzieci, ani kochanka, z którą prowadzał się w operze, ani liczne romanse bez zobowiązań, które tak często mu się przydarzały. Musiał mieć w sobie coś, co ją urzekło.

I to – właśnie to – odbierało Damonowi rozum.

Nigdy nie czuł czegoś podobnego do kobiety. Nie należał do tego typu ludzi. Znał przecieź siebie. Kochał Teddy'ego bardziej, niż wypadało, to prawda. Powinien zlecić opiekę nad nim służbie, ale nie mógł się do tego zmusić; pewnie w ten sposób rozpuszczał synka, ale co zrobić?

Powtarzał sobie nieraz, że dziecko jest jak rasowy koń. Trzeba go oddać stajennemu, żeby go ujarzmił. Ale tego się właśnie obawiał: że jakaś niańka, chcąc utemperować bujną osobowość Teddy'ego, złamie charakter jego synka za jego plecami i bez jego wiedzy.

Wracając jednak do tematu, Damon był dość porządnym człowiekiem. Nigdy nie zabił nikogo w pojedynku, choć miewał ku temu

i powody, i okazje. Miał o wiele więcej pieniędzy, niż ogólnie sądzono, bo gdy Jemima przesuwiała figury po szachownicy, on z równym zacięciem grał w inną grę, przemieszczając na rynku aktywa i pasywa.

Dlaczego więc do szaleństwa doprowadzała go myśl, że jakaś młoda dama zakochała się i przyrzekła swoją rękę innemu? Robertcie wydawało się, że on jest tylko niepoważnym, skorym do żartów lekkoduchem.

Nie należała do niego. Oddała rękę Villiersowi, i tyle. A jednak sam dźwięk nazwiska rywala sprawiał, że Damonowi ścisnął się żołądek, a w wyobraźni czuł już w dłoni błogi ciężar stali rapiera... ale to nie miało nic do rzeczy. Roberta pragnie Villiersa, a nie jego, więc nic na to nie można poradzić.

Tym razem przegrał.

Niestety, zdał sobie właśnie sprawę, że dotąd nigdy w życiu niczego tak nie pragnął jak Roberty.

Cóż, będzie musiał się z tym pogodzić. Całkiem możliwe, że pragnie jej tylko dlatego, że ona nie zwraca na niego uwagi.

Jakby przyciągnięty magnesem, skierował się w kąt salonu, gdzie Roberta rozmawiała z Villiersem.

– Widzę, że wypada mi pogratulować – powiedział z ukłonem w stronę księcia.

– Cały zaszczyt po mojej stronie – odparł Villiers swoim zwykłym leniwym tonem.

W tej chwili kamerdyner zaanonsował kolejnego gościa, młodą damę Charlottę Tatlock. Villiers spojrzał na nią przez ramię.

– Coś mi się wydaje, Gryffyn, że to jest dama, którą Jej Wysokość przeznaczyła ci na dzisiaj do towarzystwa.

Choć książę powiedział to dosyć uprzejmie, Damon nie miał wątpliwości, że ta uwaga jest równoznaczna z tabliczką: „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”. Roberta należała teraz do Villiersa.

Odszedł z pogodną miną, bo właśnie doznał kolejnego olśnienia.

To było tak, jak w momencie, kiedy dowiedział się o istnieniu Teddy’ego: pojął, że od tej chwili jego życie się zmieni. Fakt, że matka Teddy’ego nie chciała mieć z dzieckiem nic wspólnego, nie miał tu nic do rzeczy. Wiedział z całą pewnością, że Teddy należy do niego.

Teraz czuł się podobnie.

Villiers może sobie do woli wywieszać tabliczki i zabraniać, a Damon i tak weźmie to, na co ma ochotę.

Robertę.

Nie obchodziło go jej zdanie na ten temat, nie dbał, co myśli o tym Villiers. Roberta jest w błędzie.

Należy do niego.

25

Charlotta odkryła, że przeznaczono jej miejsce po prawej ręce gospodarza, co było prawdziwym zaszczytem. Na drugim końcu stołu księżna umieściła lady Robertę, z okazji jej zaręczyn z księciem Villiersem. Posadziła ją pomiędzy jej przyszłym małżonkiem a ojcem, markizem Wharnton i Malmesbury. Po prawej stronie Charlotty siedział jakiś dżentelmen nazwiskiem lord Corbin, a naprzeciwko – jeszcze jedna księżna, której nazwiska Charlotta nie zdołała zapamiętać. Chyba Berrow, czy jakoś tak. W każdym razie, jak na osobę tak wysoko postawioną, wcale nie była onieśmielająca. Cała w łagodnych szarościach, przypominała Charlottcie sympatyczną kuropatkę, a może raczej synogarliczkę. Uśmiechała się miło, ale nie odezwała się do niej wprost.

Grupa biesiadników była jednak tak niewielka, że wszyscy po trosze uczestniczyli w rozmowie, choć było to sprzeczne z wszelkimi zasadami etykiety przy stole.

Tu, gdzie siedziała Charlotta, konwersację zdominowały prędko tematy polityczne. May wprawdzie błagała ją, żeby nie mieszała się do polityki, ale cóż ona mogła na to poradzić? Kiedy tylko zajęła miejsce za stołem, książę poinformował lorda Gryffyna, brata księżnej, że Charlotta jest jego zagorzałą przeciwniczką.

A kiedy oblała się rumieńcem zakłopotania i zaczęła się tłumaczyć, hrabia tylko się roześmiał i zaczął ją prowokować.

– Ja sam jestem wielkim zwolennikiem Foksa – powiedział. – I wprost przepadam za księciem Walii. Bo i jak tu nie lubić człowieka, który potrafi pochłonąć dwadzieścia cztery kurze jaja za jednym posiedzeniem? Jeśli nie zająłem miejsca w Izbie Lordów, to tylko dlatego, że nie chcę publicznie wytykać szwagrowi, że się myli.

Z tym nie mogła się zgodzić, więc zaczęła chwalić niedawną przemowę Beaumonta do przedstawicieli Izby, w której ten wykazywał bezzasadność przyznania księciu Walii rocznej pensji w wysokości stu tysięcy funtów. Oczy księcia rozbłysły z zadowolenia, ale ona uznała za stosowne dodać, że z drugiej strony, jako księżę Kornwalii, następca tronu miał prawo do dochodów z księstwa, jak również do rocznej pensji wypłacanej ze skarbu państwa.

Księżę jęknął, zrezygnowany. Księżna Berrow szybko zmieniła temat, mówiąc o potrzebie reform parlamentarnych w Irlandii, i tak, zanim Charlotta się spostrzegła, mijał czas obiadu.

Rozmowa na drugim krańcu stołu była o wiele mniej gorąca. Przez większość czasu, jak się zdawało, markiz recytował wiersze. Były okropne, ale inni też zaczęli cytować fragmenty poezji. Podczas przerwy w rozmowie Charlotta przypadkiem napotkała spojrzenie księcia i czytała w jego oczach całkowite zrozumienie.

– Od lat nie wziąłem do ręki tomiku poezji – powiedział, pochylając się w jej stronę.

– A trzeba było – powiedziała zachwycona, że księżę poświęca jej tyle uwagi. – Nie jesteśmy przygotowani do prowadzenia kulturalnej rozmowy. Zupełnie nic pan nie czyta, Wasza Wysokość?

– Nic a nic! – potwierdził radośnie.

– „O, wy ołówki oraz pióra” – dobiegł ich z drugiego końca stołu głos markiza. – „Co trzymam was w szufladzie biura!

O, zdradźcie mi, jakim sposobem

Opisać tę szlachetną osobę!”

– Domyślam się, że to był kuplet – powiedział księżę, a oczy mu się śmiały. Jaki on przystojny, przemknęło przez głowę Charlotty. A jaki błyskotliwy.

Jego żonie najwyraźniej wiersz się podobał, bo zaczęła klaskać.

– I nawet zorientowałem się, gdzie jest rym. – Księżę znowu nachylił się do niej. – „Sposobem” i „osobę”. – Ironicznie uniesiona brew księcia omal nie przyprawiła Charlotty o atak śmiechu. Szczęśliwie do rozmowy wtrącił się lord Corbin, pytając o Williama Whiteheada, który, mimo że obecnie pełnił funkcję nadwornego poety, nie popierał w swojej twórczości polityki rządu.

Z bolesnym szarpnięciem w sercu Charlotta odwróciła się od księcia. Nic z tego nie będzie, tłumaczyła sobie. Przecież to księżę, i do tego

żonaty. A ty jesteś jedynie starą panną, która jakimś cudem została zaproszona na to przyjęcie. A jednak...

A jednak wiedziała, jak to się stało, że otrzymała to zaproszenie.

Chciał tego Beaumont. Ta myśl rozgrzewała jej zziębnięte serce. Oto po raz pierwszy w życiu jakiś mężczyzna chciał przebywać w jej towarzystwie.

Żonaty mężczyzna, to fakt.

Jego żona jest jedną z najpiękniejszych kobiet w Anglii – a mimo to zaprosił ją, Charlotte, na obiad.

Księżna nie rozumie polityki, powiedziała sobie Charlotta.

Bawi ją kiepska poezja z marnymi rymami.

Nie rozumie swojego męża.

Na drugim końcu stołu markiz Wharton i Malmesbury spędzał czas równie przyjemnie jak Charlotta, choć powody ku zadowoleniu miał zgoła inne. Mianowicie, z jego prawej strony siedziała córka, z lewej zaś najukochańsza pani Grope. Markiz uważał się w głębi duszy za prostego człowieka. Prawda, że wyrażał swoje uczucia w złożonych formach poetyckich, niełatwych w interpretacji, ale przedmiotem jego twórczości było to, co drogie jego sercu: córka, ukochana kobieta, ulubiony kot oraz, od czasu do czasu, ciastka z kremem.

Nie należał do osób, które ukrywają to, co czują.

– Nie mam pewności, czy jestem gotów wypuścić cię z domu – zwrócił się do Roberty.

Bardzo piękna była ta jego córka, właściwie bardziej córka Margaret niż jego. Niestety, biedna Margaret nie dożyła chwili, kiedy jej mała dziewczynka rozkwitła i stała się kobietą.

– Kiedy byłaś malutka, napisałem odę do twojej powieki. I co ja teraz zrobię, kiedy nie będę mógł codziennie patrzeć na twoje powieki?

– Ależ, papo. – Była zmieszana, jak zwykle, kiedy prawil jej komplementy.

– Zrozumiesz, jak to jest, kiedy sama będziesz miała dzieci – powiedział.

Tak, teraz widział, że nie mógłby zatrzymać jej na zawsze na wsi. Nie powinien pozbawiać swojej jedynej córki rozkoszy posiadania własnych dzieci. A jednak... Spojrzał poprzez stół na jej wybranka. Księżę. Niby jest się z czego cieszyć. A mimo to markiz nie mógł się oprzeć wrażeniu,

że Villiers jest starym bezwstydnikiem o zmęczonej duszy. Nie miał pojęcia, jak powiedzieć o tym Robercie.

Gdyby Margaret żyła... Pani Grope była wprawdzie cudownie malownicza, ale nie miała ani krztyny wycucia, tak jak Margaret. A przede wszystkim nie była matką Roberty. Właściwie...

– Czy powinienem cię wychować inaczej? – zapytał, udręczony nagłą obawą.

Pani Grope, na tle innych dam przy stole, wyglądała dość wyzywająco. Siedzący obok lord Corbin prowadził z nią uprzejmą rozmowę o teatrze; w porównaniu do jego stonowanego stroju pani Grope przypominała krzykliwie upierzonego pawia.

– O co ci chodzi, papo? – zdziwiła się Roberta.

– Czy powinienem oszczędzić ci towarzystwa pani Grope? – mówił ochryplym szeptem. – Albo Seliny, mojej najdroższej Seliny?

Spojrzała na niego znad talerza fasolki.

– Papo, czy chcesz powiedzieć, że zaczynasz mieć wątpliwości co do tego, jak powinno wyglądać nasze życie rodzinne? Teraz?

– A dlaczego nie teraz?

– Bo mam już dwadzieścia jeden lat! Trzeba się było nad tym zastanawiać, kiedy miałam czternaście i kiedy Selina porzuciła dla ciebie wędrowną trupę aktorów.

– Byłem zakochany – przyznał z rumieńcem wstydu. – Twoja matka nie żyła już od dwóch lat. Po prostu się zakochałem.

Uśmiechnęła się wyrozumiale, a jemu zaraz zrobiło się lżej na duszy.

– Wiem, papo. Wiem, że byłeś zakochany.

– Ale czy to nie przeze mnie? – ciągnął. – Czy to nie ze względu na moje kaprysy wybrałaś właśnie Villiersa?

– Oczywiście, że nie, papo – zapewniła pośpiesznie, nie patrząc mu jednak w oczy.

Villiers może i jest idealnym kandydatem na męża, ale nie nadaje się dla mojej Roberty, pomyślał. To człowiek oziębły i bez serca.

– Jeśli się rozmyślisz co do tego małżeństwa, to na pewno znajdziesz się wielu innych kandydatów do twojej ręki, Roberto – powiedział. – Jesteś w Londynie zaledwie od tygodnia. Nie wiadomo, kogo jeszcze możesz spotkać.

– Papo! – szepnęła, patrząc w prawo, czy Villiers nie słyszy. – Nie opowiadaj takich rzeczy. Nie rozmyślę się na pewno.

– Jesteś zupełnie pewna?

– Oczywiście, że tak.

Markiz spróbował sobie wyobrazić, jak to wpada na rodzinną kolację do swojej córki, księżnej Villiers, ale nie miał złudzeń, że tak kiedykolwiek będzie. Villiers nie wyglądał na człowieka, który by zapraszał do domu starego, głupiego markiza, może oprócz okazji, od których nie można się wykręcić. Na przykład w święta Bożego Narodzenia.

Po policzku spłynęła mu łza. Śmierć Margaret była ciosem, ale została mu wówczas ta kochana dziewczuszka, która krytykowała jego wiersze, tak samo jak jej matka. Bez Roberty natomiast...

Kolejna łza potoczyła się w ślad za pierwszą. Roberta wzięła go za rękę.

– Papo, będę cię odwiedzać, obiecuję – powiedziała tak serdecznie, że serce mu omal nie pękło. – Wiesz przecież, że nie mogę zostać w domu do końca życia.

– Wcale nie tego chciałem – załkał. – Ale popełniłem tyle błędów! Tyle błędów!

Nagle uzmysłowił sobie, że rozmowy wokół nich zamarły i wszyscy mu się przyglądają. Sądząc po oczach księcia Villiers, nie ma co liczyć na zaproszenie nawet w święta. A Pani Grope, biedaczka, jadła groszek nożem. Może nie powinien był...

– Ciężko musi być pożegnać jedyne dziecko – powiedział zyczliwie książę Beaumont. – Wyobrażam sobie, że dla rodzica to bardzo bolesne.

Zawstydzony markiz zerknął na Robertę. Nie znosiła, kiedy urządził takie sceny. I rzeczywiście, siedziała, wbijając wzrok w talerz. Pośpiesznie otarł łzy.

– Ale kiedy sobie przypomnę jej bezduszne uwagi na temat moich wierszy, to odejście już mnie tak nie boli – rzekł. – Pamiętaj, dziecko drogie, jak ci przeczytałem moje arcydzieło, w zasadzie jedyne, które ukazało się drukiem, a ty powiedziałaś, że to bzdury?

Ku jego zmartwieniu, Robertę to wspomnienie chyba jeszcze bardziej przybiło.

– Wybacz mi, papo – powiedziała.

– Bo to była bzdura! – wykrzyknął pogodnie. – Kompletna bzdura! Przeczytałem ten wiersz niedawno i stwierdziłem, że to pomyłka. Zrobiłem taki eksperyment – wyjaśnił Villiersowi, którego twarz nie wyrażała ani odrobiny zainteresowania. – Napisałem sonet, całe czternaście linijek, używając tylko jednego rymu. Szekspir stosował model, w którym jest siedem rymów. Poetom z czasów Petrarcki wystarczyło nawet mniej. Ale ja jestem chyba jedynym poetą w Anglii, który stworzył sonet o jednym rymie!

– A co to był za rym? – zainteresował się książę Beaumont.

– Musiałem wybrać taki, który daje wiele możliwości – odparł markiz. – Więc zdecydowałem się na słowo „koń”.

– Ach, czyli to był wiersz o przyrodzie? – Zapytał znudzony Villiers. – Domyślam się, że „koń” wybiegł na „błoń”.

Markiz powiedział sobie, że jest człowiekiem dorosłym, a zresztą, nie od dziś ignoranci wyśmiewają się z artystów.

– Słusznie, Wasza Wysokość – odrzekł z godnością. – Jest jeszcze wiele innych ciekawych rymów, na przykład: „dłoń”, „skroń” czy „broń”.

Villiers spojrział w lewo, na Robertę.

– A jednak pańska córka uznała, że poemat jest do niczego, czyż nie? Co za nieczuła istota!

Ta uwaga wiele mówiła o charakterze jego przyszłego zięcia. Ten człowiek nigdy nie zrozumie ani jednej linijki poezji. Markizowi nie chodziło może o to, żeby wydać córkę za poetę, ale...

– Człowiek, który nie rozumie poezji, nie potrafi też żyć poezją – oświadczył z nadzieją, że Roberta go zrozumie.

– Życie poezją nigdy nie leżało w polu moich zainteresowań – odparł Villiers.

Roberta odchrząknęła. Markiz przypomniał sobie, że jego córka nie cierpi rozważań filozoficznych. Ostatnią rzeczą, której by sobie życzył, było urazić ją w tym szczególnym dla niej dniu. Znowu więc zrobiło mu się przykro.

– Mój ojciec mówił w przenośni – zwróciła się do Villiersa.

– Słyszałem coś niecoś o przenośniach. – Villiers popatrzył na Robertę tak obojętnie, że markizowi aż ścisnęło się serce. – Ale nigdy nie rozumiałem, o co w tym chodzi.

– Można sobie to wyobrazić jako kontakt, który nawiązujemy z wybitnymi umysłami. – Mówiła uprzejmie, ale z nutką uszczypliwości w głosie. – Może kiedyś żyli nieprzeciętni szachiści, ale nie został po nich żaden ślad. Myśli wielkich poetów za to wciąż nam towarzyszą.

Markiz zastygł w zdumieniu. Roberta stanęła w jego obronie! Ojcowskie serce urosło z dumy i radości.

Villiers włożył do ust kęs kurczaka. Widać błyskotliwa riposta narzeczony zamknęła mu usta.

– Lordzie Wharton, a kto jest pańskim ulubionym poetą? – odezwała się księżna, chcąc załagodzić spór.

– Szekspir – odparł bez namysłu. – Przy nim jestem zaledwie marnym rzemieślnikiem, ale naśladowanie jego kunsztu nadaje sens mojemu życiu. – Złowił kątem oka pióra zdobiące fryzurę pani Grope i dodał pośpiesznie: – Choć moją największą miłością pozostaje, rzecz jasna, pani Grope.

– Rzecz jasna – przytaknął Villiers.

W jego głosie było coś wyjątkowo nieprzyjemnego. Markiz nie śmiał spojrzeć na swoją biedną córkę. Wprawdzie był dla niej okropnym ojcem, ale i tak cierpiała, kiedy ludzie się z niego wyśmiewali.

Teraz to on z kolei odnalazł jej dłoń. Bo choć powtarzał jej zawsze, że ludzki śmiech go nie boli, wiedział, że ona w to nigdy nie wierzyła.

To smutne, że nie zdawała sobie sprawy z jednej ważnej rzeczy: śmiech nie boli tak bardzo jak obojętność.

26

Książę Villiers już nie miał wątpliwości. Choć Roberta świetnie nadawała się na żonę, zdał sobie sprawę, że oświadczając jej się, popełnił maleńki błąd. Prawdę mówiąc, byłby równie zadowolony, nie zeniąc się z nią. A już na pewno nie miał ochoty zaliczać jej ojca do grona najbliższej rodziny. Ponadto na Jemmie jego zaręczyny nie wydawały się robić najmniejszego wrażenia. Jednym słowem, to był błąd.

Niestety, tak się nieszczęśliwie złożyło, że doszedł do tego wniosku mniej więcej dwie godziny po fakcie publicznych oświadczeń. Ale nie

dłużej niż chwilę zajęło mu obmyślenie strategii pozwalającej zmienić rozstawienie figur na szachownicy, po której się poruszał.

Zdawało mu się na przykład, że jego dawny przyjaciel Elijah flirtuje z nową postacią w tym układzie. Dama ta była zaledwie pionkiem, niczym więcej, ale... czyż on sam nie twierdził, że pionki też bywają na swój sposób użyteczne?

Trzeba zastosować taki ruch, żeby królowa Elijaha bez wahania pośpieszyła na koniec jego planszy.

Potem pozbędzie się własnej królowej... taka już jest natura tej gry.

– Zechce pani udać się ze mną do biblioteki? – zwrócił się do narzeczonej.

Roberta z wdziękiem wstała od stołu. Trzeba przyznać, że elegancji jej nie brakowało. W milczeniu przeszli do biblioteki.

– Chciałem się jedynie upewnić, że jesteśmy jednej myśli co do pewnych aspektów naszego małżeństwa – powiedział, pomagając jej usadzić się na kanapie z brokatowym obiciem.

– Zamieniam się w słuch – odrzekła.

Zamrugnął zaskoczony. U innej kobiety taki komentarz mógłby trącić nieprzyjemną ironią, ale Roberta spoglądała na niego z uśmiechem.

– To proste – kontynuował. – Chodzi o te nieprzyjemne drobiazgi zwane deliktami.

– Deliktami?

– Delikt to inaczej naruszenie bądź zerwanie umowy.

– Mam nadzieję, że nie myśli pan już o zerwaniu zaręczyn? – zapytała bardzo uprzejmie, ale jej oczy przybrały podejrzliwy wyraz.

Może to małżeństwo wyszłoby mi na dobre, pomyślał, ale lepiej to sobie darować.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy – odparł.

Bo i po co? – zastanawiał się To byłoby, po pierwsze, nierozsądne, po drugie – kłopotliwe; naraziłoby mnie na konieczność uwzględnienia w grze dodatkowych figur po stronie przeciwnika, na przykład takich, jak prawnicy. Ale nie powinno być trudno nakłonić damę, żeby sama się wycofała. Szachy to wspaniała gra – wystarczy przesunąć tylko figury i poczekać na efekty.

– To konkretne naruszenie umowy może mieć miejsce już po ślubie – powiedział. – Chodzi mi o potomstwo z tak zwanego nieprawego łoża.

– Czyli o bękarty – sprecyzowała.

– Wolałbym... Nie, nawet nalegałbym, żeby ich pani nie miała.

– Nie planowałam nic takiego. – Zamilkła na dłuższą chwilę.

– Mam nadzieję, że nie byłem zbyt przyziemny? – zapytał.

– W rzeczy samej, Wasza Wysokość, bardzo przyziemny jest ten pański brak wiary w moją przyzwoitość.

– Bynajmniej nie posądzam pani o nieprzyzwoitość. Ale chyba nie spodziewała się pani, że nasze małżeństwo będzie jak romans kucharza z kucharką, którzy się zakochali nad dzieżą z ciastem, a nad umąconą stolnicą przysięgli sobie wierność po kres swoich dni?

– Niezupełnie. – Roberta pokręciła głową.

Przez kilka chwil starała się zebrać myśli. Jej przyszły małżonek najwyraźniej lubował się w retoryce i kruczkach prawnych.

– A czy pan wyświadczy mi ten sam honor? – Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. – Zdaje się że, już ma pan potomstwo z tak zwanego nieprawego łoża z różnymi kobietami. Ma pan zamiar starać się o więcej nieślubnych dzieci, kiedy już będziemy małżeństwem?

– Jeśli prosi mnie pani, żebym zaczął się przejmować tym, co sądzą na mój temat inni, to nie mogę i nie chcę tego zrobić. Nigdy mnie to nie obchodziło.

Roberta wzięła głęboki oddech.

– Ja tylko proszę, żeby był mi pan wierny – powiedziała otwarcie.

Villiers milczał. Patrzyła bez słowa na jego śniadą twarz o ostrych rysach.

– Zawsze uważałem, że wierność to niedorzeczna idea – powiedział wreszcie. – Oczywiście, wolałbym, żeby była mi pani wierna, dopóki nie spłodzimy jednego czy dwóch dzieciaków dla podtrzymania rodu. Bez sensu byłoby pozostawić cudzym synom ziemię moich przodków. Ale mądre kobiety mają swoje sposoby, żeby zapobiec poczęciu.

– A potem?

– Ofiaruję pani tyle samo wolności, ile sam zamierzam wykorzystać. Natomiast mogę pani przysiąc – na mój honor – że nigdy się nie zakocham, że będę jedynie szukał zaspokojenia i przyjemności, a nie prawdziwej, zażyłej więzi.

Roberta w ogóle nie rozumiała, o czym on mówi.

– Pani, oczywiście, starczy za wymówkę *caprices de jolie femme** – ciągnął.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– To pan nie będzie w stanie zaspokoić moich kaprysów?

– Szczerze wątpię.

Jego obojętność i doskonałe wręcz panowanie nad sobą były rzeczywiście kompletnym przeciwieństwem wylewnych zachwyków jej ojca. Patrzyła z zachwytem w te zuchwale, zmrużone oczy ze zmarszczkami w kącikach, podziwiała ten wyczuwalny brak zainteresowania.

– Zgoda – szepnęła.

Jego następne słowa były jak smagnięcie biczem.

– Niech się pani sama nie oszukuje – powiedział. – Widziałem, jak pani patrzy na hrabiego Gryffyna.

– To tylko... – Urwała. – To nic takiego. Dziecinada.

– Nie wątpię – odparł ze znużeniem. – Na pani miejscu musiałbym się chyba stoczyć w drugie dzieciństwo, zanim bym się zdecydował na jakiś *liaison*** z Gryffynem.

– Na nic takiego się nie zdecydowałam! Nigdy bym nie...

Podniósł upierścienioną dłoń i dalsze słowa zamarły jej w ustach.

– Na litość boską, niechże mi pani nie robi scen. Nie obchodzi mnie czystość pani duszy czy ciała. Za to doradzałbym królewską szcudroblliwość względem tych, których pani zapragnie. Inaczej łatwo o żale i dąsy. A zgorzkniała żona to udręka dla wszystkich, którzy muszą z nią mieć do czynienia.

Z trudnością otrząsnęła się z szoku, a jemu śmiały się oczy.

– Zaskoczona, polna myszko? To pewnie ta poetycka dusza, którą ma pani po ojcu.

To ją dotknęło.

– Proszę nie mieszać mojego ojca do tej rozmowy.

Nieswojo się poczuła na samą myśl, jak przykro byłoby jej ojcu, gdyby słuchał tej rozmowy. Jak gardziłby Villiersem, gdyby poznał jego poglądy na małżeństwo.

– A jednak pani ojciec sam ma zaskakująco liberalne podejście do sprawy, gdy idzie o jego własne przyjemności, sadząc po jego przywiązaniu do czcigodnej pani Grope.

* *caprices de jolie femme* (fr.) – kaprys pięknej kobiety.

** *liaison* (fr.) – związek, połączenie.

Villiersa wyraźnie bawiło przywoływanie nazwiska pani Grope; Roberta poczuła do niego nagłą urazę. Łatwo było naśmiewać się z pani Grope, trudniej dostrzec, że ojciec i jego konkubina naprawdę szczerze się kochali.

– Cieszyłabym się, gdyby papa ożenił się z panią Grope – powiedział, z wysiłkiem panując nad swoim głosem.

– Ale tego nie zrobi.

Villiers już na nią nie patrzył. Jednym szybkim ruchem z wnętrza polerowanej drewnianej laski wyciągnął długie, lśniące ostrze.

– Och! – krzyknęła.

– Laska, a w środku szpada. Przepiękna, nieprawdaż? Robiona dla mnie na specjalne zamówienie w Paryżu; Francuzi lepiej znają się na pojedynkach niż Anglicy. Widzi pani, jakie przywileje ma pani jako moja przyszła żona? Poza mną, jest pani jedyną osobą w całej Anglii, która zna sekret tej laski.

– Pan wybaczy – odparowała Roberta – ale liczę w małżeństwie na większą zażyłość niż tylko poznanie sekretu pańskiej laski.

– Coraz bardziej mi się pani podoba. – Uśmiechnął się szeroko.

– Nie spodziewałem się tego po przyszłej żonie.

– Dlaczego pan uważa, że papa nie zechce poślubić pani Grope?

– Roberta postanowiła zignorować ten wątpliwy komplement.

– Nie żenimy się z kobietami, które bierzemy sobie do łóża – powiedział, przeciągając szpadę po czerwonej aksamitnej poduszce leżącej na sofie, jakby chciał wypolerować ostrze. – Chyba zauważyła pani, że jak dotąd nie wykazałem żadnego zainteresowania panią pod tym względem?

Zakręciło jej się w głowie. Czy jego zdaniem to miał być dla niej zaszczyt?

– Bo... Bo ja nie jestem kobietą do łóża?

– Nie dla swojego męża. I proszę nie myśleć, że musi mi pani przedstawiać katalog swoich przygód z innymi.

Zgrabnym ruchem odwrócił szpadę i przeciągnął po poduszce drugą stroną ostrza. Ale chyba ciut za bardzo ją przechylił, bo w ślad za ruchem jego ręki klinga przecięła aksamit. Ze szczeliny w materiale natychmiast wzniosła się w powietrze chmura pierza. Villiers zaklął.

– Chciałabym pana dobrze zrozumieć – powiedziała Roberta bezbarwnym głosem. – Czy to znaczy, że moja cnota, lub też jej brak, w ogóle pana nie obchodzi?

Odrzucił rozciętą poduszkę na bok. W powietrzu na moment utworzył się biały łuk pierza, które opadło powoli na podłogę i na kanapę; jedno piórko wylądowało w jego włosach.

– Wydaje się pani, jak widzę, że cnota przysparza pani uroku. Zapewniam panią, że pani uroda nie potrzebuje takiej ozdoby. Rzecz jasna, zanim nie spłodzimy potomka, oczekiwałbym, że będzie pani postępować roztropnie, stosując środki bezpieczeństwa, jak wspominałem wcześniej. Ale nigdy nie poprosiłbym o pani rękę, Roberto, gdybym nie miał pewności, że jest pani kobietą uczciwą. A uczciwe kobiety nie przyprowadzają mężowi rogów.

Wyglądało na to, że uczciwość (przynajmniej według Villiersa) ma wiele wspólnego z dziećmi, ale nie łączy się z cnotliwym postępowaniem.

– Oczywiście, musi być pani ostrożna – mówił dalej. – Rogacz to takie nieładne określenie, nawet w dzisiejszych liberalnych czasach.

– A przecież sam mnie pan nakłania, żebym pana zdradzała – powiedziała beznamiętnie.

– Rogacz to taki mężczyzna, który nie zdaje sobie sprawy, że żona go zdradza – wyjaśnił. – Ja nie jestem aż tak głupi. Rogacz to mężczyzna, którego żona ośmiesza, rozpowiadając o swoich przygodach miłosnych. Jak sądzę, Roberto, nie należy pani do kobiet, które obnoszą się z uczuciami.

Siedziała w milczeniu, wiedząc, że Villiers mówi prawdę, uświadamiając sobie, że i on wybrał ją, tak samo, jak ona jego, częściowo nawet z tych samych powodów.

– Stoczyłem już w życiu kilka pojedynków, ale nigdy nie biłem się w obronie czci kobiety. Bardzo byłbym rozczarowany, lady Roberto, gdybym musiał bronić pani honoru, skoro jestem tak wielkoduszny, że powierzam go pani pieczy. Mam szczerą nadzieję, że nie wrodziła się pani w ojca. Jeśli pani nie zrobi ze mnie rogacza, ja nie będę ograniczał pani wolności.

– Nie chciałabym być ograniczana przez męża – powiedziała Roberta.

Nagle poczuła, że już ani minuty dłużej nie zniesie dźwięku jego obojętnego głosu. Wstała, on również. Górował nad nią, a był tak samo cudownie opanowany, jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Jednak okazał się też o wiele bardziej skomplikowany, niż jej się wówczas

wydawało, pełen zmysłowości i pogardy zarazem. Poczuła się przy nim bardzo młoda i bardzo głupiutka. Ona, która sądziła, że życie u boku papy i jego konkubin nauczyło ją wszystkiego, co powinna wiedzieć o mężczyznach i kobietach. Okazało się tymczasem, że tak naprawdę nie miała pojęcia o niczym.

Jej ojciec na zmianę krzyczał, ryczał i recytował swoje kiepskie wiersze. Nie potrafił mówić takim tonem, jedwabście gładkim i pełnym ukrytego szyderstwa. Nie byłby w stanie rozmawiać o zdradzie tak, jakby to była błahostka.

Jej papa, jej biedny, niemądry papa, kochał swoją panią Grope razem z jej okropnymi fryzurami i z jej wielkimi ambicjami powrotu na scenę. Papa był kompletnym przeciwieństwem jej przyszłego męża. Oczywiście, dlatego właśnie tak go pragnęła.

– Wasza Wysokość. – Dygnęła przed narzeczonym.

Był taki wspaniały, piękny, groźny i pełen sprzeczności, że jej serce znów zabiło trochę mocniej, kiedy się jej uklonił. A jednak...

A jednak.

27

Przez otwarte okna mniejszej sali balowej na tyłach domu wpadało do środka chłodne nocne powietrze. Z ciemnego ogrodu dolatywał odurzająco słodki zapach kwitnących bzów.

Caro udekorowała pomieszczenie drzewkami cytryn, na których, nie wiedząc dlaczego wisiały szlifowane kryształły. Właśnie zasiadła do fortepianu. Damon miał nadzieję, że nikt poza nim nie zauważył złośliwego błysku w oczach asystentki księżnej, bo oto z klawiszy popłynęły dźwięki sprośnych pijackich piosenek rodem z paryskich tawern, sprytnie zakamuflowane jako muzyka do tańca. Damon zatańczył z panną Tatlock, a potem z Harriet. I znowu z Harriet, bo stała tuż obok niego i nie wypadła jej nie poprosić. Porozmawiał z siostrą. Porozmawiał ze szwagrem.

Ale przez cały czas wypatrywał Roberty. Gdzie, do diaska, ten Villiers ją zaciągnął? Jeśli ośmielił się ją choćby tknąć...

W tej chwili Roberta weszła do sali, a na jej ustach błąkał się psotny uśmiezek. Damonowi zrobiło się niedobrze. Chciał wyjść, ale jego nogi były jak przyklejone do podłogi. Za Robertą wszedł Villiers, lecz zaraz skręcił w bok, żeby porozmawiać z Jemmą.

– Ani jednego tańca? – Usłyszał głos Jemmy. – Niechże pan nie żartuje, Villiers...

Na to Villiers podniósł do ust obie ręce Jemmy i coś jej odpowiedział. Na pewno coś na temat szachów, bo chwilę później już oboje siedzieli w kącie przy małym stoliku.

Oczy Roberty błyszczały podejrzanie.

– Kuzyneczko! – zawołał ją. – Jak widzisz, już po tańcach, skoro Jemma i Villiers wsiąknęli w partię szachów.

Roberta nawet nie spojrzała w kierunku narzeczonego. Uśmiechnęła się do Damona.

– Przejdiesz się ze mną?

Damon wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę drzwi.

– Chętnie – odparł. I dodał: – Nie ma miłości bez zazdrości.

Pokręciła głową.

– Ja nie mam powodów do zawiści. – Zerknęła na niego z niepokojem. – Jemma i Villiers? Czyżbyś coś sugerował?

– Nie! – zaprzeczył pośpiesznie Damon z nadzieją, że to prawda. – Jemma nie odebrałaby ci narzeczonego. Okaż jej trochę zaufania.

– Przepraszam, to okropne, że ją o to posadziłam – powiedziała Roberta. – Wiem, że nie zrobiłaby czegoś tak wstrętnego.

Coś nieokreślonego, być może wrodzona uczciwość, kazało Damonowi dodać:

– Choć nie gwarantuję, co się zdarzy, jeśli Villiers wygra ten pojedynek szachowy.

Przez moment szli obok siebie w milczeniu. Wtem Roberta spojrzała na niego, w jej twarzy malowało się przygnębienie.

– Jaka ja jestem głupia. Nie zdawałam sobie sprawy, do czego może prowadzić ich gra. Nie znam się na zawiłościach wykwintnego życia wyższych sfer.

– My w rodzinie Reeve jesteśmy szczególnie zepsuci. Ale wydaje mi się, że Jemma tylko bawi się Villiersem i flirtuje z nim. Zresztą, oboje są zbyt pochłonięci szachami, żeby tak naprawdę zainteresować się sobą.

– Już kiedyś mi coś podobnego mówiłeś.

– Szachy to obsesja – powiedział Damon. – Są tacy, którzy dzień i noc myślą jedynie o następnym ruchu, następnej partii. Mój ojciec taki był. Grał fenomenalnie i postanowił nauczyć swoje dzieci wszystkiego, co wie o szachach. Ale z nas dwojga, tylko Jemmie spodobała się ta gra.

– A ja nawet w wista nie gram za dobrze – powiedziała zgnębiona Roberta.

– Tylko nie proponuj swojemu przyszłemu mężowi gry w kokoto-domino. Mam przeczucie, że Villiers byłby w stanie wygrać każdą grę strategiczną, do jakiej by zasiadł. Może pójdziemy na górę powiedzieć Teddy'emu dobranoc?

– Naturalnie... a co to takiego „kokota”?

– Pani Grope jest klasycznym przykładem kokoty – wyjaśnił Damon.

– W takim razie, co to znaczy „kokoto-domino”?

Damon zerknął na nią z ukosa.

– To taka ciekawsza wersja zwykłego domina. Umiesz grać w domino?

– Chyba tak. W dzieciństwie grywałam z guwernantką.

– To niezupełnie to samo. – Uśmiechnął się radośnie. – Za każdym razem, kiedy wyciągniesz podwójny kamień, musisz się napić.

– Kamień?

– Tak się mówi na płytki do gry w domino. A podwójny kamień, czyli dublet, ma na obu polach tę samą liczbę oczek. Za każdym razem, kiedy położysz dublet w poprzek, przeciwnik musi zdjąć jakąś część ubrania.

– Och!

Byli już na trzecim piętrze i Damon pchnął drzwi do pokoju dziecięcego.

– Ransom! – wykrzyknął. – A co ty, na litość boską, tutaj robisz? Gdzie jest opiekunka? – Potoczył w krąg lekko oszalałym wzrokiem. – Chyba jeszcze nie złożyła wymówienia?

– Nie. – Pan Cunningham podniósł wzrok znad książki, którą czytał przy kominku. – Poszła coś zjeść. Wczoraj, kiedy jadła kolację, Teddy'emu udało się zmylić służącą i uciekł z pokoju. Dzisiaj więc poprosiła mnie, żebym go przypilnował. Mały śpi.

– Wcale nie śpi! – usłyszeli cienki głosik i z pościeli wychynęła rozczochrana główka.

– Cześć, smyku. – Damon przeszedł przez pokój i wziął synka na rękę.

– Dobry wieczór, lady Roberto – przywitał się Teddy. – Następny ząb mi wypadł, chcesz zobaczyć?

– I zanim Roberta zdążyła odpowiedzieć, chwycił w palce dolną wargę i odstąpił zięjącą dziurę w uzębieniu i czerwone dziąsło.

– Teddy, to obrzydliwe.

Rozpromienił się, jakby właśnie udało mu się dokonać czegoś niezwykłego.

– Umiem wystawić język przez tę dziurę, patrz. – Jak powiedział, tak też zrobił.

Ponieważ najwyraźniej cieszyło go, kiedy otrząsała się z obrzydzenia, posłusznie wstrząsnęła się kilka razy, po czym oboje z Damonem wyszli z pokoju. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, wychodząc, był cichy, sugestywny głos pana Cunninghama.

– A teraz już śpisz, Teddy.

– To ciekawe, nie słyszałam, żeby Teddy zaprotestował – powiedziała Roberta, gdy już znaleźli się na korytarzu.

– Rzeczywiście, to bardzo pouczające, słuchać, jak Ransom mówi Teddy'emu, co ma robić – potwierdził Damon. – Dziś po południu grałem z moim synkiem w kręgle i zupełnie nie umiał się zachować, kiedy przegrał. Powiedziałem mu wtedy, naśladowując ton Ransoma, że jest mi bardzo wstyd, że tak brzydko się zachował, a Teddy wybuchnął płaczem i przyznał mi rację. Oczywiście, w trakcie następnej gry znowu zaczął rzucać kręglami w ścianę.

– Pan Cunningham musiał mieć mnóstwo młodszego rodzeństwa – powiedziała Roberta, nie bez cienia zazdrości.

– Chciałabyś mieć dużo dzieci?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Niewiele wiem o dzieciach. I muszę przyznać, że dziąsło Teddy'ego było wyjątkowo odrażające.

– Dzieci często bywają odrażające – powiedział Damon ponuro.

– Jesteś bardzo dobrym ojcem – pocieszyła go. – A jak to się stało, że Teddy zamieszkał z tobą? – dodała po chwili wahania.

Spojrzał na nią, a jego oczy w mdłym świetle korytarza miały barwę ciemnej zieleni.

– Przyniosła mi go jego babka. Wystarczyło, że raz tylko na niego spojrzałem i, jak to mówią, wiadomo, co było dalej.

Roberta miała wielką ochotę zapytać o matkę Teddy'ego, ale się nie ośmieliła. Była też trochę zmieszana tym, że ona sama na miejscu Damona pewnie by tak nie postąpiła. Jakaż z niej płytka istota i w dodatku...

Damon wziął ją za rękę.

– Nie zrozumie tego ktoś, kto nie ma własnych dzieci – powiedział. – To było czyste wariactwo. Jeśli ci powiem, że jego babka przyniosła mi go w zasikanej pieluszcze... Czy to nie świadczy o tym, że musiałem kompletnie zszikować?

– Tak – odparła. Ale wcale nie uważała, że to wariactwo.

– Co chcesz teraz robić? – zapytał Damon. – Wracamy na przyjęcie czy może popełnimy coś skandalicznego, jak na przykład spacer po ogrodzie?

– Nikt nawet nie zauważy, że nas nie ma – powiedziała Roberta dość smętnie.

– Muszę powiedzieć, że ta młoda dama, którą Jemma podobno przeznaczyła mi dziś do towarzystwa, niespecjalnie jest mną zainteresowana. – Jego zawiedziony ton tak Robertę rozbawił, że zaczęła się śmiać. – Za to przez cały wieczór nie uroniła ani jednego słowa Beaumonta. Ale mojej siostry zdaje się to nie wzruszać.

– Nie – odparła Roberta. – Rzeczywiście, nie. No, proszę, do czego to doszło! Zostałeś mi przedstawiony jako dżentelmen, którego pragną wszystkie panny na wydaniu... z wyjątkiem, jak się okazuje, panny Tatlock.

– I ciebie.

– Ja już nie jestem na wydaniu – zauważyła Roberta. – Jestem zaręczona z mężczyzną, który właśnie gra w szachy o prawo łoża twojej siostry. – Zatkąła usta dłonią. – Nie powinnam tak mówić!

Ale Damon też zaczął się śmiać.

– Nie przejmuj się, po prostu nazywasz rzeczy po imieniu.

Prowadził ją, jak się zdawało, do wyjścia, ale Roberta zupełnie nie miała ochoty spacerować pod chmurnym londyńskim niebem, cuchnącym dymem z kominów. Zresztą Damon najprawdopodobniej miał zamiar przyprzeć ją do drzewa i całować do utraty tchu; Roberta była zdania, że można to robić w przyjemniejszym miejscu. W zasadzie...

– Zaczekaj chwilę! – zawołała i wbiegła z powrotem po schodach.

Dwie sekundy później wróciła z niedużym pudełkiem pod pachą.

Damon spojrzał na nie i otworzył szeroko oczy.

– W salonie grają w szachy – powiedziała Roberta. – W takim razie, pójdziemy do biblioteki czy do mojej sypialni? – Oboje mieli w oczach ten sam psotny uśmieszek.

– Przyjacielska partyjka domina między kuzynostwem?

– Kokoto-domina – powiedziała stanowczo. – Słyszałam, że grywa się w nie w najlepszych domach.

Damon pochylił się i odebrał jej pudełko.

– Jedna z moich życiowych zasad brzmi: zawsze staraj się sprostać oczekiwaniom rodziny.

– W takim razie będziesz musiał się postarać, żeby mi pokazać, na co cię stać – zamruczała kusząco Roberta, zachwycona własną kokieteryą. – I nie chodzi mi tylko o grę.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł Damon.

Jego głos przywołał wspomnienie mięśni prężących się pod koszulą, gdy nad rzeką rzucał krowim plackiem, i Roberta nie miała wątpliwości, że Damon wywiąże się z obietnicy.

28

Jemma była trochę zdenerwowana. Zagrała właśnie z Villiersem partię szachów, ale gra skończyła się niemal zanim się jeszcze na dobre rozpoczęła. Villiers zastawił na nią dwie pułapki jednocześnie. Dostrzegła szansę na zabicie jednego gońca, ale przegapiła zagrożenie ze strony drugiego. Tak czy inaczej, straciła królową.

Kiedy tylko wstała od stolika, zaraz Harriet pociągnęła ją na pobliską sofę.

– Świetnie ci idzie – powiedziała uszczęśliwiona.

– Bywało lepiej – odrzekła Jemma. – Gdybym w czwartym ruchu przesunęła gońca, żeby zasłonić królową...

– Nie chodzi mi akurat o tę grę – sprostowała Harriet. – Mówiłam o twoich planach. Już ci się udało doprowadzić Villiersa do oświadczyń. Ten równoczesny pojedynek z twoim mężem to był świetny pomysł!

– To wcale nie był mój pomysł; Beaumont sam rzucił mi wyzwanie.

– On rzucił ci wyzwanie? Może ma nadzieję, że wasze stosunki się poprawią.

Jemma wzruszyła ramionami.

– Nie ma szans. Wystarczy mi, że spojrzę na tę jego świętoszkowatą minę, i zaraz czuję ciężar wszystkich moich grzechów.

– Ale chyba nie zakochasz się w Villiersie? – zapytała Harriet z wahaniem. – Czułabym się potwornie, gdybym cię namówiła do czegoś, co mogłoby się źle dla ciebie skończyć.

Jemma roześmiała się serdecznie.

– Myślisz, że mogłabym stracić głowę dla Villiersa?

– Nie mam pojęcia. Ja ciągle się wstydzę tamtej nocy, kiedy... kiedy mu uległam – szeptała Harriet. – To prawie tak, jakby Benjamin umarł w tym momencie.

– Posłuchaj. – Jemma nachyliła się w stronę przyjaciółki. – Nie zdradziłaś Beniamina. Byłaś blisko, ale tego nie zrobiłaś. To nie to samo, uwierz mi. Ja zdradziłam Beaumonta parę razy, lecz dopiero wtedy, gdy on to zrobił. A i tak pierwsza zdrada to był dla mnie duży wstrząs.

– Wiesz, co mnie najbardziej przeraża? – powiedziała Harriet. – A jeśli Villiers powiedział o tym Beniaminowi? A jeśli...

– Benjamin nie odebrał sobie życia z powodu jakiegoś całusa skradzionego w powozie – powiedziała Jemma ostro, zaniepokojona pełnym bólu wzrokiem Harriet.

– A jeśli tak było? Jeśli Villiers powiedział mu nieprawdę?

– Posądzasz Villiersa o koloryzowanie?

W oczach Harriet płonęła udreka.

– A jeśli to zrobił?

– Nie przypuszczam. Villiers nie jest bezwzględny graczem, nie jest też perfidny. Właściwie jego styl gry jest bardzo podobny do mojego i dlatego właśnie wygram ten mecz.

– Wiem, że to egoistyczne z mojej strony, ale czy zgodzisz się zadekować swoją wygraną Beniaminowi? Po jego śmierci nikt nawet nie wspomniął, że to Villiers go do tego doprowadził. Nikt.

– Zrobię, co będę mogła – odparła Jemma. – Proszę cię, Harriet, już się tym nie zamartwiaj. Jeśli chcesz, to zapytam Villiersa, czy rozmawiał o tobie z Beniaminem.

– Nigdy w życiu!

– Szachy to najintymniejsza gra pod słońcem. Grać z kimś to jak kochać się z nim. Zanim skończymy pierwszą z trzech partii naszego meczu, będę znała jego najskrytsze myśli.

– Czym się różnią te rozgrywki w ramach pojedynku od zwykłej partii, choćby takiej, jak ta, którą przed chwilą skończyliście?

– W przypadku meczu rozważam swoje i jego posunięcia przez cały dzień – odpowiedziała Jemima. – Myślę o setkach intrygujących możliwości. Poznam go do głębi, zanim skończymy tę grę, nie mówiąc już o całym pojedynku.

– I dobrze – powiedziała Harriet z satysfakcją. – Będziesz mu mogła zadać cios w plecy.

– Ty krwiożercza istoto!

– Zaręczyny poszły zgodnie z twoim planem. – Harriet zmieniła temat. – Ale miałas rację, co do Damona. Musiałam się niezłe namęczyć, żeby choć przez pięć minut nie zerkał na Robertę.

Jemima zachmurzyła się.

– Mój brat po prostu przyzwyczał się do tego, że panny się za nim uganiają. Ciężko mu przyjąć fakt, że Roberta uważa, że jest zakochana w Villiersie.

– Naprawdę jest w nim zakochana? – Harriet na chwilę zamilkła. – Żal mi jej.

– A mnie nie. Być zakochaną to świetna zabawa, nie sądzisz? Wprawdzie nie będzie to trwało wiecznie, ale na razie Roberta jest zadowolona.

– Trudno mi osądzać – powiedziała smutno Harriet. – Ja byłam zakochana tylko raz, w Beniaminie, a teraz taka jestem na niego zła, że już nie cieszą mnie te wspomnienia. Czy to nie okropne, Jemmo? Tak się wściekać na kogoś, kto nie żyje?

– Ja też jestem na niego zła. Powinien cię potraktować poważnie. I ciebie, i życie. Ale ta złość nie znaczy, że go nie kochałaś, Harriet.

W oczach Harriet zalśniły łzy, ale ucałowała przyjaciółkę serdecznie na pożegnanie, nim zniknęła w ciemnościach. Jemima usłyszała trzask zamykanych drzwi powozu i we mgle rozległ się stukot końskich kopyt, zamierając po paru chwilach w oddali.

Oczywiście, że wygra. Owszem, dzisiaj Villiers pokonał ją postępem, ale to ona wygra ten mecz.

Jemima weszła do środka. Ale kiedy Fowle odsunął się od drzwi, myśląc, że księżna chce wrócić do sali balowej, pokręciła głową i poprosiła go, żeby przeprosił gości w jej imieniu. Jak na jeden wieczór, dosyć miała panny Tatlock, chichoczącej po każdym słowie jej męża. W którymś momencie Roberta i Damon gdzieś zniknęli, być może razem, a tą komplikacją Jemima nie miała już dziś ochoty się przejmować. I, szczerze mówiąc, kilka godzin w towarzystwie pani Grope to aż nadto, chociaż jej sugestia, że biel ołowiowa jest dobrym środkiem przeciwmarszczkowym, była warta przemyślenia.

Miała za to ochotę rozwiązać kilka ze *100 problemów szachowych* autorstwa Francescha Vicenta. Weszła na schody.

Czterdzieści minut później siedziała już wykąpana i otulona wygodnym szlafrokiem, z włosami zawiniętym w ręcznik.

– Możesz już iść, Brigitte.

– Ale przecież pani włosy, Wasza Wysokość – zaprotestowała pokojówka. – Wyszchną nieuczesane.

Jednakże Jemima już zasiadła przed szachownicą, ze szklaneczką francuskiej brandy w jednej ręce i kopią książki Vicenta w drugiej. Uśmiechnęła się przepraszająco i Brigitte (która miała niewzruszone zasady, co do dbałości o wygląd) wyszła, trzaskając drzwiami.

– Proszę! – krzyknęła Jemima, zniecierpliwiona, jakąś godzinę czy może dwie, później.

Spodziewała się, że to zmęczona pokojówka, lecz w drzwiach stanął jej mąż, wciąż ubrany i uczesany tak starannie jak na początku przyjęcia.

– Beaumont – powiedziała ze zdziwieniem, przesuwając na szachownicy gońca. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Podszedł bliżej i spojrzął na tytuł książki.

– Vicent? – zagadnął. – Od lat nie miałem go w ręku. Był czas, że razem z Villiersem przerobiliśmy wszystkie kombinacje.

Tym bardziej muszę to przeczytać, pomyślała Jemima, jeśli chcę bez kłopotu pobić Villiersa. Nie mówiąc już o Beaumencie.

Usiadł, nie czekając na zaproszenie.

– Ja bym postawił wieżę na e4.

– Wystarczy dwa ruchy wieży przeciwnika i jest szach. Czy planujesz wziąć sobie tę młodą damę za kochankę?

Podniósł wzrok znad szachownicy i tak na nią spojrział, że Jemma aż się cofnęła.

– To panna z dobrego domu – ciągnęła. – A ty podobno unikasz skandali.

– Nie potrzebuję kochanki.

Fala gorąca ogarnęła Jemmę.

– Pewnie, że nie – powiedziała. – Nie twierdziłam, że to stanowisko jest wolne, ale też nie podejrzewałam cię o tak wzruszającą lojalność. Czyli wciąż masz swoją dawną kochankę? – zapytała z uprzejmym zainteresowaniem.

– Nie.

– A więc jest już jakaś inna. No, to całe szczęście, Beaumont, naprawdę mi ulżyło. Obserwując ciebie i pannę Tatlock, już zaczęłam się obawiać, że uwikłasz się w prawdziwy skandal.

Zacisnął szczęki tak mocno, że jego usta prawie się nie poruszały, gdy mówił.

– Nie mam żadnych nieprzystojnych zamiarów względem panny Tatlock – wycedził. – Rozmawiamy wyłącznie o polityce. Widzisz, ją interesuje to, co się dzieje w naszym kraju.

Uśmiechnęła się blade.

– Dość niezwykle zainteresowania jak na kobietę.

– Istotnie.

Nie patrząc nawet na szachownicę, zaproponował kolejny ruch.

– Królowa na e3 i w czterech ruchach masz przeciwnika w garści.

Zamyśliła się nad szachownicą, analizując to rozwiązanie.

– Chyba że czarne ruszą się wieżą, żeby mnie zablokować.

– Możliwe, ale w tej sytuacji to jedyna możliwość, żebyś wyszła z impasu.

– Tobie się to podoba, bo uprzedza atak czarnych – powiedziała.

– To prawda, nie lubię być atakowany. A w tej chwili jestem o jedno posunięcie od otwartej wojny na kilku frontach.

– I pewnie to wszystko przeze mnie?

– Skandal jest nieuchronny – odparł. – W moim domu przebywa obecnie kobieta lekkich obyczajów i niesłubne dziecko, a na ostatnim przyjęciu mój stół zdobila skąpo ubrana Helena Trojańska, śpiewająca nieprzyzwoite piosenki. A do tego uważa się, że moja żona rozgrywa z księciem Villiersem pojedynek szachowy, w którym wygraną jest ona sama.

Jemma zagotowała się z gniewu.

– Tobie chodzi tylko o to, żeby ludzie nie gadali, prawda? Ty możesz mieć kochankę i flirtować do upadłego z niezamężną młodą damą; to nie jest skandal, bo dla ciebie żadna z tych kobiet się nie liczy. A ja jestem po prostu sobą i żyję bez hipokryzji. Ale być może to jest coś, czego polityk nie potrafi pojąć.

– Ja bym powiedział raczej, że żyjesz z beztróską arogancją, bo przejmujesz się tylko sobą – powiedział bez ogródek. – Pewnie szachy są dla ciebie ważne, Jemmo, ale czy choć trochę pomyślałeś o wszystkich swoich partnerach z Paryża?

Jemma skoczyła na równe nogi.

– Jak śmiesz mówić, że nie byli dla mnie ważni! Nic przecież nie wiesz o żadnym z moich partnerów!

– Wiem, że przez lata sypiałeś z monsieur Philidorem – powiedział, również wstając z miejsca. – Mam tylko nadzieję, że nie było tam mowy o pieniądzach. Odwiedzał cię w domu tak regularnie, że można by podejrzewać, że miał jakąś motywację finansową.

– Jak śmiesz! – wykrzyknęła. – Philidor...

– Naprawdę nie mam ochoty słuchać, kim był dla ciebie Philidor. Załóżmy, że nie doceniłem głębi twoich uczuć i że naprawdę obchodził cię ten człowiek. Czy jako twój mąż powinienem ci pogratulować?

– Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem. Sugerujesz, że Philidor był moim utrzymankiem? Chciałabym więc zapytać, czym różni się fakt, że miałam utrzymanka, od twojego związku z Sarą Cobbett?

Nie odpowiedział.

– Minęło zaledwie osiem lat, Beaumont. Chyba jeszcze pamiętasz nazwisko swojej dawnej metresy?

– Po prostu zaskoczyło mnie, że ty je znasz.

– Uwierz mi – powiedziała, wzruszając ramionami. – Wiele osób wykazało się usługowością, aby mi o niej opowiedzieć, kiedy już poznałam prawdę o naszym małżeństwie. Chciałeś to utrzymać w sekrecie?

Beaumont wciąż milczał.

– Widzę, że tak. Dziwne. Nawet gdybym ja nie przyłapała was w tak niezręcznym momencie, pewnie niedługo ktoś i tak by mi o tym powiedział. Zresztą, później byłam zadowolona, że tak się stało. Widzisz: byłam tak młoda i głupia, że pewnie nie uwierzyłamby, gdybym tego nie zobaczyła na własne oczy. Nie potrafiłabym zrozumieć, jak mogłeś

wprost z mojego wskoczyć do jej łóża – oczywiście, w przenośni, bo kochałeś się z nią na biurku.

Ogarnęła ją zimna furia, którą jedynie mąż był w stanie u niej wywołać.

– Ty jesteś inny, Beaumont. Ty bez żadnego kłopotu przyjąłeś za pewnik to, że Philidor był na moim utrzymaniu, choć nigdy nie widziałeś mnie leżącej pod nim.

– Dość już, Jemmo.

– Skoro taki jesteś ciekawy, to coś ci powiem: nigdy nie musiałam płacić mężczyznom za ich względy. W przeciwieństwie do ciebie, mam to szczęście, że moi kochankowie nie oczekują pieniędzy. Nigdy też nie zwodziłam mężczyzn, który nie wiedziałby, jaki będzie finał gry. Nie jestem tak ślepa jak ty – widziałam, jakim wzrokiem patrzyła dzisiaj na ciebie Charlotta Tatlock. Nie wiem, dlaczego tak mnie to zdziwiło. Powinnam po prostu sięgnąć pamięcią osiem lat wstecz i rozpoznać w niej własną głupotę.

– To bardzo ostre słowa.

– Jestem pewna, że moje zarzuty, co do twojego życia osobistego, za bardzo cię nie wzruszą. Dawniej się nimi nie przejmowałaś.

– Wybacz – powiedział – ale mam jutro masę spotkań od rana.

Ukloniła się nisko.

– Dobranoc, Wasza Wysokość.

Sklonił się i wyszedł.

Jemma przez moment stała na środku pokoju, oddychając gniewnie, po czym pociągnęła za sznur od dzwonka. Brigitte zjawiała się po paru minutach, dobrze odczytując niecierpliwą dźwięk dzwonka jako wezwanie do pośpiechu.

– Powiedz Fowle’owi, że co wieczór będziesz mu przekazywać stan rozgrywki. – Jemma napisała coś na karteczce. – To są nasze posunięcia do tej pory. Zostały jeszcze jakieś cztery dni do końca obu gier, może więcej w przypadku Beaumonta. Czy książę Villiers już wyszedł?

Brigitte dygnęła.

– Grał z panną Tatlock w wista przeciwko markizowi i lordowi Corbinowi, milady; właśnie wychodzą.

Charlotta Totlock? Właściwie, dlaczego nie? Może zagięła parol jednocześnie i na Villiersa, i na Beaumonta? Miało to pewien sens.

– Poproś go, żeby zajrzał do mnie na górę, dobrze? – poleciła służącej.

Brigitte była zbyt mądra, żeby zadawać pytania. Dygnęła znowu i wyszła, zanim Jemma zdążyła powiedzieć coś więcej.

Jemma zdjęła figury z szachownicy i usiadła, czekając na Villiersa.

29

W końcu weszli do małej bawialni, tej samej, do której Jemma zaprosiła Robertę w dniu jej przyjazdu. Damon zadzwonił na służbę, a Roberta podeszła do ściany na wprost drzwi, żeby przywitać się z pijaną Judytą, ale zorientowała się, że obraz został zdjęty.

– Jeśli mamy pić – powiedział Damon – a będziemy, bo to w końcu nieodzowny element gry w kokoto-domino, to powinnaś coś zjeść. Wiadziałem, że nawet nie tknęłaś kolacji.

– Nie przepadam za wyszukany jedzeniem – odparła Roberta. – Gdybym miała francuskiego kucharza, na pewno bym schudła.

– Wolisz jabłka i jajka na twardo?

– Nie o to chodzi; kucharka w naszym domu świetnie przyrządza proste dania.

– Cóż, kucharka Beaumonta jest Francuzką; jak twierdzi Ransom, ma iście szatański temperament.

– Czy to nie dziwne, że twój szkolny kolega został sekretarzem księcia? – zapytała.

– Bynajmniej. Sam go poleciłem.

W tej chwili otworzyły się drzwi.

– A, Fowle, dobrze, że jesteś – powiedział Damon. – Czy moglibyśmy prosić o jakieś przekąski i ze dwie butelki szampana?

– Nie lubię szampana – zaproponowała Roberta. – Nie możemy się napić czegoś innego?

– Lubisz wino?

– Tylko słodkie.

Damon udał dreszcz obrzydzenia.

– Wykluczone. W tym domu nie ma czegoś takiego, a nawet gdyby się znalazło, za parę godzin miałabyś po tym potworny ból głowy.

– Ratafia? – zasugerował Fowle.

– Odpada. Nie chcemy, żeby nasz gość rano zobaczył przegląd dzisiejszego menu.

– W takim razie mogę zaproponować delikatną mieszankę szampana i truskawek, milordzie. Właśnie przywieźli truskawki ze wsi, myślę, że w ten sposób szampan będzie lepiej smakował lady Robercie.

– Owoce w szampanie – powiedział Damon ponuro.

Ale Fowle miał rację. To było przepyszne.

– Zadzwoń, jeśli czegoś jeszcze będziemy potrzebować – zwrócił się Damon do kamerdynera, a kiedy ten wyszedł, odezwał się do Roberta. – Nie ma lepszego sposobu na rozpuszczanie plotek wśród służby.

Roberta wzruszyła ramionami.

– Służba w tym domu ma chyba wiele ciekawszych tematów; wątpię, żeby plotkowali akurat o nas.

– To prawda, dzisiaj pewnie zajmą się twoimi zaręczynami. – Damon nieufnie wypił łyk z kieliszka. – To jest różowe – powiedział z obrzydzeniem. – I ma w sobie cukier.

– Mnie smakuje – stwierdziła Roberta. – Bąbelki od szampana zawsze pieką mnie w nos, ale to jest wspaniałe.

Damon przyniósł z kąta niewielki stoliczek i postawił go pomiędzy nimi.

– Umiesz grać w domino?

– Już mnie o to pytałeś – zachichotała Roberta. Wypiła cały kieliszek szampana i nagle świat wydał jej się znacznie weselszy. – Mogę nawet powiedzieć, że zawsze wygrywałam z moją guwernantką.

– Czyżby jakieś szczególne zdolności w dokładaniu kamieni?

– Mam dużo szczęścia – odrzekła zarozumiale. – Często zdarza mi się wyciągać dublety.

– Widzę, że muszę się przygotować na rozbieranie. – Damon poluźnił mankiety koszuli.

Roberta na moment znieruchomiała. Potem zaczęła wykladać na stół kamienie. Jej umysł pracował niezbyt jasno, ale co do paru rzeczy nie miała wątpliwości. Jej narzeczony powiedział, że cnota jest rzeczą zbędną. Ten sam narzeczony rozgrywał właśnie mecz szachowy, którego wynik miał wiele wspólnego ze zdejmowaniem odzienia.

– Co będzie, to będzie. – Uśmiechnęła się do Damona.

Siedział naprzeciwko niej nieco skonsternowany. To pewnie dlatego, że jest mężczyzną. Odwróciła kamienie oczkami w dół i wyciągnęła rękę, żeby losować.

– Chwileczkę! – powiedział z błyskiem w oku. – Założę się, że oszukiwałaś swoją biedną guwernantkę, zapamiętując, gdzie leżą dublety. – Wymieszał kamienie na stole.

Udało jej się ukryć uśmiech politowania, bo w końcu, kiedy mężczyzna ma zaraz stracić całe ubranie, musi sobie jakoś dodać otuchy.

Wyciągnęła wyższą liczbę oczek, więc mogła losować kamienie pierwsza. Była rozczarowana, że wśród pierwszych trzech nie znalazł się ani jeden dublet.

Wyłożyła kamień i upiła trochę z kieliszka.

Damon podał jej malutki kawałek ciasta z lukrem.

– Spróbuj tego, Cukiereczku. Równie słodkie jak szampan.

Ciasto było wyborne, więc zjadła i pociągnęła następny kamień – dublet trójek. Nie zdradziła mu tego jednak, aż do chwili, gdy dwa ruchy później położyła ów dublet w poprzek.

– Chwila, moment – Damon był zaskoczony. – Powinnaś mi powiedzieć, że wyciągnęłaś dublet. I wypić.

– Przecież piję – sprzeciwiła się Roberta.

Jego kieliszek był wciąż pełny, podczas gdy ona już wychyliła ostatnie kropelki drugiej porcji szampana i wyłowiła językiem truskawkę. Damonowi najwyraźniej się to spodobało, więc oblizła jeszcze brzeg kieliszka.

Z trudem oderwał od niej wzrok.

– Czyli zagrałaś swój kamień w poprzek...

– To znaczy, że musisz coś zdjąć.

– Nie musisz się tak ekscytować. Mam na sobie dużo ubrań.

– Wcale się nie ekscytuję – odparła wyniośle. – Po prostu jestem ciekawa.

Ściągnął frak i rzucił go na podłogę. Pod spodem miał haftowaną kamizelkę i płócienną koszulę.

– Ta kamizelka nie pasuje ci do fraka – wytknęła.

– Mój służący powiedział to samo, ale było za późno. Już miałem zapięte wszystkie guziki. – Wylosował nową płytkę. – O, nie. Dublet.

A więc muszę się napić. – Pociągnął duży łyk i wstrząsnął się ostentacyjnie.

– Jak ci to może nie smakować? – zdziwiła się Roberta. – Ja uważam, że jest boskie. Aż mi się kręci w głowie.

Damon wyłożył na stół swój kamień, ale nie był to dublet.

– Wprawdzie nie mam jak go teraz zagrać, ale strzeż się, Roberto.

Tymczasem ona wyciągnęła kolejny dublet i zaraz go położyła.

– Widzę, że twoje szczęście już daje o sobie znać. – Kamizelka Damona podzieliła los fraka i po chwili leżała na podłodze.

Roberta przyglądała mu się spod rzęs. Płócienna koszula była tak cienka, że niemal prześwitująca. Pod nią widać było pięknie rzeźbione mięśnie na ramionach. Damon podwinął sobie rękawy.

– Nie wiem, po co zawracam sobie tym głowę – mruknął. – Pewnie zaraz stracę i koszulę.

Uśmiechnęła się pod nosem.

Ale, ku jej rozczarowaniu, teraz to ona zaczęła tracić ubrania. Damon zagrał dublet, który wyciągnął wcześniej. Robercie od alkoholu cudownie wirowało w głowie, więc wołała się nie schylać – po prostu wyciągnęła stopę w kierunku Damona.

– Małe stópki – powiedział, łapiąc ją za nogę. – I zgrabne kostki. – Zdjął jej prawy but.

Chwilę później straciła również lewy.

– I wystarczy – powiedziała, prostując się. – Teraz twoja kolej.

Położyła dublet w poprzek.

– Wygląda na to, że muszę się pozbyć koszuli. – Głos Damona był równie słodki jak szampan z truskawkami i o wiele bardziej niebezpieczny.

Roberta odstawiła kieliszek. W końcu to pierwszy męski nagi tors, jaki miała okazję oglądać, więc równie dobrze może mu się dokładnie przyjrzeć.

Damon, bynajmniej niezawstydzony, uśmiechnął się do niej, zupełnie jakby na co dzień miał zwyczaj obnażać się na oczach dam. Niespiesznie wyciągnął koszulę ze spodni i powoli zdjął ją przez głowę.

Usta Roberty otwarły się w cichym „O”. Był taki piękny. Gładkie mięśnie na jego piersi poruszyły się pod skórą, gdy rzucił koszulę na ziemię. Palce ją świerzbiły, miała ochotę go dotknąć.

– Twój ruch – powiedział cicho Damon.

Roberta z trudem oderwała wzrok od jego ciała. Sięgnęła w kierunku blatu i podniosła następny kamień, wążąc w dłoni chłodny, podłużny kształt. Wiedziała bez patrzenia, że to dublet. Odwróciła go, myśląc o tym, że teraz Damon będzie musiał zdjąć spodnie...

Lecz to była tylko trójka.

Nim zdołała się powstrzymać, z jej ust wydobył się cichy dźwięk rozczarowania. Damon wybuchnął śmiechem.

– Jedna z tych rzeczy, które tak w tobie lubię, Cukiereczku. Można w tobie czytać, jak w książce.

– Właśnie, że nie – odrzekła urażona. – Kiedy chcę, potrafię być bardzo przebiegła.

– Czyżby? – Oczy śmiały mu się do niej znad brzegu kieliszka. – Idę o zakład, że w ogóle nie potrafisz kłamać. Wyglądasz mi na dziewczynę, która nigdy w życiu nie powiedziała ani jednego porządnego kłamstwa.

– Nieprawda – zaprotestowała. – Bez przerwy mówię pani Grope, że jej fryzura jest bardzo elegancka.

Damon znowu udał dreszcz obrzydzenia.

– Białe kłamstwa. I cóż z tego? Ale czy kiedyś skłamałaś w jakiejś sprawie, która była dla ciebie ważna?

– Tak! Fryzury pani Grope są dla mnie ważne!

– Rozumiem. A teraz spójrz mi w oczy i skłam na temat czegoś, co się dla ciebie naprawdę liczy. Na czym ci strasznie zależy.

A na czym to jej tak strasznie zależało? Szampan tak ją rozweselił, że na niczym jej w tym momencie nie zależało... no, może na tym, żeby Damon zdjął spodnie.

Pewnie miała dość tępy wyraz twarzy, bo Damon sam wysunął propozycję.

– Powiedz mi, że nie kochasz Villiersa. No, śmiało!

– Nie kocham Villiersa – powiedziała powoli.

– Do niczego! – zawyrokował. – Oczy ci zaszyły mgiełką rozmarzenia na samo wspomnienie o nim.

Zdaniem Roberty oczy jej zaszyły mgiełką rozmarzenia, bo przez moment – o zgrozo! – nie potrafiła sobie przypomnieć, kim jest Villiers. Szampan to niebezpieczna rzecz.

– Nie chcę już więcej wyciągać dubletów – powiedziała stanowczo.

– Co to, to nie. Jeśli jeszcze raz wyciągnę dublet, to chyba zemdleję.

Coś błysnęło w jego oczach i na ten widok w podbrzuszu Roberty zapłonęło pragnienie.

– A to dlaczego, Cukiereczku? – zapytał. Wyciągnął z puli dwójkę i zaraz położył ją na stole.

– Obawiam się, że potraktujesz tę grę zbyt poważnie – odpowiedziała niedbale. – I że źle mnie zrozumiałeś.

– Co takiego? – Teraz go zaskoczyła.

– Boję się, że weźmiesz mnie za jedną z tych dziewcząt, które się za tobą uganiają z nadzieją, że się z nimi ożenisz.

Damon ryknął śmiechem.

– Nie martw się, Roberto, umiem odróżnić igłę od widel!

– W takim razie, dobrze, że się rozumiemy. Och! żeby tak teraz

wyciągnęła dwójkę...

Odwróciła swój kamień.

– Dublet dwójek – ucieszyła się. – No, i proszę – co za traf! Mogę go położyć w poprzek, bo ty przed chwilą zagrałeś dwójkę.

Damon miał kamienny wyraz twarzy.

– Chyba się trochę pogubiłem. Czy przed chwilą tak nieoczekiwanie udatnie zmyślałeś, czy naprawdę się obawiasz, że uznam cię za potencjalną kandydatkę na żonę?

– Nie mogę być kandydatką na żonę – oświadczyła Roberta. – Kocham innego i jestem z nim zaręczona.

Damon schylił się i ściągnął jeden but.

– To dlaczego jesteś tu ze mną?

– Założymy się, że tym razem nie zgadniesz, czy mówię prawdę, czy kłamię?

Pokręcił głową.

– Już nie mam żadnej pewności, że zdołam odgadnąć, co myślisz.

Roberta upiła kolejny łyceczek pysznego szampana.

– Mój narzeczony i ja planujemy, że nasze małżeństwo będzie bardzo nowoczesne – poinformowała go.

– Nowoczesne?

Skinęła głową.

– To znaczy, że nie musimy zawracać sobie głowy przyzwoitością, cnotą i tym podobnymi głupstwami. W końcu nie jesteśmy parą kucharzy! – tłumaczyła z szeroko otwartymi oczami.

Damon zdjął drugi but, choć akurat był czas na jego ruch, ale Roberta nie miała zamiaru mu o tym przypominać. Zbyt była zajęta patrzeniem na jego tors.

– Podobają mi się twoje mięśnie – powiedziała mimochodem. – Uprawiasz jakiś sport?

Damon jakby jej nie usłyszał, może dlatego, że właśnie, pochylony, ściągał pończochy.

Robercie przyspieszył puls.

– Czyli sprawa wygląda tak – powiedział z leniwym uśmiechem. – Nie muszę się obawiać, że masz chrapkę na moje liczne atuty...

Zachichotała.

– Za to, jak się domyślam, przyszedłeś do mnie z pochwały godną intencją zdobycia pewnego doświadczenia, zanim przyjdzie ci znaleźć się sam na sam z Villiersem w bardziej intymnej scenarii. W końcu, mężczyzna o tyle od ciebie starszy...

– Wcale nie jest stary – oburzyła się Roberta.

– A może po prostu taki ma styl. Zawsze wydaje mi się znudzony życiem. Zafascynowany wyłącznie szachami. Choć może to się zmienić, gdy już będzie cię miał w sypialni. Bo Bóg mi świadkiem, że chociaż nie jesteśmy w sypialni, to ledwo się powstrzymuję, żeby się na ciebie nie rzucić, jak uliczny pies na suczkę.

Wyprostował się i wyciągnął z puli piątkę.

Robertę przeszedł nagły dreszcz. Villiers bez wątpienia nigdy by się nie porównał do zwykłego kundla. Nie mówiąc już o tym, że na pewno nie siedziałby naprzeciw niej odziany wyłącznie w parę spodni tak swobodnie, jakby przez całe życie chodził nago.

Damon położył swój kamień i podniósł na nią wzrok. Na widok jego oczu serce omal jej nie stanęło.

– Masz ochotę na wyzwanie? Spróbuj wyciągnąć dublet – powiedział.

– Może powinnam już iść do siebie.

– Zmęczona?

Roberta nie za bardzo wiedziała, co robi. Droczyła się z nim, choć wcale tego nie chciała. A może jednak? Nie była w stanie jasno myśleć; sam widok Damona ją oszałamiał. A zresztą, nikt nie będzie miał do niej o nic pretensji. Villiers powiedział przecież... sam jej powiedział, że...

– Z drugiej strony, powinniśmy chyba dokończyć grę, skoro ją zaczęliśmy.

– Ja zawsze doprowadzam grę do końca.

Nie przypuszczała, żeby Damon miał na myśli domino. Ale czy ona była na to gotowa?

– Świat jest inny, niż mi się wydawało, kiedy byłam młodsza – powiedziała, biorąc ze stołu czwórkę.

Jedną z tych rzeczy, które ją tak urzekały u Damona, było to, że zawsze sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego tym, co ona ma do powiedzenia.

– Naprawdę? – Wylosował pusty kamień. – A jak sobie wyobrażałaś ten świat? To musiały być dosyć ciekawe pomysły, skoro wychowałaś się w towarzystwie pani Grope. Nie można powiedzieć, żebyś otrzymała tradycyjne wychowanie.

– Nie, raczej nie było tradycyjne – odparła. Nie mogła znaleźć na planszy miejsca dla żadnego ze swoich kamieni. – Po prawej stronie stołu robi się strasznie ciasno.

Nalał jej jeszcze trochę szampana z truskawkami.

– Któreś z nas będzie musiało położyć w poprzek dublet czwórek – orzekł.

Roberta nagle straciła pewność siebie. Następnym kamieniem, jaki wyciągnęła, była jedynka.

– Pani Grope dopiero od paru lat jest przyjaciółką ojca.

– A przedtem?

– Przedtem była Selina... aktorka.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Chyba nie Selina Trimmer, aktualna gwiazda Drury Lane, a do tego *inamorata** księcia Walii?

Pokiwała głową.

– Zaczynam coraz bardziej poważać twojego ojca – powiedział, losując trójkę. – Selina jest niezwykle piękną kobietą. Czy rzeczywiście ma tak ognisty temperament, jak głosi fama?

– O, tak – odparła Roberta. – Ciężko znosiła życie na wsi i mam wrażenie, że mogła przez to stracić opanowanie.

– Czemuż więc, na litość boską... – nagle urwał.

* *inamorata* (wł.) – ukochana.

– Zakochała się do szaleństwa w moim ojcu – wyjaśniła Roberta z nagłym przypiływem dumy. – Poznali się z papą, kiedy wędrowną trupą z Drury Lane zawitała do naszej posiadłości. Przekonał ją, żeby na trochę u nas została.

– Na trochę? To znaczy, na jak długo?

– Na dwa lata.

– Przez dwa lata mieszkałaś z Seliną Trimmer?

– Wtedy jeszcze nie nazywała się Trimmer – tłumaczyła Roberta. – Denerwuje mnie już ta gra, Damonie. Nie mam jak się ruszyć.

– Ależ, masz. Możesz tu położyć kamień. – Pokazał jej palcem.

– Zналиśmy ją jako Selinę La Faye. Ale ona uznała, że zyska więcej popularności, mając angielsko brzmiące nazwisko, więc razem wymyśliłmy, że będzie się nazywała Trimmer.

– Czyli rozstała się z twoim ojcem w przyjaźni?

– Nie pokłócili się, jeśli o to ci chodzi. Oczywiście, ojciec wylał morze łez.

– Roberto, moja droga – powiedział Damon. – W takim razie nie powinno cię w najmniejszym stopniu dziwić to, co się dzieje w tym domu; skoro ty sama wychowałaś się w rodzinie, w której zasady moralności nie były zbyt surowo przestrzegane, oględnie mówiąc.

Wylosował kamień, z którym nie bardzo wiedział, co zrobić, więc Roberta wykorzystała tę chwilę, żeby zastanowić się nad jego słowami.

– Widzisz, nie o to chodzi, że szokują mnie związki pozamałżeńskie – powiedziała wreszcie. – Mój ojciec szczerze pokochał Selinę, a potem panią Grope. Kochał je obie. Selina złamała mu serce, kiedy powiedziała, że nie może być dłużej szczęśliwa na tak odległej prowincji.

– A jednak nie zabrał jej do Londynu.

– Selina chyba uznała, że pora na jakieś zmiany.

– Ładnie to ujęłaś. – Damon uśmiechnął się, rozbawiony.

– Prawdę mówiąc, wiem co nieco o sprawach damsko-męskich – powiedziała Roberta, czując, że się rumieni. – Wprawdzie nie widziałam do tej pory nic podobnego do tej sceny, na którą się wtedy natknęliśmy, ale...

Urwała, a Damon popatrzył na nią z najwyższym zainteresowaniem.

– Ale co?

– Myślę, że wiem całkiem sporo o tym, jak zadowolić mężczyznę. Przynajmniej, jak na kogoś takiego, jak ja.

– To znaczy, jak na dziewczynę.

Skinęła głową.

Damon ułożył na stole swój kamień.

– Wygląda na to, Roberto, że właśnie wyciągnąłem dublet czwórek i kładę go w jedynym możliwym miejscu.

– Och. – Robercie znowu przyspieszył puls.

– I co teraz zdejmiesz? – zapytał. Jego uśmiech był w tym momencie isticie diabelski.

Ale ona już to sobie wcześniej przemyślała. Wstała z fotela i podciągawszy suknię z tyłu, tak żeby Damon nie widział, odwiązała wstążkę, która przytrzymywała halkę na krynolinie. Obręcz opadła na podłogę.

Damon miał bardzo zawiedzioną minę.

– To była chytra sztuczka – powiedział, a potem zniecka, zanim Roberta się spostrzegła, podszedł do niej, wziął ją na ręce i posadził sobie na kolanach.

– No, co ty? – opierała się miękko.

– Uwielbiam trzymać na kolanach kobiety, gdy nie mają na sobie tych żelaznych obręczy – wyznał.

– Moja krynolina wcale nie jest z żelaza – odparła Roberta.

Damon pachniał tak cudownie, że w ogóle nie mogła zebrać myśli. Toteż, zamiast myśleć, przytuliła się do jego piersi. Był taki ciepły, nawet gorący. I nie miał włosów na piersi.

– Czy jak będziesz starszy to urosną ci tu włosy? – zapytała, przesuwając dłonią po jego piersi. Wrażenie było oszałamiające. Miał nawet sutki, czego się zupełnie nie spodziewała. Były inne niż jej, bo całkiem płaskie. Pogładziła jeden z nich palcem. I jeszcze raz. I kolejny.

– Nie sądzę – odpowiedział. Głos miał odrobinę zduszony. – Dlaczego pytasz? Marzy ci się owłosiona męska pierś?

Zachichotała.

– Nie. Tylko że jedynym mężczyzną, jakiego do tej pory widziałam półnago, był stajenny papy, a on miał z przodu pełno siwych włosów.

– Jeżeli chodzi o siwe włosy, to Villiers powinien cię zadowolić – odparował Damon. I zaraz się zreflektował. – Przepraszam, Roberto. To było zupełnie nie na miejscu.

– Co ty wyprawiasz? – mruknęła.

– Wynagradzam ci swoją niedelikatność – powiedział bardzo poważnym tonem. – Tak mi wypada uczynić.

Roberta zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście tak wypada, ale nie była w stanie zbyt intensywnie o tym myśleć, bo oto ręka Damona przesunęła się pod jej sukienką w górę, coraz dalej, aż do miejsca, gdzie jej gładka skóra zaokrągliła się pod jego palcami. Miał przyspieszony oddech, a jego dłoń...

Odchrząknęła.

– Tak? – Dłoń przesunęła się jeszcze o centymetr.

Było jej tak dobrze – aż nazbyt dobrze. Zeskoczyła z jego kolan.

– Teraz ja losuję!

Pośpiesznie usiadła, unikając jego wzroku. Damon pochylił się nad stolikiem i znowu zafalowały naprężone mięśnie. Roberta na chybił trafił chwyciła kamień ze stołu i zamarła na jego widok.

Ręka Damona wyjęła kamień z jej palców.

– Kolejny dublet czwórek – powiedział.

Uśmiechnął się do niej i nagle Roberta poczuła, że topnieje pod jego wzrokiem, jak przedtem pod dotykiem jego palców. Zamrugowała.

– Będziesz musiała go położyć w poprzek – powiedział cicho, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego.

Przyjrzała mu się uważnie. W świetle świec jego skóra błyszczała złotem, a pod nią grały mięśnie. Ojciec Roberty zawsze jej powtarzał, że istnieje tylko jeden powód, by postąpić impulsywnie: jeśli naprawdę czegoś się pragnie. Roberta z kolei zawsze wyśmiewała tę jego filozofię życiową, wytykając mu, że zachcianki, którym tak spontanicznie ulegał, bywały często sprzeczne z ogólnie przyjętymi w towarzystwie zasadami.

Ale teraz zrozumiała, że ojciec miał rację.

W tej chwili niczego bardziej nie pragnęła, niż pozbyć się przy pomocy Damona niewygodnej etykiety dziewicy. Potem poślubi Villiersa i rozpocznie nowe życie, pełne swobody i wyrafinowania. Ale teraz...

– Widzę, że się wstydzisz – powiedziała.

– Ja się wstydzę?

– Nie jest łatwo obnażyć się po raz pierwszy.

– Po raz...

Nie dokończył, bo Roberta już wstała z fotela. Najpierw ściągnęła pończochy. Opadły na podłogę, a cieniutki jedwab lśnił jak uwięziony

promień słońca. Zauważyła, że Damon z dużym zainteresowaniem śle-
dził je spojrzeniem.

Poczekala, aż popatrzy jej w oczy, a wtedy powoli, niespiesznie za-
częła odpinać suknię.

Zamarł bez ruchu. Wyglądał jak ktoś, kto nie chce wystraszyć pło-
chliwej sarenki jedzącej mu z ręki. Ale Roberta nie czuła się płochli-
wą sarenką. Czuła się silną kobietą, która robi dokładnie to, na co ma
ochotę. Jej suknia rozchyliła się z przodu, kiedy Roberta sięgała po
kieliszek.

Damon aż się zarumienił. Roberta upiła szampana i ukradkiem
zerknęła na przód jego spodni... tak. Wydawał się zainteresowany. I to
nawet bardzo, sądząc po wyrazie jego twarzy. Znów się schyliła, żeby
odstawić kieliszek; pomyślała, że może go teraz pocałuje, ale stwierdzi-
ła, że równie dobrze może od razu pozbyć się sukni. Lekko poruszyła
ramionami.

Zwoje haftowanego jedwabiu i złotej koronki opadły na podłogę.

– Ciężka była – powiedziała niedbale.

Nie wyglądało na to, żeby Damon zamierzał protestować: wprost
pożerał ją wzrokiem.

– Gorset pewnie też jest niewygodny – zauważył.

– Rozpina się z tyłu. – Odwróciła się do niego plecami i czekała, co
będzie dalej.

Chyba skoczył z fotela na równe nogi, bo usłyszała jakieś stuknięcie,
jakby uderzył w stolik. Lecz zaraz poczuła na plecach dotyk jego długich,
zręcznych palców. Przytrzymała rękami gorset i pozwoliła mu opaść na
podłogę dopiero wtedy, kiedy znowu odwróciła się do Damona. Miała
już na sobie jedynie cienką koszulkę, mocno wyciętą, ze względu na
duży dekolt sukni. Koszulka była uszyta z delikatnego batystu, obrębion-
ego koronką, i ledwo zakrywała jej piersi.

– I tak na pewno w następnym ruchu położyłabyś ten dublet w po-
przek – powiedział Damon.

Jego głos był cichy i niemal senny. Zsunął spodnie, a potem zdjął je
całkiem.

Roberta bała się spojrzeć. Serce dudniło jej w piersi, tętniąc w ryt-
mie, którego nie знаła, a jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób roz-
poznawała odwieczną mądrością. Ta sama mądrość była w jej uśmiechu,
kiedy, wciąż nie patrząc, objęła go ramionami i przytuliła się do niego.

Z ust Damona wydobył się zduszony odgłos, jakby jęk. Jego wargi
muskaly jej włosy, dłonie dytykały jej pleców.

– Cukiereczku – szepnął. – Wiesz, że po tym nie będzie już odwro-
tu, prawda?

– Tak – odpowiedziała.

Natrafila na jego ucho i zrobiła dokładnie to samo, co on wcześniej:
pocałowała je, a potem, w nagłym przypiływie śmiałości, musnęła języ-
kiem.

– Nie – powiedział, odsuwając ją od siebie.

Roberta uśmiechnęła się. Ani chybi, Damon ma jakieś głupie męskie
skrupuły. Przez kilka lat miała okazję obserwować, jak zмага się z nimi
jej ojciec, i z obserwacji tych wynikało tylko jedno: w końcu ojciec i tak
zawsze robił to, na co miał ochotę. Teraz więc trzeba się zatroszczyć,
żeby Damon zrobił to, na co ona miała ochotę.

Zaczęła wyciągać szpilki z włosów. Fryzura była bardzo skompli-
kowana, złożona z wysoko upiętych drobnych loczków. Wyjmowała
szpilkę po szpilce, a Damon milczał. Wreszcie włosy opadły na ramiona
i plecy. Pochyliła się, żeby wytrząsnąć z nich puder.

Damon patrzył na słodką, zgrabną pupę Roberty i czuł się jak czło-
wiek, który tonie i nie ma się czego chwycić. Całować ją, to jedno... ale
odebrać jej dziewictwo? Nigdy tego nie robił.

Mógłby się na to zdecydować tylko w przypadku, gdyby miał się
z nią ożenić.

Ale ona na razie nie chciała o tym słyszeć. Chichotała, rozweselona,
a jej śmiech trafiał mu prosto do serca i krew zaśpiewała mu z radości.

Należała do niego, nieważne, co sobie ubzduriała.

Roberta wyprostowała się i odwróciła do niego. Ciemnorude loki
rozsypany się po nagich ramionach, ale jego za serce ujęły te śmieszne,
wiecznie uniesione brwi i te pełne usta. Nie można było powiedzieć,
że wygląda niewinnie. Do diaska, skoro wychowała się w towarzystwie
Seliny, to pewnie wiedziała o sprawach łóżkowych więcej od niego.

A jednak... Przypomniał sobie jej zaskoczoną minę, kiedy przyłapali
ową parę na igraszkach w bawialni.

Stanowiła uroczą mieszankę niewinności i frywolności.

– Nie powinienem, naprawdę – powiedział, przekonany, że na-
prawdę tak jest.

– Czego nie powinieneś?

– Iść z tobą do łóżka. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę odebrać ci dziewictwa; jesteś jeszcze niezamężna, a poza tym kochasz się w kimś innym i w dodatku masz za niego wyjść.

Jej błękitne oczy pociemniały i Damon instynktownie wyczuł, że to nie wróży nic dobrego.

– A to dlaczego? – zapytała. – Wydaje ci się, że mnie wykorzystasz?

– Nie rozumiesz, jak na to patrzy socjeta. Do licha, twój ojciec popełnił błąd, pozwalając ci zamieszkać u Jemmy. Ona nie jest odpowiednią osobą, żeby się zajmować młodą panienką. To mężatka, Roberto. Mężatka. I gra w szachy z... – Nieco za późno przypomniał sobie, że Jemma gra w szachy z narzeczonym Roberty.

Wzięła się pod boki.

– Jemma, którą uwielbiam, nawiasem mówiąc, i o którą nie jestem w najmniejszym stopniu zazdrosna, gra w szachy z Villiersem. Z którym ja jestem zaręczona. I który powiedział mi, że dziewictwo jest nieatrakcyjne, że kompletnie nie ma dla niego znaczenia, z kim sypiam, jeśli tylko nie podrzucę mu do wychowywania bękarta. Damon, wiesz może, jak zapobiec poczęciu?

– Tak – odpowiedział. – Ale...

– To świetnie. Ja też wiem, ale z tego, co mi wiadomo, lepiej, jeśli mężczyzna też ma świadomość, co trzeba robić.

Damon otworzył usta ze zdziwienia.

– A skąd ty to wiesz?

– Selina wprowadziła się do nas, kiedy miałam czternaście lat, i wyjechała, kiedy miałam szesnaście. Uwielbiałam ją. Rozmawialiśmy właściwie o wszystkim i dała mi niejedną siostrzaną poradę.

Oniemiał znowu na chwilę.

– A więc prowadziłaś siostrzane pogawędki z Seliną Trimmer.

Przypomniał mu się niedawny artykuł w „Tête à tête”, gdzie opisano, jak na swoim ostatnim przyjęciu Selina kazała napełnić wannę szampanem i zaprosiła paru gości do oglądania jej w kąpieli. Podobno dwóch z nich dołączyło do niej w tej wannie.

– Chcesz uzupełnić braki w edukacji? – Roberta wciąż trzymała się pod boki.

– A czego się od niej nauczyłaś? – Pokręcił głową. – Zapomnij, że o to pytałem. Nieważne, czego się nauczyłaś od Seliny, Roberto, ważne jest raczej to, co ja ci zabiorę, jeśli mielibyśmy się teraz kochać.

– Może masz rację – powiedziała Roberta z namysłem. – W końcu jesteśmy prawie rodziną.

– Tak! Jesteśmy kuzynami.

– W takim razie znajdę sobie kogoś innego – oznajmiła. – Jeśli to jeszcze nie jest dla ciebie jasne, Damonie, to wiedz, że nie zamierzam strzec swojego kłopotliwego dziewictwa aż do ślubu z Villiersem. Jestem przecież zakochana. Skoro mój mąż sobie tego nie życzy, nie będę go fatygować tym zadaniem, a jeśli i ty nie masz ochoty mi w tym pomóc, to cóż – nie będę płakać. Znajdę innego chętnego mężczyznę.

Damonowi chciało się śmiać. W życiu nie był bardziej chętny niż w tej chwili. A nawet...

No, nie. Roberta się z niego śmiała. Była trochę zła, ale śmiała się z niego. Jezu, jaka ona była wspaniała. Cienka batystowa koszulka ledwo zakrywała jej uda, kończyła się ciut przed kolanem.

– Innego mężczyznę? Po moim trupie.

Chyba się nie zorientowała, że właśnie jej się oświadczył.

– Rozumiem, że jesteś przyzwyczajony do kobiet, które robią, co mogą, żeby cię nakłonić do małżeństwa – powiedziała z błyskiem w oczach. – Ale ja nie jestem taka, jak one. Nie chcę od ciebie obrączki, nie pragnę twoich pieniędzy ani twojego tytułu.

– Bo masz Villiersa. – Damon trochę ochłonął, kiedy wypowiedział głośno nazwisko jej narzeczonego.

Pokiwała głową.

– Chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Jestem kobietą trzeźwo myślącą, zawsze taka byłam. Zapytaj mojego ojca. I w chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzałam Villiersa, wiedziałam już, że chcę go poślubić.

– Ale dlaczego? – Nie mógł się powstrzymać. – I nie próbuj mi mydlić oczu, mówiąc, że się zakochałaś. Nie bardzo wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia i coś mi mówi, że ty też nie.

– Nieważne, jak się to nazwie – odpowiedziała. – Kiedy patrzę na Villiersa, od razu wiem, jak będzie wyglądało nasze małżeństwo; i wiem też, że dokładnie tego chcę. On jest taki opanowany.

– Opanowany? – Damon osłupiał. – Wychodzisz za Villiersa, bo jest opanowany?

– Nigdy mi nie przyniesie wstydu. Nie będzie obnosił się ze swoimi uczuciami. Nie napisze ody do mojego palca u nogi ani do innej części ciała. Nie będzie płakał przy ludziach.

– Tu akurat masz rację – zgodził się Damon. – On pewnie nawet na twoim pogrzebie uśmiechałby się tym swoim bezdusznym uśmiechem.

Podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Wcale nie wyglądała na zażenowaną faktem, że stoi w samej koszuli ani że on jest prawie nagi. Naprawdę nie była typową niewinną dziewczyną. Jeśli w ogóle istniały jakieś typowe dziewczęce.

– Villiers i ja pasujemy do siebie. I mam to szczęście, że on też tak uważa. Dobrze się dobraliśmy i myślę, że będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Damon tak mocno zaciskał zęby, że omal nie pękła mu szczęka.

– To świetnie – wycedził. – Istna małżeńska idylla. Już to sobie wyobrażam. Zestarzejecie się wspólnie, tylko że – chwileczkę! – przecież on już jest stary; no, to zostaniesz szczęśliwą wdową.

Jej błękitne oczy znowu przybrały odcień granatu i wszystkie wrodzone instynkty Damona ostrzegały go, że to nie prowadzi do niczego dobrego.

– Idiota z ciebie. Nie mam pojęcia, dlaczego zachowujesz się jak idiota, ale życie nauczyło mnie, że mężczyźni nie sposób zrozumieć, więc nawet nie próbuję cię rozgryźć. Ale chcę od ciebie jednej rzeczy, Damonie.

Momentalnie zaschło mu w ustach.

– Tak?

Jego ciało dobrze wiedziało, czego Roberta od niego chce, i wszystko w nim aż się rwało, żeby to jej pragnienie zaspokoić.

Jednym szybkim ruchem Roberta zdjęła koszulę przez głowę i rzuciła ją na podłogę. Potem spojrzała na niego i przez krótką chwilę dojrzała w jej pięknych oczach błysk niepewności.

To był koniec. Wszystkie jego skrupuły rozplynęły się jak masło na patelni.

– Jesteś pewna, że tego chcesz, Cukiereczku? – Pytając, już trzymał ją w objęciach i przesuwając dłońmi po krągłych pośladkach.

– Wybrałam ciebie, żeby zdobyć pierwsze doświadczenia z mężczyznami – powiedziała Roberta.

Już miał na końcu języka zdanie, że pierwszy mężczyzna powinien też być ostatnim, ale się powstrzymał. Ona jeszcze nie chciała o tym słyszeć. Jeszcze jej się marzył opanowany małżonek.

W takim razie jego zadaniem będzie pokazać jej, jak cudownie jest stracić panowanie nad sobą.

Odsunął od siebie tę myśl i przycisnął Robertę do piersi. Niedoświadczona panna mądralińska zaraz się przekona, że spać z mężczyzną to nie to samo, co o tym rozmawiać.

30

Rozpostarł na podłodze jej rozłożystą jedwabną suknię i położył na niej Robertę, ale ona jakoś wcale nie chciała robić tego, co do niej należało. Powinna leżeć bez ruchu, podczas gdy on stopniowo i delikatnie wprowadzałby ją w arkana rozkoszy; mogłaby ewentualnie od czasu do czasu zadrzeć i krzyknąć: „Nie, nie!” Zdarzało się to nawet doświadczonym mężatkom, ponieważ Damon był mężczyzną, który wychodził z założenia, że każdy centymetr kobiecego ciała wart jest posmakowania i pieśczoły.

A Roberta?

Owszem, mruzczała i jęczała, ale nie słyszał z jej ust żadnego „Nie, nie”. Nie wszystko, co mówiła, dało się zrozumieć, ale brzmiało to raczej podobnie do „Tak!”

Tak więc ciężar poczucia winy zmniejszył się trochę i Damon znów zajął się całowaniem jej piersi. Najbardziej podobało jej się, kiedy brał jej sutki do ust. Powtarzał to więc raz po raz, a potem odsuwał się nieco, chwytając jej piersi w dłonie, całując i kęsając jej szyję, aż nieco ochłoneła. O tym, żeby on ochłoneł, nie był nawet mowy – w życiu nie był bardziej podniecony. Potem zniemacka znowu chwycił jej sutek w usta i Roberta przeżyła się na podłodze z westchnieniem i lekkim okrzykiem. Nawet nie chciał myśleć o tym, co będzie, gdy zacznie ją pieścić nieco niżej.

Jego dłoń właśnie zsuwała się w dół, powoli i ostrożnie, bo damy często nie chciały być tam dotykane, a raczej – same nie wiedziały, że tego chcą.

Jednak Roberta nie stawiała oporu. Zsunął palce jeszcze niżej, drażniąc językiem jej sutek, żeby za wcześniej się nie zorientowała, co on

robi. Ale ona zaskoczyła go po raz kolejny, bo uniosła z podłogi szczupłą nogę, załkała: „Damon!” i rozłożyła kolana.

No i czy to nie było zaproszenie?

Damon był mężczyzną, który akt miłosny uważał za pracę równą tworzeniu dzieła sztuki. Należy przygotować płótno (pocałunki), rzucić tło (poświęcając szczególną uwagę pewnym częściom ciała), a potem zabrać się do malowania głównego tematu. Za pomocą pędzla, ha, ha.

Innymi słowy, kiedy kochał się z kobietą, zawsze zwracał uwagę na jej potrzeby i uważał, że partnerka powinna osiągnąć spełnienie przed nim.

Dlatego też teraz miał wrażenie, że zaraz oszaleje, że nie będzie w stanie się opanować. Bo Roberta miała najśodsza na świecie, najbardziejie...

Nie mógł się powstrzymać. Po prostu nie mógł. Wisiał tuż nad nią, a ona przytuliła się do niego ze zdyszaniem jękiem pożądania, więc choć był mężczyzną, który nigdy nie szuka własnej satysfakcji, nim nie zaspokoi kobiety, to...

Zrobił to.

Wdarł się tam, gdzie dotychczas nie było żadnego mężczyzny. Jeszcze tylko starczyło mu przytomności umysłu, żeby jednocześnie ścisnąć w palcach jej sutki.

Oczy Roberty zrobiły się przeogromne, ale on już nie myślał; nie był w stanie myśleć. Całe jego ciało skupiło się na najwspanialszym doznaniu, jakie go w życiu spotkało, na najgorętszym, najwilgotniejszym, najciaśniejszym doświadczeniu jego życia...

Roberta już nie mówiła „Tak”, lecz Damon nawet tego nie zauważył. Odrzucił głowę do tyłu i zagłębił się w niej kilka razy, niemal płacząc z rozkoszy. Ale to było dla niego zbyt wiele, spełnienie przyszło niemal natychmiast i z jego gardła wydarł się zduszony jęk.

Opadł na nią bez siły, ostatkiem świadomości opierając się na łokciach.

– O, Boże – bełkotał. – Czy ty... to znaczy... Roberto, wszystko w porządku? Tak mi przykro. – Na jej twarzy nie widział złości, jedynie zaskoczenie. – Ty nawet nie wiesz, o czym ja mówię, prawda? – Zalała go fala czułości, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył. – Zaraz się przekonasz, Roberto. Daj mi tylko chwilę odetchnąć i zebrać siły, a następnym razem... się... przekonasz...

Zamknął oczy, żeby chwilę odpocząć.

Roberta St Giles stwierdziła, że leżący obok niej mężczyzna twarzo spi.

Zerknęła w dół. Nie dostrzegła śladu krwi, co było dość pocieszające. Słyszała różne historie o strugach krwi, a od Seliny – coś wręcz odwrotnego: że kobieta po dwunastym roku życia z reguły nic nie czuje.

– Niemożliwe... mniej niż dwanaście? – Coś w twarzy Seliny nie pozwoliło jej dokończyć tego pytania.

Roberta usiadła. W całym ciele czuła jeszcze delikatne mrowienie. Cóż, było to dość interesujące doświadczenie. Popatrzyła na Damona: spał sobie spokojnie.

A więc już nie jest dziewicą. To spostrzeżenie niespecjalnie ją wzruszyło. Dziewictwo, jak wiele innych rzeczy dotyczących mężczyzn, było jej zdaniem mocno przereklamowane. Szczerze mówiąc, cielesne zbliżenie również.

Nic dziwnego, że Villiers nie przejmował się, czy będzie miała przedmażeńskie doświadczenia. Przecież to trwało nie więcej niż minutę. A jednak ten akt miał w sobie coś niepokojąco intymnego, mimo iż trwał tak krótko.

Na przykład ramię Damona. Leżał na boku i jego ramię układało się w piękną krzywiznę. Pogładziła je palcem. Och, naprawdę przyda jej się teraz porządna kąpiel. Między nogami miała coś nieprzyjemnie mokrego i lepkiego. Prawdę mówiąc, całe to przeżycie nie okazało się najprzyjemniejsze. Właściwie, chyba nie miała ochoty znów tego robić, przynajmniej do ślubu.

– Dziękuję – szepnęła, dotykając jego twarzy. Miał tak pięknie wyrzeźbione policzki. Przez moment miała chęć znów go pocałować; jakoś tak szybko się to wszystko potoczyło, Damon zaczął pieścić jej piersi i w zasadzie prawie w ogóle się nie całowali – a to przecież Roberta lubiła najbardziej.

Ale jeśli go pocałuje, to może się obudzić. I choć to miło z jego strony, że chciał z nią zrobić to jeszcze raz, ona już nie miała ochoty.

Wyciągnęła spod niego swoją suknię, wstrzymując oddech, gdy przez moment wydało jej się, że Damon się budzi. Kiedy już wyswobodziła suknię spod niego, wstała i owinęła się nią, jak wielkim ręcznikiem.

Służba w domu jej ojca przywykła do różnego rodzaju ekstrawagancji; Roberta mogła tylko mieć nadzieję – ba, miała nawet prawo oczekiwać – że służący Jemmy też nie będą się dziwić. W hallu natknęła się na lokaja, więc posłała mu promienny uśmiech i z godnością weszła po schodach.

W sypialni zrzuciła z siebie suknię i zadzwoniła po pokojówkę. Wkrótce pojawiła się zaspana służąca i trochę się zdziwiła na widok swojej pani odzianej w szlafrok. Przecież nie mogła sama sobie rozwiązać gorsetu.

– Ellen, część moich ubrań została w żółtej bawialni. – Roberta postanowiła nie silić się na marne wykręty i tłumaczenia. – Chyba ktoś powinien je stamtąd przynieść, ale może nie w tej chwili.

Ellen skinęła głową, udowadniając, że jest tak dobrze wykształcona, jak się Roberta spodziewała.

– Chciałaby się pani wykąpać, milady?

– Jak najbardziej – powiedziała Roberta. – Dziękuję ci bardzo.

Kilka minut później do sypialni wkroczyło trzech lokajów uginających się pod ciężarem cynkowej wanny i kilku wiader wody. Wreszcie Roberta z westchnieniem ulgi mogła zanurzyć się w pachnącej kąpieli. Ellen pomogła jej umyć głowę, a potem Roberta powiedziała jej, że może już iść spać.

– Pewnie jesteś wykończona.

– O, nie, milady, przecież nie mogę pani tak zostawić. – Ellen była na wpeł przytomna. – Jak się pani położy spać?

– Tak samo, jak to robiłam przez ostatnich dwadzieścia lat – odparła Roberta. – Moja pokojówka była dość wiekowa i wołała się wcześniej kłaść, więc zwykle sama przygotowywałam się do snu. W sumie nawet to wolę.

– Ale zawoła pani lokaja, żeby wyniósł wodę?

– Oczywiście, że zawołam. Idź spać.

Ellen dygnęła i wyszła. Zaraz jednak wsadziła z powrotem głowę przez uchylone drzwi.

– Zapomniałam powiedzieć: wszyscy ze służby cieszą się, że zostanie pani księżną.

Roberta uśmiechnęła się do niej.

– Dziękuję.

– I nikt nie będzie krzywo patrzył, że się pani trochę pośpieszyła z nocą poślubną, milady... Poproszę Martina, starszego lokaja, żeby zabrał pani ubrania za jakąś godzinę. Schowa je gdzieś tak, żeby nikt nie widział.

Tym razem Roberta uśmiechnęła się kwaśno. Oby Damon w porę zniknął z bawialni, tak żeby Martin ani nikt inny go tam nie znalazł.

Kiedy drzwi znowu zamknęły się za pokojówką, z westchnieniem oparła się o brzeg wanny. Zanim włożyła szlafrok i zawołała lokaja, żeby wyniósł wannę, już prawie spała.

Ślady kąpieli usunięto; Roberta usiadła na łóżku, zastanawiając się, gdzie też może być jej nocna koszula. Nagle drzwi znowu się otworzyły.

– Och – zamrugła. – To ty. – Dopiero teraz dotarło do niej, kto przed nią stoi. – A co ty robisz w mojej sypialni?

31

Villiers w milczeniu stał w drzwiach, unosząc wysoko jedną brew.

Jemma niespiesznie zlustrowała go od stóp do głów: nadałana mina, włosy przetykane bielą, sylwetka ociężała, lecz mimo to emanująca siłą. Miał dziś na sobie frak w kolorze śliwki, wyszywany w ognistopomarańczowe lilie, a we włosach wstążkę pod kolor. Wysoko na prawym policzku przykleił sobie pieprzyk. Nawet jej wydawał się szalenie elegancki, a przecież spędziła ostatnich osiem lat w cieniu francuskiego dworu.

W Villiersie było coś niezwykłego... coś w jego krzykliwym sposobie ubierania się, coś w tym pieprzyku na policzku i kolorowej wstążce we włosach, coś w jego przebiegłym spojrzeniu gracza i w skupionej energii jego ciała.

– Niech pan wejdzie do środka – powiedziała, wskazując ręką na szachownicę. – Może jeszcze jedna gra na boku, jeśli nie jest pan smęczony?

Kiedy szedł, jedwab fraka szumiał, jak daleki brzeg morza. Zamknął za sobą drzwi i zgiął się w wyszukany ukłon, godnym królowej.

– Czyni mi pani wielki zaszczyt, Wasza Wysokość.

– Proszę mi mówić „Jemmo” – poprosiła.

Spojrzenie spod opuszczonych powiek na moment zatrzymało się na jej twarzy.

– Jemmo – powtórzył.

Jak dziwnie brzmiało jej imię w jego ustach. Jemma nagle przypomniała sobie chwilę, gdy po raz pierwszy zdradziła Beaumonta. Było to, oczywiście, w Paryżu, dokąd uciekła we łzach i w gniewie. Dwa lata później zorientowała się wreszcie, że Beaumont nie zamierza po nią przyjechać i błagać, by wróciła do domu – a ona, w swojej głupocie, wierzyła, że tak będzie. Odwiedził ją dopiero po trzech latach, a wtedy było już za późno.

Poszła do łóżka z pewnym przeuroczym Francuzem, który nauczył ją, jak zadbać o przyjemność zarówno własną, jak i partnera. Ale tej pierwszej nocy ciężko jej było na sercu, podobnie jak teraz.

Dlaczego właściwie miało jej być ciężko? Miała prawo postępować dokładnie tak, jak chciała. Nie spuszczała oka z Villiersa, który usiadł naprzeciwko niej, odrzucając poły fraka, żeby się nie pogniotył.

– Może spodziewasz się większego zaszczytu, niż zamierzam ci uczynić – powiedziała.

– Droga pani – odrzekł Villiers. – Zadowolę się każdym okruchem, który spadnie z twojego stołu.

Znowu te wytarte frazesy. Powinna mu chyba powiedzieć, że nie znosi tej jego oklepanej galanterii.

– Zagramy? – zapytała. – Jak widzisz, pozwalam ci zacząć.

Przesunął figurę, potem ona. I jeszcze raz, i kolejny. Znajomy rytm gry uspokajał ją, koił słodyczą skomplikowanych zależności między gońcami, wieżami a potężną królową. Powoli opadał z niej gniew i upokorzenie, mogła skupić się na grze. Oto jej goniec znalazł się w niebezpieczeństwie. Pośpieszyła go zasłonić, ale okazało się, że teraz zagrożony jest jeden z pionków. Twardy orzech do zgryzienia... zastanawiała się. Zastygła w pół gestu, trzymając w palcach figurę, aż nagle znalazła rozwiązanie i zabiła mu wieżę.

Odplacił jej pięknym za nadobne, lecz zaraz jej goniec zbił jego królową. Cztery ruchy później było już po wszystkim. Wygrała.

Potem razem przeanalizowali grę, cofając wszystkie posunięcia.

– Kiedy zbiłaś mi pionka wieżę, to był wspaniały ruch – mruknął Villiers.

– A gdybyś wtedy zagroził mojej królowej, to co by było?

– Nie mogłem, bo twój goniec zbiłby mojego gońca...

Omawianie rozgrywki było niemal przyjemniejsze od samej gry. Niemal, ale nie do końca. W końcu Villiers odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął się do niej szelmowsko.

– Czasami myślę sobie, że szachy są lepsze niż seks.

– Ja zawsze tak uważałam. – Odpowiedź Jemmy zaskoczyła również ją samą.

– Ktoś powinien cię więc przekonać, że jest inaczej.

Wyciągnęła rękę i obróciła jego dłoń leżącą na stole.

– Może ty mógłbyś mnie przekonać. – Kreśliła palcem wzory na jego dłoni. – To znaczy, bardzo bym chciała, ale jesteś zaręczony z Robertą, a ja bardziej sobie cenię więzy przyjaźni niż nowego kochanka.

– Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Moim najbliższym przyjacielem był twój mąż, ale to miało miejsce wiele lat temu.

Zerknęła na niego, ale on przyglądał się, jak jej palce wędrują po jego dłoni.

– Wiem, że kiedyś byliście sobie bliscy...

– Jako młodzi chłopcy. Nie myśleliśmy wtedy o przyszłości ani o tym, jak bardzo się od siebie różnimy. Zostało mi jeszcze trochę honoru. Nie będę tym, który pokaże żonie Beaumonta, że ciało znaczy więcej niż umysł i że gra w szachy błędnie przy grze zmysłów.

Ujął jej dłoń i pocałował, a w oczach miał taki smutek, że Jemie nawet nie przeszkadzał fakt, iż właśnie została odtrącona.

Choć dotychczas nigdy jej się to nie zdarzyło.

– Dlaczego z nim nie porozmawiasz? – zapytała pod wpływem nagłego impulsu. – Elijah potrzebuje przyjaciół. Ktoś musi mu powiedzieć, żeby trochę zwolnił, bo zamęcza się pracą.

Uśmiechnął się smutno.

– On i ja – to już dwa różne światy, zarówno pod względem osobowości, jak i upodobań. Szczerze mówiąc, bez obrazy, ale nie mam obecnie specjalnej ochoty przyjaźnić się z księciem Beaumontem. Co innego, gdybyśmy znowu mieli po czternaście lat i grali w szachy nad rzeką... tego mi żal. Ale tamte dni dawno minęły.

– Ja nie chciałabym mieć znowu czternaście lat.

– Życie wydawało się wtedy znacznie prostsze. Na ogół nie pozwa-
lam sobie na próżne żale i roztrząsanie błędów. Mój ojciec zawsze ma-
wiał, zresztą słusznie, że żal nic nie zmienia. Ale po trzydziestce okazuje
się, że nie tak łatwo zapomnieć o błędach. Czasem wyrzuty sumienia
uporczywie nas prześladują.

Być może mówił o Beniaminie. Zastanawiała się, czy nie napomknąć
o jego samobójstwie, ale wahała się zbyt długo, bo Villiers odezwał się
do niej.

– A ty, księżno, czego żałujesz?

Uśmiechnęła się.

– Wielu rzeczy!

– Na przykład?

– Tego, że dałam się namówić na ten idiotyczny włoski kapelusz,
kiedy robiłyśmy wczoraj zakupy z Robertą.

– Ach, Roberta.

Opuścił powieki, tak że nie mogła nic wyczytać z jego spojrzenia.

– Twoja narzeczona – przypomniała mu.

– Czarująca młoda dama.

– Tobie, jak mniemam, ten kwiatek już nie pachnie? – rzekła cierpko.

– Kolejny powód do żalu. – Westchnął. – Wyrzuty sumienia są jak
muchy: nie odgonisz pierwszej, to opadnie cię cała chmara.

– Będzie dla ciebie świetną żoną.

– Zrobiłem to tylko dlatego, żeby cię rozzłościć. – Podniósł jej rękę,
ucałował dłoń i położył ją z powrotem na stole, wciąż nie patrząc jej
w oczy. – Przyznaję ze wstydem: to było po tym, gdy wygrałaś naszą
pierwszą partię.

Pokiwała głową z niedowierzaniem.

– Oświadczyłeś się, żeby się na mnie odegrać?

– Sugerujesz, że zbyt poważnie podchodzę do gry?

Roześmiała się, a on razem z nią.

– Nigdy nic nie wiadomo – zauważył. – Niejedno może się przyda-
rzyć, zanim staniemy przed ołtarzem.

– Ona cię kocha.

– Czy coś w tym rodzaju – zgodził się łaskawie.

– Potrzebny byłby palec Boży – powiedziała Jemma. – Ale ja uwa-
zam, że ożenek dobrze ci zrobi. Może tobie uda się stworzyć małżeń-
stwo, jakie ja mogę sobie tylko wyobrażać.

– Ja, niestety, nie mogę sobie tego nawet wyobrazić – powiedział
z niechęcią w głosie. – Będę się zatem modlił o palec Boży. – Był już
przy drzwiach, ale w progu jeszcze się odwrócił. – Miałem wiele kocha-
nek, Jemmo.

Uniosła brew.

– Tym bardziej więc szkoda, że nie mogę się zaliczyć do tego sza-
cownego grona.

– Nie to miałem na myśli. Miałem wiele kochanek... ale niewielu
przyjaciół.

Nim zdążyła odpowiedzieć, już go nie było.

32

Co się stało? Dlaczego sobie poszłaś? – zapytał Damon.

Roberta zamrugła powiekami.

– O czym ty mówisz?

– Dlaczego się wymknęłaś jak dziewczka kuchenna w środku nocy
i zostawiłaś mnie samego w bawialni?

Roześmiała się mimo woli.

– Chcesz powiedzieć, że powinnam zostać i przyglądać ci się, jak
chrapiesz? Może miałam poczekać, aż przyjdzie służący, żeby dołożyć
do ognia? Chciałam wziąć kąpiel; ty, jak widzę, też się kąpałeś. – Spoj-
rzała na jego wilgotne włosy.

– Nie zdążyłem ci pokazać, co to znaczy kochać się z kimś.

– Ależ, zdążyłeś – zapewniła go pośpiesznie. – Było mi bardzo przy-
jemnie. Naprawdę. To było po prostu...

Wszystkie protesty, wszystkie rozsądne argumenty uwięzły jej w gar-
dle, bo Damon zdjął koszulę, a zaraz potem spodnie. Sprzeciw zamarł
jej na ustach. Bez słowa położył się na niej, przygniatając ją do łóżka
całym ciężarem krzepkiego męskiego ciała; Roberta trochę się przestra-
szyła. W dole brzucha poczuła nagle głód pragnienia i to ją naprawdę
zaniepokoiło.

A wtedy Damon zaczął ją całować; z jękiem poddała mu się i roź-
chyliła wargi. Czowała smak jego pragnienia, zupełnie jakby za pomocą

pocałunku mogli przekazać sobie takie wrażenia. Niepokój w dole brzucha powoli zmieniał się w coś innego, jakieś dziwne napięcie, które każało jej chwycić się silnych ramion Damona. Drżały jej palce, kiedy gładziła wyraźnie zarysowane mięśnie.

Przełękła się tej burzy uczuć, więc wywinęła się spod niego i zeskokczyła od łóżka.

– Wolałabym już dzisiaj nie iść z tobą do łóżka – powiedziała, zła na samą siebie, że oddycha tak szybko.

Damon jakby w ogóle jej nie usłyszał. Zaczął skradać się ku niej bez słowa, jak jakiś drapieżnik.

Roberta cofnęła się tak daleko, jak tylko mogła, i oparła się o stojący w kącie fotel.

– Damon! – Próbowała przybrać rozkazujący ton głosu. – Mówiłam, że wolałabym nie...

Ale on już znowu ją całował, gwałtownie, zaborczo i wszystkie jej mizerne protesty gdzieś uleciały, bo wystarczył jeden dotyk jego dłoni, by dreszcz przeszedł ją od stóp do głów.

– Nie – wychrypiała, ale dołała tylko oliwy do ognia. Śmiejąc się nisko, gardłowo, znów ją pocałował; całował tak, aż drżała na całym ciele, w głowie jej się kręciło, kołysała się w jego objęciach i zduszonym głosem błagała...

Przecież ona nikogo o nic nie błaga.

Nigdy.

Wtedy Damon przestał jej dotykać i nagle całe jej ciało jak oszalałe zaczęło się domagać kontaktu, pieśczości dużych dłoni obejmujących jej piersi, głaszczących skórę. A on tylko ją całował. Nic więcej. Jak gdyby...

No, tak. Ona też go nie dotykała. Po prostu stali obok siebie i jedynie ich usta się stykały, ale to jej nie wystarczało.

– Damon – powiedziała ochryplym szeptem.

– Nigdy mi się nie zdarzyło, żebym tak kompletnie przestał nad sobą panować.

– To nie miało nic wspólnego z twoim opanowaniem. Myślę, że po prostu nie za bardzo spodobała mi się akurat ta część zbliżenia. To... to tak krótko trwało. I nie...

– Odchylenie od normy – jęknął zawstydzony.

– Co takiego? – zdziwiła się Roberta.

Zanim odpowiedział, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

– To mi się zazwyczaj nie zdarza, Cukiereczku. – Usiadł obok niej.

Roberta zastanawiała się, co na to powiedzieć, gdy Damon rozchylił brzegi szlafroka. Zasłoniła się instynktownie.

– Nie!

– Tak.

Spoglądał na nią hipnotycznie, ale nadal trzymała poły szlafroka.

– Roberto – powiedział powoli. – Jeśli nie puścisz tego szlafroka, to cię ugryzę.

– Słucham?!

Położył palec na jej piersi, a jego dotyk parzył ją nawet przez materiał.

– O, tutaj – powiedział cicho. – I może jeszcze... – Palec powędrował w dół, kreśląc ognistą ścieżkę na jej ciele – Tutaj.

– Ugryziesz mnie w brzuch? – zapytała z niedowierzaniem.

Zaśmiał się z jej strachu.

– Myślałem, że tak wiele się dowiedziałaś z pouczających opowieści Seliny.

– Nic nie mówiła o gryzieniu. I naprawdę już dziś nie mam na to ochoty – wyznała, czerwieniąc się po uszy.

Spojrzał na nią, unosząc brew, a w jego oczach lśnił płomień pożądania tak gorący, że instynktownie otarła się o niego biodrami. Ale dotknęła czegoś twardego i rozgrzanego, więc cofnęła się czym prędzej.

– Właśnie się wykapałam – powiedziała. – Proszę, czy możemy tego nie robić?

Znowu jęknął, zamykając oczy.

– Ależ ze mnie kretyn.

– Nieprawda – pocieszyła go. Ręce jej się trzęsły, gdy zsunęła je w dół po jego plecach. – To było naprawdę ciekawe doświadczenie. Selina wprawdzie opisywała to zupełnie inaczej, ale...

– A jak Selina to opisywała?

– No, cóż... – dukąta. – Myślałam, że... że...

– Sądziłaś, że to potrwa trochę dłużej – dopowiedział ponuro. Usta miał zaciśnięte w wąską kreskę.

– Nie. – Zmarszczyła brwi na widok jego miny. – Nie, wcale nie. Pod tym względem było dokładnie tak, jak mówiła.

Kolejny jęk.

– No, to pięknie. Co jeszcze naopowiadała ci Selina?

– Powiedziała, że kobieta powinna zadbać o własną rozkosz – przypomniała sobie Roberta. – Ale nie wiem, o jaką rozkosz miałabym jeszcze zadbać oprócz tej, którą ty mi dałeś. – Nie podobała jej się ta zasepio-na mina, więc przyłgnęła do niego, żeby go pocałować; przesunęła wargi z jego ust na policzek. – Naprawdę – powiedziała z naciskiem.

– Prawdziwe z ciebie niewiniątko – orzekł Damon.

– Ja? Absolutnie! – oburzyła się, opadając z powrotem na łóżko.

– Nie mogę być niewiniątkiem, skoro wychowałam się w takim domu.

Uśmiechnął się zniechęca.

– No, dobrze. – Odwrócił się na plecy i położył obok niej na łóżku.

– O co ci chodzi?

– Zadbaj o swoją rozkosz.

– Co?!

– Przecież tego się nauczyłaś od Seliny. I wierz mi, Roberto, tam, w bawialni, nie miałaś okazji tego zrobić. Cała rozkosz dostała się mnie. – W jego oczach znowu pojawił się ten okropny wyraz samopotępienia.

– Nie mam pojęcia, o czym teraz mówisz – powiedziała. – Mnie było wyjątkowo rozkosznie. Naprawdę.

Zamiast odpowiedzi Damon założył tylko ręce za głowę.

– No, śmiało – przynaglił ją. – Zadbaj o swoją rozkosz.

Roberta nie wiedziała, co robić. Selina nie powiedziała jej nigdy wyraźnie, o co chodzi, lecz ona sama doszła do wniosku (najwyraźniej błędnego), że kobieta powinna zażądać od partnera, żeby ją całował... w intymne miejsce. Ale Damon chyba nie to miał na myśli, bo zawsze całował ją tylko w usta i w piersi. A zresztą, jak się nad tym dobrze zastanowić, taki pocałunek byłby okropnie krępujący. Na pewno źle zrozumiała Selinę.

Czuła, że się rumieni na samą myśl o tym, co by było, gdyby poprosiła o taką rzecz Damona? Nie robi tego, rzecz jasna, ale...

– Roberto – odezwał się spokojnie, więc natychmiast otworzyła oczy. – Czekam.

Spojrzała w dół, na jego nabrzmiałą męskość. Co ona właściwie ma zrobić?

A on, jakby czytał w jej myślach, przypomniał jej:

– Masz zadbać o swoją rozkosz, nie moja.

Ale skąd ona ma wiedzieć, co dalej robić?

– I nie będziemy robić nic więcej?

Naprawdę nie miała ochoty na kolejną kąpiel. Wzdragała się na samą myśl o tym, że znowu musiałaby wołać pokojówkę.

– Nie zrobimy nic, czego nie będziesz chciała.

Zadowolona przysunęła się do niego bliżej.

– Ale co ty właściwie chcesz, żebym zrobiła? – zapytała chwilę później, bo nic nie przychodziło jej do głowy.

– Myśl o tym, co tobie sprawi przyjemność – powiedział, a jego oczy przybrały senną, ciemną barwę. – Jest we mnie coś takiego? Bo w tej chwili wszystko jest do twojej dyspozycji. Możesz mnie dotykać, jak tylko chcesz. Jeśli każesz mi coś zrobić, zrobię to. Jeśli nie, nie ruszę nawet palcem.

Zadrżała.

– Śmiało – zachęcił ją. – Nie najlepsze wystawiasz świadectwo Selinie.

Roberta przygryzła wargę, ignorując jego przekomarzanie się. Przyjemność? A co takiego... co właściwie jej sprawiało przyjemność? I o czym tak naprawdę mówiła Selina, skoro Roberta chyba źle ją zrozumiała?

Unikała wzroku Damona, bo nie chciała zobaczyć, że śmieje się z jej naiwności po tym, jak chwaliła się, że tyle się dowiedziała od Seliny. Popatrzyła więc na jego ramiona. Były szerokie i umięśnione, zupełnie inne od jej szczupłych ramion. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego barku, przesunęła dłoń, czując pod skórą sploty mięśni, pogładziła jego ramię i pierś.

Nagle zauważyła coś dziwnego. Damon drgnął pod jej dotykiem. A gdyby tak...

Spróbowała jeszcze raz przeciągnąć dłonią po jego umięśnionej piersi. Pogładziła jego bok i delikatnie musnęła sutek. Znowu to samo. Lekko zadrzał pod jej dłonią. Uklękła obok niego, żeby móc go pieścić obiema rękami.

Położyła mu dłonie płasko na piersi i przesunęła je w dół, aż do brzucha. To było... całkiem przyjemne. Przyjemnie było czuć pod palcami napięte, lekko drżące mięśnie. Przyjemnie było słuchać cichych westchnień, które wydobywały się z piersi Damona. Nadal nie patrzyła na jego twarz, zbyt zajęta kreśleniem kółek wokół jego sutka i słuchaniem,

jak jego oddech przyśpiesza i staje się chrapliwy. Uśmiechnęła się. A więc to miała na myśli Selina! Chodziło jej o to, że kobieta doznaje rozkoszy, gdy panuje nad ciałem kochanka.

Jego brzuch był twardy, ale bynajmniej nie płaski, bo pod skórą przeżyły się sploty mięśni. Nigdy nie widziała nic podobnego. Jej ojciec, tak jej się przynajmniej wydawało, miał dość płaski brzuch, jak na męczyznę, który niebezpiecznie zbliża się do pięćdziesiątki. Jednak nawet jej się nie śniło, że męski brzuch może się tak różnić od jej własnego.

Zerknęła ukradkiem na swój brzuch, ale szlafrok pozostawał nadal przyzwoicie zawiązany. Tam, w bawialni, Damon całował jej piersi. Czy Selina doradziłaby jej, żeby odwzajemnić tę pieszczotę?

Nareszcie spojrzała mu w twarz, wciąż gładząc jego brzuch palcami. Z napięciem śledził wzrokiem każde jej poruszenie, a w jego pociemniałych oczach dostrzegła tak potężny głód, że krew jej zagrała z radości. O, tak. To było przyjemne! W tej chwili już wiedziała dokładnie, co ma ochotę zrobić: sprawi, żeby Damon szalał z pożądania.

Mimo woli uśmiechnęła się lekko, a Damon aż jęknął na widok tego leniwego uśmiechu kobiety, która poddała się zmysłowej stronie swojej natury.

Schyliwszy głowę, pozwoliła, by jej lśniące włosy zsunęły się z ramienia i musnęły jego sutki. Damon, zgodnie z obietnicą, trzymał ręce przy sobie, ale chcąc nie chcąc wyprężył się i unióśł biodra w górę. Roberta, zaskoczona, zamarła bez ruchu. Ale zaraz znowu się uśmiechnęła i powoli, bez pośpiechu, wzięła w palce kosmyk włosów i potarła jego sutek.

– Roberto! – westchnął, a jego biodra znowu uniosły się do góry.

– Tak? – Jej głos był pełen słodyczy.

– Gdybyś tak usiadła na mnie... – Ale Roberta właśnie eksperymentowała, zwiększając nieco nacisk, toteż słowa uwięzły mu w gardle.

Ona jednak usłyszała.

– Chciałbyś? – szepnęła.

– Tak.

– Ale nie rzucisz się na mnie ani nic w tym rodzaju? Bo ja... – Głupio się czuła, wracając do tego tematu, ale chciała tę sprawę wyjaśnić do końca. – Nie mam ochoty znowu się cała lepić. Przykro mi.

Pokręcił głową.

– Nie zrobię nic, o co mnie nie poprosisz.

Usatysfakcjonowana, podciągnęła jedwabny szlafrok i usiadła mu okrakiem na brzuchu. Tym razem Damon jęknął głośno, a Roberta znowu zamarła. Teraz mogła poczuć te wszystkie mięśnie zupełnie inną częścią ciała... Miała wrażenie, że rozplywa się z gorąca.

Kiedy wcześniej tego wieczoru Damon całował jej piersi – wtedy był to dla niej prawdziwy szok, a jednak na samo wspomnienie żar spływał jej pomiędzy nogi. Ssał jej sutek, jak niemowlę karmiącą matkę, tak jej się przynajmniej skojarzyło. Było to dosyć dziwne, ale zarazem... Opuściła głowę ku jego piersi.

Wcale nie czuła się jak niemowlę. Damon jęknął ochryple, a ten dźwięk wywołał kolejną falę ciepła w dole jej brzucha. Ssała więc mocniej, aż on zaczął się pod nią wić.

Co miało przedziwny wpływ na miejsce pomiędzy jej nogami.

– Roberto – powiedział bez tchu. – Proszę cię, każ mi się dotknąć.

– Nie – odpowiedziała bez namysłu i usiadła wyprostowana.

W jego oczach płonęło pragnienie, ale w kącikach ust czał się uśmiech.

– Nie jestem w stanie leżeć bez ruchu, kiedy tak robisz – powiedział zachrypniętym głosem.

– No, dobrze. – Znowu musnęła palcami jego sutki, tylko po to, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

Biodra Damona wyprężyły się w górę, przez co otarły się o...

Jęknęła i chwyciła się jego ramion.

– Tylko nie to! – krzyknęła.

– Nie? – zapytał rozczarowany.

– Nie.

– Czasem nie potrafię się powstrzymać – szepnął żałośnie. – Kiedy mnie dotykasz, Roberto, tracę rozum i nie jestem w stanie nad sobą zapanować.

Przyjemnie było coś takiego usłyszeć. Wobec tego Roberta znowu go pocałowała i Damon z gardłowym jękiem poruszył się pod nią. To też sprawiło jej przyjemność, choć, rzecz jasna, nie o tym mówiła Selina.

– Mogę cię dotknąć? – wydyszał.

– Nie! – Ale ona chciała go dotykać... wszędzie... nawet tam. Cofnęła się więc ostrożnie i usiadła na jego nogach.

Damon natychmiast podparł się na łokciach, żeby móc ją obserwować. Ta część jego ciała była rozgrzana i gładka jak aksamit; poruszyła się pod jej dłonią.

– Nie masz nad tym żadnej kontroli? – zaintrygowała się.

Damon jęknął, przybity.

– Zazwyczaj mam. Mówiłem ci, że to było odchylenie od normy.

– Jakie znowu odchylenie? Zobacz, rusza się za każdym razem, kiedy dotykam. – Objęła go dłonią, a Damon opadł bezwładnie na poduszki z tym dziwnym, chrapliwym jękiem.

Ciekawe, pomyślała Roberta, jak by zareagował, gdybym... ale chyba się nie odważę. Na pewno tak się nie robi. Tylko że gdzieś jej majaczyło mgliste wspomnienie, jak Selina rozmawiała z nią... na ten właśnie temat.

Wtedy wydawało jej się to obrzydliwe, ale teraz, obserwując napięcie na twarzy Damona, słuchając jego ciężkiego, przyspieszonego oddechu, pomyślała, że sprawiłoby jej ogromną przyjemność, gdyby mogła zobaczyć, jak Damon traci rozum. I panowanie nad sobą.

Najpierw dotknęła go koniuszkiem języka. Czubek był gładki i gorący. Tak, jak cały Damon... gładki i umięśniony. Nagle z jego ust wydobył się jakby jęk bólu. Raptownie podniosła głowę.

– Coś nie tak? Może nie powinnam...

– O Boże, błagam, tylko teraz nie przerywaj.

Miał wyrazisty, lekko słodkawy smak.

– Chyba chcesz, żebym się dziś dowiedział, gdzie leżą granice mojej wytrzymałości – wysapał bez tchu.

Uśmiechnęła się tylko i znowu wzięła go w usta.

– Roberto. – Głos Damona był zduszony, mówił przerywanie. – Czy ty w ogóle nie chcesz, żebym cię dotykał?

Usiadła prosto, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Co ty mówisz?

– Tu chodzi o twoją rozkosz – powiedział, podpierając się znowu na łokciach. – Twoją. Gdybyś mi pozwoliła cię pieścić tak, jak ty mnie...

Roberta zamyśliła się przez chwilę, ale jej ciało nie potrzebowało czasu do namysłu: błyskawicznie przeszedł ją dreszcz od stóp do głów.

– Proszę! Błagam, Roberto, daj mi się dotknąć... – Żałosny ton jego głosu sprawił, że zadrżała jeszcze mocniej.

– Dobrze – wyszeptła. – Zgoda.

Damon podniósł się błyskawicznie i zsunął ją ze swoich nóg.

– Ty mi powiedz.

– Co ci mam powiedzieć?

Delikatnie przewrócił ją na plecy.

– Powiedz mi, co ci sprawia przyjemność.

– Och!

– Czy mam cię tutaj pocałować? – Dotknął palcem jej nadgarstka.

To wydawało się całkiem do przyjęcia, więc Roberta pokiwała głową. Jednak on nie tylko ucałował jej nadgarstek, ale wtulił weń twarz i polizał.

– A w rękę?

Wydusiła z siebie coś na kształt przyzwolenia i Damon zaczął całować jej palce, oblizując każdy z nich i nawet ssąc ich koniuszki, przez co Roberta, wbrew wszelkiej logice, znowu zadygotała.

– Co dalej?

Zamrugła zaskoczona.

– Jeśli nie wiesz, to może ja zdecyduję za ciebie?

W jego głosie zabrzmiała tak wielka czułość, że Robertcie zakręciło się w głowie.

– Tutaj – westchnęła.

– Gdzie?

Dotknęła dłonią piersi.

– Tutaj.

– Będę musiał rozwiązać szlafrok. Mogę?

– Tak – szepnęła.

– Bo mogę też całować cię przez materiał. – Dłonią naciągnął jedwab na jej piersi, tak że spod tkaniny widać było sterczący sutek. Roberta poczuła, że robi się purpurowa, ale było jej już tak gorąco, że nie miało to większego znaczenia.

Trzęsącymi się rękami rozwiązała szlafrok.

– Rozumiem, że to oznacza „tak” – powiedział z głębokim zadowoleniem w głosie.

Nie zadrżała ani nawet nie westchnęła, kiedy wargi Damona spoczęły na jej piersi. Krzyknęła. Wprawdzie cicho, ale i tak...

Zasłoniła usta dłonią.

Damon śmiał się z niej, rzecz jasna. I całował, słodko, namiętnie, aż zaczęła się prężyć ku niemu, dokładnie tak, jak wcześniej on szukał jej dotyku.

– Och – jęczała Roberta, bezradna z rozkoszy. – Ja... – Ale nie mogła znaleźć słów. Pieścił to jedną pierś to drugą, powoli, dokładnie. A kiedy wydawało jej się, że już dłużej nie wytrzyma, całował drugą pierś, a pierwszą muskał palcami.

– Nie mogę... nie mogę... – krzyczała bezwiednie.

– Roberto, mogę cię pocałować gdzie indziej?

– Sł...

Zsunął palce w dół po jej ciele.

– Tylko ci pokażę. – W ślad za jego dłonią skóra Roberty rozpaliała się pożądaniem. – Chciałbym cię pocałować tutaj. – Dotknął jej brzucha.

– Tutaj. – Musnął biodro.

– Tutaj. – Przeciągnął dłonią po wnętrzu jej uda.

I wreszcie...

– Tutaj. – Położył palec na kępce kędzierzawych włosów i powoli, z rozmysłem przeciągnął nim w dół.

Roberta trzęsa się jak młode drzewko podczas burzy. Palec Damona zatrzymał się i zanurzył głębiej, pokazując jej rozkosz, jakiej dotąd nie znała.

– Roberto?

Załkała w odpowiedzi. Damon musiał to uznać za przyzwolenie, bo w chwilę później jego usta podążyły ścieżką wytyczoną wcześniej przez palec. Umysł Roberty zasnuł się mgłą pożądania. Jęknęła, kiedy wargami musnął skórę na jej brzuchu. Potem obsypał pocałunkami zaokrąglone biodra Roberty i wsunął dłonie pod pośladki.

– Jak się teraz czujesz?

Słyszała w jego głosie opanowanie; całkowicie przejął kontrolę, a ona była w stanie już tylko jęczeć cicho. Podtrzymał jej pośladki, ale jego wargi przesuwały się wciąż niżej i niżej, teraz delikatnie dotykał ustami jej uda, kęsając ją leciutko, a ona dyszała bezsilnie... Byłoby to może krępujące, gdyby nie to, że Roberta już zapomniała, co to za uczucie, nawet gdy Damon rozsunął jej nogi i ułożył się pomiędzy nimi, jak człowiek, dla którego liczy się tylko jedno: jej rozkosz.

Poddała mu się całkowicie w chwili, gdy dotknął językiem jej kobiecości. Damon może nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Roberta zagubiła się w rozpalonym śnie, w którym lizaly ją języki ognia. Zaciskała palce na pościeli i już nie oddychała, tylko łkała. Nagle Damon przerwał.

Przerwał!

– Zapomniałem poprosić o pozwolenie, żeby pocałować cię w tym miejscu – powiedział, drażniąc palcem wyjątkowo czuły punkt.

– Tak – wyjęczała. Ach, wróciło to cudowne uczucie, Roberta wspinała się na jakąś stromą górę, dążyła ku...

Znowu przerwał.

– Bardzo przepraszam, Roberto. Zapomniałem zapytać o to miejsce. – Jego kciuk potarł inny wrażliwy zakamarek jej ciała.

– Och, tak! – wykrzyknęła.

Uczucie narastało w niej, jak wiatr przed burzą. Wiła się pod jego dłonią i dyszała, łapiąc powietrze otwartymi ustami. Położył drugą rękę na jej piersi i wtedy pękła w niej jakaś tama, i rozkosz w niej eksplodowała. A on wciąż ją pieścił, nie przestawał – krzyknęła głośno, dając się unieść fali słodczy jeszcze raz, i jeszcze.

Powoli otworzyła oczy. Damon klęczał nad nią.

– Och, ty – powiedziała bezradnie.

– Podobało ci się? – Spoglądał na nią roześmianymi oczami i nagle zalał ją ogrom emocji, których nie miała ochoty analizować, a które każały jej objąć go za szyję ramionami i ucałować.

Krzepkie ciało Damona przyłgnęło do niej i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że ciało kobiety jest wymarzoną kolebką dla ciała mężczyzny, że jej jedwabista, ciepła miękkość idealnie pasuje do jego naprężonych mięśni.

I oto znalazł się tam... w tym miejscu...

– Roberto – wydyszał chrapliwie. – Mogę?

Wszelkie myśli o niedawnej kąpieli uleciały jej z głowy.

– Tak – szepnęła, obejmując dłońmi jego twarz. – Tak.

Oczy mu pociemniały i wszedł w nią, jednocześnie pocałunkiem tłumiąc okrzyk Roberty.

Damon nigdy nie doświadczył nic podobnego. W jego życiu nie brakowało przygód miłosnych, ale nigdy dotąd nie czuł się tak, jak w tej chwili, kiedy kochał się z Robertą. Z całych sił uczepliła się jego ramion, jak gdyby był jej wybawcą w obcej krainie. Może zresztą tak właśnie się czuła.

Wiedział tylko, że Roberta oddycha szybko, niemal łkając, i że ten dźwięk sam w sobie wystarczyłby, żeby pozbawić go kontroli. Nie trzeba było nawet ciasnej, jedwabistej obręczy jej ciała. Ale tym razem Damon miał jeden cel: opanować się do końca.

I tak też zrobił.

Wsuwał się w nią – raz mocno, raz lekko, to pod tym, to pod innym kątem, słuchając jej jęków, westchnień i okrzyków, a wreszcie i błagań. Kiedy jego wspaniała, dumna Roberta zaczęła go błagać, objął dłońmi jej pośladki i mocniej przyciągnął do siebie, podsycając płomień namiętności. W piersiach czuł ogień, całe jego ciało domagało się spełnienia, ale powstrzymywał się jeszcze, by ją pierwszą doprowadzić do krawędzi. Gdy nadszedł ten moment, patrzył, jak Roberta szeroko otwiera oczy i zaciska dłonie w jego włosach, jak jędrnymi piersiami przywiera do niego, jak wspina się ku szczytowi... ku spełnieniu.

A on wciąż jeszcze nie stracił kontroli, choć musiał zaciskać zęby i dyszał, jak ogier po długim wyścigu.

Pozwolił jej wytchnąć przez chwilę... dopóki nie otworzyła oczu. Zobaczył w nich zachwyty i ziarenko radości.

– Zapomniałem – powiedział.

– O czym zapomniałeś? – Na dźwięk zmysłowo niskiego głosu Roberta Damon drgnął w jej wnętrzu i musiał stoczyć kolejną cichą batalię z samym sobą.

– Zapomniałem, że chciałem ci coś pokazać – odrzekł.

Wyśliznął się z niej, jęcząc w duchu, podniósł jej bezwładne ciało, odwrócił ją na brzuch i zsunął z łóżka, tak że palcami stóp dotykała podłogi. Obszedł ją dookoła i uklęknął za nią.

– Och – zdziwiła się Roberta.

A potem otarł się o nią i wsunął do jej jedwabistego wnętrza.

– Och! – Pojęła.

Damon nic nie odpowiedział. Nie był w stanie. Mógł już tylko zanurzać się w niej raz po raz, pieszcząc dłońmi jej piersi i lubując się widokiem krągłych pośladków. Policzył do czterdziestu, a potem jeszcze raz do czterdziestu, aż w końcu Roberta powoli zaczęła poruszać się wraz z nim, wyginając się i prężąc ku niemu i – nareszcie! – usłyszał znowu te jej ciche łkania i westchnienia, i wiedział już, że niczego innego nie pragnie słuchać do końca życia.

Rozumiała już teraz, co ma robić; poruszała pośladkami do tyłu z taką samą siłą, z jaką on parł do przodu; Damon dążył tylko do jej rozkoszy, dopóki Roberta nie krzyknęła znowu, dygocząc na całym ciele.

A jednak nadal nie stracił kontroli, bo chciał na nią patrzeć tym razem, tym pierwszym prawdziwym razem. Odwrócił ją znowu na plecy i wsu-

wał się w nią, tam, gdzie było jego miejsce. Teraz już się nie powstrzymywał. Zawładnął jej ustami w pocałunku równie dzikim i zaborczym, jak pchnięcia jego bioder. Roberta wplotła mu dłonie we włosy, a on już nic nie słyszał, bo krew dudniła mu w uszach, więc tylko wydyszał jej imię, raz po raz wdzierając się w jej ciało. Wypełniając ją do końca; nie było słów, by opisać tę powódź uczuć, która się przez niego przetoczyła.

Na dłuższą chwilę w pokoju zaległa cisza.

– Wychodzisz za mnie za mąż – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Roberta nie odpowiedziała. Wtuliła twarz w ramię, którym ją obejmował, i błogo westchnęła.

– To tak dla twojej wiadomości – dodał.

Ale ona już spała.

33

18 kwietnia

Pojedynek szachowy Villiers/Beaumont,
dzień siódmy

Kiedy Roberta się obudziła, była sama.

Patrzyła na zasłony otaczające łóżko. Nie chciała teraz myśleć o poważnych sprawach, takich jak jej ślub z Villiersem. Woląta snuć o Damonie... o jego dużych dłoniach obejmujących jej piersi, wsuwających się pomiędzy jej nogi i... o całej reszcie.

Nagle obudziła się znowu i zorientowała się, że serce jej dudni, a w piersiach czuje przyjemne mrowienie – i na pewno za moment pojawi się pokojówka, żeby odsunąć zasłony.

Czuła się idiotycznie szczęśliwa. Nawet poetycko rozmarzona. Co było na tyle zaskakujące, że zmuszało ją do zastanowienia się, czym właściwie jest poezja.

Zeszła na śniadanie, a w jadalni zastała swojego ojca wraz z **Teddym**. Ojciec spojrzął na nią i powiedział na powitanie:

– Pani Grope wybrała się dziś w odwiedziny do przyjaciół z teatru. A panicz Teddy właśnie mi pokazuje swoją kolekcję kamieni.

Roberta usiadła obok Teddy’ego. Przed nim na stole leżał rząd kamieni, zwykłych, brudnych kamieni, które można znaleźć wszędzie.

– Bardzo ciekawe – powiedziała zyczliwie.

Rzucił jej poirytowane spojrzenie, a wyglądał przy tym zupełnie jak Damon.

– To nie te kamienie są ciekawe – wyjaśnił. – Liczy się to, skąd się wzięły.

Przyjrzała im się uważnie i zaryzykowała domysł.

– Z Persji?

– Z West Smithfield! – oznajmił tryumfalnie.

– Tak, poproszę jajka, dziękuję bardzo. – Roberta zwróciła się do lokaja. – A co ciekawego jest w West Smithfield?

– Tam wylądowała syrena. I te kamienie są właśnie stamtąd.

– Dziękuję – powiedziała Roberta, biorąc również tosta. Była tego ranka dziwnie głodna.

– Panicz Teddy i ja zastanawialiśmy się, czy nie pojechać i nie zobaczyć tej syreny – odezwał się jej ojciec. – Masz ochotę się z nami wybrać, kochanie? Teddy mówi, że można ją obejrzyć na targu w Smithfield. Nigdy nie widziałem syreny, choć oczywiście pamiętam przestrogi Homera, że te stworzenia mogą być niebezpieczne.

– Ona mówi wierszem, Rummer mi powiedział – wtrącił się Teddy.

– Rummer powiedział mi, że ona mówi wierszem – poprawiła go Roberta.

– Prawdziwa syrena! – Teddy miał oczy jak dwa spodki. – Byleby papa już się obudził. Jemu na pewno się to spodoba.

Właśnie w tej chwili Damon wszedł do jadalni. Robercie mocniej zabiło serce i poczuła, że się rumieni. Schylił się i pocałował Teddy’ego w głowę. – A ty dlaczego nie jesteś w swoim pokoju?

– Niania się pochorowała – wyjaśnił Teddy. – Mówi, że żołądek jej się wywraca na lewą stronę i – tu zrobił oburzoną minę – że to wszystko moja wina!

– Dlaczego? – Damona zupełnie nie wzruszyły te rewelacje z dziecięcego pokoju.

Usiadł po lewej ręce Roberty, nawet na nią nie patrząc, ale w tej samej chwili poczuła, że jego muskularne udo dotyka jej nogi. Roberta

zjadła jeszcze trochę jajek. Tak nie może być, uznała. Nie da rady przetrwać posiłku z sercem, które wali jak oszalałe. Było jej tak gorąco, jakby stała nad kotłem z gotującą się wodą.

Ale tak właśnie wyglądała reszta dnia. Wybrali się obejrzyć rymującą syrenę i choć Damon na pozór nie zwracał na Robertę uwagi, a z pewnością nie na tyle, żeby jej ojciec to zauważył, to wciąż jej dotykał. Kiedy wchodziła do powozu w ślad za Teddym, ciepła dłoń objęła jej pośladki. W powozie siedziała obok Damona; jakimś cudem jego ręka znalazła się za jej plecami i przez całą drogę ukradkiem ją głaskał.

Na targu w Smithfield był tłok.

– Sprzedają tu przede wszystkim konie – powiedział Damon pogodnie.

– Naprawdę? – zdziwił się ojciec Roberty. – To dobre miejsce, żeby kupić konia? Zawsze myślałem, że najlepiej kupować w Tattersall’s.

– I słusznie pan uważał. Smithfield to nie jest dobre miejsce na takie transakcje. Niektórzy sprzedawcy farbują starym koniom sierść i zarzekają się, że to roczne źrebaki.

– Phi. – Ojciec Roberty, oburzony, przyspieszył kroku i wyprzedził towarzystwo.

Roberta poprawiła swój parasol od słońca.

– Widać już syrenę? – dopytywał się Teddy.

– Markiz na pewno pierwszy do niej dotrze – odparł jego ojciec. – Spróbuj go dogonić.

Teddy puścił się biegiem naprzód, a Damon w tejże samej chwili obrócił Robertę i ją pocałował. Zaskoczona otworzyła usta, a on zaraz wykorzystał okazję, wsuwając język między jej wargi. Pocałunek nabrał intensywności, był zarazem zachłanny i nieśpieszny. Damon przytulił ją do siebie bez skrępowania, zupełnie jakby nie stali na środku zatłoczonego rynku, otoczeni ludźmi przepychającymi się w stronę końskich zagród.

– Przecież ludzie patrzą!

– A więc zrobimy dla nich przedstawienie – odparł z uśmiechem w głosie.

Roberta zamrugnęła i rozejrzała się dookoła. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na parę pomylnych arystokratów całujących się na środku placu.

Wystarczyło, że spojrzała mu w oczy, a już czuła głód pocałunków. Głód... któremu nie przeszkadzało to, że ludzie będą się gapić. Który...

Stała na palcach i pocałowała go.

Jakiś przechodzień przepchnął się obok, a minawszy ich, spojrział przez ramię i syknął:

– Znajdźcie sobie jakiś cichszy ką!

Damon, rzecz jasna, wybuchnął śmiechem, jednak Roberta nawet nie mrugnęła.

– Miałam nieposkromioną chęć, żeby cię pocałować – szepnęła.

Damonowi rozbłysły oczy, ale tylko pokręcił głową.

– Wystarczy na razie pocałunków. Różne bywają przedstawienia, a ja mam dziś na sobie mocno wycięty francuski frak.

Zmarszczyła brwi, podążając za jego spojrzeniem. Rzeczywiście, frak był wycięty w piękny łuk, odsłaniając dwanaście perłowych guziczków u kamizelki, spodnie... i nie tylko.

Już otwierała usta, ale zniemacka Teddy rzucił się na nich jak mały huragan.

– No, chodźcie! – krzyknął. – Co tu tak długo robicie? Syrena jest na łodzi!

– Na łodzi? – Roberta dała się pociągnąć naprzód. – Przecież jesteśmy na lądzie.

– To co? Ona i tak ma swoją łódź.

I rzeczywiście miała łódź. A raczej mały domek w kształcie łodzi, pomalowany na wyblakły niebieski kolor, z napisem z boku, który głosił: „Rymująca syrena”. Na zewnątrz ustawiła się niewielka kolejka, a zwalisty jegomość co parę minut wpuszczał do środka następną osobę.

– Jak oni się tam wszyscy mieszczą? – zdziwił się Teddy.

– Wychodzą tylnymi drzwiami – wytłumaczył mu Damon.

Roberta zauważyła, że kolejka składa się wyłącznie z mężczyzn.

– Damon, idź i zapytaj tego człowieka przy drzwiach, czy syrena jest stosownie przyodziana, żeby mógł ją oglądać mały chłopczyk – powiedziała.

Damon spojrział w dół na Teddy’ego, jak skacze, szalenie podekscytowany, na jednej nodze.

– Chyba żartujesz. Nie możemy się już wycofać, nawet jeśli nie miałaby na sobie nic poza rybią łuską przyklejoną do palca u nogi.

– Owszem, możemy. – Ton Roberty był nieubłagany.

Toteż Damon, jak niepyszny, poszedł zagadnąć odźwiernego.

– Dokąd idzie papa? – zapytał Teddy. – A dokąd poszedł twój papa?

Ojciec Roberty stał przed namiotem z napisem: „Alfred Atleta, niedźwiedź, który robi sztuczki”. Odwrócił się i pokiwał do niej ręką.

– Potrafi dmuchać w gwizdek i tańczyć – zawołał.

Teddy znalazł się przy nim w ciągu sekundy, więc Roberta weszła za nimi do namiotu. Smród niedźwiedzia był jednak nie do zniesienia, toteż natychmiast się wycofała, wpadając prosto na Damona.

Objął ją od tyłu.

– To mi się podoba – powiedział i przyciągnął ją mocniej do siebie.

– A twój wycięty frak? – zapytała, odsuwając się trochę.

– Są rzeczy, nad którymi dżentelmen nie potrafi zapanować – odpowiedział. – Trzeba ci było mnie widzieć, kiedy miałem mniej lat.

– Naprawdę? A dlaczego?

– Na przykład w wieku czternastu lat.

– Czy to nie wtedy panna Kendrick zaczęła ci przysyłać perfumowane listy?

Pokiwał głową, a jeden z brązowych kędziorów opadł mu na oczy.

– Nie miałem absolutnie żadnej kontroli nad swoim ciałem.

– Chodzi ci o... – Jej wzrok ześlizgnął się ku przodowi spodni Damona.

Znowu przytaknął.

– Gdyby ktoś mi wtedy powiedział o rymującej syrenie, zaraz bym pomyślał o odkrytych piersiach tejże syreny i byłbym podniecony przez następną godzinę. Może pobawimy się później w syreny? – Uśmiechnął się do niej lubieżnie.

Odwzajemniła uśmiech, ale przypomniawszy sobie, po co go wcześniej wysłała.

– A co z tutejszą syreną? Jest odpowiednio ubrana?

– O, tak – odparł Damon. – Ów jegomość poinformował mnie, że wyłowiono ją z morza dwadzieścia dwa lata temu i od tamtej pory ciągle rymuje. Nawet się trochę obraził za posądzenie, że syrena mogłaby nie nadawać się dla dzieci, i powiedział, że jest córką pastora. W to akurat wątpię, ale wydaje mi się, że gdybym to ja był trzydziestoletnią syreną, to też bym sobie poszukał jakichś praktycznych wodorostów, żeby co nieco zasłonić. Teddy jest tam w środku z niedźwiedziem?

– I z jego smrodem – odrzekła Roberta.

Nagle z wnętrza namiotu głośno i wyraźnie dobiegł głos jej ojca.

– Panie Clay, czy chce pan przez to powiedzieć, że głodzi pan tego niedźwiedzia, kiedy jest nieposłuszny?

– Ale ja tylko czasem nie daję mu kolacji – bronił się właściciel.
– A poza tym, on zaraz wie, proszę pana, co zbroił. Taka to sprytna bestia, zupełnie jak pies. I prawie wcale nie trzeba go bić...

– Pan bije to zwierzę? – Głos markiza wzniósł się do krzyku.

Ludzie z kolejki przed chatką syreny zaczęli się ciekawie oglądać, a kilku nawet podeszło bliżej. Roberta po omacku odnalazła dłoń Damona, ale jakoś nie odczuwała zwykłego wstydu i upokorzenia, że zaraz ojciec znowu zrobi z siebie pośmiewisko.

Chwilę później markiz wypadł z namiotu, a za nim jakiś wychudzony jegomość, przypuszczalnie pan Clay.

– Nie zniosę tego smrodu ani chwili dłużej – powiedział ojciec Roberty. – Ani jednej chwili. Pomyśleć tylko, jak się musi czuć to biedne zwierzę, proszę pana, skoro na wolności siedziałoby sobie na czubku drzewa i oddychało wyłącznie zapachem błękitnego nieba!

Jak na komendę, wszyscy spojrzeli w górę.

– Robię, co mogę – powiedział płacząco pan Clay.

– Widać to nie wystarczy! – grzmiał markiz. – Albo mi się pan wytłumaczy, albo niedźwiedź trafi w moje ręce.

Przerywając nieskładną jakaninę pana Claya, markiz wyciągnął z kieszeni garść złotych monet i tym sposobem Alfred Atleta zmienił właściciela.

– Przyślę po niego jutro – oznajmił władczo markiz. – I lepiej dla pana, panie Clay, żeby był pan w domu razem z niedźwiedziem, bo inaczej doniosę na pana władzom!

Uszczęśliwiony pan Clay wpatrywał się w złoto, które trzymał w ręku.

– Mogę spokojnie wrócić z tym do domu – powiedział. – Będę tam czekać na pana, milordzie, razem z Alfredem.

– Dam ci więcej takich monet, jeśli znajdziesz mi jakiś wóz, na którym będę mógł go przewieźć do swojego majątku.

Damon nachylił się w stronę Roberty i szepnął jej na ucho.

– Ile już macie w domu niedźwiedzi?

– Żadnego – odparła.

– Aha.

– Mamy za to dwie sarny, które miały być łosiami, ale okazało się, że poroże jest przyklejone. Strasznie to biedactwom ciążyło, jak możesz sobie wyobrazić. I jest też kilka kaczek grenlandzkich...

– Kaczek grenlandzkich? – Damon nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Cicho bądź! Papa cię usłyszy. Są trochę dziwaczne i sądzimy, że to jakiś egzotyczny gatunek kury, bo nie potrafią pływać. Na początku papa wrzucił je do jeziora i tylko błyskawiczna akcja ratunkowa stajennego uratowała im życie.

Znów zawrócili do „łodzi” syreny. Markiz dyskretnie wsunął kilka monet w dłoń odźwiernego.

– To pirat! – Teddy’emu wyrwał się pełen podziwu okrzyk.

Kiedy wchodzili przez niskie drzwi łodzi, Damon musiał pochylić głowę. Wewnątrz oczekiwała ich syrena.

Była to całkiem niebrzydka dziewczyna o długich złotych włosach i słodkiej twarzyczce. Jej lśniący zielony ogon był owinięty rybacką siecią, w której tu i ówdzie utkwily muszle. W odróżnieniu od typowych wyobrażeń morskich syren, ta miała na sobie wykrochmalony biały gorset, który zasłaniał miejsce, gdzie zaczynał się ogon. Właściwie, nawet wyglądała jak córka pastora. Oczywiście, nie licząc ogona.

Teddy śmiało pomaszerował wprost do niej.

– Mogę cię o coś zapytać?

Syrena skinęła głową i uśmiechnęła się miło.

Odpowiem najlepiej, jak umiem,

Lecz nie wiem, czy wszystko zrozumiesz.

Markiz zaczął się kiwać na piętach, co stanowiło u niego widomą oznakę zadowolenia.

– Przyjaźnisz się z rybami? – zapytał Teddy.

Z przyjaciółmi-rybami bawiłam się co dzień,

Z rekinem płasalam po morza dnie.

Razem radośnie bawiliśmy się w wodzie,

Nim królewski okręt nie złowił raz mnie.

– Rekin! – Oczy Teddy’ego były całkiem okrągłe. – A ja myślałem, że rekiny to potwory z głębin, które zjadają wszystko, co spotkają na swojej drodze.

Czyżeś spotkał rekina, o dziecię piasków?

Mniemam, żeś go widział tylko na obrazku.

Teddy pokreślił główką.

– Strasznie bym chciał poznać rekina – wyznał, podchodząc bliżej.

– Jak długo mieszkasz już w tej łodzi, o córko morza? – zapytał markiz. Ręce miał założone za plecami i twarz rozjaśniał mu uśmiech.

– Twojemu ojcu przypadł chyba do gustu rymotwórczy talent naszej syrenki – mruknął Damon Robercie na ucho.

– Możliwe – zgodziła się.

Widowała już u ojca ten wniebowzięty wyraz twarzy. Wtedy, gdy Selina wyskoczyła na scenę wędrownego trupy aktorów, oraz gdy pierwszy raz ujrzała panią Grope, jak dostojnie wychodzi na deski teatru w Bath.

To już dwadzieścia lat, odkąd opuściłam głębin.

Rozmywa się z czasem pamięć mej wodnej dziedziny

I zdaje mi się nawet, że rosną mi kończyny.

– Zgrabnie powiedziane – orzekł Damon.

Odźwierny wetknął głowę przez drzwi i warknął na nich opryskliwie.

– Czas się zabierać. Inni też chcą zobaczyć syrenę.

Markiz zwrócił się do syreny.

Czy piękna syrena skusić by się dała

I w moim ogrodzie trochę popływała?

Zechciej, pani, gorące przyjąć zaproszenie

Na popołudniową herbatkę u... u mnie.

– Oj, oj, milordzie – powiedział Damon. – Ten ostatni rym pozostawia wiele do życzenia.

Ale syrena uśmiechnęła się radośnie, i chyba nawet się zarumieniła. Zamiast jednak odpowiedzieć, popatrzyła na Robertę. Skinęła głową w kierunku swojego ogona, a potem zerknęła na Teddy'ego. Roberta zaraz się zorientowała, że pyta ją w ten sposób, czy Teddy będzie bardzo rozczarowany, jeśli się okaże, że syrena ma nogi.

Robertę uśmiechnęła się do niej.

– Tak tu gorąco – zwróciła się do Damona. – Chyba mam ochotę wracać już do domu. Teddy, pożegnaj się z tą śliczną syrenką.

Teddy skłonił się z bardzo poważną miną.

– Fantastycznie było cię poznać.

Przypominasz mi znajomego rekina o imieniu Emil,

Też miał brązowe oczy, jak ty, o dziecię ziemi.

Teddy znowu się uklonił, Roberta wzięła go za rękę i razem opuścili domek syreny tylnym wyjściem.

– Chciałbym być rekinem – powiedział.

Przez całą drogę powrotną paplał, jak najęty, toteż nawet nie zauważył, że nie ma z nimi markiza. Zorientował się dopiero po powrocie do domu.

Wtedy Roberta wytłumaczyła mu, że jej papa poszedł załatwić transport Alfreda Atlety do swojego domu na wieś.

– Chcę znowu zobaczyć Alfreda Atletę – marudził Teddy.

– Zobaczysz. – Damon uśmiechnął się do Roberty nad jego głową.

– Zobaczysz.

34

19 kwietnia

Pojedynek szachowy Beaumont/Villiers,

dzień ósmy

Robertę przeciągnęła się w łóżku, czując, że całe ciało ma cudownie obolałe, a potem ułożyła się wygodnie, żeby w spokoju pomyśleć.

Miała nad czym się zastanawiać. Poprawiła poduszki, żeby nie było widać, że w jej łóżku spały tej nocy dwie osoby.

Mój narzeczony, książę Villiers, pomyślała, aż przykro, że taka ze mnie płocha istota.

Do pokoju wpadła Ellen i zaczęła się krzątać, zagadując do niej bez przerwy.

– Piknik? – Roberta wychwyciła z jej paplaniny jedno słowo. – A kto się wybiera?

– Oprócz jaśnie pana, oczywiście, wszyscy – powiedziała Ellen. – On już dawno wyszedł do biura.

Robertę zamyśliła się. Piknik nad rzeką Fleet to byłby doskonały sposób, żeby uniknąć skomplikowanego problemu jej zaręczyn.

– Wspaniale – powiedziała, wysuwając nogi z pościeli.

– Jej Wysokość właśnie gra z księciem Villiersem – poinformowała ją Ellen.

Roberta znieruchomiała.

– To znaczy, że książę będzie z nami?

– Naturalnie. – Ellen uśmiechnęła się ciepło. – Pewna jestem, że by sobie tego nie podarował. Pytał o panienkę wczoraj, ale panienka pojechała oglądać syrenę. Czegóż to panicz Teddy nam nie naopowiadał o tej syrenie!

Piknik oznaczał tym razem nie jedną łódź o płaskim dnie, ale cały ich szereg. Roberta bez większego kłopotu wsiadła do łodzi, a Teddy wskoczył w ślad za nią, przyjmując za pewnik, że będą płynąć razem.

– Tyle ci mam do opowiedzenia – trąkotał. – Całe rano rozmawiałem z Rummerem i to cię naprawdę powinno zaciekawić, lady Roberto, odkryłem, co to jest grzebacz bagienny!

Jemma sama zajmowała prawie całą łódź, tak szeroką miała na sobie tiurniurę; nagle rozległy się krzyki, bo laska Villiersa zahaczyła o burtę i książę przewrócił się wprost na kolana Jemmy.

Robercie trudno było się skupić na skomplikowanym wywodzie Teddy’ego o bagnach i grzebaczach, bo miała wrażenie, że Villiers jakoś dziwnie długo nie może się wypłatać z sukien Jemmy. Mimo woli zaczęła się zastanawiać, gdzie też jej narzeczony spędził ostatnią noc. Czyżby mecz szachowy przerodził się w coś bardziej intymnego?

Pani Grope z ponurą miną wsiadła do swojej łodzi. Wszem wobec rozgłaszała, czy kto chciał, czy nie chciał słuchać, że przywykła do znacznie większych łodzi, takich jak te, którymi pływa książę Walii. Roberta miała jednak sporo wątpliwości, czy pani Grope kiedykolwiek znalazła się na łodzi w towarzystwie następcy tronu.

– I bawiliśmy się w zgadywanki, kiedy płynęłam jachtem Jego Wysokości – opowiadała ojcu Roberty. – Nawet wspominałyśmy to wczoraj z dziewczętami w teatrze... – Melancholijnie zapatrzyła się w dal.

Damon usadowił się naprzeciwko Roberty i uśmiechnął się do niej szelmowsko.

– Kokoto-zagadki – szepnął porozumiewawczo.

Roberta zachichotała. Świat był taki piękny, gdy się płynęło łodzią na piknik w towarzystwie przystojnego mężczyzny, który poprzedniej nocy robił z nią takie cudowne rzeczy... Uznała naraz, że pomysł Villiersa był

istotnie godzien pochwały: cnota to takie przestarzałe pojęcie. A więc jednak miał rację!

Uśmiechnęła się szeroko do narzeczonego, gdy mijał ich łódź. Miał bardzo zaskoczoną minę, ale skinął jej głową.

– Nie tak ostentacyjnie – odezwał się Damon. – Uśmiechy, słowa... to dobre dla zwykłych śmiertelników. Wy dwoje powinniście się porozumiewać wyłącznie skinieniami głowy.

Zadarła w górę nos, demonstrując mu w ten sposób, że niewiele sobie robi z jego głupich żartów.

Teddy zaczął opowiadać o jakimś panu Swarthy, który ponoć często przypinał sobie brązowy papier do białych jedwabnych pończoch.

– A wiesz dlaczego, lady Roberto?

Teddy miał w sobie taką rozbijającą szczerłość. I ten jego słodki podbródek: z dołeczkiem, identycznym jak u Damona.

– Nie mam pojęcia – odparła Roberta. – Ja bym sobie nie przypięła papieru do pończoch, a ty?

– Robi tak, kiedy pada deszcz – wytłumaczył jej Teddy. – I jeszcze śpiewa w kawiarni *O, piękna Doryndo*, ale nikt tego nie lubi.

Płynęli wolno w dół rzeki. Dziś woda była jakby senna, zielonkawa i lśniąca od promieni słońca.

– Woda tak pluska, jakby rozmawiały małe dzieci – odezwał się Teddy.

– Myślę, że zostaniesz kiedyś pisarzem – powiedziała Roberta, wsłuchując się w sennie pomruki wodnych dzieci.

Twarz Teddy’ego rozjaśniła się uśmiechem; wsunął wilgotną rączkę w jej dłoń w rękawicze. Roberta popatrzyła na jego pulchne paluszki, a potem zdjęła rękawiczkę i na nowo ujęła rączkę chłopca.

Z przodu dobiegły ich piski pani Grope, bo do ich łodzi podpłynęła rodzina kaczek. Przez moment nie wiadomo było, co się dzieje, ale zaraz wszystko się wyjaśniło. Oto ojciec Roberty dobrał się do koszyka z jedzeniem i karmił kaczki kanapkami z ogórkiem.

Jemma i Villiers nawet nie podnieśli wzroku. Villiers miał ze sobą kartkę i oboje coś na niej bazgrali ołówkiem, rozmawiając cicho. Jemma nagle wyrwała mu kartkę i szybko coś napisała.

Damon podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Omawiają partię szachów – wyjaśnił. – W sypialni Jemmy pełno jest zawsze takich karteluszków, na których rozpisuje sobie fikcyjne rozgrywki.

- Jak, na litość boską, można zapisać grę w szachy?
- Za pomocą takich śmiesznych robaczków – tłumaczył. – Na przykład Wa4 oznacza, że przesuwasz wieżę na pole a4.
- Będziemy dzisiaj pływać? – dopytywał się Teddy.
- Ty w każdym razie będziesz pływać – odpowiedział mu ojciec.
- Phillips, ten lokaj, który wiosłuje w łodzi markiza, był tak miły, że obiecał się tobą zająć. Wyszadzimy cię dalej, na mieliznach.

Teddy krzyknął z radości i podskoczył, przez co omal nie wyrzucił łódki; całe szczęście, że miała płaskie dno. Parę minut później Damon przekazał synka wesoło uśmiechniętemu lokajowi.

– Czy dzisiaj dopłyniemy do końca rzeki? – zapytała Roberta, gdy Damon znowu usadowił się w łodzi.

Kiedy płynął z nimi Teddy, było jakoś łatwiej, ale teraz czuła dziwny niepokój, bo oto zostali sami... sami, może oprócz lokaja, który wprawiał w ruch ich łódź za pomocą długiego drąga. No i oprócz jej ojca, który w łodzi przed nimi właśnie recytował poemat o rybach i płetwach.

Damon wyciągnął się obok niej z niedbałym wdziękiem i nic nie odpowiedział. Podniósł tylko jej nagą dłoń i pogładził kciukiem nadgarstek, a ten delikatny dotyk wystarczył, by jej krew zamieniła się w płynne złoto. Obawiała się spojrzeć na niego, więc skierowała wzrok przed siebie, na cienie drzew biegnące po obu stronach łodzi, na rozbłyśki światła na powierzchni wody.

Roberta włożyła dziś muślinową suknię w kolorze wiśniowym; była to jedna z kreacji pani Parthnell, co oznaczało, że została uszyta nadzwyczaj prosto i nie miała tiurniury. Włosy związała wysoko, w kaskadę drobnych loczków i lekko uczerniła sobie rzęsy. Czuła się tak ładna, jak jeszcze nigdy dotąd.

– Czym ty się właściwie zajmujesz na co dzień? – zapytała pod wpływem nagłego impulsu. Raptownie zapragnęła wiedzieć o nim wszystko: co jada na śniadanie, jak nazywa się jego koń, gdzie spotyka się z przyjaciółmi.

– Wtedy, kiedy akurat nie kocham się z tobą? – odparł półgłosem, żeby służący nie usłyszał.

Ale na jej twarz i tak wypłynął ognisty rumieniec, jakby za długo przebywała na słońcu.

– Przestań!

Zaśmiał się cicho, a Robercie zabrakło tchu w piersi, gdy usłyszała ten niski, gardłowy dźwięk.

– Posiadam różne nieruchomości.

Pokiwała głową, próbując skupić się na rozmowie o nieruchomościach. Naturalnie, że miał swoje ziemie. To tak, jak tych jedenaście jałbonek jej ojca: Damon na pewno ma jakiś majątek. W końcu jest hrabią. Zaraz jednak myśl o majątku ziemskim gdzieś odpłynęła, a na jej miejsce pojawiło się wspomnienie ubiegłej nocy, tego, jak gładka i rozgrzana była męskość Damona w jej dłoni.

– Widzisz, to jest tak – mówił. – Nigdy nie przepadałem za szachami, ale za to spodobały mi się rozgrywki, w których używa się pieniądza.

– Mhm – odparła, zerkając na niego spod oka.

Jeden kącik jego ust uniósł się w leniwym uśmiechu.

– Dlaczego mam wrażenie, że niezbyt cię interesują moje finansowe rozrywki?

– Ależ bardzo mnie interesują – zapewniła. Ale już czuła, że poróżnił jej dekolt. Rumieniec rozlał się niżej, aż do miejsca, gdzie gors sukni łączył się ze spódnicą.

– Jeśli nie przestaniesz tak na mnie patrzeć, to cię pocałuję – zagroził.

Ale jak ona mogła przestać patrzeć? Jego zielone oczy były takie fascynujące. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, by między jej nogami rozlało się cudowne ciepło. Z ust Robercy wyrwało się coś pomiędzy śmiechem a westchnieniem.

– Niech to szlag – zaklął i na króciutką chwilę dotknął jej policzka grzbietem dłoni. Nagle przeciągnął się, wyrzucając ramiona daleko do tyłu. Niestety, lokaj za ich plecami, który nadawał bieg łodzi, niezbyt pewnie utrzymywał równowagę na niewielkiej platformie na rufie.

Roberta nawet nie zdążyła mrugnąć, jak mignęła jej przed oczyma czerwona liberia lokaja i rozległ się plusk. Zimna woda chlusnęła do wnętrza łodzi, zalała muślinowy baldachim i ochlapała jej sukienkę. Krzyknęła ze strachu, ale Damon już stał na dnie łodzi i wychylał się przez burzę.

– Nie mogę cię wciągnąć do środka, bo się wywrócimy do góry dnem – krzyknął do służącego, który brodził po szyję w wodzie i odgarniał przyklejone do czoła włosy. – Lepiej płyn do brzegu i wracaj do domu.

Lokaj zagulgotał, że rozumie, i zdołał podać Damonowi długą tyczkę. Damon wskoczył na platformę na rufie i pchnął łódź naprzód.

– Nie wiedziałam, że to potrafisz – powiedziała Roberta, która siedziała teraz twarzą do niego, a plecami w kierunku biegu rzeki.

Damon posuwał łódź naprzód długimi, płynnymi ruchami.

– Co potrafisz? Wrzucać służących do wody czy sterować łodzią?

Tak się śmiała, że ledwo mogła oddychać. Dwie pozostałe łodzie, daleko przed nimi, zniknęły właśnie za zakrętem rzeki.

– Czy umówiliśmy się z nimi, że się spotkamy w jakimś miejscu? – zapytała.

– Nie, nie umówiliśmy się.

Przez chwilę przyglądała się, jak popycha łódź mocnymi, posuwistymi ruchami.

– Damonie, kto jest matką Teddy’ego? – zapytała nagle. – Mówiłeś mi już, dlaczego wziąłeś go do siebie... ale kim była jego babka, która ci go przyniosła? Czy Teddy jest dzieckiem twojej kochanki?

– Nie mam kochanki. – Odrzucił z czoła krnąbrny kosmyk włosów, który opadał mu na oczy. – Już od ponad pięciu lat.

– I Teddy ma właśnie pięć lat, więc...

– Nieprawda, Teddy ma sześć lat. Odprawiłem kochankę już po tym, jak Teddy zamieszkał w moim domu. Ale ona nie jest jego matką.

Spojrzała na niego.

– Nie mogę ci powiedzieć, kto to jest – powiedział wreszcie. – Obiecałem, że nikomu nie zdradzę tajemnicy.

– Ach, tak. – Roberta była bardzo rozczarowana. – Ale ja umiem zachować sekret.

Wyciągnął tyczkę z wody i w powietrzu zaśnił łańcuch kropelek, jak iskrzące się diamenty.

– Rzecz jasna, mojej żonie bym powiedział – odrzekł niezobowiązująco.

– Ach, tak – powiedziała znowu Roberta. Ale tym razem zabrzmiało to trochę inaczej.

Dno łodzi o coś uderzyło i Roberta się wystraszyła.

– Wpłynąłeś na mieliznę – wykrzyknęła. I zaraz się zreflektowała.

– Nie krytykuję cię oczywiście.

Prąd zniósł ich pod konary ogromnej płaczącej wierzby, zwieszającej się nisko nad rzeką i nurzającej gałęzie w wodzie. Przez wąskie liście

przeświecały promienie słońca i na wodzie wokół łodzi rozgrywał się urokliwy spektakl światłocienia.

Damon z całej siły wbił tyczkę w dno rzeki i uwiązał do niej linę.

Roberta milczała. Właściwie cała rzeka jak gdyby wstrzymała oddech. Nie słychać było żadnych dźwięków, poza leniwym pluskaniem wody i dalekim śpiewem skowronka.

– Nasza łódź wpłynęła na mieliznę – powiedział Damon, spoglądając na nią tak wymownie, że poróżowiła jeszcze mocniej.

– Właśnie widzę.

– Co za pech. Chyba będę się musiał rozebrać, żeby ocalić nas przed zatonięciem.

– Naprawdę?

Ściągnął frak.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała, śmiejąc się beztrzesko.

– Rozbieram się.

Jego oczy śpiewały pieśń w języku, który dopiero poznała, a jednak bezbłędnie go rozumiała.

– Nie pójdziesz w moje ślady?

– Ja? – zachnęła się. – Mam się rozbierać na środku rzeki, siedząc w spacerowej łodzi?

– Ciesz się, że ta łódź ma płaskie dno. – Damon usiadł na podwyższeniu z tyłu, żeby zdjąć buty.

– Ty chyba żartujesz – powiedziała Roberta, przekonana jednak w głębi duszy, że on wcale nie żartuje. – Skąd wiesz, czy ktoś akurat nie będzie tędy przepływał?

– Bzdura! Prawie nikt nie pływa tą rzeką, bo ona donikąd nie prowadzi. Zaccumowaliśmy przy kolejnym krowim pastwisku. Na tym są nawet krowy, a więc pewnie i świeże krowie placki. Toteż mało prawdopodobne, żeby to miejsce skusiło jakichś amatorów pikniku.

– Nie da się zaprzeczyć – mruknęła pod nosem.

Zdjął koszulę i Roberta znowu mogła się rozkoszować widokiem naprężonych mięśni i gładkiej skóry połączanej słońcem, malowanej cieniem liści...

Nieświadomie wyciągnęła rękę i znieruchomiała w pół gestu.

– Nie mogę tego zrobić! – wykrzyknęła. – A jeśli nas ktoś zobaczy?

– Nie zobaczy – przekonywał, a jego głos upajał ją jak wino. Już był obok niej i układał poduszki na dnie łodzi. Powoli rozwiązywał tasiemki

jej sukni i stopniowo oswoiła się z tą cienistą alkową, jaką tworzyły gałęzie wierzby.

– Jeśli usiądziemy na dnie – szeptał – to od pasa w dół nie będzie nic widać. A jak się położymy, to w ogóle nikt nas nie zobaczy. Myślisz, że inni tego nie robią? – Przekornie uniósł brew.

– Nie! – zaprotestowała, ale Damon właśnie zdjął z niej sukienkę; nie zwracał sobie głowy ściąganiem gorsetu, tylko wsunął dłonie pod halkę, odnajdując jej najwrażliwsze miejsca, sprawiając, że przywarła do niego całym ciałem.

Położył się na dnie łodzi i przyciągnął ją do siebie. Roberta przestała już się bronić – bo i przed czym tu się bronić? – i z lekkim okrzykiem opadła na niego; jej miękkie ciało spotkało się z jego twardym, umięśnionym, rozpalonym požądaniem. Rozwiązywał tasiemki gorsetu, jednocześnie ją całując, mocno, głęboko, aż zaczęła ocierać się o niego i wzdychać z rozkoszy.

Jedną ręką sięgnął pomiędzy jej nogi i poruszał palcami w leniwym rytmie pluskającej wokoło nich wody. Roberta już zapomniała, że są na dworze. Panująca wokół cisza sprawiała, że jej okrzyki i niskie, gardłowe jęki Damona ginęły w przestrzeni – ich łódź była odcięta od świata, jakby była zamkniętą sypialnią. Przez niewidzialne ściany przenikał jedynie śpiew skowronka, który wznosił się w niebo, coraz wyżej i wyżej.

– Pieść mnie – poprosił, biorąc w usta jej sterczący sutek spragniony jego dotyku.

Wykrzyknęła cicho i na oślep zaczęła wodzić dłońmi po jego ciele, dotykając go to tu, to tam, muskając gładką krągłość ramienia i umięśnione plecy. Zupełnie nie mogła się skoncentrować, kiedy Damon robił to, co akurat robił, więc po prostu przylgnęła do niego całym ciałem.

– Teraz możesz mnie pieścić – powiedział jakiś czas później zduszonym głosem.

Musiał to powtórzyć dwukrotnie, żeby w zamglonym rozkoszą umyśle Roberty zrodziło się zrozumienie. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

– Chcesz, żebym...

– Pieść mnie. Uwielbiam, kiedy mnie pieścisz, Roberto. Nigdy i z nikim nie było mi tak dobrze, jak z tobą. – Jego oczy tak pociemniały, że już nawet nie były zielone. W półcieniu pod gałęziami wierzby wydawały się prawie czarne.

Roberta odsunęła się, uklękła i przyjrzała mu się uważnie. Leżał rozpostarty przed nią, jak królewska uczta. Łódź była z ciemnego drewna wygładzonego przez upływ lat. Na jej tle Damon wyglądał jak rzeźba z marmuru, cały złocisty i ciepły: długie, mocne uda, płaski brzuch i umięśniony tors. Zaczęła od niego, dotykając go samym koniuszkiem palca. Pochyliła się nad nim ostrożnie, przesuając dłonie z jednej płaszczyny mięśni na inną. Zadygotał, kiedy dotknęła jego piersi, i jęknął głośno, gdy musnęła go językiem. Usiadła, zerkając w dół...

– O, nie – powiedział ochryple. – Tego bym nie wytrzymał, na pewno nie w łodzi.

Zachichotała, uwalniając śmiech, który w niej narastał. Oto klęczała w łodzi, ubrana tylko w cienką płócienną hałeczkę.

– A teraz chcę, żebyś pieściła sama siebie – powiedział, patrząc na jej piersi.

Zarumieniła się.

– O czym ty mówisz?

Jego uśmiech był słodki, ale jednocześnie szatański.

– Tam, gdzie chcesz, żebym ja ciebie dotykał. – A kiedy się zawahała, dodał: – Błagam.

35

Łodzie wiozące Jemmę i Villiersa oraz markiza wraz z panią Grope płynęły z wolna w górę rzeki. Jemma i Villiers w ogóle nie zwracali uwagi na otoczenie, a lord Wharton układał właśnie w myślach prościutką piosenkę:

Po wiosennej rzece

Wśród zielonych wód

Pluskają łabędzie –

W górę ogon i dziób!

Nie miał złudzeń, że to arcydzieło literatury. Ale piosenka miała przyjemny rytm, a poza tym znał pewną syrenę, której na pewno się spodoba. Zanucił ją sobie pod nosem, potem zaśpiewał ją pani Grope, zanucił jeszcze raz i zabrał się do tworzenia następnej zwrotki.

Dopiero gdy wiersz urósł do sześciu strof, opisujących prócz łabędzi również kaczkę, ważkę, płotki i zimorodki, zorientował się, że stracił z oczu córkę. Co więcej... nie było również tego czarującego brata księżnej. Tego hrabiego, który przy pierwszym spotkaniu zacytował fragment jego utworu i który miał takie przytomne spojrzenie.

Tego brata.

Poprzedniego dnia na targu lord Wharton nie odezwał się ani słowem, ale przecież nie był ślepy. Dobrze widział, w jaki sposób ów brat księżnej spoglądał na jego córkę.

Markiz może i był szalony (przynajmniej taki wydawał się ludziom o pospolitych umysłach), ale nie można powiedzieć, że był głupi. W jednej chwili zerwał się na równe nogi i podniósł krzyk tak potężny, że usłyszeli go nie tylko Jemma z Villiersem w łodzi przed nimi, ale też ludzie na brzegu.

– Moja córka! – ryknął tubalnie. – Została porwana!

Mogłoby się wydawać, że nikt prócz pasących się krów nie usłyszy ojcowskiego lamentu markiza, ale miał wyjątkowe szczęście. Wypłynęli już tak daleko, że na brzegach rzeki rozciągały się letnie ogrody, schodzące aż nad wodę, a jeden z nich należał akurat do pani Trimmer, znanej dawniej jako Selina, a obecnie – jako smakowity kąsek księcia Walii (oczywiście, kiedy nie była zajęta odgrywaniem głównych ról w spektaklach na Drury Lane).

Gdy Selina usłyszała znajomy głos, skoczyła na równe nogi. Wraz z księciem Walii leżeli sobie właśnie na trawie, odpoczywając po obfitym lunchu *al fresco*. Książę miał już za sobą trzy butelki szampana i Selina uznała z żalem, że raczej nie będzie w formie na popołudniowe pląsy w pościeli, a ona za niecałe dwie godziny miała występ w teatrze.

– Marcus! – wykrzyknęła, zbiegając nad wodę.

Za nią książę dźwignął się na nogi, jak nosorożec wylaniający się z błotnej kąpieli.

– Hej! Cóż tam? – zawołał, machając ręką.

Trzech lokajów na wyścigi przebiegło trawnik i pomogło mu stanąć pewniej.

Selina tymczasem już wbiegła na pomost, do którego przycumowana była jej śliczna łódka, „Selina”. Dostała ją od pewnego zagorzałego miłośnika teatru, który miał nadzieję, że tak drogi prezent skłoni jej serce ku niemu. Ale Selina bywała kochanką największych z wielkich

i już nie kierowała się chęcią zysku, dobierając sobie partnerów do łóża. Nauczył ją tego lord Wharton.

– Marcus! – krzyknęła, podskakując nad samą wodą. – To ty! Ale co ty robisz w Londynie, a do tego na rzece?

– Szukam mojej córki! – odwrzasnął markiz. – Selino, ukochana moja!

Selina wciąż jeszcze podskakiwała, kiedy zjawił się książę Jerzy, otoczony rojem służby.

– Hej! Cóż tam? – zakrzyknął.

– Wasza Książęca Mość! – odkrzyknął lord Wharton.

– Do łodzi! – wrzasnęła Selina. – Jakiś łotr uprowadził córkę lorda Whartona! Ruszamy natychmiast.

Książę wdrapał się do łodzi w asyście stada lokajów.

– Pchajcie, a żywo! – rozkazał. – Niech no jeden z drugim podpłyń do tamtych dwóch łodzi, żebyśmy wszyscy ruszyli żwawo.

Bez chwili wahania czterech lokajów wskoczyło do wody i popłynęło w kierunku dwóch pozostałych łodzi. Było przy tym trochę kołysania, gdy dwóch z nich wspinało się do łodzi markiza, zwłaszcza że jeden musiał wrócić do łódki Seliny po wiosła, ale w końcu wszystkie trzy łodzie popłynęły w dół rzeki.

– Nie martw się, znajdziemy ją! – wykrzyknęła Selina. – Roberto, moja maleńka!

– Czy dobrze się znacie z markizem? – zainteresował się książę, a w jego głosie zabrzmiała nutka dezaprobaty.

– Byłam swego czasu opiekunką jego uroczej córeczki, Roberty – odparła Selina. – Ach, słodkie czasy mej niewinnej młodości!

– Wciąż jeszcze jesteś młodzieńcem jak pączek róży – powiedział dwornie książę. Był odrobinę zielony na twarzy, bo łódka dość mocno kołysała. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, i tak dzielnie się trzymał. Selina przytuliła się do jego zwalistego boku i uśmiechnęła się rozkosznie.

– Co byśmy zrobili, gdyby nie nasz ukochany monarcha, który zawsze jest gotów śpieszyć poddanym na ratunek?

– Bzdura – huknął zawstydzony książę.

Jemma i Villiers, wytrąceni z zajmującej rozmowy o najgłupszych szachowych wpadkach, jakie w życiu zdarzyło im się popełnić, nie odczuli się ani słowem, gdy ociekający wodą książęcy lokaje sprawnie

odwrócili ich łódź i pchnęli ją w dół rzeki. Villiers pierwszy ochłonął z zaskoczenia.

– Wydaje mi się, że to właśnie ów palec Boży, na który tak liczyłem.

Jemma spojrzała na niego i zobaczyła, że się uśmiecha.

– Chyba nie myślisz, że Damonowi i Robercie coś się stało? Albo małemu Teddy'emu?

Uśmiech Villiersa na moment przygasł.

– Zupełnie zapomniałem o dzieciaku. – Ale zaraz znowu się rozpromienił. – Pewnie wysadzili go gdzieś po drodze.

– Damon rzeczywiście mówił, że Teddy uczy się pływać.

Villiers miał na twarzy uśmiech człowieka, któremu nagle wróciła wiara w siły nadprzyrodzone.

Nieco dalej w dole rzeki, na szczęście za zakrętem i na razie niewidoczni, Damon i Roberta ubierali się bez pośpiechu. Damon pomógł Robercie włożyć przez głowę suknię i zawiązać ją z przodu.

– Opadłam z sił – westchnęła. – To było cudowne.

W następnej chwili miała już na nogach pantofelki i upinała włosy, choć bez lustra na pewno zrobiła z siebie straszdyło.

– I co teraz robimy? Ciekawe, gdzie się podział mój ojciec.

W tejże chwili zza zakrętu wypłynęły trzy łodzie i coraz szybciej zbliżały się do nich. Ale wciąż jeszcze były dość daleko, a życzliwe gałęzie wierzby tłumiły dźwięk, toteż Damon w błogiej nieświadomości spokojnie wciągał spodnie i buty.

– Co to za hałas? – zapytała Roberta.

Damon odwrócił się gwałtownie, przez co łódka niebezpiecznie się zachybotła, ale w ciągu ostatniej godziny nauczyli się jako tako radzić sobie z kołysaniem, więc żadne z nich nie wpadło do wody.

– Jasna cholera – powiedział, chwytając koszulę.

Ale ledwo zdążył przerzucić ją sobie przez głowę, kiedy już podpłynęła do nich łódź lorda Whartona.

– I z czego się śmiejesz? – Roberta aż jęknęła ze zdenerwowania. – To przecież mój ojciec i Villiers i... a kto tam płynie w tej trzeciej łodzi?

Damon stał, więc widział więcej od Roberty. Człowiek z reguły robi się wesoły, gdy los, ręka w rękę z przyszłym monarchą, wkracza do gry

i pomaga się pozbyć małych, dokuczliwych problemów w rodzaju Villiersa. Wyciągnął z wody drąg i z całej siły odepchnął łódź od brzegu.

– O, nie – jęknęła Roberta, gdy dziób ich łodzi wychynął spośród liści i oczom jej ukazała się wreszcie trzecia łódź. – Kto...

– Książę Walii – odrzekł Damon, śmiejąc się jak opętany.

Markiz stał na samym przodzie łodzi jak pulchna rzeźba dziobowa, z rękami splecionymi na piersi i surową zmarszczką na czole.

– Puszczaj moją córkę, ty lotrze! – zakrzyknął groźnie.

Roberta znowu jęknęła.

Damon w mgnieniu oka zauważył, że jego przyszły teść świetnie się bawi.

– Twój ojciec jest nadzwyczajnie utalentowany aktorsko – mruknął półgębkiem do Roberty. – Zwłaszcza na polu melodramatu. Oto nadciąga rozwścieczony markiz, a w jego oczach widać mord.

– Mord w oczach – przeraziła się Roberta. Ale zaraz krzyknęła: – Selina!

– Nie posądzałem cię o to, Gryffyn – powiedział Jego Wysokość, wstając z miejsca. Dwóch lokajów natychmiast zerwało się, żeby go złapać, gdyby tylko się zachwiał.

– Wasza Księżęca Mość – odparł Damon. – Nie mogłem się oprzeć jej urodzie.

Roberta schowała twarz w dłoniach. Ona z kolei nie mogła się oprzeć wstydomi.

– Zapłacisz za swoje popędliwe zachcianki – oznajmił markiz pompatycznie. – Musisz się z nią ożenić!

– Niczego innego nie pragnę. – Damon spojrzał na siedzącą u jego boku Robertę.

Villiers uznał, że pora na jego wystąpienie.

– Zrzekam się prawa do ręki lady Roberty – oświadczył. – Jest wolna i może poślubić, kogo zechce.

Wynikło drobne zamieszanie, gdy pani Grope zorientowała się, kto płynie w łodzi obok. Podekscytowana podniosła się z miejsca, i chwiejąc się nieznacznie, wykonała głęboki dyg, nie zważając na krynolinę sukni i niestabilne dno łodzi pod stopami.

– Wasza Księżęca Mość! – zawołała. – To ja!

– A niech mnie kule biją. – Książę Jerzy przyjrzał jej się uważnie.

– Nie mówcie mi, że to moja śliczna maleńka Rose!

– Tak jest!

– Nigdy nie widziałem cudniejszej Desdemony – rzekł do Seliny, która tymczasem odgadła, co pani Grope robi w łodzi markiza i, sądząc jej po minie, nie była z tego odkrycia zadowolona. – Musicie wszyscy wstąpić do nas do domu i uczcić przyszlą młodą parę!

Villiers wstał i ukłonił się, bez wysiłku zachowując równowagę w chyboliwej łodzi.

– Obawiam się, że moje przygnębienie rzuci cień na te szczęśliwe chwile – rzekł. – Wasza Księżęca Mość pozwoli, że wrócę do domu.

Księżę jakby dopiero teraz go zauważył.

– Jakie przygnębienie? – zdumiał się. – Jaki cień? O czym ty mówisz, Villiers?

– Księżę miał poślubić moją córkę – odpowiedział markiz, który nie przestawał się uśmiechać, odkąd zaręczyny Roberty z Villiersem szczęśliwie zostały zerwane.

– Chciałeś się żenić, Villiers? Jakoś nigdy nie rwałeś się do ożenku – powiedział Jego Wysokość. – Ale co tam. Lepiej być kawalerem, tak jak ja. Spójrz, co to za wyborne życie! – Ryknął ubawiony, ale zaraz się opamiętał. – Ale, ale. Już od jakiegoś czasu mam ochotę zmierzyć się z tobą na szachownicy. Wreszcie zrozumiałem, o co w tym chodzi, i teraz wygrywam prawie każdą partię. Chyba jestem gotowy stawić ci czoło.

Villiers znowu się ukłonił.

– To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność. – A gdy już księżę znowu ulokował się w łodzi Seliny, zwrócił się do Jemmy. – Masz zamiar świętować razem z nimi?

– Owszem, chcę pogratulować bratu zaręczyn, toteż skorzystam z zaproszenia Jego Wysokości. – Ściszyła głos. – Byłoby mi cię żal, Villiers, gdybym nie podejrzewała, że po powrocie do domu otworzysz szampana.

– Tylko po to, żeby zagłuszyć smutki – zapewnił. – I może jeszcze, żeby zapomnieć o tej grze, na którą się właśnie zgodziłem. Czasem trudniej ustawić przegraną partię, niż wygrać.

Księżęcy lokaje zgrabnie podpłynęli do łodzi Seliny i z niewielką trudnością Jemma przeniosła się na jej pokład, zajmując miejsce po drugiej stronie królewskiego dziedzica, który wydawał się zachwycony, że może poznać uroczą księżnę Beaumont.

– Wiele o pani słyszałem – powiedział. – I to same dobre rzeczy!

Jemma nie wątpiła, że jej reputacja przypadła do gustu akurat przyszlemu królowi.

Bez dalszej zwłoki dwie łodzie popychane przez lokajów skierowały się z powrotem w górę rzeki, a łódź wioząca Villiersa – w przeciwną stronę, do przystani.

– Nie ociągaj się, Roberto! – krzyknął markiz, składając ręce przy ustach.

Ale Roberta go nie widziała. Jej także prawie nie było widać, poza koniuszkami uszu purpurowymi ze wstydu – wciąż zasłaniała twarz rękami.

Zapadła chwilowa cisza, gdy łodzie odpływały w dwie strony.

Damon wetknął koszulę w spodnie i włożył frak. Roberta nadal siedziała bez ruchu.

Wziął do ręki tyczkę i odepchnął łódź od dna, kierując ją z powrotem pod przychylnie gałęzie wierzby. Tam znowu ją zacumował i usiadł naprzeciwko Roberty.

– Roberto, kiedyś w końcu będziesz musiała odsłonić twarz – powiedział łagodnie.

– Ale ja nie chcę – dobiegła go stłumiona odpowiedź.

– Jeszcze nigdy w życiu się nie oświadczałem – powiedział. – Myślę, że byłoby mi łatwiej, gdybym mógł cię widzieć. Jeśli zobaczę, że jesteś zdegustowana, to po prostu rzucę się do rzeki i zakończę swoje cierpienia.

Opuściła ręce.

– Błagam cię, tylko bez melodramatów – wykrzyknęła. – Nie wiem, czy zniósłabym to. – Twarz miała czerwoną, a w oczach lśniły jej łzy.

– Przecież tylko się z tobą droczę. – Chwyił jej dłoń. – Czy ty płaczesz dlatego, że nie wyjdiesz za Villiersa?

– Wcale nie płaczę – powiedziała, powstrzymując łzy.

Damon z gracją przyklęknął przed nią na dnie łodzi.

– Roberto, czy zostaniesz moją żoną?

– Przecież już mi oznajmiłeś, że za ciebie wychodzę. – Pociągnęła nosem.

Ucałował jej dłoń.

– Ale wypada mi się oświadczyć, jak należy. Postanowiłem, że się z tobą ożenię, jakieś dwadzieścia minut po tym, jak cię pierwszy raz zobaczyłem, więc długo na to czekałem.

Otworzyła usta ze zdumienia.

– Rzecz jasna, ty ciągle paplałaś na temat Villiersa, więc nie bardzo mogłem ci to powiedzieć.

– Nie wierzę!

– Roberto, kochanie, czy naprawdę uważasz, że odebrałbym ci dziewictwo – i kochał się z tobą przy każdej nadarzającej się okazji – gdybym nie chciał cię poślubić?

– Ale ja przecież byłam zaręczona...

– Tylko bawiłaś się tą myślą – powiedział. – Ale jednocześnie poddawałaś się mnie.

– Poddawałam się?

Dotykała palcami jego ust.

– Poddaj mi się – powiedział z mocą. – Jesteś moja, Roberto. Moja.

– Dojrzał w jej oczach błysk uśmiechu, więc chwycił ją w ramiona, przez co łódka niebezpiecznie się zakotyssała, ale żadne z nich nawet nie mrugnęło okiem.

– Nie uważam, żebym ci się wtedy poddała – stwierdziła.

Jej usta były tak słodkie, tak różowe, że Damon na chwilę stracił wątek i wrócił do tematu dopiero po dłuższej przerwie.

– A jak ci się wydaje, co to było innego? – Zsunął wargi w dół, po jej szyi.

– Ja... ja...

Właściwie Roberta nie za bardzo mogła sobie przypomnieć, dlaczego tak postąpiła. Pamiętała, że była okropnie zła na Villiersa i że postanowiła pozbyć się dziewictwa... Teraz brzmiało to dość głupio.

– Zdobywałam doświadczenie – orzekła stanowczo.

– Poddawałaś mi się, tylko po prostu nie myślałaś o tym w taki sposób – powiedział z jeszcze większym przekonaniem. Objął dłońmi jej twarz. – Więc, jak będzie? Zgodzisz się?

– Wyjść za ciebie?

Pokręcił głową.

– I tak za mnie wyjdiesz. Czy zgodzisz się mi poddać?

Oplotła mu szyję ramionami, a do oczu znowu napłynęły jej te głupie łzy.

– Myślę – szepnęła – że już to zrobiłam.

Znowu był wolnym człowiekiem, a więc zdecydowanie miał się z czego cieszyć. Gdy tylko łódź podpłynęła do stopni przystani, Villiers energicznie z niej wyskoczył. Pośliznął się na mokrym schodku, zachwiał się i upadł.

Na zadek.

Za plecami jeden z jego lokajów stęknął ze współczuciem i rzucił się ratować swojego biednego księcia; nie dość, że zostawiła go narzeczona, to jeszcze przewrócił się w blocko. Ale Villiers już wstał.

Upadek sprawił, że wściekłość, która gotowała się w nim, rozżarzyła się do białości. W domu zdjął z siebie frak umazany zielonym mchem i czarnym błotem, wykapał się i ubrał do wyjścia.

Naciągając ciasne kanarkowe spodnie, uzmysłowił sobie, że nieświadomie zaczął myśleć o sobie, jak o człowieku, który ma się żenić. I nie zauważył tego przez całe dwie doby. Co za nonsens, złażał sam siebie.

Jego pokojowy podał mu frak w soczyście różowym kolorze; Villiers nie włożył go, bo kolor gryzł się ze spodniami. Zaklął głośno, kiedy służący podsunął mu z kolei musztardową kamizelkę. W końcu wybrał dość obszerny frak zdobny w typowe dla niego wyszukane hafty: delikatny wzór z liści i żółtych róż. Być może ubiór ten był nieco zbyt strojny, ale zarazem wyzywający, a o to mu właśnie chodziło.

Sługa odchrząknął nerwowo.

– Buty z cholewami, Wasza Wysokość? Czy te ze srebrnymi sprzączkami?

– Czerwone, na obcasie – warknął Villiers. – Jadę do Parsloe, a potem na obiad z lordem Devonshire. Nie mogę paradować w butach z cholewami. – Nie wziął swojej laski, za to zdecydował się na mały rapierek, który zawiesił u pasa. Wreszcie przykleił sobie pieprzyk, wysoko, pod samym okiem, żeby podkreślić rzęsy.

Chłodnym wzrokiem potoczył po pokoju; wokół panował rozgardiasz: porozrzucane fraki, krawaty i buty, wstążki wysypujące się z szuflady.

– Zrób raz coś pożytecznego i posprzątaj tu – powiedział cicho do służącego. – Wieczorem mam zamiar przyprowadzić kogoś do domu.

– Wściekły dziś jak osa – opowiadał potem służący w kuchni, kojąc nerwy filiżanką herbaty. – Jakbym codziennie nie sprzątał. Nie mam pojęcia, co go ugryzło.

– Dostał kosza od damy – orzekła kucharka, wycierając ręce w fartuch. – Możemy się założyć o porcję tej szarlotki, co ją piekę na wtorek, że go puściła kantem.

– Tak myślisz, bo przyprowadza do domu kokotę?

Mruknęła z obrzydzeniem.

– Nie, to nie to. Ale humor ma paskudny, może nie? I nie przesiaduje już tyle, co przedtem, u Beaumontów, prawda? Przez te ostatnie trzy dni prawie stamtąd nie wychodził. Ja ci to mówię: nasz książę znowu jest w obiegu.

– Nie wydaje mi się, żeby on kiedykolwiek był w obiegu – powiedział służący z powątpiewaniem.

– Może on nie z tych, co się żenią – stwierdziła kucharka. – Lepiej naszykuje na wieczór jakieś małe co nieco dla gościa.

– W zeszyłym tygodniu odprawił kochankę – dumał zafrasowany służący. – Teraz rzuciła go żona. Jakie to życie okrutne.

– Jeszcze nie żona, i to całe szczęście w nieszczęściu – powiedziała kucharka. Miała wyrobione zdanie na temat instytucji małżeństwa i nie było ono najpochlebniejsze. – Odsuń się, bo nie mogę dosięgnąć cukru.

Parsloe, jak i inne podobne kluby, rządził się niepisanymi prawami: wśród członków Londyńskiego Towarzystwa Szachowego panowała ustalona hierarchia. Liczyła się przede wszystkim biegłość w grze. Szachy to dziwny i często zaskakujący sport: angażują jednocześnie umysł i serce. Zdarza się, że początkujący szachista ogra mistrza w pięknym stylu, toteż hierarchia ta nie jest bynajmniej niezmienna. Tylko pozycja najlepszych jest bezdyskusyjna.

Powóz Villiersa zajechał pod drzwi klubu punktualnie o ósmej. Był to śliczny mały powozik, tak wymuskany i elegancki, jak jego właściciel: pokryty farbą w kolorze ciemnej purpury i ozdobiony jaskrawopomarańczowymi akcentami.

Lokaj z trzaskiem otworzył drzwiczki; trzech innych ustawiło się w szeregu, plecy wyprostowane, liberie bez zarzutu.

Z wnętrza powozu wyłoniła się stopa obuta w czerwony trzewik na obcasie, dalej muskularne udo w kanarkowych spodniach. Książę, jak

zwykle, nie miał na sobie ani grama pudru. Pomaszerował do drzwi kamienicy, służącej za siedzibę klubu, nie oglądając się w lewo ani w prawo.

Gdy szedł po schodach, lokaj pospieszył przed nim otwierać drzwi. W hallu książę podał jednemu słudze kapelusz, a drugiemu płaszcz.

– Rapiery zatrzymam – odezwał się do pana Parsloe, który witał go, zginając się w ukłonach. – Proszę się nie martwić, nie mam dziś nastroju na zabijanie.

Zasady członkostwa w klubie mówiły, że nie wolno do środka wnosić broni, ale cóż mógł powiedzieć pan Parsloe? W tym miejscu liczył się Villiers, i to nie tylko ze względu na swój książęcy tytuł.

Villiers wkroczył do głównej sali, czuł, że gniew pali mu wnętrzności jak rozżarzony węgiel; sprawiało mu to przewrotną przyjemność. Nie pragnął przecież tej dziewczyny, nigdy jej nie chciał, a teraz się wścieka, bo nie może jej mieć? Ot, ludzka głupota.

Gdy tylko wszedł, lord Woodward Jourdain zawołał:

– Villiers! W samą porę się zjawiasz, wypróbujemy nową wersję gry, którą właśnie obmyśliłem.

Villiers podszedł do niego i spojrzał na osobliwe zbiorowisko figur szachowych.

– Ile tym razem figur, Jourdain?

– Dwadzieścia osiem – mówił z zapalem Jourdain. – Dziesięć rzędów i czternaście kolumn. Kazałem zrobić specjalną szachownicę.

– Co to takiego? – Villiers dotknął jednej z figur perfekcyjnie opilotowanym paznokciem.

– Konkubina – wyjaśnił Jourdain.

– Pewnie dość niesforna.

– Trzymają ją w szachu dwa dodatkowe gońce.

– A te?

– Wieże w koronie.

– Na mnie nie licz. – Villiers odwrócił się od stolika. – Dość mam kobiet, czy to konkubin, czy też jakichkolwiek innych... wszystkie są takie męczące, nie uważasz?

Jourdain prychnął z oburzeniem, ale rozmową zainteresował się wiehrabia St Albans.

– Coś podobnego – powiedział, jak zwykle sepleniąc. – Czyżby już ci się sprzykrzyła prawdziwa miłość?

– Ech, czymże jest miłość – odparł lekko Villiers.

Jedynym graczem bez partnera był lord Gordon.

– Zagramy, milordzie?

– Z przyjemnością, Wasza Wysokość.

– Dam panu fory: zdejmę jedną ze swoich wież – powiedział życzliwie Villiers.

Lord Gordon nie zareagował na tę zniewagę, tylko uśmiechnął się z głupkowatą wdzięcznością, a Villiers poczuł, że jego wściekłość podgrzała się jeszcze o kilka stopni.

– „Czymże jest miłość, dziś jest, jutro znika” – odezwał się St Albans. – To chyba Szekspir, jeśli się nie mylę. A jednak, Wasza Wysokość, twoje doświadczenia z miłością okazały się zaskakująco krótkie. Nie minęły jeszcze dwa dni, odkąd usłyszałem, że się zaręczyłeś.

– Możesz się zatem cieszyć, St Albans, bo dowiadujesz się pierwszy, iż zaręczyny zostały zerwane – odrzekł Villiers.

– Wypróbujże choć kilka figur. – Jourdain zniecacka pojawił się za jego plecami. – Nawet nie masz pojęcia, jak ciekawie się z nimi gra. Masz, weź na przykład konkubinę. – Ustawił figurę na środku szachownicy. – To dla ciebie, Gordon. Przesuwa się we wszystkich kierunkach, rzecz jasna, tak samo jak królowa. Ma taką zaletę, że może bić dwie figury z rzędu, ale za to nie zbija króla ani królowej. – Zachichotał jak wariat. – To nie taka konkubina.

– Co takiego? – Gordon otwierał i zamykał pulchne różowe usta, co Villiersowi nieodparcie przywodziło na myśl rybę wyrzuconą na brzeg. – Nie możemy grać taką figurą.

– Ależ gra pan nimi na co dzień – powiedział słodko Villiers. – Czy to nie pana widziałem ostatnio z panią Rutland?

Gordon udawał, że jest zajęty rozstawianiem figur, i nie podniósł wzroku. Villiers miał tylko nadzieję, że lord niczego nie pomiesza ze zdenerwowania.

– Konkubinę stawia się obok wieży, po stronie króla – poinstruował go Jourdain. – Musi wiedzieć, gdzie jej miejsce, rozumiecie.

Nie chodziło o to, że naprawdę chciał się ożenić. Tylko że w ciągu tych ostatnich paru dni przeżywał coś wyjątkowego, czuł się częścią jakiejś większej całości – chyba rodziny. Ale co to była za rodzina? Kto by chciał być spokrewniony z tym nedorzecznym markizem? Który, nawiasem mówiąc, też wcale nie pałał do niego uczuciem.

– Nie chcę używać do gry tej figury. – Gordon wysunął naprzód dolną wargę. – Już byłem do przodu o jedną wieżę, miałem szansę na wygraną. A tak, to nigdy nic nie wiadomo.

– Tak to już bywa z konkubinami. – St Albans przysiadł się do ich stolika. – Radziłbym ci uważać z tą panią Rutland, Gordon. Jej mąż odgrażał się ostatnio, że zemści się na tym, kto mu przyprawił rogi.

– No to będzie się musiał zdecydować, którego z nich wyzwać na pojedynek – powiedział niedbale Villiers. Prawdę mówiąc, nie zdecydował jeszcze, czy ma ochotę grać z konkubiną. Z jednej strony, pomysł był idiotyczny. Z drugiej jednak, na pewno zdenerwuje tym Gordona; Bóg jeden wie, dlaczego się przysiadł do tego żalostnego głupca.

– Pani Rutland to zacna niewiasta – obruszył się Gordon.

– Skoro pan tak mówi – odparł Villiers. – Może pan zaczynać, Gordon. – Ustawił swoją konkubinę w wyznaczonym miejscu, obok wieży po stronie króla. – Twarda z niej sztuka, co, Jourdain?

– Potrafi zmienić bieg całej rozgrywki – powiedział Jourdain.

– Nie wątpię. Pański ruch, Gordon.

Gordon przesunął jeden z pionków i odezwał się z typowym dla siebie oślim uporem.

– Pani Rutland nie jest żadną konkubiną.

– Nikt tak przecież nie mówi. – Villiers uznał, że w tym posunięciu wypróbuje nową figurę. Jego konkubina zmiotła jeden z pionków Gordona i wieżę za jednym zamachem. Czemu nie?

Gordon w obrzydliwy sposób sapał przez nos.

– Słuchaj no, Jourdain – powiedział. – Jak my możemy tu normalnie grać, kiedy ta twoja przeklęta konkubina bije inne figury na lewo i prawo?

– Zupełnie jak w życiu – zamyślił się Villiers. – Nie podejrzewałem cię o tak filozoficzne przemyślenia, Jourdain.

Jourdain zarumienił się nieznacznie.

– No, śmiało, Gordon – zachęcił lorda. – Tylko najpierw dobrze to sobie przemyśl.

Ale Gordon chyba niczego nie umiał sobie dobrze przemyśleć, a już na pewno niekonsekwencje swojego związku z panią Rutland.

– Następnym razem radzę zamknąć drzwi na klucz, kiedy znowu zdecyduje się pan spuścić spodnie w publicznym miejscu – odezwał się Villiers, gdy zauważył, że Gordon wygląda, jakby rzeczywiście zaczął

się skupiać na grze. – Pańska żona nie ucieszyłaby się, wchodząc do bawialni i widząc, jak pan chędoży nie wiadomo kogo.

– Wiadomo, chędożył Rutland* – wyseplenił wicehrabia, po raz kolejny udowadniając, że jest osobą, która stwierdza rzeczy dla wszystkich oczywiste.

– Nie podoba mi się pańskie sformułowanie. – Gordon podniósł wzrok na Villiersa.

Książę poczuł lekki przebłysk zainteresowania. A więc nareszcie ten opasły mops zwrócił na niego uwagę.

– Ależ, „chędożyć” to takie soczyste i obrazowe wyrażenie – zdziwił się.

Zgrzytnęło krzesło, odsunięte gwałtownie przez Gordona.

Podbiegł do nich Parsloe.

– Panowie, panowie. Chyba nie muszę wam przypominać o zasadach Londyńskiego Towarzystwa Szachowego? Jeśli dojdzie do jakiegokolwiek konfrontacji natury fizycznej, obie strony tracą członkostwo w klubie.

Gordon zamarł na moment. Villiers oczyma wyobraźni widział zębate kółeczka myśli obracające się w mózgu lorda, który po chwili zasiadł z powrotem do stolika i odezwał się spokojniej:

– Przynajmniej ja nie byłem z nią o krok od ślubu.

Villiers bardzo powoli podniósł wzrok znad szachownicy.

– Ponieważ nie przypuszczam, żeby mówił teraz pan o swojej cnotliwej małżonce, muszę prosić o wyjaśnienie, co pan miał na myśli.

Gordon nachylił się z lekkim sapnięciem i zbił jeden z pionków Villiersa oraz jego gońca.

– Po tym, jak wtedy na balu rozstałem się z panią Rutland, zawędrowałem do biblioteki. Śmiem zgadywać, Villiers, że stracił pan swoją wybrankę na rzecz Gryffyna. Oczywiście, ja nigdy nie ubliżyłbym czci damy, mówiąc o... chędożeniu.

Villiers dobrze wiedział, że ta nagła fala wściekłości, która w nim wezbrała, jest niesprawiedliwa i nieuzasadniona. Tylko że jeśli Gordon widział wtedy Robertę w bibliotece z Gryffynem – to było jeszcze zanim on poprosił ją o rękę, zanim polecił jej stracić dziewictwo, zanim zdecydował się zerwać zaręczyny. A w tamtym momencie ona robiła, co mogła, żeby go zwabić do ołtarza.

* *nut* (ang.) – chędożyć, odbywać stosunek.

Są chwile, kiedy człowiek nie potrafi stłumić bezsensownych uczuć. Zrobiło mu się niedobrze. Cała ta sytuacja była chora. Podniósł wzrok i napotkał małe, świdrujące oczka St Albansa: wicehrabia wyglądał jak świnia, która zwietrzyła jabłko. Villiers nie miał wątpliwości, że St Albans wypatruje na jego twarzy najdrobniejszych oznak emocji. Ha! Prędeż zje własne buty, niż pokaże po sobie, że go to poruszyło.

– Królowe są takie kapryśne – powiedział słodko. – W jednej chwili masz ją obok siebie, a w drugiej jest już po przeciwnej stronie planszy. Czasem nawet zmieniają się w konkubiny tuż pod naszym nosem.

St Albans roześmiał się, a Gordon pokręcił głową.

– Co z pana za człowiek, Villiers? Pan ma to wszystko gdzieś, prawda? W ogóle o nic pan nie dba.

Gordon przesunął wieżę, więc Villiers ją zbił.

– Szach.

– Jak to? – stropił się Gordon.

– Moja królowa.

– Ale ja mam gońca.

– Ach, obawiam się, że gońcem zajmie się konkubina. Nierzadko się tak zdarza – stwierdził Villiers.

– Można by nawet powiedzieć, że na konkubinę nie ma mocnych – zaśmiał się piskliwie St Albans.

Villiers odsunął się od stolika. Czuł, że ani minuty dłużej nie znieśie tej żalostnej farsy.

– Do usług, panowie.

Gordon, który dotąd boczył się z powodu przegranej, podniósł teraz głowę.

– Nie powinienem tego mówić – powiedział z szeroko otwartymi oczyma. – Nie było tam żadnego chędożenia. W tej bibliotece.

– Ale za to dzisiejszego popołudnia było go mnóstwo – rzekł cicho Villiers. – Widzicie, panowie, konkubina w końcu zawsze pokaże swoją prawdziwą naturę, toteż z przyjemnością przekazuję pałeczkę Gryffynowi. Twoja nowa figura – zwrócił się do Jourdaina – jest niebezpieczna.

Jourdain pokręcił głową.

– Po to masz dodatkowe gońce, żeby ją trzymać w ryzach.

Ale śmiech St Albansa wystarczył za całą odpowiedź.

Żadna liczba gońców nie utrzyma w ryzach konkubiny.

20 kwietnia
*Pojedynek szachowy Beaumont/Villiers,
 dzień dziewiąty*

Damon Reeve, hrabia Gryffyn, do księcia Villiersa:
 „Pańskie uwagi o mojej przyszłej żonie powtarza cały Londyn. Ma pan sekundantów?”

Księżę Villiers do hrabiego Gryffyna:

„Głupiec z pana. Jeśli mnie pan zabije, ona będzie panu pachniała nie mniej przyjemnie; a jeśli ja zabiję pana, wkrótce to pan będzie pachniał znacznie gorzej”.

Hrabia Gryffyn do księcia Villiersa:

„Jaki rodzaj broni panu odpowiada?”

Księżę Villiers do hrabiego Gryffyna:

„Rapiery. O świcie, na błoniach Wimbledonu, koło wiatraka. We wtorek. Jutro jestem umówiony na partię szachów z lordem Bonningtonem i nie mogę sobie zwracać głowy byle czym. Powtarzam, że narwany głupiec z pana. Nie ma pan pojęcia o prawdziwej wartości kobiet (nie mają żadnej) oraz zdrowego snu (który jest bardzo pożądany). Chcąc nie chcąc, będę musiał pana zabić”.

21 kwietnia
*Pojedynek szachowy Beaumont/Villiers,
 dzień dziesiąty*

Robertę obudził jakiś dźwięk.

– Mmm – powiedziała, wyciągając rękę – i ocknęła się natychmiast.
 – Teddy! Co się dzieje, malutki? Znowu się zgubiłeś?

– Nie. – Teddy, stojący obok jej łóżka w swojej białej koszulnicie, wyglądał jak miniaturowy duch. Jego zazwyczaj pogodna twarzyczka była wyjątkowo zasmucona.

– Co się stało? – zapytała, przypatrując mu się w mroku sypialni.
 – Miałeś zły sen?

– Możemy spać z tobą? – zapytał bez ceregieli.

– My?

Ale było już za późno. Na łóżko wdrapali się mały chłopczyk i jego kotek, który zaraz zwinął się w kłębuszek w jej nogach.

Dwadzieścia minut zajęło Robercie wyciśnięcie z Teddy’ego informacji, jakie zdradził mu Rummer.

– Jasne, że papa wygra ten pojedynek. – Teddy zakopał się głębiej w pościel i chwycił rączką jej dłoń. – Papa zawsze wygrywa, tak mówi Rummer.

– Rummer nie powinien ci w ogóle mówić o tym pojedynku – powiedziała Roberta stanowczo. Ze strachu myśli wirowały jej w głowie jak oszalałe.

Skoro Damon ma się bić z Villiersem, to znaczy, że będzie walczył w obronie jej czci. A jej cześć, jej honor jest nic niewarty w porównaniu z tym, co czuje do Damona. Miała wrażenie, że jakaś lodowata pięść ścisną jej żołądek i serce. Co tu robić? Co robić?

Odciągnie Villiersa na stronę, kiedy ten przyjdzie dzisiaj grać z Jemmą, i będzie go błagać. Chyba jej nie odmówi, choćby tylko ze względu na tę chwilową słabość do niej, która go wcześniej skłoniła do oświadczeń.

Wpatrywała się w ciemność przez długie godziny, myśląc, co powiedzieć, ubierając prośbę w różne słowa, modląc się wreszcie.

Przede wszystkim się modląc.

Zasnęła dopiero gdy przez zasłony jej sypialni zajrzały pierwsze promienie słońca. Pograżona w głębokim śnie nie usłyszała, jak Teddy czmychnął z powrotem do swojego pokoju, gdzie niańka zmyła mu głowę za nocną ucieczkę. Nie usłyszała, jak pokojówka weszła do sypialni na paluszkach i widząc nieruchomą bladeść twarzy Roberty, postanowiła jej nie budzić. Spała zbyt mocno, żeby usłyszeć nikle odgłosy z dołu, świadczące o pojawieniu się księcia Villiersa, który przyszedł wykonać swoje dzisiejsze posunięcie.

Spała dalej.

Kiedy się wreszcie obudziła, z przerażeniem stwierdziła, że słońce jest już wysoko. Ale czy to ważne? Wszyscy wiedzą, gdzie Villiers przebywa w ciągu dnia: gra w szachy w klubie Parsloe. Sam jej o tym mówił. Tam go odnajdzie, jeśli zajdzie potrzeba.

Ubrała się w wyjątkowo uroczą kreację z jasnego jedwabiu wyszywaną w błękitne ptaki. Uznała, że suknia jest całkiem w stylu Villiersa.

Udała się wprost do pokoju Jemmy, wpadła do środka bez pukania, z nadzieją, że zastanie tam Villiersa. Ale była tylko księżna, która zbladła na wieść o tym, co Roberta usłyszała od Teddy'ego.

– Villiers nic mi o tym nie wspominał dziś rano – powiedziała.

– To Villiers już tu był?

– Wyszedł jakąś godzinę temu. – Jemma przełknęła nerwowo.

– O Boże, Roberto, czy naprawdę musiałaś wskoczyć Damonowi do łóżka, skoro byłaś zaręczona z Villiersem?

Roberta osunęła się na krzesło.

– Nie wiem, nie wiem, nie mam pojęcia! Ja chyba umrę ze zmartwienia. Tak strasznie kocham Damona, że po prostu straciłam głowę. Nie pomyślałam.

Twarz Jemmy złagodniała.

– Czyli rozumiem, że już nie kochasz Villiersa?

– Jaką ja byłam idiotką!

– To się często zdarza.

– Poproszę Villiersa, żeby się wycofał – oznajmiła Roberta. – Myślisz, że to poskutkuje?

– Przegrał dziś rano – powiedziała Jemma tępym głosem.

– Prze...

– Przegrał pierwszą partię w meczu. Do wieczoru cały Londyn będzie o tym wiedział. Przegrał z kobietą. Ze mną.

W jadalni nie było nikogo. Fowle poinformował ją, że pani Grope znowu poszła do teatru, a jej ojciec też gdzieś wyszedł.

Pewnie do syreny, pomyślała Roberta.

Damon zabrał gdzieś Teddy'ego na cały dzień. Ostatni dzień z synkiem, pomyślała, i zalało ją poczucie winy tak okropne, że prawie nie mogła złapać tchu. Nie może dopuścić do tego pojedynku, choćby sama miała zabić Villiersa.

Niestety, nigdy nie opanowała zawilości trudnej sztuki władania bronią, podobnie jak gry w szachy.

– Proszę przygotować mi powóz – odezwała się do Fowle'a. Kilka minut później mogła już jechać.

Roberta naciągnęła rękawiczki. Była zlodowaciała z zimna. Musi powstrzymać tę potworność, zanim do niej dojdzie.

Jak na miejsce, o którym tyle się opowiada, klub Parsloe, zdaniem Roberty, nie wyglądał szczególnie okazale. W drzwiach powitał ją kamerdyner, pytając, czy jest członkiem w klubie.

– Nie – odparła zaskoczona Roberta. – Nie wiedziałam, że przyjmujecie też kobiety.

– Ależ owszem – ukłoniła jej się dwornic. – W czym mogę pani pomóc, madame?

– Chciałabym się widzieć z księciem Villiersem – odpowiedziała.

– Książę jest w tej chwili na górze, w sali dla członków, i osoby nie należące do klubu nie mają tam prawa wstępu.

– Zrobi więc pan dla mnie wyjątek – powiedziała Roberta z mocą.

W jej oczach musiało błysnąć coś groźnego, bo kamerdyner aż się skulił.

– Oczywiście, na prośbę damy – zgodził się szybko.

– Nie jestem damą – odparła Roberta. – Jestem narzeczoną księcia.

– W takim razie... – Wskazał ręką schody. – Pani przodem, milady, pani przodem.

Weszła po schodach i już po chwili znalazła się w pomieszczeniu pełnym mężczyzn. Ponieważ wszyscy patrzyli na Villiersa, nietrudno było go znaleźć. Był niezwykle efektownie ubrany i siedział przy brzegu stolika z szeroko rozstawionymi nogami. Sprawiał wrażenie pochłoniętego grą. Wydawał się jednocześnie elegancki i niebezpieczny.

Robercie na jego widok znów zakręciło się w głowie – ale tym razem ze strachu, gdy zobaczyła jego potężne ramiona i patrzyła, z jakim opanowaniem przesuwając każdą figurę. Wyglądał na człowieka, który potrafi zabić przeciwnika z takim spokojem, jakby właśnie zbijał pionka.

– Wasza Wysokość – odezwała się, stając obok stolika.

Oponent Villiersa podniósł wzrok znad szachownicy i nagle wszyscy dżentelmeni zaczęli szurać krzesłami, podrywając się za nogi, żeby jej się uklonić. Nie zwracając na nich uwagi, Roberta patrzyła jedynie na Villiersa.

– Wasza Wysokość. – Dygnęła. – Przyszłam prosić pana o chwilę rozmowy w cztery oczy.

Spojrzał na nią chłodno i obojętnie. Jak jej się kiedykolwiek mogło wydawać, że to czyni mężczyznę atrakcyjnym? Teraz brzydziła się nim jak wężem.

– Nie widzę powodu – odrzekł. – Widzi pani, jestem właśnie zajęty grą.

– Bardzo proszę, Wasza Wysokość – nalegała.

Ale on popatrzył na nią prawie z nienawiścią.

– Jeśli czegoś pani chce, proszę mówić tutaj. Zdaje się, że i tak wszyscy wszystko wiedzą o moim życiu prywatnym, prawda, St Albans?

Szczupły młody mężczyzna, stojący obok, wzruszył tylko ramionami.

– Wszystkim nam się czasem zdarza zobaczyć swoją karykaturę na wystawie u Humphreya. – Przez chwilę przyglądał się Robercie, a ona zdała sobie sprawę, że ten człowiek dokładnie wie, kim ona jest, i że ma na myśli ilustracje z magazynu „Wędrowiec”, który sprzedawała oficyna wydawnicza Humphreya. Rozejrzała się powoli wokoło i choć nie dostrzegła jawnej wrogości, zobaczyła, że oni wszyscy wiedzą. Wiedzą, kim ona jest. Wiedzą, że w magazynie przedstawiono ją, jak rozpaczliwie szuka męża i błaga lokaja, żeby ją poślubił. Wiedzą, że odtrąciła Villiersa dla hrabiego Gryffyna.

Zerknęła znów na Villiersa. Stał obok swojego fotela z kamiennym wyrazem twarzy.

Zrobiła krok naprzód, po czym padła przed nim na kolana.

Wokół rozległy się stłumione okrzyki protestu, ale Roberta się nie przejmowała.

– Błagam pana, Wasza Wysokość. Błagam, niech pan nie walczy z hrabią Gryffynem. To mój przyszły mąż: gdyby zginął, nie zniosłabym tego.

– Nie spodziewałem się tego po pani. – Villiers przyglądał się jej zaskoczony. – Myślałem, że jest pani ulepiona z innej gliny niż pani ojciec, lady Roberto.

– Mylił się pan. Co dzień odkrywam, że jestem do niego coraz bardziej podobna. Proszę. Błagam pana, tylko to mi pozostało.

Pomruki i szepty wśród zebranych stawały się coraz głośniejsze.

– Podnieśże ją, Villiers. – Powiedział ktoś z boku: – To się nie godzi – Syknął ktoś inny.

Villiers podszedł do niej i wyciągnął rękę, ale Roberta pokręciła głową.

– Nie wstanę, dopóki mi pan nie obieca.

– Nie mogę pani tego obiecać. – Roberta mogłaby przysiąc, że w tych jego zimnych oczach błysnęło coś na kształt współczucia. – To już sprawa nie tylko pani honoru, ale też samego Gryffyna.

– Mój honor nie jest nic wart! – wykrzyknęła zrozpaczona.

Schylił się i podniósł ją z klęczek.

– Ale pani odwaga ma większą cenę, lady Roberto. – Przez chwilę przytrzymał w rękach jej dłonie. – Przepraszę go – powiedział. – To wszystko, co mogę zrobić. Muszę powiedzieć, że nigdy w życiu nikogo nie przeproszałem, toteż widzi pani, że wyżej stawiam pani honor, niż go pani właśnie oceniła.

Puścił jej ręce i odwrócił się do stolika.

– Pani wybaczy, milady, ale czeka na mnie niedokończona partia.

Czyjaś ręka objęła Robertę za ramiona.

– Pan Cunningham! – powiedziała drętwo. – Nie zauważyłam pana.

– Często przychodzę tu po południu na partyjkę szachów, kiedy Jego Wysokość jest zajęty w Izbie Lordów. – Nie powiedział nic więcej, a Roberta też nie była w stanie zmusić się do rozmowy. Odprowadził ją więc do domu w milczeniu.

To, co zrobiła, musi wystarczyć.

Po prostu... musi wystarczyć.

22 kwietnia
*Pojedynek Beaumont/Beaumont wciąż w toku,
 dzień jedenasty*

Nad wimledońskimi błoniami świtało, a w porannej mgle znikwały koła powozów, które wyglądały, jakby ciągnęły swoje ciężkie brzuchy po ziemi.

– Niedobrze mi. Chyba zaraz zwymiotuję – powiedziała Roberta przez zaciśnięte zęby.

– To otwórz drzwi – powiedziała Jemma obojętnie. Ona płakała tylko przez chwilę. Roberta nic nie powiedziała, ale widziała, jak Jemma ociera jedną czy drugą łzę. – Damon sobie poradzi.

– Czy on w ogóle umie się fechtować? – wyszeptała zgnębiona Roberta.

Jemma spojrzała na nią z oburzeniem.

– Oczywiście, że tak!

Sznur powozów ciągnął na błonia, stały już w podwójnym szeregu. Ludzie przepychali się do przodu, jakby szli oglądać walkę kogutów.

– Villiers mówił, że przeprosi – powiedziała Roberta. – Obiecał mi to! Mam iść i mu o tym przypomnieć, Jemmo? – wykrzyknęła, tknięta nagłą myślą. – Jak myślisz, może powinnam tam pójść i zobaczyć, co się dzieje?

Ale Jemma posępnie pokręciła głową.

– Zrobiłaś już wszystko, co mogłaś. Jeśli upokorzysz Villiersa na oczach tych wszystkich ludzi, to nie wiadomo, jak się zachowa.

– Jak to, jeśli go upokorzę? – Roberta była zrozpaczona.

– Upokorzyłabyś go, gdybyś się znowu wtrąciła. Dla Damona to też byłby wstyd.

– Ale przynajmniej by nie zginął!

– Nie zginie – odpowiedziała Jemma. Ale na twarzy była biała jak śnieg.

– Błagałam go, żeby nie szedł – powiedziała Roberta. – A on śmiał mi się w twarz.

– To cały Damon.

Czekały dalej, ale na środku pola wciąż kłębiła się mgła i nic się nie działo.

– Co to jest rapier? – zapytała Roberta, z trudem wypowiadając to okropne słowo. – Wiesz może?

– To takie cienkie, długie ostrze – wyjaśniła Jemma. – Francuzi je uwielbiają, bo mówią, że jest giętkie, lekkie i sprężyste.

– Jakie? – Roberta nie była w stanie przebić się przez ten gąszcz przymiotników. – Myślisz, że Damon potrafi się tym posługiwać?

Jemma popatrzyła na nią oburzona.

– Tak marne masz o nim zdanie?

W tym momencie na pole wyszli dwaj mężczyźni. Nie byli to Damon i Villiers, lecz ich sekundanci. Szurali nogami po trawie, sprawdzając pewnie, czy jest jeszcze śliska od rosy.

– Chodzi o to, co powiedział mi raz Villiers – odparła Roberta. – Twierdził, że dobry szachista będzie też dobrym szermierzem. To by znaczyło, że on jest najlepszy w kraju. Wcale nie kwestionuję umiejętności Damona, to talent Villiersa mnie przeraża.

Jemma roześmiała się, a Robercie na ten dźwięk ścisnął się żołądek.

– A więc sądzisz, że Damon nie potrafi grać w szachy?

– On przecież... on nigdy...

– Całkiem możliwe, że Damon jest najlepszym graczem w całej Anglii – powiedziała Jemma beznamiętnie. – Ojciec uczył nas oboje i zawsze był zdania, że Damon ma nade mną przewagę. Jego ta gra nudzi, bo mówi, że to dla niego zbyt małe wyzwanie.

Roberta przełknęła zaskoczenie.

– Zbyt małe? Wobec tego...

– Czy wy w ogóle nie rozmawialiście, kiedy spaliście razem?

Roberta pokręciła głową.

– Widocznie nie o tym, co trzeba.

– Papiery wartościowe. Damon gra nimi na rynku. To tak, jak gra w szachy tylko, że na większą skalę. Całkiem jak mój mąż.

– To znaczy, że naprawdę zna się na szermierce?

– Oczywiście – zirytowała się Jemma. – Stoczył przynajmniej cztery pojedynki.

– I wszystkie wygrał?

– Naturalnie.
– Powiedział mi wczoraj wieczorem, że postanowił trafić Villiersa w prawe ramię.

– Tak właśnie myślą wielcy mistrzowie szachów – oświadczyła Jemma. – Philidor często mówił mi z wyprzedzeniem, którą figurą zaszczykuje mojego króla.

– Ale czy Damon walczył już wcześniej z innym szachistą?

Jemma westchnęła.

– Nie.

Na skraju łąki Damon rozmawiał ze swoim sekundantem.

– Mgła już trochę opadła, nie będzie nam zasłaniać – mówił niecierpliwie. Chciał szybko zakończyć sprawę i wracać na śniadanie z Robertą. Wiedział, że gdzieś tu jest, biedna myszka, skulona w powozie wraz z Jemmą.

Sekundant pospieszył do sekundanta Villiersa i za chwilę przybiegł z powrotem.

– Jego Wysokość chciałby z panem porozmawiać.

Damon zrzucił frak na mokrą trawę. Z okazji pojedynku włożył swoje stare buty z cholewami i podwinął rękawy koszuli. Zerknął raz jeszcze na swój rapier – długa, lśniąca klinga zrobiona w Toledo. Użycie tak doskonałej broni dawało mu prawie nieuczciwą przewagę. Wziął rapier i podszedł do pstrokatego powozu Villiersa.

Księżę, również rozebrany już do koszuli, zginał właśnie swoją broń, sprawdzając jej giętkość.

– Z Toledo – odezwał się Damon z zadowoleniem. – Doskonale.

Villiers uniósł te swoje ciężkie powieki.

– Lubię grać z równym przeciwnikiem.

Damon stał w milczeniu, lecz wydawało mu się, że Villiers ma trudności, żeby się zmusić do mówienia. Wreszcie wydusił z siebie niewyraźnie:

– Chciałem przeprosić.

– Słucham?

– Przeprosić. Nie powinienem obrażać czci lady Roberty.

Damon zmrużył oczy.

– Rozmawiała z panem, dobrze się domyślam?

Villiers znowu podniósł na niego oczy.

– Co pan ma na myśli?

– Roberta. Co ona takiego zrobiła?

– Padła przede mną na kolana w Parsloe – powiedział księżę bezbarwnie. – I błagała, żebym z panem nie walczył.

– Brzmi mocno dramatycznie. – Damon świetnie się bawił.

– Bo też takie było, może mi pan wierzyć – odparł Villiers. – Miała liczną widownię.

– No, dobrze. Skoro mamy to już za sobą, to może byśmy zaczęli?

Villiers zerknął na niego.

– A moje przeprosiny?

– Chętnie bym się zgodził na jej prośbę – przyznał Damon. – Ale sprawa wygląda tak, Villiers, że będziemy się bić. I to już.

Villiers spojrział na hrabiego i zobaczył przed sobą człowieka o beztroskim uśmiechu, człowieka, którego wyraźnie nigdy nie doceniał. Uderzyła go nagła myśl.

– Gra pan w szachy?

– Nigdy – odparł Damon bez wahania. – Nudzą mnie do łez. Jedyne partner, z którym ciekawie mi się grało, to moja siostra. À propos, jak wam idzie gra?

Villiers wpatrywał się w niego. Gryffyn zupełnie nie przejmował się czekającym go pojedynkiem ani też możliwością śmierci. Coś go tknęło, jakieś niewyraźne złe przecucie.

– Przegrałem – powiedział wreszcie. – Wczoraj przegrałem pierwszą partię.

Ale hrabia już maszerował na środek pola, pokrzykując na sekundantów.

Villiers podążył za nim wolnym krokiem; powinien całkiem zmienił nastawienie do tego pojedynku. Będzie musiał zabić albo sam zginie. W oczach hrabiego jarzyła się nieustraszona śmiałość mężczyzny, którego przyszlą żonę obrażono i który gotów jest umrzeć w obronie jej honoru. Tyle że Gryffyn najwyraźniej nie miał zamiaru umierać.

Dwie minuty później już krążyli wokół siebie, wydeptując mokrą trawę.

– Jeśli pan woli, możemy poczekać, aż słońce wysuszy rosę – zaproponował Gryffyn.

– Nie trzeba. – Villiersowi przypomniało się, jak podczas gry zaofiarował Gordonowi przewagę jednej wieży.

Zaczął wypatrywać okazji, żeby trafić przeciwnika. Hrabia, jak się wydawało, miał zamiar tak stąpać w kółko do końca świata. Wreszcie Villiers pchnął z góry, *manchette**. Gryffyn odparował. Spróbował z kolei *pass in tierce****, a potem *redoublement*****. Gryffyn odparował obydwu. Wreszcie Villiers cofnął się, pozwalając, by hrabia wykonał następny ruch.

Gryffyn znieacka wyprowadził gładkie, idealne pchnięcie z pół-obrotu. Tylko łut szczęścia sprawił, że klinga Villiersa znalazła się w odpowiednim miejscu, żeby zatrzymać cios.

Gryffyn odsunął się i znowu zaczęli krążyć. Ale było w nim teraz coś szczególnego, jakaś złowieszcza satysfakcja drapieżnika przebijająca w każdym jego ruchu.

Nie byłoby w tym nic przesadnie straszego, lecz Villiers nie miał w sobie tej siły, jaką dawało poczucie sprawiedliwości. Wiedział, że postąpił źle.

Nie powinien nazwać Roberty konkubiną, skoro sam kazał jej pozbyć się cnoty. Przecież to on wepchnął ją Gryffynowi do łóżka, a potem za to potępił. A oprócz tego... wspomnienie Beniamina wciąż nie dawało mu spokoju.

Odbijając kolejne efektowne pchnięcie hrabiego, pomyślał sobie, że od czasu śmierci Beniamina nic nie układa mu się pomyślnie. To ta jego przekłeta arogancja.

Hrabia spróbował *prise de fer*****; księżę odbił cios. Czuł w sobie narastającą wściekłość. Co on tu właściwie robi, tego lodowatego poranka, na środku pola, walcząc z człowiekiem, którego wcale nie chciał zabić?

– Nie mam zamiaru pana zabijać – wysapał, obchodząc hrabiego wokoło i nie spuszczać wzroku z jego dłoni.

– Ja też nie mam takiego zamiaru – odrzekł lekko hrabia. Nawet się nie zadyszał, co niepomierne zirytowało Villiersa. – Mógłbym to zrobić, ale w końcu pan przeprosił.

Krążyli dalej.

* *manchette* (fr.) – w szermierce: uderzenie przeciwnika bronią w spód ręki.

** *pass in tierce* (fr.) – trzecia pozycja obronna.

*** *redoublemen* (fr.) – podwojenie, spotęgowanie.

**** *prise de fer* (fr.) – uderzyć klingą.

– Nie mogę dopuścić do tego, żeby błagania Roberty okazały się daremne – powiedział hrabia. – Myślę, że prawe ramię powinno załatwić sprawę.

Villiers zmrużył oczy, ale nawet nie zauważył, kiedy i jak przeciwnik wyprowadził *enveloppement**. Cios spadł z wysoka. W powietrzu rozległ się śmiertelny świst; w ostatniej chwili rapier obrócił się i ugodził go w ramię tuż przy kości.

Rapier Villiersa upadł na ziemię.

Gryffyn wyciągnął klingę czerwoną od krwi. Villiers zgiął się wpół, dysząc ciężko.

– Przydałby się tu lekarz! – zawołał Gryffyn.

Villiers usłyszał tupot nóg i wyprostował się. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że gapie podeszli tak blisko. Krew spływała mu zimną strugą po prawej ręce; to dziwne – zawsze myślał, że krew jest ciepła.

– Załuję, że uchybiłem czci pańskiej damy – rzekł, uciekając się do staroświeckich formułek z czasów ich pradziadów.

– Do usług – odparł Gryffyn.

Zjawił się lekarz. Podał Villiersowi butelkę brandy i zdarł z niego koszulę. Gryffyn oddalił się biegiem, pędem nawet, w kierunku powozu księcia Beaumonta.

Villiers lewą ręką podniósł butelczynę i popatrzył za nim z niedowierzaniem. Uchowaj Boże, żeby on się tak kiedyś uzależnił od kobyty.

No i żeby kobieta klękała przed kimś, błagając o jego życie...

To więcej niż kompromitacja.

To hańba.

Znowu napił się z butelki.

40

Kiedy wrócili do domu na śniadanie, w rezydencji roito się od dżentelmenów, którzy chcieli pogratulować Damonowi wygranej, i od

* *enveloppement* (fr.) – okrążenie, osaczenie.

kobiet, które wzdychały z powodu rany Villiersa. Pomiedzy nimi kręciła się służba, roznosząc szklanki i talerze.

Nikt by nie poznał po uśmiechniętej twarzy księżnej Beaumont, że niecałą godzinę wcześniej była blada z przerażenia. Nikt by nie poznał po niewzruszonej minie jej męża, że wcześniej tego ranka raz po raz przemierzał swój gabinet i nie był w stanie się skupić na problemach królestwa.

Księżna rozmawiała z wicehrabią St Albans o tym, jakie jest prawdopodobieństwo, że w ranę Villiersa wda się zakażenie.

– Tak się dzieje w co najmniej połowie przypadków – relacjonował St Albans. – Ale był tam dobry chirurg i od razu zalał mu ranę alkoholem. Sam tego dopilnowałem. Nie ma co skąpić brandy, gdy w grę wchodzi życie człowieka.

Księżę trącił żonę w ramię.

– Może zagrałibyśmy teraz dzisiejszy ruch?

Elijah uznał, że jego żona nie najlepiej wygląda. Wargi miała sinobłede i wzięła go pod ramię, czego nigdy nie robiła.

Przyglądał się jej, kiedy zasiadali do szachownicy.

– Posiedźmy sobie najpierw przez chwilę – zaproponował. – Czy rana Villiersa jest głęboka?

Wstrząsnęła się na całym ciele.

– Nie mogę o tym słuchać. Ale nie, chyba nie. Damon jest świetnym szermierzem i podobno dokładnie zaplanował, w którym miejscu go trafi. Villiers powinien wyjść z tego bez szwanku.

Elijah patrzył, jak Jemma wlepia niewidzący wzrok w szachownicę, i zdał sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu widzi żonę w chwili, kiedy nie jest w stanie skupić się na grze. Wykonał swój ruch.

– Szach – powiedział.

Jemma wyciągnęła rękę.

– Zaczekaj. – Powstrzymał ją. Chciała przestawić wieżę, a wtedy on dałby jej mata.

Podniosła ku niemu oczy.

– Odpocznijmy chwilę. Strasznie jestem zmęczony – powiedział.

Zmarszczyła brwi, ale opuściła rękę na kolana.

– Myślę, że nie powinieneś tyle pracować, Beaumont – stwierdziła.

– Czasami zwracasz się do mnie „Elijah” – powiedział, sam nie wiedząc, że to mówi.

Jej brwi skoczyły do góry, więc pewnie była tym równie zaskoczona.

– Elijah – powtórzyła.

– Jak teraz będziesz grać z Villiersem?

– Wiesz zapewne, że wczoraj wygrałam pierwszą partię – odpowiedziała po chwili. – Villiers pewnie będzie się burzył, że jest zamknięty w czterech ścianach. St Albans powiedział, że chirurg kazał mu leżeć w łóżku co najmniej przez dwa tygodnie.

Słyszając to, nie wiedzieć czemu, Elijah poczuł raptowne przygnębienie.

Villiers może i przegrał rozgrywkę, ale za to wygrał coś innego.

– Pewnie będziesz zmuszona go odwiedzać – powiedział spokojnie.

Zerknęła na niego spod oka i znowu wbiła wzrok w szachownicę. Wyciągnęła rękę i przesunęła tę nieszczęsną wieżę.

– Szach-mat – powiedział tylko.

Jemma przyglądała się planszy, jakby właśnie przegrała po raz pierwszy w życiu.

Beaumont miał dziwne wrażenie, że odczuwa dokładnie to samo.

Na szczęście, Roberta już się nie przejmowała, czy zrobi z siebie pośmiewisko. Po prostu nie mogła odstąpić Damona na krok. W pewnym momencie jej ojciec chwycił ją za ramię i odciągnął na bok.

– Pani Grope postanowiła wrócić do teatru! – powiedział. Minę miał mniej przygnębiającą, niż się można było spodziewać.

– Do teatru? – zdziwiła się Roberta. – Będzie znowu występować? Naprawdę?

– Będzie fryzjerką. Podobno dyrektor teatru z Drury Lane był pod takim wrażeniem ozdoby w kształcie Mostu Londyńskiego, którą miała we włosach, że poprosił ją o zaprojektowanie peruk na wszystkie przedstawienia w najbliższym sezonie. Oczywiście, godnie ją wyposażyć. Ale to oznacza, moja droga, że pani Grope zniknie z naszego życia.

Damon zrobił ruch, jakby chciał wyjść do innego pokoju, a Roberta nie zamierzała spuścić go z oka. Ale zatrzymał się, żeby porozmawiać z lordem Corbinem, więc zwróciła się znowu do ojca.

– Papo, a co z syreną?

– Co z nią? – markiz miał minę przebiegłą i zadowoloną zarazem.

– Zabierzesz ją ze sobą do domu?

– Wykluczone! – ryknął. – To przyzwoita młoda dama, córka pastora z Somerset, a do tego utalentowana poetka. – Zaczął się kiwać na piętach. – Czy ty wiesz, Roberto, że rozpoczęła karierę rymującej syreny, kiedy miała zaledwie dziesięć lat?

– A ile ma teraz? – Roberta słuchała tylko jednym uchem.

– Chyba około trzydziestu i...

Ale ona nie mogła spuścić z oczu Damona, bo serce wciąż jej dygotało ze strachu. Ucałowała więc ojca w policzki i odbiegła. Wreszcie Damon wciągnął ją do żółtej bawialni i obiecał, że zagra z nią w kokotodomino, jeśli tylko pozwoli mu pójść do toalety.

Zgodziła się.

Ale zanim wrócił, znowu się rozplakała i nie mogła powstrzymać łez, nawet wtedy, kiedy Damon zaczął je scałowywać z jej twarzy, ani kiedy się z niej naśmiewał, ani kiedy ją dręczył łaskotkami.

– Już myślałam, że cię stracę – powiedziała żalosnym, urywanym głosem.

– Nigdy. – Wziął jej twarz w dłonie.

– Ale przecież mogłeś zginąć!

– Jeżeli chodzi o śmierć, to nie mogę powiedzieć „nigdy”. Ale, Roberto, przysięgam ci na Boga żywego, że kiedy umrę, to we własnym łóżku, u twojego boku. Innymi słowy, nie zamierzam się niepotrzebnie narażać, skoro mam ciebie i Teddy’ego, i... – Uśmiechnął się z taką czułością, że Roberta znowu załkała. – Za parę miesięcy możemy mieć własne maleństwo, Roberto. Nie pomyślałaś o tym?

Roberta odsunęła tę myśl na inną okazję.

– Skąd mogłeś wiedzieć, że pokonasz Villiersa? To wszystko działo się tak nagle i tak gwałtownie.

– Nigdy wcześniej nie widziałaś pojedynku?

Pokręciła głową.

– Kilka razy już mi się wydawało, że ugodził cię prosto w serce.

Damon się zaśmiał.

– Walka na białą broń jest przewidywalna do znudzenia, Roberto. Villiers nie miał szans mnie zranić. Słowo honoru. Gdyby chciał mnie zabić, wybrałby pistolety, bo to zmienia całą naturę pojedynku. Wiedziałem, że Villiers jest doskonałym szermierzem. Ale wiedziałem też, że jestem od niego lepszy.

– Skąd mogłeś wiedzieć, że jesteś lepszy? – wykrzyknęła. – Nigdy z nim przecież nie walczyłeś. Jemma mi mówiła!

– Och, wy, małej wiary – westchnął i przygarnął ją do siebie. – Ćwiczę u mistrza Galliano kilka razy w tygodniu, oto, skąd wiedziałem. To najlepszy szermierz w Londynie.

– Nie chodzi o to, że w ciebie nie wierzyłam. – Głos Roberty był nieco stłumiony, bo wtulała twarz w jego pierś. – Tylko że...

Odsunął ją od siebie, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

– Wiedziałem, że wygram, bo cię kocham.

– Co?

– Bo cię kocham.

– Chcesz powiedzieć, że... mówisz, że nie przegrałbyś, bo...

Śmiał się do niej, jak kompletny wariat, którym zresztą był.

– Bo za bardzo cię kocham, żeby przegrać.

– Och... Och, ty! – krzyknęła i przypadła do niego, może po to, żeby wybić mu z głowy tę jego męską dumę, ale on pocałował ją tak mocno, że wszystko inne nagle straciło znaczenie.

– A ty? – zapytał jakiś czas później, gdy wciąż jeszcze wisiała mu na szyi.

Uśmiechnęła się przekornie.

– Co: ja? Czy stoczyłabym pojedynek w obronie twojej czci?

– Nie.

– Pytasz, czy cię kocham?

Nic na to nie odpowiedział. Roberta uświadomiła sobie, że to chyba pierwszy raz, kiedy cień niepokoju pojawił się w oczach tego wysokiego, pewnego siebie mężczyzny, tak skorego do żartów, tak skromnego, co do swoich zdolności. Postanowiła więc porozkoszować się tym widokiem.

Przez moment.

– Oczywiście, że cię kocham – szepnęła i objęła dłońmi jego twarz. – I nigdy nie przestanę.

– A gdybym został poetą i zaczął pisać wiersze do twojego palca u nogi?

– Nawet wtedy.

– A jeślibym padł przed tobą na kolana na środku ulicy i błagał, żebyś wpuściła mnie do swojego łóżka?

– Wtedy też. – Uśmiechnęła się.

– Padam więc na kolana, Roberto. Błagam cię.

Lokaj przechodzący obok bawialni usłyszał dobiegający zza drzwi głośny śmiech i pokręcił głową.

Bez dwóch zdań, Beaumont House zmieniło się, odkąd księżna wróciła z Paryża. Kiedyś to było szacowne domostwo, a teraz... Niech no tylko Fowle dowie się, co ta Francuzica, ta cała mademoiselle Caro, wymyśliła z okazji następnego balu księżnej. Gołe damy z pawimi piórami w zadkach!

Z westchnieniem przytknęła drzwi bawialni, żeby przypadkiem nikt nie zobaczył czegoś, czego nie powinien.

Epilog

*Gdy pojedynki szachowe Villiers/Beaumont
odchodziły już w niepamięć*

Czuje, że dałeś mi wygrać – powiedziała Roberta.

– Za kogo ty się masz? Za Jego Księżęcą Mość?

– To miło z twojej strony, że dałeś wczoraj wygrać księciu Jerzemu – przyznała.

Jej mąż jednym ruchem odgarnął figury szachowe leżące pomiędzy nimi na łóżku.

– Skoro już wiesz, o co w tym chodzi, to może teraz zagramy w coś innego. Ja polecałbym domino.

– Już ci się znudziło ze mną grać? – Uśmiechnęła się z przekąsem.

– Nic mnie nie nudzi, kiedy jestem z tobą. Może jedynie szachy.

– Cmoknął ją w ucho. – Tyle jest ciekawszych rzeczy, które możemy razem robić.

– Na przykład? – mruknęła, opadając na poduszki.

Nie tracił czasu, żeby skorzystać z tego zaproszenia; przygniótł ją do łóżka całym ciałem, podpierając się na łokciach.

– Na przykład możemy się całować – mruknął, całując ją namiętnie.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała. – Nie chcesz wiedzieć, jaką?

– Nie wiem, co jeszcze mogłoby mnie zaskoczyć po tym, jak twój ojciec ożenił się z syreną.

– Ale zalecał się do niej jak przystało – przypomniała mu.

– Owszem, ale jak już raz ma się rybę w rodzinie, to nie wiadomo, czego się potem spodziewać. Czy chodzi o Teddy'ego? Bo myślę, że i on

zamienia się w rybę. Jego piastunka mówiła, że wczoraj spędził w rzece ładnych parę godzin.

– A gdybym ci powiedziała, że chodzi o dziecko? – szepnęła.

Momentalnie znieruchomiał, a potem dokonał niemalże aktu lewitacji, żeby jej nie przygniatać.

– Nie zrobiłem ci krzywdy? – zapytał bez tchu.

Usiadła, śmiejąc się z niego.

– Och, Damonie!

Wrócił do łóżka i położył na jej brzuchu swoje duże dłonie. Na jego twarzy mieszały się miłość i oddanie.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Ale brzuch masz całkiem płaski.

Zachichotała.

– Damonie, przecież dzieci rosną powoli. Za parę miesięcy możemy wrócić do rozmowy o płaskim brzuchu.

Bez słowa pochylił się i ucałował jej łono.

– Damonie?

Wciąż się nie odzywał.

– Kochanie?

Kiedy wreszcie podniósł głowę, zobaczyła, że ma oczy pełne łez.

– Ale... przecież ty nigdy nie płaczesz – powiedziała niezbyt mężdrze.

– To z radości. Taki jestem z tobą szczęśliwy.

Oplotła go ramionami i znowu pociągnęła na siebie.

– Płaczesz ze szczęścia?

Uśmiechnął się.

– W życiu zawsze wszystko przychodziło mi dość łatwo, Roberto.

Skinęła głową.

– Szachy, pojedynki...

– Pieniądze.

– Szczęściarz.

– Aż do chwili, kiedy ty się zjawiłaś, i powiedziałaś, że kochasz Villiersa i chcesz za niego wyjść. I że nie chcesz wyjść za mnie. A potem on ci się oświadczył i po raz pierwszy w życiu poczułem, że coś wymyka mi się z rąk, coś ważnego, czego nie mogę stracić. Ale nawet wtedy nie

zdawałem sobie jeszcze sprawy, że nie ma nic ważniejszego od ciebie. – W oczach miał łzy i wcale się ich nie wstydził.

– Ty głuptasie – szepnęła. – Przecież mnie masz, zapomniałeś już o tym? Jestem twoją żoną. I kocham cię.

– Już więcej nie będziemy grać w szachy. Przy tobie wszystkie gry tracą urok, Roberto.

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

Dużo później hrabia i hrabina Gryffyn leżeli wtuleni w siebie, pograżeni w głębokim śnie, w jaki zapadają zwykle kochający się mąż i żona po słodyczach małżeńskiego zespolenia.

Ale mała kruszynka dojrzewająca w łonie hrabiny nie spała. Wykręciła kilka piruetów, tak jak jej starszy brat, ćwicząc pływanie, ulubioną rozrywkę syren. Dramatycznym gestem rozłożyła ramiona. W końcu na maleńkich usteczkach zarysowało się coś na kształt uśmiechu, ale przecież tak małe dzieci nie umieją się jeszcze uśmiechać. Była bardzo podobna do swojego papy... a to oznaczało, że w życiu będzie jej towarzyszyło wiele radości.

Zwłaszcza kiedy się zakocha.